

**Lisa Gardner**

**Samotna**

*(Alone)*

*Przełożył Tomasz Wilusz*

## Rozdział 1

Kiedy dostał wezwanie, pracował już od piętnastu godzin. Zbyt wielu niecierpliwych kierowców na drodze numer 93 i zbyt wiele kraks. Jak zwykle o tej porze roku. Drzewa były nagie, mrók zapadał szybko, zbliżało się Święto Dziękczynienia. Zimno i mokro. Sezon letniego grillowania dawno minął, a na ulicach słychać było tylko szelest suchych liści na zimnym bruku.

Wielu policjantów narzekało na krótkie, szare dni lutego, ale Bobby Dodge szczerze nie cierpiał listopada. Od zawsze.

Jego zmiana zaczęła się od drobnej stłuczki, potem były dwie następne. Po czterech godzinach papierkowej roboty myślał, że najgorsze ma już za sobą. Jednak wczesnym popołudniem, kiedy nawet na słynącej z korków drodze 93 powinno być luźno, doszło do karambolu pięciu samochodów. Rozpędzony taksówkarz próbował za jednym zamachem przeskoczyć cztery pasy, a zestresowany japiszon w hummerze zajechał mu drogę. Hummer zniósł cios jak mistrz wagi ciężkiej, rozklekotana taksówka natomiast została znokautowana i przy okazji załatwiła trzy inne wozy. Bobby wezwał pomoc drogową naszkicował przebieg wypadku i aresztował japiszona, kiedy okazało się, że do lunchu wypił kilka martini.

Zatrzymanie pod zarzutem jazdy pod wpływem alkoholu oznaczało więcej papierkowej roboty, wyprawę na komisariat w południowym Bostonie (i to w godzinach szczytu, kiedy nikt nie ustępuje miejsca nawet policji) i scysję z nadzianym japiszonem, który nie miał ochoty wejść do celi.

Facet był jakieś dwadzieścia kilo cięższy od Bobby'ego. Jak wiele osób w podobnej sytuacji, uznał, że większa masa równa się większej sile, i jakoś umknęły mu wszelkie sygnały dowodzące czegoś wprost przeciwnego.

Prawą ręką złapał za framugę i rzucił się do tyłu. Na co właściwie liczył? Że powali policjanta i ucieknie z komisariatu pełnego jego uzbrojonych kolegów? Bobby zrobił unik, wysunął nogę i grubas runął na ziemię z donośnym hukiem. Kilku policjantów, zadowolonych z darmowego przedstawienia, zaczęło bić brawo.

– Do sądu cię podam! – ryknął podпиты japiszon. – Ciebie, twojego szefa i całe zasrane Massachusetts. Wykupię ten burdel. Słyszysz? Będę miał cię w garści!

Bobby dźwignął go z podłogi i ścisnął mu kciuk, ściągając na siebie kolejne przekleństwa. Wepchnął grubasa do celi i zatrzasnął drzwi.

– Jakbyś miał rzygać, kibel jest tam – rzucił, widząc, że facet lekko pozieleniał.

Grubas zdążył jeszcze pokazać podniesiony środkowy palec, po czym zgiął się wpół i zwymiotował na podłogę.

Bobby pokręcił głową.

– Nadziany kutas – mruknął.

Takie dni się zdarzają, zwłaszcza w listopadzie.

Teraz było parę minut po dziesiątej. Japiszon wyszedł za kaucją wniesioną przez jego zbyt wysoko opłacanego adwokata, cela została umyta i skończyła się zmiana Bobby'ego, która trwała od siódmej rano. Wreszcie mógł wrócić do domu. Zadzwoić do Susan. Przespać się, zanim o piątej zapiszczy budzik i cała bieranina zacznie się od nowa.

Ale, ku swojemu zaskoczeniu, był jakiś rozdygotany. W żyłach miał za dużo adrenaliny jak na człowieka, który uchodzi za uosobienie spokoju.

Nie poszedł do domu. Przebrał się w dzinsy i flanelową koszulę i postanowił zajrzeć do baru.

Przy półkolistym kontuarze w Boston Beer Garden siedziało czternastu klientów. Palili papierosy i sączyli piwo, gapiąc się tępo w płaskoekranowe telewizory. Bobby skinął głową kilku znajomym, machnięciem ręki przywołał sześćdziesięcioletniego barmana Carla i zajął wolny stółek z dala od pozostałych. Sally jak zwykle przyniosła mu nachos, a Carl colę.

– Ciężki dzień, Bobby?

– Jak zawsze.

– Susan przyjdzie?

– Ma próbę.

– No tak, niedługo koncert. Za dwa tygodnie, zgadza się? – Carl pokręcił głową. – Nie dość, że piękna, to jeszcze utalentowana. Mówię ci, Bobby, masz szczęście.

– Uważaj, bo Martha usłyszy – ostrzegł Bobby. – Widziałem, jak przetacza beczki. Aż strach pomyśleć, co mogłaby zrobić wałkiem.

– Ja też mam szczęście – zapewnił Carl. – Dlatego jeszcze żyję.

Carl zostawił Bobby'ego z colą i nachos. W telewizji mówili o jakimś zajściu w Revere. Facet ostrzelał sąsiadów, a potem zabarykadował się w domu. Antyterrorysty byli już na miejscu i „nikt nie zamierzał ryzykować bez potrzeby”.

Tak, listopad to dziwny miesiąc. Wszyscy są podminowani, nie wiedzą, jak się bronić przed nadciągającą ponurą zimą. Nawet tacy ludzie jak Bobby muszą wyteżać siłę woli, by nie zwariować.

Dokończył nachos. Wypił colę. Zapłacił i w chwili, kiedy przekonał sam siebie, że może już wrócić do domu, odezwał się biper, który nosił przy pasie. Ledwie rzucił okiem na wyświetlacz, już był za drzwiami.

Dzień był ciężki. Teraz zanosilo się na ciężką noc.

Catherine Rose Gagnon również nie przepadała za listopadem, choć jej kłopoty tak naprawdę zaczęły się w październiku. Dokładnie dwudziestego drugiego października 1980 roku. Wracała do domu ze szkoły. Było ciepło, słońce ogrzewało jej twarz. Niosła książki, miała na sobie swój ulubiony szkolny strój: brązowe podkolanówki, ciemnobrązową sztruksową spódniczkę i żółtą bluzkę z długimi rękawami.

Podjechał samochód. Początkowo nie zwróciła na niego uwagi. Dopiero kiedy się z nią

zrównał, zauważyła go kątem oka. Niebieski chevy. Usłyszała męski głos. „Hej, skarbie. Zginął mi piesek. Nie pomogłabyś mi go poszukać?”

Później był ból, krew i stłumione okrzyki sprzeciwu. Łzy płynące po policzkach. Przygryziona dolna warga.

I ciemność, i jej cichy, pozbawiony nadziei krzyk: „Jest tam kto?”

A potem bardzo długo nic.

Powiedzieli jej, że trwało to dwadzieścia osiem dni. Nie mogła tego wiedzieć, W ciemnościach czas nie istniał, była tylko samotność. A oprócz niej zimno, cisza i chwile, kiedy wracał. Przynajmniej coś się działo. Nicość, niekończąca się nicość mogła doprowadzić do obłądki.

Znaleźli ją myśliwi. Osiemnastego listopada. Zauważyli klapę ze sklejki, załomotali w nią kolbami strzelb i ku swojemu zaskoczeniu usłyszeli słaby krzyk. Uratowali ją, triumfalnie otworzyli jej małe więzienie i wydobyli na rześkie, jesienne powietrze. Później widziała zdjęcia w gazetach. Swoje ciemne, wielkie oczy, wychudłą twarz, skulone ciało. Wyglądała jak mały brązowy nietoperz, brutalnie wywleczony na światło dnia.

Dziennikarze nazwali ją Cudem Święta Dziękczynienia. Wróciła do domu, do rodziców. Sąsiedzi i krewni paradowali przed nią, wołając „Dzięki Bogu!”, „W samą porę na Święto Dziękczynienia!” i „Nie do wiary, naprawdę nie do wiary...”

Ona siedziała i słuchała, co mówią. Podkraśniała jedzenie z talerzy i chowała je do kieszeni. Miała spuszczoną głowę i zwieszona ramiona. Wciąż jeszcze była małym nietoperzem i z powodów, o których nie potrafiła mówić, bała się światła.

Przyjechała policja. Opowiedziała im o mężczyźnie, o jego samochodzie. Pokazali jej zdjęcia. Wskazała jedno z nich. Po kilku dniach czy tygodniach – co za różnica? – poszła na komisariat i z poważną miną znów wskazała tego samego człowieka.

Pół roku później rozpoczął się proces Richarda Umbria. Po trzech tygodniach, ubrana w prostą niebieską sukienkę i pantofelki, złożyła zeznania przed sądem. Po raz ostatni wskazała palcem tego człowieka. Richard Umbrio dostał dożywocie.

A ona wróciła do domu.

Niewiele jadła. Ciągle chowała jedzenie po kieszeniach albo po prostu trzymała je w ręku. Mało spała. Leżała w ciemnościach, oczami nietoperza wypatrując czegoś, czego nie potrafiła nazwać. Często nieruchomiała i sprawdzała, czy potrafi cicho oddychać.

Czasem w drzwiach jej pokoju stawała matka, nerwowo skubiąc bluzkę bladymi palcami. Z głębi domu dochodził wtedy głos ojca: „Chodź do łóżka, Louise. W razie czego cię zawoła”.

Ale Catherine nigdy jej nie wołała.

Mijały lata. Catherine dorastała, jej ramiona wyprostowały się, włosy urosły i wkrótce odkryła, że obdarzona jest tą dziwną, magnetyczną urodą, dla której mężczyźni tracą głowę. Miała białą skórę, proste czarne włosy i wielkie granatowe oczy. Mężczyźni jej pragnęli. Dlatego wykorzystywała ich bez skrępowań. Nie jej wina. Nie ich wina. Po prostu niczego nie czuła.

Matka umarła w 1994 roku. Na raka. Na pogrzebie Catherine próbowała płakać. Nie potrafiła jednak wycisnąć z oczu nawet jednej łzy, a jej chrapliwy szloch brzmiał nieszczerze.

Wróciła do pustego domu i próbowała więcej o tym nie myśleć, choć czasami, ni stąd, ni zowąd, przypominała jej się matka stojąca w drzwiach pokoju. „Chodź do łóżka, Louise. W razie czego cię zawoła”.

„Hej, skarbie. Zginął mi piesek. Nie pomogłabyś mi go poszukać?”

Listopad roku dziewięćdziesiątego ósmego. Kobieta nazwana niegdyś Cudem Święta Dziękczynienia leżała naga, skulona w białej wannie i drżała z zimna, ściskając w dłoni brzytwę. Miało stać się coś złego. Zapadały ciemności. Tym razem nie będzie powrotu.

„Chodź do łóżka, Louise. W razie czego cię zawoła”.

„Hej, skarbie. Zginął mi piesek. Nie pomogłabyś mi go poszukać?”

Ostrze, cienkie i lekkie. Pieszczotliwie muskające nadgarstek. Ciepłe, czerwone strużki spływające po skórze.

Zadzwonił telefon. Catherine ocknęła się z letargu i odebrała. Ten telefon ocalił jej życie. Cud Święta Dziękczynienia się odrodził.

Myślała o tym w tej chwili. W tle słychać było głos spikera:

– Uzbrojony mężczyzna zaczął strzelać do swoich sąsiadów, po czym zabarykadował się w domu. Zdaniem bostońskich antyterrorystów sytuacja jest napięta i niezwykle niebezpieczna.

Synek szlochał w jej ramionach!

– Mamusiu, mamusiu, mamusiu. A z dołu dobiegł ryk męża:

– Wiem, co knujesz! Masz mnie za głupka? Wybij to sobie z głowy. Nie ujdzie ci to na sucho, żeby nie wiem co. Nie tym razem!

Jimmy wbiegł po schodach do ich sypialni.

Telefon już raz ocalił Catherine Gagnon życie. Modliła się, by stało się tak i tym razem.

– Halo, policja? Słyszycie mnie? Chodzi o mojego męża. Chyba ma broń.

## Rozdział 2

Bobby od sześciu lat był członkiem Specjalnej Grupy Taktyczno-Operacyjnej policji stanu Massachusetts (STOP). Wzywany był na akcje co najmniej trzy razy w miesiącu – i to najczęściej w święta – więc myślał, że nic go już nie zaskoczy. Tego wieczoru okazało się, że się mylił.

Pędził ulicami Bostonu. Z piskiem opon skręcił w prawo na Park Street, kierując się ku zwieńczonej złotą kopułą siedzibie parlamentu stanowego, odbił w lewo na Beacon, wzdłuż parku. O mało nie dał plamy – próbował dojechać Arlington do samego Marlborough, ale ponieważ uprzytomnił sobie, że Marlborough jest jednokierunkowa i prowadzi w złym kierunku. Tak to jest, gdy się zwykle omija centrum szerokim łukiem. Jak szalencie wcisnął hamulec, skręcił kierownicę i z wciśniętym klaksonem przeciął trzy pasy ruchu, by pozostać na Beacon. Teraz miał trudniejsze zadanie, musiał wypatrywać bocznej drogi dochodzącej do Marlborough. W końcu ruszył za erką jadącą na sygnale.

Po przybyciu na róg Marlborough i Gloucester od razu zauważył wiele szczegółów. Niebieskie radiowozy policji miejskiej i stanowej zablokowały kwartał ulic w samym sercu Back Bay. Między kilkoma kamienicami rozciągała się żółta taśma i umundurowani policjanci zajmowali stanowiska na skrzyżowaniach. Na miejscu była już erka i kilka wozów transmisyjnych lokalnych stacji telewizyjnych.

Zaczynało się.

Bobby zaparkował crown vica obok radiowozu, wyskoczył z samochodu i pobiegł do bagażnika. Miał w nim wszystko, czego potrzebuje dobrze wyszkolony snajper policyjny. Karabin, celownik optyczny, amunicję, mundury polowe – czarne i maskujące, siatkę maskującą, kamizelkę kuloodporną, ubranie na zmianę, coś na ząb, wodę, poduszkę, okulary noktowizyjne, lornetkę, dalmierz, wojskowy szwajcarski scyzoryk, farbę do twarzy i latarkę. Policjanci z miasta wozili w bagażniku zapasowe opony, a policjant stanowy mógł przeżyć miesiąc, nie ruszając się z samochodu.

Bobby wyjął plecak i rozejrzał się.

W odróżnieniu od innych oddziałów antyterrorystycznych, członkowie jednostki Bobby'ego nigdy nie przybywali na miejsce zdarzenia w grupie. Było ich trzydziestu dwóch, rozrzuconych po całym Massachusetts, od Cape Cod po pogórze gór Berkshire. Kwatera główna mieściła się w Adams, w zachodniej części stanu. To tam dowódca Bobby'ego przyjął wezwanie od Framingham Communications i zdecydował o przystąpieniu do akcji.

W takich sytuacjach jak ta – gdy uzbrojony napastnik bierze zakładników – wzywano wszystkich trzydziestu dwóch członków jednostki. Niektórym dojazd zajmie trzy do czterech godzin. Innym, tak jak Bobby'emu, niecały kwadrans. Tak czy inaczej, dowódca jednostki

szczył się tym, że w ciągu godziny może w dowolne miejsce ściągnąć co najmniej pięciu ludzi.

Bobby rozejrzał się i zauważył, że przybył jako jeden z pierwszych. Oznaczało to, że nie ma chwili do stracenia.

Większość oddziałów antyterrorystycznych składała się z trzech grup: szturmującej, blokującej i snajperskiej. Grupa blokująca ma za zadanie zabezpieczyć okolicę. Snajperzy zajmują pozycje na zewnątrz zablokowanego obszaru i pełnią funkcje zwiadowcze – przez celownik lub lornetkę obserwują, co dzieje się wewnątrz budynku, i składają regularne meldunki. Drużyna szturmowa natomiast przystępuje do akcji tylko w ostateczności – jeśli negocjatorowi nie uda się nakłonić podejrzanych do poddania się, wdzierają się do budynku. Na ogół kończy się to krwawo i raczej starano się tego unikać, ale czasem nie było innego wyjścia.

Każdy członek jednostki STOP mógł wykonywać wszystkie te zadania, nie było specjalizacji. Ponieważ przyjeżdżali na miejsce zdarzenia oddzielnie, szkolono ich we wszystkich aspektach działań antyterrorystycznych po to, by mogli z marszu przystąpić do akcji. Innymi słowy, choć Bobby był jednym z ośmiu snajperów w jednostce, na razie nie szukał dobrej snajperskiej pozycji.

Najpierw należy zabezpieczyć okolicę. To rozwiązuje dziewięćdziesiąt procent problemów. Kontrolować i blokować. Do tego potrzeba co najmniej dwóch ludzi, ustawionych naprzeciwległych skrzyżowaniach i obserwujących okolicę po przekątnych.

Bobby to jeden. Teraz trzeba znaleźć drugiego. Przy krawężniku stały trzy radiowozy policji stanowej, więc gdzieś tu muszą być ludzie z jego jednostki. Zauważył białą furgonetkę służącą za stanowisko dowodzenia. Zarzucił plecak na ramię i podbiegł do niej.

– Bobby Dodge, policja stanowa – powiedział, wchodząc do środka i wyciągając rękę.

– Porucznik Jachrimo. – Dowódca uściśnął mu dłoń, mocno i szybko. Był z policji miejskiej, nie stanowej. To Bobby'ego nie zdziwiło, sprawa podlegała jurysdykcji policji bostońskiej, a komendant policji stanowej pewnie był dwie godziny drogi stąd. Choć Bobby wolałby mieć do czynienia ze swoim dowódcą, nauczył się być grzecznym dla innych. Oczywiście bez przesady.

Jachrimo rysował wykres Gantta w górnym lewym rogu wiszącej przed nim białej tablicy.

– Pozycja? – spytał.

– Snajper.

– Możesz zabezpieczać okolicę?

– Tak jest.

– Super, super, super. – Obok furgonetki przeszedł policjant w mundurze. Porucznik Jachrimo oderwał się od białej tablicy, wystawił głowę z wozu i ryknął: – Hej, ty tam! – Machnął na niego. – Muszę pogadać z kimś z firmy telefonicznej. Rozumiesz? Połącz się z centralą, niech tam zadzwonią, bo w tym wozie nic nie działa, a co to za stanowisko dowodzenia, skoro nie można z niego dowodzić. Rozumiesz?

Mundurowy pobiegł gdzieś, a zaafierowany Jachrimo zwrócił się do Bobby'ego.

– No dobra, co wiesz?

– Podejrzany, prawdopodobnie uzbrojony, zabarykadował się w domu z żoną i dzieckiem. – Bobby słowo w słowo powtórzył wiadomość, jaka przyszła na jego pager.

– Podejrzany nazywa się Jimmy Gagnon. Mówi ci to coś?

Bobby pokręcił głową.

– To nawet lepiej. – Jachrimo skończył rysować wykres, po czym na dolnej części tablicy zaczął szkicować plan okolicy. – Wygląda to tak. Około wpół do dwunastej na policję zadzwoniła kobieta podająca się za Catherine Gagnon, żonę Jimmy’ego. Powiedziała, że pijany mąż grozi jej i synkowi pistoletem. Operator próbował wyciągnąć z niej więcej szczegółów, ale połączenie zostało przerwane! Jakąś minutę później na policję zadzwonił sąsiad i zgłosił, że słyszał dwa strzały. Dzwonili do komendy głównej, ale nasi są na akcji w Revere, więc oddałem sprawę Framingham Communications, a oni skontaktowali się z twoim szefem. Wasza jednostka poprowadzi akcję, może od początku do końca, może do czasu, aż nasi nie załatwią sprawy w Revere. Nie wiem. Na razie mundurowi odcieśli dostęp do budynku. Są tu, tu i tu, a samochody tu i tu blokują ulice.

Jachrimo naniósł na szkic kilka iksów i jeden kwartał został odcięty od reszty dzielnicy.

– Gagnonowie zajmują ostatnie cztery piętra domu numer 4-15 – ciągnął. – Nasi ludzie ewakuowali ludzi z niższych pięter i sąsiednich kamienic. Na razie nie udało nam się skontaktować z żadną z osób przebywających w mieszkaniu, co, szczerze mówiąc, wcale mnie nie cieszy. Moim zdaniem, powinniśmy byli zabezpieczyć okolicę dziesięć minut temu, a negocjatorzy powinni tu być od ośmiu minut. Ale co ja tam wiem...

– Ilu mamy ludzi?

– Na miejscu są już Fusilli, Adams i Maroni z policji stanowej. Obserwują dom, starają się odciąć wszystkie drogi dostępu, może nawet spróbują dostać się do środka. Jeden z moich ludzi szuka planów budynku, a drugi, miejmy nadzieję, zaraz połączy mnie z tą zaszraną firmą telefoniczną.

– Co mówią sąsiedzi?

– Według tego z parteru, przez ostatnich pięć lat Gagnonowie całkowicie przemeblowali mieszkanie. Poddasze przerobili na wysoko sklepiony sufit trzeciego piętra, gdzie podobno mają wielgachną sypialnię z balkonem. Co się tyczy samego budynku, na parterze jest jedna mała sypialnia i hol z klatką schodową windą, którą można wjechać do apartamentu Gagnonów. Piwnica została przerobiona na dwupokojowe mieszkanie. Ewakuowaliśmy mieszkające tam małżeństwo. Nic nam nie powiedzieli, nie wiedzą, gdzie są przewody wentylacyjne, wyjścia awaryjne i tym podobne. To stary dom, więc raczej nie powinno być żadnych niespodzianek. Wygląda na to, że Gagnonowie nie są towarzyscy i nawet jeśli urządzali jakieś imprezy, to rzadko zapraszali sąsiadów. Znani są z częstych kłótni, nieraz już nas do nich wzywano. Dziś pierwszy raz któreś z nich sięgnęło po broń. On? Ona? Cholera wie. W każdym razie dziecko ma przechlapanie. Tak wygląda sytuacja.

Porucznik skończył w samą porę. Przyszli ludzie z firmy telefonicznej. I kolejny członek

jednostki Bobby'ego.

– No to super – mruknął porucznik. Wskazał palcem nowo przybyłego policjanta stanowego.  
– Zabezpieczysz okolicę domu. A ty – palcem wskazał Bobby'ego – znajdź sobie dobrą pozycję. Chcę wiedzieć, co się dzieje w tym domu. Gdzie mąż, gdzie żona, gdzie dzieciak? I czy jest tam jeszcze ktoś żywy? Bo od ponad pół godziny niczego nie słyszeliśmy.

Bobby wyszedł z centrum dowodzenia i przyspieszył kroku. Teraz, kiedy znał już swoje zadanie, musiał podjąć kilka decyzji. I to szybko.

Po pierwsze, jaki ekwipunek wybrać. Zdecydował się na mundur maskujący w odcieniach szarości. Gdyby ubrał się na czarno, jego sylwetka byłaby zbyt dobrze widoczna, za to w uniformie, którego barwy stwarzają złudzenie głębi, może wtopić się w otoczenie.

Na wierzch włożył lekką kamizelkę kuloodporną. Inni antyterrorysty mieli kamizelki z kevlaru, z borowymi płytami, jednak dla snajpera byłoby to za duże obciążenie. Bobby musiał być w stanie szybko przenosić się z miejsca na miejsce i tkwić przez wiele godzin w niewygodnej pozycji. Zwykła kamizelka kuloodporna i hełm muszą wystarczyć.

Teraz pora na karabin, celownik i amunicję. Wziął na ramię sig sauera 3000 i wybrał celownik leupold 3-9X kaliber 50. Był ustawiony na odległość stu metrów, standardową dla policyjnego snajpera (w odróżnieniu od snajperów wojskowych, którzy ustawiali celowniki na pięćdziesiąt metrów. Oni jednak biegali po bagnach w mundurach maskujących. Praca Bobby'ego rzadko bywała aż tak interesująca).

Zastanowił się, czy wziąć okulary noktowizyjne, ale było jasno jak w dzień, więc sobie darował,

Została jeszcze amunicja. Wybrał pociski do remingtona kaliber 308 i specjalne kule ze wzmocnionymi czubkami. Te pierwsze były częścią standardowego wyposażenia, a tymi drugimi lepiej strzelało się przez szyby. Ponieważ noc była zimna, a okna w mieszkaniu pozamykane, postanowił zacząć od pocisków ze wzmocnionymi czubkami. Kiedy ma się tylko jeden strzał, nie można ryzykować.

Zostawił w plecaku trzy butelki wody, dwa batony energetyczne, poduszkę, która miała amortyzować odrzut, lornetkę i dalmierz, resztę rzeczy wyjął. Zamknął bagażnik.

Ekwipunek już miał, teraz pora znaleźć odpowiedni punkt obserwacyjny.

Back Bay to stara, ekskluzywna dzielnica: wysokie, wąskie kamienice ozdobione granitowymi łukami, misternymi balkonami z kutego żelaza i wielkimi wykuszowymi oknami. Grube drzewa, piękne latem, teraz nagie, rozpościerały bezlistne korony nad bmw, saabami i mercedesami, szary bluszcz piał się po ścianach z czerwonej cegły i pieścił futryny okien w blasku policyjnych reflektorów. Piękna, zamknięta, nieco arogancka okolica.

Bobby mógłby pracować latami, a i tak nie byłoby go stać, by zaparkować wóz na takiej ulicy, a co dopiero tu zamieszkać. Zabawne, że niektórzy mają wszystko, a i tak potrafią spieprzyć sobie życie.

Stwierdził, że odległość nie będzie problemem. Kamienice stały blisko siebie, ulica miała góra pięćdziesiąt metrów szerokości. Gorzej z kątem strzału. Gdy jest większy niż czterdzieści pięć stopni, zaczynają się kłopoty. Kamienica, o którą chodziło, miała cztery piętra i piwnicę z oknami. Porucznik mówił jednak, że czwarte piętro zostało przerobione na sklepiony sufit.

To zgadzało się z tym, co zaobserwował Bobby – światła paliły się na trzecim piętrze, za tarasem okolonym misterną balustradą z kutego żelaza.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, by mieć lepszy widok. Między prętami balustrady było z pięć centymetrów przerwy. To nie problem, zważywszy na to, że na comiesięcznych ćwiczeniach trafiał do celu szerokości dwóch centymetrów. Problem stanowił jednak kąt strzału; trafić w pięciocentymetrową lukę to bułka z masłem, ale zrobić to z dołu lub z góry, przy kącie wynoszącym ponad trzydzieści stopni...

Zdecydowanie musi wejść gdzieś wyżej.

Spojrzał na trzypiętrową kamienicę naprzeciwko domu Gagnonów i po chwili już pukał do jej drzwi. Choć porucznik Jachrimo powiedział mu, że policja ewakuowała wszystkich okolicznych mieszkańców, Bobby nie zdziwił się ani trochę, kiedy stare drewniane drzwi otworzyły się i stanął w nich starszy, wyraźnie podekscytowany mężczyzna w ciemnozielonym szlafroku. To niesamowite, jak wiele osób nie chciało opuścić swoich domów, nawet gdy otaczali je uzbrojeni po zęby ludzie.

– Hej – powiedział mężczyzna – pan z policji? Mówiłem już pańskiemu koledze, że nigdzie się stąd nie ruszę.

– Muszę się dostać na ostatnie piętro – wyjaśnił Bobby.

– To karabin?

– Proszę pana, sprawa jest poważna. Muszę dostać się na ostatnie piętro.

– Dobrze. Tam jest główna sypialnia. Aaa – mężczyzna otworzył szeroko oczy – rozumiem. Mój balkon jest naprzeciwko balkonu Gagnonów. Pan pewnie jest snajperem. Hm, może coś panu przynieść?

– Wystarczy, że wpuści mnie pan na ostatnie piętro. I to szybko.

Mężczyzna był bardzo uprzejmy. Nazywa się George Harlow i jest konsultantem, o czym powiadomił Bobby'ego, prowadząc go szerokimi schodami na górę. Prawie bez przerwy jest w rozjazdach, to doprawdy szczęśliwy zbieg okoliczności, że akurat dziś został w domu. Jego kamienica jest mniejsza od pozostałych i może nie tak ładna, ale za to w całości należy do niego. Sąsiedzi zachodzą w głowę, ile mogłaby kosztować. W zeszłym miesiącu jedna z okolicznych kamienic poszła za prawie dziesięć milionów dolarów. Dziesięć milionów. Tak, ojciec George'a, choć pijak, zostawił mu niezły spadek. Wszystko byłoby cacy, gdyby nie te cholerne podatki od nieruchomości.

Czy mógłby dotknąć policyjnego karabinu?

Bobby powiedział, że nie.

Weszli do sypialni. Była przestronna, ale prawie nieumeblowana, na ścianach nie wisały

żadne obrazy. Facet rzeczywiście musiał rzadko tu bywać. Bobby widywał przytulniejsze pokoje w hotelach. Za to ściana od strony ulicy była cała oszklona, z rozsuwanymi drzwiami na środku. Idealnie.

– Proszę zgasić światła – powiedział.

Harlow wykonał polecenie, tłumiąc chichot.

– Ma pan jakiś stół? – zapytał Bobby. – Byle jaki. Krzesło też by się przydało.

Miał stolik do kart. Bobby rozstawił go, a gospodarz przyniósł składane metalowe krzesło. Oddech Bobby'ego był przyspieszony. Od wspinaczki na trzecie piętro? A może od przyływu adrenaliny wywołanego świadomością że zaraz wszystko się zacznie?

Był na miejscu zdarzenia od piętnastu minut, niezły, ale nie nadzwyczajny wynik. Pewnie przyjechali już inni członkowie jego jednostki. Blokada się zacieśniała. Wkrótce miał przybyć następny obserwator, a potem grupa negocjatorów nawiąże kontakt z ludźmi w mieszkaniu.

Bobby położył się sauera na stoliku. Uchylił drzwi balkonowe na tyle, by w szparze zmieściła się lufa. Usiadł na metalowym krześle Harlowa, włączył radio zamontowane w kamizelce kuloodpornej i zaczął mówić do odczytującego drgania szczęki mikrofonu połączonego z odbiornikiem, który umieścił w uchu.

– Snajper Jeden zgłasza się.

– Słucham, Snajper Jeden – odpowiedział porucznik Jachrimo.

Bobby przyłożył oko do celownika i wreszcie poznał Gagnonów.

## Rozdział 3

Widzę odwróconego plecami białego mężczyznę, około metr osiemdziesiąt wzrostu, krótkie brązowe włosy, ciemnoniebieska koszula. Stoi metr od drzwi balkonowych od frontu budynku, który od tej pory będę nazywał stroną A. Drzwi mają około metra szerokości, otwierają się na zewnątrz i patrząc od lewej strony, są trzecim otworem w ścianie. Pierwszy to okno odsuwane do góry, ma około pół metra szerokości i dwóch metrów wysokości. Otwór drugi to okno tego samego typu, o rozmiarach czterdzieści centymetrów na dwa metry. Tak samo wygląda otwór numer cztery.

Opisując trzecie piętro domu Gagnonów, Bobby uważnie obserwował. Mężczyzna za szybą stał nieruchomo. Patrzył na kogoś, szukał czegoś? Obie ręce trzymał przed sobą, więc nie było widać, czy jest uzbrojony.

Bobby wypatrywał kobiety i dziecka. Bezskutecznie.

Na środku sypialni, równoległe do drzwi balkonowych, stało wielkie łóżko z kutego żelaza, z lekkimi białymi draperiami. Za nim widać było szereg białych rozsuwanych drzwi; to pewnie garderoba. Po lewej stronie wnęka, a w niej chyba następne drzwi. Co jest za nimi? Łazienka? Salon?

Duży pokój, z wieloma kryjówkami. Robi się coraz ciekawiej.

Wyregulował ostrość, usiłując zobaczyć, co kryje się we wnęcie po lewej stronie, ale nic to nie dało. Rzucił okiem na pozostałe okna, w których paliło się światło, lecz nie zobaczył ani śladu pozostałych mieszkańców.

Więc gdzie jest żona i dziecko? Schowali się za draperiami? W garderobie? A może leżą martwi na podłodze?

Poczuł ucisk w żołądku. Zmusił się, by głęboko zaczerpnąć powietrza i je wypuścić. Skup się. Bądź częścią wydarzeń, a zarazem poza nimi. Nabierz dystansu.

Znacie różnicę między strzelcem a snajperem? Strzelec ma puls. Snajper nie.

Bobby przygotował się na długie oczekiwanie: poprawił karabin, ułożył go na poduszce tak, by lufa była na odpowiedniej wysokości. Przesunął krzesło i oparł się o stolik, przyciskając kolbę do ramienia. Kiedy było mu już wystarczająco wygodnie, a broń stała się niczym trzecia ręka, wychylił się do przodu, przyłożył policzek do kolby i spojrzał w celownik, który zdawał się obejmować cały świat. Teraz nic mu już nie umknie.

Znów spojrzał w okno. Mężczyzna zaglądał za łóżko.

Bobby włożył do komory kulę ze wzmocnionym czubkiem i powoli skierował celownik na tył głowy mężczyzny. Oddychał płytko, miał równy puls. Ręka nawet przez chwilę nie zdrząła.

Policyjni snajperzy uczą się tylko jednego – jak błyskawicznie unieszkodliwić podejrzanego, który może trzymać palec na cynglu. Innymi słowy, Bobby co miesiąc ćwiczył przestrzeliwanie

pnia mózgu.

Pozycja mu odpowiadała. Kąt nieduży, odległość znośna. Szyba w drzwiach balkonowych spowoduje lekkie zakrzywienie toru lotu kuli, ale to nie problem. Cel stał nieruchomo, więc nie trzeba było wodzić za nim karabinem, a przy tak małym dystansie warunki atmosferyczne nie grały roli.

Cofnął się od celownika tak, by nie poruszyć karabinu, i prawą ręką zaczął robić notatki w książce meldunkowej. Napisał, jaką ma amunicję i jak ustawił broń. Podniósł do oczu lornetkę, zapewniającą mu szersze pole widzenia, i wrócił do obserwacji mieszkania po drugiej stronie ulicy.

Mężczyzna przesunął się lekko w stronę łóżka. Bobby był coraz bardziej napięty, koncentracja osiągała crescendo. Początkowo nie wiedział, dlaczego tak się dzieje. Zauważył to dopiero po chwili.

Wrażenie to wywoływała poza, w jakiej mężczyzna stał; miał wyprostowane ramiona, sterczące łokcie, lekko rozstawione nogi, jakby chciał wydawać się większy i silniejszy. Jakby chciał pokazać, że on tu rządzi. Bobby był gotów się założyć, że jego twarz, której nie widział, jest czerwona, wykrzywiona furją.

Znów zaczął rozglądać się za żoną i dzieckiem, ale ich nie zauważył. Musieli jednak być w tym pokoju, inaczej mężczyzna by wyszedł. Bobby żałował, że nie widzi jego twarzy.

Korzystając z tego, że nic ciekawego się nie działo, wrócił do szkicowania planu budynku dla członków swojej jednostki. Zgodnie z regułami, boki kamienicy oznakował literami A, B, C i D. Ponieważ po obu stronach i z tyłu sąsiadowały z nią inne domy, zostawał tylko front, oznakowany literą A. Następnie ponumerował piętra kamienicy cyframi od jednego do pięciu, wraz z piwnicą. Na koniec zaznaczył wszystkie otwory w ścianie A i podał, które są drzwiami, a które oknami, określił ich przybliżone rozmiary i ponumerował je, poczynając od lewej strony.

Teraz wszyscy będą mieli do dyspozycji identyczne plany. Mężczyzna stał za drzwiami balkonowymi od strony A, na poziomie czwartym, w otworze trzecim, czy też, jak Bobby powiedziałby w skrócie, gdyby zaczęło robić się gorąco, jeden mężczyzna A-cztery-trzy. Bez konieczności precyzowania, po czyjej lewej, a po czyjej prawej stronie. Trzy szybkie współrzędne i bum, wszystko jasne.

Po naszkicowaniu planu Bobby, nauczony wieloletnim doświadczeniem, sprawdził kilka szczegółów. Czy podejrzany przygotował się na dłuższe oblężenie? Zabarykadował drzwi, pozabijał okna? Czy próbuje coś ukryć? Czy spuścił żaluzje, poprzestawiał meble, tak by zasłonić widok? Wszystko to są poważne znaki ostrzegawcze. Podobnie jak strzały padające z okien czy otwarte groźby.

Jak dotąd panował spokój. W całym budynku nie widać było nikogo oprócz samotnego mężczyzny stojącego metr za drzwiami balkonowymi, A-cztery-trzy.

Bobby odsunął lornetkę od oczu i zaczął oglądać pokój przez celownik karabinu.

Zimny wiatr dmuchał na niego przez uchylone drzwi balkonowe. Twarz marzła, palce

sztyniały. Kiedy zjawi się obserwator, każe mu zamknąć drzwi, ale usiąść na tyle blisko, by mógł je w mgnieniu oka otworzyć. Na razie jednak wszystko gra. Oddycha równo, jest odprężony. Zaraz nadejdzie moment pełnej koncentracji. Jest spokojny, ale gotowy. Czujny, ale rozluźniony. Mierz tak, by jak najmniej chybić. Nie myślał już o stoliku na karty, zimnym listopadowym wietrze ani o fakcie, że pan Harlow ciągle stoi w drzwiach za jego plecami i czeka, aż coś zacznie się dziać.

Niedługo przyjedzie negocjator, skontaktuje się z podejrzanym przez telefon i spróbuje pokojowo rozwiązać sytuację. Będzie go przekonywałby odpuścić sobie teraz, gdy grozi mu co najwyżej trochę wstydu, o ile nikomu jeszcze nic się nie stało. Jeśli żona i dziecko są ranni albo, co gorsza, nie żyją, będzie więcej kłopotów. Ale ludzie z grupy zarządzania kryzysowego są dobrzy. W zeszłym roku główny negocjator, Al Hanson, na oczach Bobby'ego nakłonił trzech zbiegłych więźniów, by oddali się w ręce policji, choć groziło im dożywocie i nie mieli nic do stracenia. Po wszystkim dowódca Bobby'ego podszedł do nich, klepnął wszystkich po kolei w ramię i szczerze podziękował im za to, że się poddali.

W takich sytuacjach na początku wszyscy są nabuzowani adrenaliną, testosteronem i mówią wiele głupot. Zadaniem Bobby'ego i jego partnerów jest zmniejszenie napięcia. Nie ma powodów, by działać pochopnie. Nie ma potrzeby stosować przemocy. Róbmy swoje, krok po kroku, a wszystko będzie dobrze.

Jakiś ruch. Podejrzany odwrócił się i zdecydowanym krokiem przeszedł na prawą stronę. W jego dłoni mignął pistolet.

– Biała mężczyzna, przechodzący za drzwiami balkonowymi, A-cztery-trzy. W prawej dłoni ma przedmiot wyglądający na pistolet kaliber 9 milimetrów. Biała kobieta – oznajmił Bobby nagle, lekko triumfująco – długie czarne włosy, ciemnoczerwona bluzka, klęcząca albo siedząca za łóżkiem, pięć metrów od drzwi balkonowych, A-cztery-trzy. Białe dziecko, ciemne włosy, przytulone do kobiety. Małe, wygląda na dwa, trzy lata.

W słuchawce rozległ się głos porucznika Jachrima:

– Kobieta się rusza? A dziecko? Są ranni?

Bobby zmarszczył brwi. Trudno powiedzieć. Mężczyzna znów zasłonił mu widok, chodził w tę i w tę, wymachując prawą ręką, w której trzymał broń. Bobby próbował zidentyfikować pistolet. Nic z tego, skupił się więc na podejrzanym, na tym, jak trzyma pistolet, jak chodzi po pokoju. Obyty z bronią? Podniecony amator? Trudno powiedzieć.

Mężczyzna przesunął się w prawo i Bobby zauważył, że kobieta gwałtownie krzyczy. Mocno tuli dziecko, chyba chłopca, do piersi i zasłania mu uszy.

Coś zaczęło się dziać. Nagle, błyskawicznie. Bobby nie wiedział, co jest powodem całego zamieszania, ale mężczyzna też zaczął krzyczeć. Przez celownik widać było ślinę tryskającą z jego ust, naprężające się mięśnie szyi. Bobby czuł się dziwnie, oglądając tak zażartą kłótnię i nie słysząc ani słowa. Czysty surrealizm.

Kobieta wstała, wciąż tuląc dziecko do piersi. Przestała krzyczeć. Jakby coś postanowiła.

Mężczyzna wrzeszczał na nią, ona tylko na niego patrzyła.

Nagle mężczyzna wymierzył z pistolem w jej głowę. Wyciągnął lewą rękę, jakby przywoływał do siebie dziecko.

– Mężczyzna celuje do kobiety. – Bobby usłyszał swój głos. – Mierzy z pistoletu do...

Mężczyzna okrążył łóżko wielkimi susami. Kobieta nie odezwała się ani słowem, nie cofnęła się nawet o krok. Mężczyzna krzychał jej w twarz i lewą ręką ciągnął dziecko do siebie.

Chłopiec oderwał się od piersi matki. Bobby'emu mignęła mała blada twarz o ciemnych, dzikich oczach. Dzieciak był przerażony.

– Mężczyzna wziął dziecko. Mężczyzna popycha dziecko na drugi koniec pokoju.

Jak najdalej od matki. Jak najdalej od tego, co zaraz się stanie.

Bobby meldował o wszystkim, co widział, ale cały czas zachowywał dystans. Liczyła się dla niego tylko chwila obecna, był częścią wydarzeń, a zarazem poza nimi. Wyregulował celownik, bezwiednie, z wyćwiczoną łatwością. Lekko przesunął karabin w lewo, biorąc poprawkę na ruchy mężczyzny, który pchnął dziecko na łóżko i ruszył w stronę żony.

Dziecko zniknęło w zwiewnych białych draperiach. Zostali tylko mężczyzna i kobieta, mąż i żona. Jimmy Gagnon nie krzychał już, ale jego pierś falowała gwałtownie. Oddychał ciężko.

Kobieta wreszcie się odezwała. Bobby odczytał jej słowa z ruchu warg, powiększonych w celowniku.

– Co teraz, Jimmy? Co nam zostało?

Jimmy uśmiechnął się i z jego uśmiechu Bobby wyczytał, co się zaraz stanie, i Jimmy Gagnon zacisnął palec na spuście. I Bobby Dodge zastrzelił go z ciemnej sypialni po drugiej stronie ulicy.

Dyszenie. Potężny ciężar spadający z piersi. Bobby zabrał palec z cyngla i cofnął dłoń tak, jakby dotknął grzechotnika. Nie oderwał oka od celownika. Zobaczył, jak kobieta podbiega do łóżka i bierze dziecko na ręce, odwracając jego głowę od zakrwawionego ciała ojca.

Stali spleceni w uścisku, matka wtuliła policzek w czubek głowy syna. Nagle podniosła wzrok. Spojrzała na drugą stronę ulicy. Na dom sąsiada. Prosto na Bobby'ego Dodge'a, którego aż ciarki przeszły na ten widok.

– Dziękuję – powiedziała bezgłośnie.

Bobby wstał. Dopiero teraz zauważył, że nie może złapać tchu, a po jego twarzy płyną strużki potu.

– O w mordę – sapnął Harlow stojący w drzwiach.

Wtedy powoli wróciła rzeczywistość. Tupot nóg. Wycie syren. Przyszli po nią i po niego.

Bobby założył ręce za plecy i czekał, tak jak go uczono. Zrobił swoje. Odebrał życie, by życie ocalić.

A teraz się zacznie.

## Rozdział 4

Antyterrorysty wdarli się do budynku i potwierdzili, że jest w nim jeden mężczyzna z odstrzeloną połową głowy. Potem pospiesznie się wycofali. Nie mieli już tam czego szukać. Mieszkanie stało się miejscem zbrodni.

Zadzwoniono do prokuratury okręgu Suffolk. Wyrwany z łóżka zastępca prokuratora zebrał grupę śledczych i przybył na miejsce. Sig sauer Bobby'ego został włączony do dowodów. Jego kumpli rozdzielono i przesłuchano.

Bobby siedział na tylnym siedzeniu wozu policyjnego. Teoretycznie nic mu nie groziło, ale i tak czuł się jak wagarowicz.

Dziennikarze gromadzili się za żółtą taśmą ogradzającą miejsce zbrodni. Świeciły reflektory, elegancy reporterzy walczyli o najlepsze miejsca. Jak dotąd, prokuratura miała wszystko pod kontrolą. Ciało zostało zabrane do kostnicy, Bobby siedział w radiowozie.

Najważniejsze, by dziennikarze nie mieli czego fotografować. Zaraz jednak wezwana pomoc helikoptery.

Przyjechał dowódca Bobby'ego, porucznik John Brani. Podeszedł i klepnął go w ramię.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Parszywa sprawa, wiem.

– No.

– Niedługo będą tu ludzie z grupy wsparcia. Powiedzą ci, jakie masz prawa, udzielą pomocy. Nie jesteś pierwszym, którego to spotkało, Bobby.

– Wiem.

– Odpowiadaj na te pytania, na które chcesz. Jeśli poczujesz, że coś jest nie tak, przerwij przesłuchanie. Związek zawodowy zapewnia pomoc prawną, możesz śmiało prosić o adwokata.

– Dobra.

– Jesteśmy z tobą, Bobby. Członkiem STOP-u jest się na zawsze. Brani musiał lecieć. Pewnie wzywali go z działu public relations, który wkrótce wyda oficjalny komunikat dla prasy: „Dziś wieczorem policjant zastrzelił podejrzanego. Prokuratura przejęła śledztwo. Nie mamy nic więcej do powiedzenia”.

I się zacznie. Bobby wiedział, jak to się odbywa. Niedawno pewien policjant stanowy wpadł w zasadzkę podczas patrolu. Dwaj Latynosi w zdezelowanej hondzie zaczęli do niego strzelać. Nie pozostał im dłużny; jednego zranił, drugiego zabił. Potem poszedł na płatny urlop, zniknął z komisariatu, nie miał co ze sobą robić, podczas gdy prasa opisała go jako kozła ofiarnego, a wspólnota latynoska uznała za rasistę. Po miesiącu został oczyszczony z zarzutów – może zawdzięczał to kuli, która utkwiała w jego ramieniu? Prasa jednak jakoś tego nie zauważyła. Brat

zastrzelonego napastnika wytoczył mu sprawę w sądzie cywilnym i zażądał milionowego odszkodowania.

Policjant nie wrócił na służbę. A większość bostończyków chyba naprawdę uważała go za rasistę.

Czy źle jest zabić człowieka, a potem siedzieć i martwić się, jak wpłynie to na karierę? Czy to przejaw egoizmu? Czy tak nie wypada? A może tak to po prostu jest?

Bobby pomyślał o kobiecie. Szczupła. Błada. Mocno tuliła dziecko. Dziękuję, powiedziała bezgłośnie. Na jej oczach zastrzelił jej męża, a ona mu za to podziękowała.

Pukanie w szybę. Bez sensu, przecież drzwi są otwarte. Bobby podniósł głowę i zobaczył kolegę z jednostki, Patricka Loftusa. Patrick próbował delikatnie zwrócić na siebie jego uwagę.

– Popieprzona noc – westchnął.

– No.

– Szkoda, że to przegapiłem. Dopiero co przyjechałem. Kiedy już było po herbacie. – Loftus mieszkał na Cape Cod. Pewnie jakąś godzinę jazdy stąd. A więc wszystko zdarzyło się tak szybko. Dopiero teraz Bobby zorientował się, że nie wie nawet, która godzina. Został wezwany, wskoczył do wozu, przygotował karabin. Wszystko zatarło mu się w pamięci, zmieniło się w jeden nieprzerwany ciąg wydarzeń. Przybył, zobaczył, zrobił swoje.

Cholerny świat, zabił człowieka. Odstrzelił mu pół głowy. Dziękuję, powiedziała kobieta. Dziękuję. Bobby wychylił się z wozu.

– Kamery? – spytał. – Zasłaniam cię.

– To dobrze. – Bobby zwymiotował na ulicę.

– Strasznie mi przykro – powiedział Loftus cicho.

Bobby odchylił się na twarde oparcie. Zamknął oczy.

– Mnie też – mruknął.

Wkrótce zjawili się ludzie z grupy wsparcia. Policjanci, jak on. Powiedzieli mu, czego ma się spodziewać. Najpierw będzie przesłuchanie w prokuraturze. Powinien mówić prawdę, ale w jak największym skrócie. Ma prawo do adwokata – koszty pokryje Zrzeszenie Policjantów Stanu Massachusetts. Ma prawo przerwać przesłuchanie, kiedy tylko poczuje się niepewnie. Ma prawo nie mówić nic, co mogłoby zostać wykorzystane przeciwko niemu.

Powinien pamiętać, że według przepisów użycie siły jest uzasadnione w sytuacji, gdy zagrożone jest życie policjanta bądź osób postronnych. Trzeba wziąć to pod uwagę, odpowiadając na pytania śledczych.

Zastępca prokuratora okręgowego będzie potrzebował jakichś dwóch tygodni na analizę przebiegu wypadków. Zbada się broń Bobby'ego, przesłucha taśmy z nagraniem jego rozmów ze stanowiskiem dowodzenia. Na miejscu zdarzenia przeprowadzi się testy balistyczne, wszyscy świadkowie zostaną przesłuchani, łącznie z członkami jednostki Bobby'ego, kobietą, dzieckiem i starym, dobrym panem Harlowem.

Po zakończeniu śledztwa prokuratura zdecyduje, czy postawić go w stan oskarżenia. Jeśli miał powód, by strzelać, nic mu nie grozi. Rzecznik prasowy wyda jeden komunikat, prokuratura drugi i Bobby wróci do pracy. Jeśli jednak prokuratura postawi mu zarzuty...

Cóż, nie wybiegajmy za daleko w przyszłość.

Od tej pory Bobby jest na płatnym urlopie. W tym czasie powinien spróbować pogodzić się z tym, co się stało. Może porozmawiać z chłopakami, którzy przeżyli coś podobnego – grupa wsparcia może zorganizować takie spotkanie. Jeśli chce, może nawet zgłosić się na terapię pourazową. Grupa współpracuje z doskonałą specjalistką, a poza tym to będzie dobrze wyglądało w aktach.

Zabić kogoś to poważna sprawa, nawet dla policjanta. Im wcześniej stawi temu czoło, tym szybciej będzie mógł wrócić do normalnego życia.

Ludzie z grupy wsparcia poszli, ich miejsce zajęli śledczy.

Wpół do czwartej nad ranem. Bobby był na nogach już prawie dwadzieścia dwie godziny. Śledczy zabrali go do siedziby prokuratury, gdzie wszyscy dostali kubki parującej kawy i zasiedli przy porysowanym drewnianym stole jak starzy kumple.

Bobby nie dał się zwieść. Był wyczerpany od nadmiaru adrenaliny, jak ćpun trzeźwiejący po haju, ale wciąż pozostawał snajperem, człowiekiem, który godzinami potrafi w niezwykłym skupieniu oglądać świat przez celownik.

Zaczęła się zabawa.

Gdzie był, kiedy przyszło wezwanie?

W Boston Beer Garden, odparł i od razu stracił kilka punktów. Dodał, że pił colę, barman to potwierdzi, i trochę poprawił swoją sytuację. O której zaczął pracę? O której skończył? Na wieść, że był piętnaście godzin na służbie, zmarszczyli brwi, a rzucona mimochodem uwaga, że to dla niego nie pierwszyna, w końcu tak go przeszkolono, by mógł długo pracować, niewiele pomogła.

Jak dotarł na miejsce zdarzenia, jak szybki był czas jego reakcji, co pamięta z rozmowy z porucznikiem Jachrimem? Wyraźnie szukali punktu zaczepienia, więc Bobby odpowiadał coraz bardziej zwięźle. Wyczuwał w ich słowach groźbę, ale nie mógł rozpoznać jej źródła. Wreszcie zmienili temat, lecz towarzyska atmosfera szybko się ulatniała. Pytania były coraz ostrzejsze, a odpowiedzi coraz surowiej oceniane.

Musiał wyjaśnić, dlaczego postanowił wejść do domu pana Harlowa. Powiedział, jak ułożył karabin na stoliku, wytłumaczył, dlaczego uchylił balkon, czemu zdecydował się użyć takich, a nie innych kul.

Co i kogo widział w domu naprzeciwko?

Tu spisał się lepiej. Białego mężczyznę, białą kobietę. Nie podał nazwisk, nie mówił, że uznał ich za męża, żonę i dziecko. Był tak bezstronny, jak to możliwe. Postrzelił człowieka, ale osobiście nic do niego nie miał.

Wreszcie przeszli do sedna sprawy. Czy wiedział, że ofiarą był James Gagnon?

Bobby po raz pierwszy się zawahał.

Ofiara. Interesujące określenie. Mężczyzna nie był już podejrzanym, kimś, kto mierzył z pistoletu do żony i zaciskał palec na spuście, tylko ofiarą. Bobby pomyślał, że może teraz należałoby poprosić o adwokata. Ale tego nie zrobił.

Odpowiedział na tyle zgodnie z prawdą, na ile potrafił. Porucznik Jachrimo powiadomił go, że przypuszczalnie chodzi o Gagnonów, ale do chwili zdarzenia Bobby nie uzyskał potwierdzenia tej informacji.

Śledczy znów usiedli wygodniej. Usatysfakcjonowani? Podejrzliwi? Trudno powiedzieć. Spyтали, czy znał panią Gagnon i czy rozmawiał z nią w trakcie incydentu.

Nie, odparł Bobby. Podziękowała mi tylko za zabicie męża, dodał w myśli.

Teraz pora na kwestie zasadnicze. Dlaczego postanowił strzelić? Czy dostał zgodę dowódcy na użycie broni?

Nie.

Czy ofiara groziła mu lub innemu policjantowi?

Nie.

Czy ofiara groziła żonie?

Niczego takiego nie słyszał.

Ale ofiara miała broń.

Tak.

Czy Gagnon z niej wystrzelił?

Sąsiedzi zgłaszali, że słyszeli strzały.

Przed jego przyjazdem. A co potem? Czy widział, jak ofiara oddaje strzał?

Jego palec zaciskał się na spuście.

Czyli oddał strzał?

Tak. Nie. Nie jestem pewien. On strzelał, ja strzelałem. Wszystko zdarzyło się w ułamku sekundy.

Czyli ofiara nie wystrzeliła?

Nie jestem pewien.

Może zatem zabity tylko mierzył z broni do swojej żony? Tak jak robił to od dłuższego czasu?

Miał palec na spuście.

Ale czy go nacisnął? Czy próbował zastrzelić żonę?

Byłem przekonany, że istnieje takie zagrożenie.

Dlaczego?

Wyczytałem to z jego uśmiechu. Bobby nie mógł powiedzieć tego głośno. Dlatego wyjaśnił: Podejrzany stał pół metra od kobiety, mierzył jej w głowę z pistoletu i jego palec zaciskał się na spuście. Uznałem, że to bezpośrednie zagrożenie.

Naprawdę sądzi pan, że ten człowiek zabiłby żonę na oczach dziecka?

Tak, proszę pana, tak sądziłem.

Ale dlaczego?

Bo tak, proszę pana, czasem bywa.

Śledczy wreszcie pokiwali głowami i znów zaczęli zadawać te same pytania. Bobby wiedział, jak to się odbywa. Im więcej razy człowiek opowiada tę samą historię, tym więcej błędów może popełnić. Kłamstwa stają się jeszcze bardziej podkolorowane, prawda wydaje się coraz bardziej naciągana. Czekali, aż Bobby sam sobie zawiąże stryczek.

O wpół do siódmej wreszcie dali za wygraną. Za oknami dusznej sali konferencyjnej wstawał świt, powróciła towarzyska atmosfera. Było im przykro, że musieli zadać te wszystkie pytania. Takie przepisy. Pechowa noc. Dla wszystkich. Ale to dobrze, że wykazywał gotowość do współpracy. Są mu wdzięczni. Chcieli tylko poznać całą prawdę. Im wcześniej tego dokonają, tym prędzej będzie można o tym wszystkim zapomnieć.

Będą mieli do mego jeszcze parę pytań. Niech za daleko nie wyjeżdża.

Ze znużeniem pokiwał głową. Odsunął krzesło od stołu, wstał i zachwiał się. Zauważył, że jeden ze śledczych spostrzegł to i podejrzliwie zmrużył oczy.

A Bobby poczuł chęć, by dać mu w pysk. Całą noc jestem na nogach, do kurwy nędzy! Zastrzeliłem człowieka na oczach jego dziecka. To normalne, że ledwo trzymam się na nogach! Jestem zmęczony, do jasnej cholery!

Porucznik Bruni czekał na korytarzu.

– Jak poszło? – spytał.

– Nie wiem. Chyba nie najlepiej.

Kiedy Bobby wreszcie podjechał pod dom Susan, na bezchmurnym niebie świeciło słońce. Ludzie byli już w drodze do pracy. Radio podawało komunikaty o korkach, kraksach i unieruchomionych samochodach blokujących ruch. Zaczął się nowy dzień. Mieszkańcy miasta wyłonili się ze swoich klatek z domofonami, tłoczyli się na chodnikach i zapelniali kawiarnie.

Wysiadł z wozu, zacerpnął miejskiego powietrza – zimnego, cuchnącego wyziewami z dieslowskich silników i betonem, i przez chwilę czuł się tak, jakby ostatniej nocy nic się nie zdarzyło. Prawdziwa była tylko ta chwila, ten budynek, ten garaż, to miasto, a śmierć Gagnona to tylko wyjątkowo realistyczny sen. Powinien przebrać się w mundur, wsiąść do radiowozu i pojechać do roboty.

Minął go jakiś człowiek. Na widok półprzytomnego Bobby'ego w przepoconym mundurze maskującym przyspieszył kroku. To go otrzeźwiło.

Złapał plecak i poszedł do Susan.

Zapukał dwa razy, zanim otworzyła, ubrana w różowy szlafrok i zarumieniona od snu w ciepłym, wygodnym łóżku. Próby często przeciągały się do późnej nocy, musiała to odespać.

Spojrzała na Bobby'ego zmrużonymi niebieskimi oczami. Jej jasne włosy były potargane, skóra różowa. Uśmiechnęła się.

– Hej, skarbie – powiedziała, jeszcze nie do końca rozbudzona, lecz po chwili uśmiech zniknął z jej twarzy i jego miejsce zajął niepokój. – Nie powinieneś być w pracy? Bobby, co się stało?

Wszedł do mieszkania. Tak wiele rzeczy powinien powiedzieć. Czuł, jak słowa wzbierają w jego ściśniętej piersi, jak pchają się do ściśniętego gardła. Susan była wiolonczelistką w Bostońskiej Orkiestrze Symfonicznej. Poznali się, o dziwo, w barze. Zwrócił na nią uwagę nie tylko dzięki jej delikatnej urodzie i blond włosom. Urzekł go też ciepły uśmiech i wykrój ust.

Nie znał się na muzyce klasycznej. Pochodził z rodziny robotniczej, ojciec był kierowcą ładowarki w Gillette. Jego świat to knajpy, koszykówka i zimne piwo. Jej – zwiewne spódnice, długie spacerunki po parku i herbata w Ritzu.

Mimo to zaprosił ją na randkę i ku jego zaskoczeniu, zaproszenie przyjęła. Dni przeszły w tygodnie, tygodnie w miesiące i teraz byli już razem ponad rok. Czasem wydawało mu się, że jest tylko kwestią czasu, kiedy Susan wprowadzi się do jego małego dwupiętrowego szeregowca w południowym Bostonie. Powoli przestawała go przerażać myśl o ślubie, dzieciach i wspólnej starości.

Na razie jednak nie zdobył się, by jej to zaproponować. Może dlatego, że wciąż zbyt często zdarzały mu się takie chwile jak ta, kiedy stał przed nią brudny i spocony po ciężkiej nocy i zamiast cieszyć się, że ją widzi, był lekko zaskoczony, że w ogóle go wpuściła.

Jej świat jest taki piękny, pomyślał. Co ona, do cholery, robi z takim typem jak ja?

– Bobby? – spytała cicho.

Nie mógł znaleźć słów. Żadne nie cisnęło mu się na usta. Żadne nie mogło uwolnić uczuć ściskających jego pierś.

O Boże, biedny dzieciak. Ojciec umarł na jego oczach.

Czemu ten skurwiel go do tego zmusił? Dlaczego Jimmy Gagnon zrujnował Bobby'emu życie?

Poruszył się, nawet tego nie zauważając. Jego dłonie wśliznęły się pod szlafrok Susan, desperacko szukając nagiej skóry. Coś szepnęła. „Tak”? „Nie”? Nawet nie usłyszał. Zdjął jej szlafrok i przesunął palcami po cienkiej koronce zakrywającej piersi, po czym wtulił głowę w jej szyję.

Miała piękne palce. Długie, delikatne, ale zadziwiająco silne. Palce, które mogły godzinami trzymać smyczek i potrafiły wydobyć z drewnianego instrumentu najcudowniejsze dźwięki. Teraz palce te wędrowały po jego plecach, masując naprężone mięśnie. Ściągnęła mu koszulę, sięgnęła do spodni.

Chciał, by się pospieszyła. Był spragniony, zdesperowany. Potrzebował czegoś, czego nie potrafił nazwać, ale o czym instynktownie wiedział, że ona może mu dać.

Dziwne, do tej pory zawsze obchodził się z nią delikatnie. Jej skóra była jak z porcelany, jej piękno zbyt czyste, by je kalać. Teraz zerwał z niej cienką koszulę nocną. Zatopił zęby w jej krągłym ramieniu. Dłonią chwycił ją za pośladki, podniósł, przycisnął do siebie.

Osunęli się na podłogę. On na dole, ona na górze. Jej usta pożerały go, jej filigranowe, blade ciało tuliło się do jego szerokiego, ciemnego torsu. Światło i cień, dobro i zło.

Uniosła się i powoli ukłękła na nim. Odchyliła ramiona do tyłu, wyprężyła piersi. Potrzebowała go. On potrzebował jej. Światło i cień, dobro i zło.

W ostatniej chwili zobaczył tamtą kobietę.

I tamto dziecko.

Susan szczytowała z gardłowym okrzykiem. Złapał ją, gdy na niego upadła, i skulił się na podłodze, czując w sobie nieskończoną ciemność.

## Rozdział 5

Doktor Elizabeth Lane zastanawiała się, czy nie sprawić sobie psa. Albo kota. A może rybkę? Nawet dziecko poradzi sobie z rybką.

Takie myśli opadały ją raz do roku. Zwykle mniej więcej o tej porze, przed Świętem Dziękczynienia, kiedy wszyscy rozprawiali gorączkowo o zbliżających się rodzinnych spotkaniach, a ona co wieczór wracała do pustego mieszkania, które teraz wydawało się jeszcze bardziej puste niż w ciepłym maju czy gorącym, słonecznym sierpniu.

To głupie myśli. Kto jak kto, ale ona powinna to wiedzieć. Po pierwsze, jej „puste” mieszkanie było bardzo ładne. Wysokie na trzy metry, z szerokimi wykuszowymi oknami, tarasem na dachu i błyszczącymi podłogami z wiśniowego drewna. Do tego jeszcze meble, które zbierała, odkąd zaczęła pracować – niska, czarna skórzana sofa, szafki z klonu, lampy z nierdzewnej stali. A poza tym była pewna, że szczeniaki i jedwabne dywany to niezbyt dobra kombinacja. Koty i artystyczna stolarka zresztą też. No, ale co do rybek przeciwwskazań nie ma.

Po drugie, jeśli nadchodzące święto rzeczywiście jest takie radosne, to czemu akurat teraz nastąpił prawdziwy wysyp pacjentów? Przez ostatnie cztery tygodnie Elizabeth pracowała po dziesięć godzin dziennie, pomagając ludziom znaleźć siły do przetrwania tego czasu. Musiała przygotować bulimików do siedzenia przy uginających się od jedzenia stołach, cierpiących na psychozę maniakalno-depresyjną naszpikować lekami, które pozwolą im znieść radosny nastrój przy stole i poświęteczne poczucie osamotnienia, i wreszcie musiała wszystkim – tym ze skłonnościami do autodestrukcji, cierpiącym na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, neurotykom, psychotykom, dosłownie wszystkim – dodać odwagi przed spotkaniem z rodzinami.

Samo to powinno wystarczyć, by mogła cieszyć się z cichego domu. Choć to oczywiście nie znaczy, że nie może sobie sprawić rybek.

W gruncie rzeczy nie ma powodów do narzekania. Uwielbia swoje mieszkanie, kocha to miasto i na ogół lubi pracę. Wkrótce jednak skończy czterdzieści lat, a nawet wykwalifikowany psycholog nie może w tym wieku nie czuć na barkach ciężaru przeszłości. Nieudane małżeństwo. Brak dzieci. Dystans dzielący ją od rodziny w Chicago, który początkowo wydawał się do pokonania, ale teraz wszyscy mają tak dużo pracy, a latanie jest tak cholernie męczące, że odwiedza ich coraz rzadziej i vice versa. Nie widziała ich już tak długo, że głupio byłoby nagle zwalić im się na głowę. Zburzyłyby ustalony porządek. Byłaby autsajderem mieszającym się w ich życie.

Może kupi sobie bojownika wspaniałego? Albo lepiej fikusa. Roślina pewnie nie poczuje urazy, że jej właścicielka prawie co drugi wieczór zamawia na kolację sushi. Godne rozważań.

Zabrzączał dzwonek. Nie zareagowała, przyzwyczajona do zaskakujących dźwięków wielkiego miasta, ale dzwonek rozległ się ponownie. Zmarszczyła brwi. Było już po piątej, za

późno na dostawy, a w piątki nie umawia się z pacjentami po godzinach; musi przynajmniej udawać, że ma życie prywatne. Dzwonek zabrzączał po raz trzeci. Przenikliwie. Uporczywie. Tak ją to zaintrygowało, że wyszła z gabinetu do recepcji, wcisnęła kilka guzików w komputerze Sarah i zobaczyła obraz z kamery nad drzwiami wejściowymi. Była zaskoczona. Chociaż właściwie może nie. Wpuściła go do środka. Wszedł po schodach do jej gabinetu na piętrze. Na dworze zrobiło się zimno – w nocy może spadnie śnieg – ale nie to było głównym powodem, dla którego miał ciemnoniebieską bejsbolówkę nasuniętą na czoło, a szyję ciasno owiniętą grubym czerwonym szalikiem. Niestety, zdradziły go oczy.

Elizabeth widziała tego ranka to samo chłodne, stalowe spojrzenie, wyzierające z pierwszej strony „Boston Herald”. POLICJANT STANOWY ZABIŁ SYNA SĘDZIEGO – głosił nagłówek. – DRAMAT RODZINNY.

Zdjęcie prawdopodobnie zrobiono bez jego wiedzy. Wpatrzone w dal oczy były surowe i mroczne. Elizabeth nie miała pojęcia, jakie to uczucie zabić człowieka, ale sądząc po jego uwiecznionej na fotografii minie, niezbyt przyjemne,

– Dobry wieczór – powiedziała spokojnie i podała mu rękę. – Doktor Elizabeth Lane.

Uściskał jej dłoń mocno i krótko. Schował dłoń do kieszeni kurtki.

– Bobby Dodge – mruknął. – Porucznik Bruni mówił, że z panią rozmawiał.

– Uprzedzał, że może pan mnie odwiedzić.

– Powinienem był się umówić na wizytę? – Bobby zmieszał się. – Nie pomyślałem o tym. Pewnie trzeba było najpierw zadzwonić. Teraz już na to za późno. To może pójde?

Elizabeth uśmiechnęła się, widząc, że nagle obleciał go strach, ale nie zamierzała mu tak łatwo odpuścić.

– Zwykle wygodniej jest się umówić, ale ma pan szczęście. W ostatniej chwili okazało się, że z moich planów na dziś nic nie wyszło, więc skoro już pan tu jest, poznamy się.

– Nie wiem, jak to się odbywa... To znaczy... w życiu nie byłem u psychologa. Nawet nie bardzo wierzę, że wizyta u kogoś takiego może pomóc, ale porucznik powiedział, żebym tu przyszedł, chłopaki z grupy wsparcia też, więc przyszedłem.

– I co pan myśli?

– Że zrobiłem, co do mnie należało. Kobieta i dziecko żyją dzięki mnie. Nie wstydę się tego.

Elizabeth pokiwała głową, choć była zaskoczona doborem słów. Niektórych ludzi w jego sytuacji dręczyłyby wyrzuty sumienia. On wspominał o wstydzie. Ciekawe.

Wskazała wieszak.

– Proszę, niech pan się rozbierze.

Bobby zdjął kurtkę, czapkę i szalik. Elizabeth wskazała otwarte drzwi gabinetu. Poszła za nim, odnotowując w myślach pierwsze spostrzeżenia.

Na oko trzydzieści, czterdzieści kilka lat. Na osiłka nie wygląda. Metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, osiemdziesiąt kilo wagi. Opanowane, pewne ruchy. Człowiek po przejściach, to od razu

widać. Jego dzinsy były mocno zniszczone, granatowa flanelowa koszula też. Gotowa była iść o zakład, że pochodzi z rodziny robotniczej i jako pierwszy z jej członków poszedł na studia. Zamiast zgodnie z życzeniem ojca pisać się po szczeblach kariery w wielkiej firmie, wybrał złoty środek i zgłosił się do policji stanowej, dzięki czemu zarabiał więcej niż ojciec, ale nie oderwał się od korzeni. Jego hobby to jogging. Najlepiej czuje się w lesie.

Oczywiście wszystko to tylko przypuszczenia. Zabawa, którą urozmaica sobie pierwsze spotkania z nowymi pacjentami. Już przestało ją dziwić to, jak rzadko się myli.

Weszli do gabinetu. Spojrzenie Bobby'ego od razu padło na małą skórzaną sofę.

– Chyba nie muszę się tam kłaść, co?

– Może pan usiąść na krzesła. – W gabinecie były dwa ciemnozielone krzesła, stojące pod ścianą, daleko od biurka, słabo widoczne w przyćmionym świetle. Większość pacjentów najpierw zauważała sofę. Reakcje były różne. Elizabeth często zastanawiała się, czy nie przemeblować gabinetu tak, by krzesła było lepiej widać, ale z drugiej strony trzeba mieć trochę rozrywki.

Bobby usiadł na skraju krzesła, rozstawiając kolana. Rozejrzał się po pokoju o wyłożonych mahoniową boazerią ścianach. Nie umknął mu żaden szczegół – podręczniki na półkach, mosiężne tabliczki na ścianach, ogród w stylu zen, który doprowadzał chorych na natręctwa obsesyjno-kompulsywne do szału.

Miał w sobie coś, co ją uderzyło, ale nie wiedziała, co to właściwie jest. Był nie tylko nadzwyczaj opanowany, ale wręcz nienaturalnie... cichy. Żadnego zbędnego dźwięku, żadnych zbędnych ruchów. Prawdopodobnie potrafiłby długo milczeć. Rozmawiając z nim, trzeba było ciągnąć go za język.

– Wygodnie panu? – spytała wreszcie.

– Nie tego się spodziewałem.

– A czego?

– Czegoś... nie tak ładnego. – Przez „ładne” rozumiał „luksusowe”. Oboje zdawali sobie z tego sprawę. – Pani naprawdę pracuje w budżetówce?

– Współpracuję z policją stanową od piętnastu lat. Mój ojciec jest emerytowanym detektywem z Chicago, więc można powiedzieć, że robię to z pobudek osobistych. – Wzruszyła ramionami. – Może po prostu utrzymuję stawki na stałym poziomie.

– Aha – powiedział znacząco.

– No właśnie. To co teraz, mam wyjaśnić, co i jak?

– Byłbym wdzięczny.

– Pracuję dla policji stanu Massachusetts, nie dla pana. W związku z tym mam obowiązek składać meldunki dotyczące naszych rozmów, co oznacza, że nie wszystko, co pan powie, może zostać zachowane w tajemnicy. Z jednej strony nigdy nie podaję szczegółów. Z drugiej mam obowiązek przedstawić wnioski i opinie. I tak na przykład może mi pan powiedzieć, że co wieczór wypija trzy butelki whisky, a ja, choć nikomu tego nie powtórzę, będę zmuszona wydać

zalecenie, by nie przywracać pana do służby. Czy to jasne?

– Muszę uważać, co mówię – mruknął. – Interesujące podejście.

– Mimo to uczciwość popłaca – powiedziała Elizabeth cicho. – Jestem tu, by panu pomóc, a jeśli uznamy, że to niemożliwe, skierować pana do lepszego specjalisty.

Bobby tylko wzruszył ramionami.

– No dobrze, to co właściwie mam powiedzieć?

Elizabeth uśmiechnęła się. Nieskrywana wrogość już na początku rozmowy. Spodziewała się tego.

– Zacznijmy od spraw podstawowych. – Wzięła notes. – Nazwisko?

– Robert G. Dodge.

– „G” to skrót od czego?

– Z uwagi na ograniczoną poufność naszych rozmów, odmawiam odpowiedzi.

– Oho, aż tak źle? „Geoffrey”?

– Nie.

– Godfrey?

– Skąd, u licha...

– Powiedzmy, że ja też wolę nie ujawniać mojego drugiego imienia. Godfrey. To imię odziedziczone po przodku?

– Tak twierdzi ojciec. – Bobby zwiesił ręce między kolanami. Wbrew sobie, jakby nieco się odprężył.

– A jak mają na imię pańscy rodzice?

– Jest tylko ojciec. Lany. Właściwie Lawrence.

– A co z matką?

– Odeszła.

– Odeszła?

– Tak. Kiedy miałem pięć lat. Nie, raczej sześć, siedem. Nie wiem. Zostawiła nas.

Elizabeth milczała.

– Chyba małżeństwo rodziców nie było zbyt udane – dodał Bobby. Rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: Cóż na to poradzić? Rzeczywiście, nie mógł nic na to poradzić.

– Rodzeństwo?

– Brat. Starszy. Nazywa się George Chandler Dodge, jak więc widać, przekleństwem rodziny są dziwaczne imiona. Co to ma wspólnego ze śmiercią tamtego człowieka?

– Nie wiem. A ma?

Bobby zerwał się na równe nogi.

– O nie, tylko bez takich. Dlatego właśnie ludzie nie lubią psychologów.

Elizabeth uniosła dłonie w pojednawczym geście.

– Rozumiem. Tak naprawdę po prostu muszę wypełnić formularz. A poza tym niektórzy lubią trochę pogawędzić, zanim przejdą do rzeczy.

Bobby usiadł. Mimo to wciąż był nachmurzony, a jego czujne, zmrużone oczy bacznie ją obserwowały. Była ciekawa, jak często wpatruje się tak w ludzi, szukając oznak słabości. Do swoich spostrzeżeń dodała: wielu znajomych, ale bardzo mało przyjaciół. Nie wybacza. Nie zapomina.

I skłamał, że jego matka odeszła.

– Chcę to jak najszybciej mieć z głowy – powiedział.

– Rozumiem.

– Niech pani pyta, o co musi pytać, ja odpowiem na pytania, na które muszę odpowiedzieć, i oboje będziemy mogli żyć dalej w spokoju.

– Chwalebny cel.

– Nie mówiłem, że to dla mnie najważniejsze.

– Gdzieżbym śmiała coś takiego sugerować – zapewniła go. – Niestety, jedno spotkanie nie wystarczy.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, nie umówił się pan na wizytę i nie mamy dość czasu, by wszystko omówić w jeden wieczór.

– Aha.

– Dlatego proponuję, żebyśmy porozmawiali dziś trochę i spotkali się znów w poniedziałek.

– Poniedziałek. – Zamyślił się. – No dobra – zgodził się, jakby robił jej wielką łaskę. – Może być.

– Doskonale. Dobrze, że mamy to z głowy. – Powiedziała to bardziej oschłym tonem, niż zamierzała, ale on przynajmniej się uśmiechnął. Miał sympatyczny uśmiech. Jego harde rysy złagodniały, a wokół oczu pojawiły się zmarszczki. Ku swojemu zaskoczeniu stwierdziła, że kiedy się uśmiecha, staje się niesamowicie przystojny.

– Może zamiast rozmawiać o tym, co zdarzyło się wczoraj, zacznijmy od dnia dzisiejszego – powiedziała.

– Dzisiejszego?

– To pierwszy dzień pańskiego życia po tym, jak pan kogoś zabił. To godne odnotowania. Spał pan?

– Trochę.

– Jadł pan coś?

Zastanowił się, był wyraźnie zaskoczony.

Właściwie nie. Obudziłem się po południu, poszedłem po kawę, ale kiedy zobaczyłem „Boston Herald”... odpuściłem sobie.

– Kupił pan „Herald”?

– Tak.

– Przeczytał pan artykuł?

– Z grubsza.

– I co pan o nim sądził?

– Celem oficerów policji stanowej nie jest zabijanie cywilów, nawet jeśli są synami sędziów.

– Czyli to jedna wielka bzdura?

– Tak, na podstawie trzech akapitów, które przeczytałem, można tak powiedzieć.

– Nie czytał pan dalej? Myślałam, że będzie pan bardziej zainteresowany.

– Tym, co się stało? Nie potrzebuję relacji dziennikarskiej, widziałem wszystko na własne oczy.

– Ofiarą. Jimmym Gagnonem.

Zesztywniał. Musiała mu oddać sprawiedliwość: choć zaskoczony, w skupieniu rozważył jej słowa.

– Informacje to luksus, na który jednostki antyterrorystyczne nie mogą sobie pozwolić – powiedział wreszcie. – Kiedy naciskałem spust, nie obchodziło mnie nazwisko tego człowieka, jego dzielnica, ojciec czy przeszłość. Nie wiedziałem, czy bije psa, czy finansuje domy dziecka. Wiedziałem tylko, że mierzył z pistoletu w głowę kobiety i miał palec na cynglu. Musiałem podejmować decyzję na podstawie jego działania. Tak zrobiłem. Reszta się nie liczy, więc po co miałbym się tym zadrećcać?

Elizabeth znów się uśmiechnęła. Polubiła Bobby’ego Dodge’a. Dawno już nie słyszała tylu zaprzeczeń i usprawiedliwień, ale jej się spodobał.

– Ćwiczył pan dziś? – spytała.

– Nie. Myślałem, żeby pobiegać, ale skoro wszędzie są moje zdjęcia...

– Rozumiem. Dobrze, zadam więc panu pracę domową na weekend. Musi pan zatroszczyć się o swoje ciało, na ducha przyjdzie pora później. Czy ma pan kogoś – ojca, brata – do kogo mógłby pan wyjechać i trochę odpocząć?

– Dziewczynę.

– A jak ona się na to wszystko zapatruje?

– Nie wiem. Nie miałem kiedy jej o to spytać.

– Cóż, wsparcie bardzo się panu przyda, więc na pana miejscu porozmawiałabym z nią. – Elizabeth nachyliła się do niego. – Zeszłego wieczoru zdarzyło się coś bardzo ważnego. Nie wystarczy dwadzieścia cztery godziny, by się z tym pogodzić, więc zacznijmy od małych kroków. Niech pan je trzy pożywne posiłki dziennie i spróbuje się wyspać. Jeśli jest pan spięty, niech pan trochę poćwicz, by się rozluźnić. Proszę jednak uważać. Co innego przebiec dziesięć kilometrów, by się zrelaksować, a co innego siedemdziesiąt, by o wszystkim zapomnieć. Niech pan nie przekroczy tej granicy.

– Obiecuję, że przebiegnę nie więcej niż sześćdziesiąt dziewięć kilometrów – powiedział.

– Niech będzie. Miłego weekendu.

– To wszystko? Jeść, spać, ćwiczyć i jestem wyleczony? Mogę w przyszłym tygodniu wrócić do pracy?

– Jeść, spać, ćwiczyć, a potem zobaczymy – poprawiła go łagodnie. – Ale nie dziś; jest za

późno, a zarazem może za wcześnie, by uporządkował pan swoje myśli. Dam panu mój domowy numer telefonu. Gdyby poczuł pan potrzebę rozmowy, proszę dzwonić, jeśli nie, do zobaczenia w poniedziałek. Może być o trzeciej?

Wzruszył ramionami.

– Nie pozwalają mi wrócić do pracy, więc i tak jestem wolny.

– Doskonale. – Wstała. On też. Nie ruszył od razu do wyjścia, wbrew jej oczekiwaniom. Stał przed nią, jakby lekko zagubiony.

– Czasem – powiedział nagle – kiedyś myślę o tym, co się stało, wpadam w złość. Nie na siebie, tylko na podejrzanego, za to, że rzucił się na żonę i dziecko. Za to, że zmusił mnie, bym go zabił. Czy to dziwne? Zabić człowieka i potem go za to nienawidzić?

– Powiedziałałabym, że to normalne.

Skinął głową, ale wciąż był niespokojny.

– Mogę zadać pani jeszcze jedno pytanie? Luźno związane z tym pani psychobelkotem?

– Ależ proszę bardzo, lubię belkotać.

– Często jesteśmy wzywani do awantur rodzinnych. Trzy, cztery razy w tygodniu stoję w czyimś ogródku i słucham, jak żona wrzeszczy na męża albo mąż na żonę. Jedno mnie zawsze intrygowało – że ciągle wracamy w te same miejsca. Że choćby ci ludzie nie wiadomo jak się tłukli, to i tak zostają razem. A jeśli pakując faceta do radiowozu, trochę przetrzepie mu się skórę, to w dziewięciu przypadkach na dziesięć kobieta, ta sama, która wezwała policję i ma na twarzy ślad po jego pięści, staje w jego obronie.

– Przemoc w rodzinie to bardzo złożona kwestia – przytaknęła, ciekawa, do czego on zmierza.

– Czy to więc normalne, że kobieta dziękuje komuś za to, że zabił jej męża?

Elizabeth milczała przez chwilę.

– To dość rzadka reakcja – powiedziała powoli.

– Tak myślałem.

– Ale to jeszcze nie musi nic znaczyć.

– Musi, pani doktor, inaczej by tego nie powiedziała.

– Bobby, rozmawiałeś z Catherine Gagnon? Znasz żonę Jimmy'ego?

– Daję słowo, że nigdy nie zamieniłem z nią słowa.

Był już w recepcji, wkładał grubą wełnianą kurtkę i owijał szyję szalikiem. Elizabeth szła za nim, jej wewnętrzny radar pracował pełną parą, ale nie mogła przemknąć jego bariery ochronnej.

– Do zobaczenia w poniedziałek o trzeciej. Fajnie być umówionym z psychologiem. – Bobby przewrócił oczami, zsalutował jej na pożegnanie, po czym zszedł po schodach i zniknął za drzwiami.

Elizabeth patrzyła, jak idzie Boylston Street, zgarbiony z zimna z rękami schowanymi głęboko w kieszeniach kurtki. Stała w oknie jeszcze długo po tym, jak zniknął. Wreszcie westchnęła. Przykro jej było, że musi to zrobić. Podniosła słuchawkę telefonu.

– Halo. – Minęło kilka chwil. – Tak mi przykro. Moje kondolencje. Wiem, że dzwonię w złym momencie. – Po czym dodała: – Tak, wiem, że to nieodpowiednia chwila, przepraszam, panie sędzio, ale musimy porozmawiać.

## Rozdział 6

Bobby szedł przez południowy Boston i zastanawiał się, co robić. Doktor Lane miała rację; był zmęczony, głodny, oszołomiony, zestresowany. Powinien dać sobie na dziś spokój z tym wszystkim, zaszyć się w domu i odpocząć. Mieszkał na parterze trójrodzinnego szeregowca – dwa górne piętra odnajmował, ale nie miał z tego wielkich profitów, wręcz przeciwnie, ponieważ jedną z lokatorek, panią Higgins, dostał wraz z domem. Poprzedni właściciel przez ostatnich dwadzieścia lat brał od niej sto pięć dolarów miesięcznie, a Bobby nie miał serca zmienić warunków umowy. Tacy tu mieszkali ludzie. Opiekowali się sobą nawzajem i mimo że Bobby wciąż był autsajderem, zastrzykiem świeżej krwi w starej dzielnicy, czuł, że musi dostosować się do panujących tu obyczajów. Dlatego zatrzymał panią Higgins i jej trzy koty za sto pięć dolarów miesięcznie, a ona w zamian piekła mu czekoladowe ciasteczka i opowiadała o swoich wnukach.

Wkrótce będzie musiał sprawić jej wielki zawód. Pani Higgins lubiła Susan, zaakceptowała ją, jak wszyscy znajomi Bobby'ego. Słodka, dobra Susan. Doskonały materiał na żonę.

A między nimi wszystko skończone. Bobby okłamał doktor Lane, może dlatego, że rana była zbyt świeża. Pięć godzin temu odszedł od Susan. Ten związek i tak nie był niczym innym, jak tylko ułudą, która teraz prysnęła jak mydlana bańka.

Ocknął się po pierwszej po południu, roztrzęsiony i zdezorientowany warkotem samochodów wypełniającym zalany słońcem pokój. O Boże, nie usłyszał budzika. Był w obcym domu, nie miał munduru, o cholera, teraz to dopiero będzie miał przechlapane...

I nagle wszystko mu się przypomniało. Noc, strzał, mózg człowieka rozbryzgujący się w odległym pokoju. Leżał w łóżku Susan z mocno bijącym sercem i przez chwilę bał się, że ma zawał. Nie mógł oddychać, po ręce przebiegały mu ciarki, ból przeszywał pierś, która rozpaczliwie unosiła się i opadała, usta z trudem chwyciły powietrze.

Wtedy zauważył blondwłosą głowę Susan spoczywającą na jego ramieniu. Jej nagie ciało przytulone do niego. Jej lewą nogę zarzuconą na jego biodro. Jej pościel pachnącą lawendą i seksem.

Wysunął spod niej rękę, a ona poruszyła się, westchnęła głęboko, po czym znów zapadła w sen. Obserwował ją jeszcze przez chwilę, przepełniony uczuciem, którego nie potrafił nazwać. Chciał dotknąć jej policzka. Chciał powąchać jej skórę. Chciał wtulić się w nią jak dziecko.

I przyszła mu do głowy absurdalna myśl, że może jeśli nie wstanie, ten dzień nigdy się nie zacznie. Zostanie tu z nią i nie będzie musiał jej nic mówić, a ona nie pozna prawdy. Całym jego światem będzie to łóżko, z pachnącą lawendą pościelą spowijającą nagie, ciepłe ciało.

Nigdy nie będzie musiał stawić czoła temu, co zrobił. Nie będzie musiał być człowiekiem, który pociągnął za spust. Boże, życie jest takie popieprzone.

Wstał. Poszedł do łazienki i przypomniał sobie, że od ósmej wieczorem nie miał okazji się

odlać, więc jak już zaczął, długo nie mógł skończyć. Ubrał się, wysunął szufladę, w której trzymał swoje rzeczy, i po cichu przełożył je do plecaka.

Stanął w drzwiach sypialni, by ostatni raz na nią spojrzeć. Objął wzrokiem jej zarumienione policzki i potargane kręcone złote włosy. I poczuł ból, którego nic nie mogło uśmierzyć.

Rzadko myślał o swojej matce, ale kiedy mu się to zdarzało, zawsze w chwilach takich jak ta. Kiedy pragnął czegoś, co było dla niego nieosiągalne. Kiedy czuł się wytracony z równowagi, zagubiony, jak wieczny autsajder obserwujący wszystko z zewnątrz.

Przypomniał sobie, jak ta kobieta trzymała dziecko, wtulając jego głowę w swoją pierś, zasłaniając mu uszy dłońmi. I zaczął się zastanawiać, pełen złych przeczuc, czy jego matka kiedykolwiek zrobiła to samo dla niego.

O drugiej po południu w pogodny, słoneczny dzień, kiedy powinien być w pracy, jeździć po I-93, łapać piratów drogowych i wypatrywać kierowców potrzebujących pomocy, kiedy powinien robić to samo, co robił od lat, Bobby stał w drzwiach sypialni swojej dziewczyny i czuł, jak coś w nim pęka. Przejmował go przenikliwy, ostry ból. Autentyczny, fizyczny.

Potem najgorsze minęło i ból zelżał, pozostał tylko wspomnieniem, lekkim żalem po czymś, co mogło być. Z takim bólem da się żyć. Ba, on żyje z nim od lat.

Wyszedł.

Kiedy drzwi mieszkania zatrzasnęły się za nim, Susan otworzyła oczy. Zobaczyła puste miejsce na łóżku. Zawołała go, ale on był już w drugim końcu korytarza i nie mógł jej usłyszeć.

A teraz Bobby skręcił na L Street, kierując się do L Street Tavern na rogu L i Ósmej. Była to mała, ciemna knajpa, wyłożona boazerią, pamiętająca czasy zadymionych wnętrz i pijackich gier w rzutki, kiedy bary były barami, a nie restauracjami z fast foodem czy miejscami akcji popularnych sitcomów. Przychodziło tu wielu policjantów. I okolicznych mieszkańców. Tu można się było odprężyć.

Jak co piątek wieczorem, bar tętnił życiem. Bobby myślał, że będzie musiał zadowolić się miejscem stojącym, ale kiedy szedł przez pogrążoną w półmroku salę, zawołał go Walter Jensen, znajomy z bostońskiej policji.

– Bobby, cześć, stary! Chodź tu! Siadaj, rozgość się. Hej, Larry, Larry, Larry, piwo dla tego pana!

– Cołę – powiedział Bobby odruchowo i przecisnął się do porysowanego drewnianego kontuaru. Wielu klientów obejrzało się na niego, niektórych znał, innych nie. Larry już nalewał mu killian's.

– Piwo – rzucił Walt ostro. – Pager już ci niestraszny, Bobby. Pamiętasz? Dopóki jesteś na urlopie, ten kurdupel może ci naskoczyć. Dlatego usiądź, poluzuj kołnierzyk i strzel sobie zimnego browarka.

– A, co tam – mruknął Bobby trochę zaskoczony. – Masz rację.

Wypił piwo. Postawił mu je Walt, który musiał pogratulować mu dobrej roboty.

– Słyszałem wszystko z pierwszej ręki, znaczy od porucznika Jachrima we własnej osobie. Zrobiłeś, co musiałeś. I to przez szybę. Cholera, Bobby, to był strzał!

Przyłączył się do nich Donny, też z bostońskiej policji. Postawił Bobby’emu drugie piwo i wtrącił swoje trzy grosze.

– Kolejny dowód, że pieniądze szczęścia nie dają. Walt, ile razy nas tam wzywali? Trzy, cztery, pięć? Szkoda, że ominęła nas cała ta zabawa.

Bobby dopiero teraz przypomniał sobie, że Walt i Donny są antyterrorystami.

– Jak wam poszło w Revere? – spytał.

– Standard – powiedział Donny. – Facet strzelał w dach swojego domu. Wypił kilka browarów. Postrzelał sobie jeszcze trochę i zasnął. Ronald już zaczynał się wkurzać, że nic nie robimy, więc weszliśmy do domu i zgarnęliśmy gościa. Nawet nie przestał chrapać. Nudziarstwo. Nawet sobie nie pokrzyczeliśmy.

– Ale mówiłeś, że bywaliście w Back Bay?

– Jasne. Jimmy i jego pani lubili brać się za łby. On się upijał, ona się wściekała i tak się zaczynało.

– Bił ją?

Donny wzruszył ramionami.

– Niczego nie widzieliśmy, ona się nie skarżyła. Zresztą nie oni nas wzywali, tylko sąsiedzi.

– Nie mogli znieść krzyków?

– Jimmy lubił rzucać różnymi rzeczami – wyjaśnił Walt. – Kiedyś wyrzucił przez balkon krzesło, prosto na samochód sąsiada. Trudno się dziwić, że nie byli zachwyceni.

– I co robiliście, kiedy was tam wzywano?

– Niewiele. Przychodziło paru mundurowych, rozmawiali ze szczęśliwą rodziną. Kiedyś padło na mnie. Jimmy przeprosił i był tak wielkoduszny, że poczęstował mnie piwem. Żona rzadko się odzywała. Zimna ryba, jak dla mnie, ale może jak się ma takiego męża jak Jimmy, to nie otwiera się za często ust.

– Był agresywny?

– Gdy u nich byłem, widziałem dziurę w ścianie. Wielkości męskiej pięści. Żona tego nie komentowała.

– A co z dzieckiem?

– Ani razu go nie widziałem. Chyba zatrudniali nianię. Dla małego pewnie to i lepiej.

Bobby kończył drugie piwo. Donny zamówił mu następne, a on nie zaprotestował.

– Wydawałoby się, że syn sędziego powinien mieć więcej oleju w głowie – stwierdził po chwili.

Walt wzruszył ramionami.

– Z tego, co słyszałem, gdy tylko Jimmy ma jakieś kłopoty, tatuś dzwoni, gdzie trzeba i sprawa załatwiona. Szkoda, że my tak nie możemy.

– Tym razem sprawy nie załatwił – powiedział Bobby ostro.

– Fakt. Świetny strzał, Bobby. Serio, gdyby nie ty, kobieta i dzieciak pewnie by już nie żyli. Paskudna sprawa.

Schodzili się następni znajomi. Ktoś klepnął go w plecy. Ktoś postawił mu następne piwo. Bobby już nie czuł, jak podnosi szklankę do ust. Miał wrażenie, że zaczyna spadać w otchłań, że wciąga go wir w samym środku głośnego, gorącego baru. Jednocześnie był aż zanedo czujny – zauważał chłopaków, którzy trzymali się z dala od niego, oczy obserwujące go z drugiego końca sali, ludzi, którzy spoglądali na niego i kręcili głowami.

I dopiero teraz zobaczył coś, co wcześniej mu umknęło: to, jak Walt i Donny na niego patrzą. Z szacunkiem, owszem, może nawet podziwem, ale i autentycznym współczuciem. Bo jest glina, który zabił człowieka. A w ostatecznym rozrachunku pewnie nie ma znaczenia, co ustali prokuratura ani jakie będą wyniki wewnętrznego śledztwa. Żyją w erze mediów, a w erze mediów glinom nie wolno strzelać. Dostają order, gdy giną na służbie, ale nie mają prawa sięgać po broń, nawet w obronie własnej.

Pojawiło się następne piwo. Bobby wziął szklankę. Już się miał zalać w trupa, kiedy znalazł go jego dowódca i przekazał najnowsze wieści.

– Chryste Panie, Bobby, odbiło ci? Pół miasta na ciebie patrzy, a ty chlasz?

Porucznik Bruni ciągnął go za róg za knajpą. Trzymał go za kołnierz i dosłownie włókł po ulicy.

– Mam... urlop – wybełkotał Bobby. O rany, ale ziąb. Zimne, listopadowe powietrze uderzyło go w twarz. Zamrugał energicznie i zaczął się jeszcze bardziej zataczać.

– Kamery już są w drodze. Ktoś wygadał cholernym pismakom, że siedzisz w pubie. Ale, na litość boską, twój anioł stróż musi nad tobą czuwać, bo ktoś podsłuchał rozmowę na skanerze i wysłano mnie, żebym cię stąd zabrał. Bobby, posłuchaj...

Porucznik Bruni nagle się zatrzymał. Dyszał ciężko, a para z jego oddechu unosiła się przed oczami Bobby'ego. Teraz trzymał go za kołnierz obiema rękami i potrząsał nim.

– Bobby, masz kłopoty.

– A to... dopiero.

– Słuchaj mnie, Bobby. Dziś na komendzie dużo się działo. Sędzia Gagnon nie jest zadowolony, że stracił syna, i nic do niego nie trafia. Chce się zemścić, Bobby, i wziął cię na cel.

Bobby nie wiedział, co powiedzieć. Świat rozpląwał mu się przed oczami. Zimne powietrze kąsało policzki. Wciąż czuł zapach piwa. Musi wziąć prysznic. Chryste, musi się przespać.

Dziękuję, powiedziała ta kobieta. Dziękuję.

Zasrana suka! Dziękować mu? Nie powinna mu dziękować. Powinna była zostawić tego pijaka dawno temu. Albo jakoś go uspokoić godzinę przed tym, jak się wszystko zaczęło. Albo nie puścić syna. Albo nie prowokować męża tak, by na jego twarzy pojawił się ten zimny, nienawistny uśmiech. Była w pokoju, rozmawiała z Jimmym. Mogła zrobić milion rzeczy inaczej i Bobby nie musiałby pociągać za spust. Nie musiałby zabijać jej męża i rujnować sobie życia. I

nie stałby teraz tutaj, pijany, zmęczony i zawstydzony. Co z niego za człowiek, że zabija faceta na oczach jego własnego dziecka? O Boże, co on zrobił.

Suka, suka, suka.

Wyrwał się porucznikowi. Zaczął chodzić w kółko, oszalały z wściekłości. Miał ochotę wziąć kij i rozpieprzyć wszystkie szyby we wszystkich samochodach na tej zasranej ulicy. A potem poobijać wszystkie drzwi i przedziurawić wszystkie opony. Niczego innego nie pragnął.

Chryste, nie mógł złapać tchu. Zatkaną go. Miał otwarte usta, rzeził, nie mógł oddychać. Dostał ataku serca. Umierał w południowym Bostonie, bo był listopad, a on zawsze wiedział, że tak to się skończy. Lato jest bezpieczne, jesień nie najgorsza, ale listopad... listopad to katastrofa. Cholera, cholera, cholera.

– Głowa między kolana, głowa między kolana. No, Bobby. Pochyl się, odetchnij głęboko. Poradzisz sobie. Skoncentruj się na moim głosie.

Poczuł na ramionach dłonie zginające mu kark. Przed oczami miał gwiazdy, białe punkciki rozkwitające w morzu czerni. Zaraz znikną i zostanie sama ciemność, która porwie go ze sobą.

I nagle odetkało go, skurczone płuca zaczęły pracować i wciągnęły głęboki haust tlenu. Chwiejnym krokiem wyszedł na środek ulicy, o mało nie wpadając pod przejeżdżający samochód, i odetchnął zimnym nocnym powietrzem.

Bruni wciąż był przy nim, ciągnął go na drugą stronę ulicy i mówił cicho i szybko:

– Słuchaj mnie, Bobby. Weź się w garść i słuchaj mnie uważnie. Bobby przytrzymał się latarni. Rękami i nogami objął zimny metal.

Zwiesił głowę i próbował się jakoś pozbierać.

– No dobra – powiedział po chwili. – Wszystko gra.

Bruni nadal patrzył na niego z niedowierzaniem, ale w końcu burknął potakująco.

– Wiesz, co to jest przesłuchanie przed sędzią pokoju? – spytał.

– Sędzią czego?

– Pokoju. Podlega sądowi okręgowemu hrabstwa Suffolk. Funkcjonuje w ramach sądu cywilnego. Pewnie o tym nie wiedziałeś, w końcu nawet ja dopiero teraz o tym usłyszałem, ale każdy może zażądać przesłuchania przed sędzią pokoju w celu stwierdzenia, że zachodzi uzasadnione podejrzenie, iż A – popełniono przestępstwo i B – że popełnił je pozwany. Jeśli sędzia wyda decyzję na korzyść powoda, pozwany może zostać postawiony w stan oskarżenia, mimo że to sąd cywilny. Innymi słowy, każdy cywil może z pominięciem prokuratury okręgowej, wykorzystując sędziego pokoju, wytoczyć za własne pieniądze sprawę karną. Pewnie ciekawi cię, Bobby, co to ma wspólnego z tobą.

– Go to ma wspólnego ze mną? – spytał Bobby zmęczonym głosem.

– Dziś o szesnastej czterdzieści pięć Maryanne Gagnon, żona sędziego sądu apelacyjnego hrabstwa Suffolk, Jamesa Gagnona, i matka Jimmy’ego Gagnona, złożyła wniosek o przesłuchanie przed sędzią pokoju. Twierdzi, że istnieje uzasadnione podejrzenie, że popełniono zabójstwo i że mordercą jesteś ty.

Bobby zamknął oczy. Błąd. Natychmiast zaczęło mu się kręcić w głowie.

– Sędzia Gagnon nie czeka na ustalenia prokuratury, Bobby. Nie obchodzi go, co znajdują śledczy, ma gdzieś wyniki naszego wewnętrznego dochodzenia. Poluje na ciebie.

– Myślałem... myślałem, że pracownicy budżetówki stanu Massachusetts są przed tym chronieni. Na mocy ustawy o limitach roszczeń. Za czyny popełnione przy wykonywaniu przez nas obowiązków odpowiadają władze stanu, nie my.

– Zgadza się. Nikt nie może wytoczyć ci sprawy z powództwa cywilnego. Ale to nie proces cywilny, Bobby. To przesłuchanie, którego następstwem może być postawienie cię w stan oskarżenia. W grę wchodzi ciężkie przestępstwo. Innymi słowy, jeśli uznają cię za winnego, pójdiesz siedzieć. Ten człowiek nie chce wysokiego odszkodowania, by ukoić żal po stracie syna, Bobby. On chce cię zniszczyć.

Pod Bobbym ugięły się nogi. Bruni w porę złapał go za rękę. Usiedli na krawężniku między dwoma samochodami i przez dłuższy czas milczeli.

– Jezu – powiedział wreszcie Bobby.

– Przykro mi, Bobby. Słowo honoru, w życiu o czymś takim nie słyszałem. Masz adwokata?

– Myślałem, że związek go zapewnia.

– Związek ci nie pomoże. To sprawa wytoczona tobie osobiście, nie stanowi Massachusetts czy policji. Jesteś zdany tylko na siebie.

Bobby ukrył twarz w dłoniach. Był zmęczony, bardzo pijany. Czuł się, jakby listopad wyciągnął z niego całą wolę walki, zostawiając zupełną pustkę.

– Strzelałem, bo musiałem.

– I nikt nie twierdzi, że było inaczej.

– Facet chciał zabić żonę.

– Przesłuchałem taśmę z nagraniem rozmów ze stanowiska dowodzenia. Postąpiłeś zgodnie z przepisami, Bobby. Dokładnie opisałeś wszystko, co się dzieje, i zrobiłeś to, czego cię nauczono. Może od nikogo poza mną tego nie usłyszysz, ale jestem z ciebie dumny. Miałeś zadanie do wykonania i nie pękłeś.

Bobby nie był w stanie mówić. Musiał ścisnąć grzbiet nosa, by powstrzymać pot ściekający mu do oczu. Boże, jak był zmęczony. I co gorsza, pijany.

– A to coś da? – spytał wreszcie. – Facet jest sędzią. Ma forszę i znajomości. Nie stać mnie na proces. Czy to znaczy, że nie mam szans?

– Nie wiem. – Bruni westchnął ciężko, co znaczyło, że wie doskonale.

– Nic nie rozumiem. Jimmy miał broń. Groził nią żonie i dziecku. Czy to dla nikogo nic nie znaczy? Nawet dla jego rodziców?

– To nie takie proste.

– Dlaczego? Bo jest bogaty i ma dom w Back Bay? Znęcał się nad rodziną, i to jest najważniejsze! To, czy miał dużo pieniędzy, czy nie, nie ma znaczenia!

Porucznik nie odpowiedział.

– Co? – rzucił Bobby. – Na litość boską, co znowu?

Bruni westchnął ciężko.

– Gagnonowie nie zaprzeczają, że Jimmy miał broń. I nie zaprzeczają, że groził nią żonie. Ale twierdzą, że... Twierdzą, że to była jej wina, Bobby. W swoim wniosku napisali, że Catherine Gagnon znęcała się nad synem. A jeśli Jimmy jej groził, to tylko dlatego, że chciał ocalić życie dziecka.

## Rozdział 7

Nathan przez cały dzień wymiotował. Teraz wreszcie zasnął, błądy i wyczerpany. Wyglądał tak krucho, kiedy leżał na stosie miękkich niebieskich koców. Jego powieki odcinały się ciemnymi plamami na tle policzków. Zapadnięta twarz wydawała się za mała i za stara jak na czteroletnie dziecko.

Kiedy Maryanne i James przyjechali tego ranka – podobno zaraz po tym, jak usłyszeli, co się stało, choć wyglądali zaskakująco schludnie jak na ludzi wyrwanych ze snu wieścią o śmierci syna – uważnie obejrzeni Nathana.

Oczywiście Maryanne odstawiła zrozpaczoną damę. Wielkie niebieskie oczy, blade lico i drżące dłonie.

– Ja nie mogę, po prostu nie mogę – powtarzała raz po raz, zaciągając jak rodowita mieszkanka Południa. Czterdzieści lat siedzi w Bostonie, a nadal gada jak bohaterka sztuki Tennessee Williamsa.

Catherine zauważyła jednak, że w przerwach między teatralnymi gestami Maryanne i James notowali sobie w pamięci: chłopiec jest chudy, ospały i wyraźnie spięty. Nie podchodzi do matki, trzyma się niani. Ma świeżego sińca na czole.

Maryanne dwa razy próbowała wziąć Catherine na bok. Ona jednak się nie dała. Prudence, niania z Anglii, miała dobre kwalifikacje i została zatrudniona, bo była sumienna i dyskretna. Mimo to była tu od niedawna, więc choć Catherine surowo zabroniła jej zostawiać Nathana samego z dziadkami, nie wiedziała, jak dziewczyna zachowa się pod presją. James potrafi być bardzo charyzmatyczny. Namówiłby ją, żeby zrobiła mu herbatę, i w mgnieniu oka wojna byłaby przegrana.

Catherine nie mogła sobie pozwolić na takie ryzyko. Nie teraz.

Oczywiście Maryanne i James zaproponowali, by przeniosła się z Nathanem do nich. Po „strasznym wypadku” z zeszłej nocy na pewno chcieli trzymać się z dala od „miejsca, gdzie rozegrała się cała ta tragedia”. „Na litość boską, Catherine, pomyśl o dziecku. Zobacz, jak wygląda”.

Wreszcie James stracił cierpliwość. Kiedy tylko Prudence wyprowadziła Nathana z pokoju – pewnie znów zrobiło mu się niedobrze – naskoczył na Catherine.

– Nie myśl, że ujdzie ci to na sucho. Jimmy mówił nam, co tu się działo. Myślisz, że wygrałaś? Że zabijając Jimmy’ego, rozwiązałaś swoje problemy? To wiedz, że twoje problemy dopiero się zaczynają.

Catherine wpadła w popłoch. Pomyślała gorączkowo o nowym systemie alarmowym zainstalowanym przez Jimmy’ego pół roku temu. Poprzedniego wieczoru był wyłączony. Światelko na pewno się nie paliło. Zaraz jednak zorientowała się, że za długo milczy, że James

nadal patrzy na nią zimnym, oskarżycielskim wzrokiem, więc wyprostowała się i powiedziała możliwie najbardziej wyniośle:

– Nie wiem, o czym mówisz, James. A teraz wybaczyć, ale muszę przygotować pogrzeb męża.

Wyszła z pokoju z walącym sercem i drżącymi rękami. Po kilku minutach usłyszała, jak teściowie trzaskają drzwiami. Potem w domu zapadła cisza, maćona tylko przez Nathana, targanego torsjami w łazience w głębi korytarza.

Nathan nie płakał. Ani wczoraj, ani dzisiaj. I pewnie płakać nie będzie. Ma to po Catherine. Stawia czoło wszystkiemu – wizytom u lekarza, nieustającym zastrzykom, nieprzyjemnym badaniom – z suchymi oczami i nachmurzonym czołem. Pielęgniarki uwielbiają go, choć uchyla się przed ich dotykiem.

Dziś przyśnił mu się koszmary. Będzie miotał się po łóżku, potem obudzi się, krzycząc coś o bólu, igłach i żądając, by lekarze zostawili go w spokoju. Czasem, rzadziej, żali się, że jest za ciemno, że się dusi, i wtedy trzeba zapalać wszystkie światła. Catherine była zafascynowana, a zarazem przerażona tym, że jej koszmary udzieliły się synowi.

Prudence się nim zajmie. Tak jak jej poprzedniczki: Beatrice, Margaret, Sonya, Chloe i Abigail. Tyle ich było, że Catherine je pozapominała. Oczywiście pamięta Abby, która była pierwsza. Jimmy wynajął ją, kiedy Nathan miał ledwie tydzień. Catherine nie chciała niani. Myślała, że sama będzie opiekowała się synem i karmiła go piersią. Ale już po tygodniu błąkała się po domu jak w letargu, a dziecko ciągle wymiotowało na jej zachlapaną mlekiem pierś. Nie mogła spać, nie mogła jeść. Odruchowo zapalała światła.

Trzymała w ramionach tę istotkę, tak małą i bezradną, kwilącą raczej niż płaczącą, i z przerażeniem myślała o wszystkich niebezpieczeństwach, jakie na nią czyhają. Dzieci umierają. Z głodu, na gripę, w wyniku pobicia. Wypadają z okien, umierają na zespól nagłej śmierci niemowląt. Wywleka się je z samochodów, uprowadza z placów zabaw, bywają molestowane przez księży. Dzieją się też gorsze rzeczy. O nich też wiedziała. Niektórych ludzi podniecał płacz małych dzieci. Nawet słabe, bezradne niemowlę może wpaść w niewłaściwe ręce i stać się erotyczną zabawką.

Ile dzieci w tej chwili płacze z głodu i jest bitych? Ile patrzy z nadzieją w oczy opiekunów i dostaje w twarz? Ile niewinnych, słodkich istot rodzi się co dzień tylko po to, by zniszczyli je ci sami ludzie, którzy dali im życie?

Nie mogła sobie z tym poradzić. Świat jest zbyt okrutny, a Nathan zbyt mały. Będzie jej potrzebował, ona go zawiedzie, a to ją zniszczy.

Nie mogła trzymać go w ramionach, ale i nie mogła zdobyć się na to, by go puścić. Nie mogła go kochać, ale i nie mogła się z nim rozstać. Rozpadała się na milion małych kawałków, niezdolna do snu, snuła się po korytarzach z nowo narodzonym synem i popadała w obłęd.

Siódmego dnia Jimmy przyprowadził młodą dziewczynę. Delikatnie wyjaśnił wszystko Catherine, mówiąc powoli i używając prostych słów, bo innych by nie zrozumiała. Abby weźmie od ciebie Nathana. Abby będzie go karmiła. Abby będzie się nim opiekowała. Ty idź do łóżka.

Przyniósł jej szklanekę soku. I dwie tabletki. Połknij, a wszystko będzie dobrze.

I tak to się zaczęło. Catherine oddała dziecko za dawkę valium. A potem już poszło łatwo: kilka dni w uzdrowisku, tydzień w Paryżu, dwa tygodnie w Rzymie.

Przyszła pierwsza niania, a Catherine od tamtej pory widywała swoje dziecko kilka razy dziennie.

Abby była dobra dla Nathana. Karmiła go kleikiem z soi, który na jakiś czas uspokoił jego kapryśny żołądek. Przeczytała mu jego pierwszą bajkę, pierwsza zobaczyła jego uśmiech, na jej oczach zrobił pierwszy krok. Wieczorami Catherine słyszała ich głosy za ścianą. Abby czytała mu cichym, melodyjnym głosem, a Nathan kwilił cicho, wtulony w jej pierś.

Na przyjęciu z okazji swoich pierwszych urodzin przewrócił się. Kiedy Catherine próbowała go podnieść, rozplakał się jeszcze bardziej i przy gościach zaczął krzyczeć, że chce do niani. Potem objął Abby i wtulił twarz w jej szyję.

Catherine zwolniła ją zaraz następnego dnia. Nathan rozpacział przez miesiąc.

Następna po Abby była Chloe, też wybrana przez Jimmy'ego. Była drobną, apetyczną Francuzką i Catherine nawet się nie zdziwiła, kiedy przyłapała ją z Jimmym w łóżku. W końcu czego należało oczekiwać, kiedy mąż sprowadza do domu „nianię”, która, jak sama przyznała, nigdy w życiu nie zmieniała pieluch?

Od tej pory Catherine zajęła się szukaniem niań. Wybierała starsze kobiety, prawdziwe profesjonalistki, które znały swój fach i trzymały się na dystans od małego podopiecznego. Za stare dla Jimmy'ego, za dobrze wychowane, by komentować fakt, że Catherine poświęca dziecku tak mało czasu, i zbyt zadufane w sobie, by wiedzieć o tych nocach, kiedy stała w pokoju Nathana i z mocno bijącym sercem patrzyła, jak śpi.

Nathan miał już cztery lata, ale Catherine wciąż bała się, że pewnego dnia podjedzie do niego niebieski chevy: „Hej, mały. Zginął mi piesek”.

Nathan rzecz jasna mógł mieć koszmary i bez udziału obcych. Niebezpieczeństwo czyhało na niego w czterech ścianach domu.

Druga nad ranem. Powinna już spać. Wiedziała jednak, że na pewno nie zaśnie. Prasa czatowała pod domem, banda niecierpliwych sępów grzebiących w brudach. Od czasu do czasu ulicą przejeżdżały radiowozy. Policjanci sprawdzali, co się dzieje, obserwowali dziennikarzy, obserwowali ją.

Pierwsze zeznanie złożyła kilka godzin po śmierci Jimmy'ego. Była z siebie dumna, że udało jej się zachować zimną krew. „Mój mąż był wybuchowy. Pije, wpada w złość, tym razem znalazł pistolet. O co się pokłóciliśmy? Czy to ważne? Czy cokolwiek może usprawiedliwić człowieka, który grozi pistoletem swojej żonie? Tak, bałam się. Prawdę mówiąc, detektywie, myślałam, że już po mnie”.

Chcieli porozmawiać też z Nathanem. Spławiła ich. „Mój syn jest zbyt zmęczony, zbyt wstrząśnięty, zbyt chory”. Przynajmniej zyskała trochę na czasie.

Policjanci do rana siedzieli w głównej sypialni, teraz ogrodzonej żółtą taśmą. Zabrali

fragmenty dywanu, odłamki szkła, pościel. Plastikowa płachta zasłaniała otwór po drzwiach balkonowych. Zimny wiatr przenikał jednak przez nią i roznosił po całym domu rozmaite zapachy.

Krwi. Moczu. Prochu. Śmierci.

Sąsiedzi uznali ją pewnie za wariatkę, skoro postanowiła tu zostać. Prasa i policja też. Może robiła krzywdę Nathanowi? A może jest nienormalna? Prawda jest taka, że nie ma dokąd pójść. Jej ojciec nie wie, co robić w takich sytuacjach, a dom teściów to jaskinia lwa.

A może prawda jest bardziej gorzka? Może Catherine po prostu nie jest gotowa, by odejść. Ten dom, ten pokój, to wszystko, co zostało po Jimmym. I choć nikt by jej nie uwierzył, a zwłaszcza teściowie, na swój sposób go kochała. Do niedawna jeszcze miała nadzieję, modliła się na tyle szczerze, na ile potrafiła, by tak się to wszystko nie skończyło.

Przeszła pod taśmą do sypialni, zimnego, upiornego, czarnobiałego pomieszczenia. Lekkie zasłony zafalowały, a plastik na otworze po drzwiach balkonowych zdawał się ciężko oddychać. Tu zapachy były silniejsze. Nieznośny odór sprawił, że wstrzymała oddech, ale jednocześnie obudziły się w niej wspomnienia.

Podeszła do łóżka, przesunęła dłonią po materacu i spojrzała na ciemne plamy krwi. Położyła się.

Przypomniała sobie, jak Jimmy zobaczył ją po raz pierwszy i błysnął tym swoim krzywym uśmiechem w środku zatłoczonego domu towarowego. „Hej, co mam zrobić, żebyś i mnie opryskała perfumami?”

Jak kochał się z nią, a potem, kiedy zauważył, że nic nie poczuła, próbował być dla niej miły. „Hej, kochanie, wiesz co? Po prostu potrzeba nam więcej treningu”.

Jak upuścił obrączkę, kiedy klękałby jej się oświadczyć. Jak chwiał się, kiedy prznosił ją przez próg. Jak obiecywał jej dziewięcioro, dziesięcioro dzieci. Jak szalał ze szczęścia, gdy zaszła w ciążę. Jak obsypywał ją brylantami i perłami. Jak rzucał się z nią w wir zakupów i wykupywał pół miasta.

Jak sypiał z pokojówką, nianią, jej przyjaciółkami. Jak poszedł do baru, kiedy pierwszy raz zawiozła Nathana na pogotowie. Jak wybił pięścią dziurę w ścianie, kiedy ośmieliła się powiedzieć, że nie powinien tyle pić. Jak uderzył ją w żebra, kiedy ośmieliła się powiedzieć, że Nathan może być chory.

I jak pół roku temu znalazł listy od jej kochanka. Wszedł do sypialni o czwartej nad ranem. Przewrócił ją na brzuch, przygniótł do materaca, a potem zgwałcił od tyłu.

– Może od początku powinienem był tak robić – powiedział po wszystkim. – Może wtedy byś coś czuła.

Kilka godzin później już siedzieli naprzeciw siebie przy stole w kuchni i gawędzili o pogodzie.

Skuliła się na materacu. Położyła dłoń na pustym miejscu, gdzie kiedyś leżał jej mąż. I przypomniała sobie jego minę, kiedy kula trafiła w czułe miejsce za uchem, tuż przed tym, jak

roztrzaskała mu skroń – uroda, urok zniknęły bez śladu, pozostał tylko niemy wyrzut w oczach.

Była ciekawa, co było dla niego większym rozczarowaniem – to, że miał zaraz umrzeć, czy że nie zdołał przedtem jej zabić?

Nagle w pokoju Nathana rozległ się rumor. Prudence zawołała ją i Catherine wybiegła na korytarz, zaskoczona, że policzki ma mokre od łez.

Szpital. Pospiesznie wydawane i wykonywane polecenia. Jedno ukłucie i pielęgniarka pobrała krew. Drugie i kroplówka została podłączona. Trzecie i Nathanowi założono cewnik.

Mały Nathan wije się na środku szpitalnego łóżka. Rzuca się, próbuje usiąść. Jego policzki są rozpalone, pot ścieka po rękach i nogach. Ma wydęty brzuch i zapadniętą pierś, z trudem chwytając powietrze.

Stażysta zgłosił:

– Silny ból nadbrzusza...

Pielęgniarka krzyczy:

– Temperatura trzydzieści dziewięć, tętno sto pięćdziesiąt, ciśnienie sto piętnaście na czterdzieści...

Doktor Rocco wydaje polecenia:

– Dwa miligramy morfiny, zimne okłady! No, ludzie, ruszcie się! Kiedy Catherine przechodziła przez to po raz pierwszy, drżała na całym ciele. Teraz z posępną miną zaprawionego w bojach weterana patrzy, jak dwaj pielęgniarze przytrzymują wijącego się Nathana, a dwaj inni rozcinają piżamkę z kowbojami i podłączają kable monitora pracy serca. Nathan krzyczy z bólu; przyciskają go do łóżka jeszcze mocniej. I tak bez końca, Nathan walczył o życie, a personel szpitala walczył z nim.

Kiedy najgorsze minęło, kiedy pielęgniarki i stażyści poszli zająć się ciężiej chorymi, Nathan został sam, nieprzytomny, ciężko dyszący, mała istotka zagubiona na środku wielkiego metalowego szpitalnego łóżka. Doktor Rocco odprowadził Catherine na bok.

– Słuchaj... wiem, że musi wam być ciężko.

– Tak myślisz? – Od razu pożałowała ostrego tonu. Odwróciła się i wbiła wzrok w zbyt białe ściany. Słysząc było pikanie monitora, wiernie wybijającego rytm serca Nathana. Czasem słyszy ten dźwięk we śnie.

„Jimmy, musimy coś z Nathanem zrobić”.

„Jezu, Catherine, nie możesz zostawić biednego chłopaka w spokoju?”

„Jimmy, spójrz na niego. Jest chory. Bardzo, bardzo chory...”

„Tak? Te dziwne badania, na które go ciągasz, niczego nie wykazują.

Może to nie Nathan ma problemy, Cathy. Zaczynam myśleć, że... że może największy kłopot jest z tobą”.

– Catherine, znów ma zapalenie trzustki. Trzeci raz w tym roku. Przy jego słabym sercu i ogólnie złym stanie zdrowia nie może ciągle walczyć z infekcjami. Ma powiększoną wątrobę, nadal wykazuje objawy niedożywienia, co gorsza, od ostatniej wizyty stracił dwa kilo. Stosujesz

specjalną dietę, o której rozmawialiśmy? Częste lekkie posiłki, tylko przetwory soi?

– Trudno go w ogóle zmusić do jedzenia.

– Co najbardziej lubi?

– Jogurt z soi, ale zjada jedną, dwie łyżki i koniec.

– Musi jeść.

– Wiem.

– Musi brać witaminy.

– Staramy się, jak możemy.

– Catherine, czterolatki nie chorują na anoreksję. Czterolatki nie głodzą się na śmierć.

– Wiem – westchnęła bezradnie. – Wiem. – A potem, bardziej nieśmiało: – Nie możesz nic zrobić?

– Catherine... – Lekarz westchnął. Teraz on też wpatrywał się w ścianę. – Skieruję cię do doktora Iorfina – powiedział nagle.

– Odsyłasz mnie do innego lekarza?

– Może cię przyjąć w poniedziałek. O trzeciej.

– Ale nowy doktor to nowe badania. – Nie wiedziała, co powiedzieć. – Nathan ma ich już dosyć.

– Wiem.

– Tony... – szepnęła błagalnie i natychmiast tego pożałowała. Doktor Rocco wreszcie na nią spojrział.

– Zażądał tego ordynator pediatrii. Przykro mi, Catherine, mam związane ręce.

Wtedy zrozumiała. James. Jej teść jakoś się do niego dobrał albo interweniował u władz szpitala, albo jedno i drugie. Nieważne. Tony Rocco jest skończony jako lekarz Nathana i jej sojusznik.

Wstała wyprostowana, z podniesionym podbródkiem. Podała mu rękę.

– Dziękuję za pomoc, doktorze – powiedziała wyniośle.

Zawahał się.

– Przykro mi, Cathy. Doktor Iorfino to naprawdę dobry lekarz.

– Starszy? Łysiejący? Gruby? – spytała z goryczą.

– Dobry – powtórzył Tony.

Pokręciła głową.

– Mnie też przykro.

Wyszła z gabinetu i skierowała się w głąb korytarza, w miejsce gdzie przez szybę oddziału intensywnej terapii mogła obserwować chudą pierś Nathana falującą pośród płataniny kabli. Rano, jeśli spadnie mu temperatura i infekcja osłabnie, zabierze go do domu. Będzie siedział w swoim pokoju, otoczony zabawkami. Nie zada wielu pytań, jest zbyt poważny. Będzie po prostu czekał, jak zawsze, na następny kryzys.

Zastanawiała się, kiedy będzie dobra chwila, by powiedzieć mu, że ma nowego lekarza.

Może wcześniej poprosi Prudence, by zabrała go do kina, albo kupi mu jakiś prezent. A może lepiej zaczekać, aż wpadnie w zły nastrój? Dorzuci mu jeszcze jedno zmartwienie, niech sobie poradzi z wszystkimi naraz.

Będzie przy nim Prudence. W razie czego potrzyma go za rękę.

Catherine nie mogła dłużej wytrzymać na oddziale intensywnej terapii. Poszła do pokoju rodzinnego, łaknąc jaśniejszych światła, świeższego powietrza. Tam ludzie nie patrzą innym w oczy ani nie przejmują się jakąś tam wdową, której dopiero co zabito męża; mają dość własnych zmartwień.

Przeliczyła się.

Kiedy tylko stanęła w drzwiach, podszedł do niej mężczyzna w brązowym garniturze i źle dopasowanej peruce.

– Catherine Rose Gagnon?

– Tak.

– Przyniosłem wezwanie do sądu.

Wzięła ze zdumieniem kartkę, nie zważając na zaskoczone spojrzenia innych rodziców. Mężczyzna zniknął tak szybko, jak się zjawił, wiedział, że jest tu intruzem. Została sama w pokoju pełnym obcych ludzi, których dzieci walczyły o życie.

Rozłożyła gruby dokument. Przeczytała nagłówek i choć myślała, że wszystko przewidziała, i tak była zaszokowana. Ścisnęło ją w żołądku, zachwiała się.

I wybuchnęła histerycznym śmiechem.

– Och, Jimmy, Jimmy, Jimmy – mówiła, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. – Coś ty narobił?

W ciemnym pokoju ciemnego domu zadzwonił telefon. Choć oczekiwany, i tak wzbudził niepokój.

– Robinson?

– Tak.

– Jest?

– Tak.

– Umowa stoi? – Jeśli pan dotrzyma umowy, to on też.

– Dobrze. Prześlę pieniądze.

– Wie pan, co pan robi? Ja nad nim nie panuję. Był mordercą, zanim trafił do więzienia, był mordercą w więzieniu, a teraz...

– O to właśnie chodzi – uciał rozmówca.

## Rozdział 8

Ze snu wyrwał go dzwonek telefonu. Bobby przez chwilę leżał i patrzył w sufit, mrugając energicznie. Łeb mu pękał. Jezu, cuchnę piwem.

Znowu usłyszał dzwonek telefonu i w głowie zaświtał mu promyk nadziei: Susan. Przewrócił się na bok i podniósł słuchawkę.

– Halo? – wydyszał.

Nie była to jednak Susan i aż sam się zdziwił, że sprawiło mu to tak wielki zawód.

– Robert Dodge?

– Kto mówi?

– Catherine Gagnon. O ile się nie mylę, zabił pan mojego męża.

Chryste Panie. Bobby usiadł i spuścił nogi z łóżka. Zastłony były zaciągnięte. Zdezorientowany, potoczył wzrokiem po pokoju. Wreszcie zobaczył świecące czerwone cyfry. Za piętnaście siódma. Spał ile, trzy, cztery godziny? Za krótko.

– Nie możemy rozmawiać – powiedział.

– Nie chcę panu robić wyrzutów.

– Nie możemy rozmawiać – powtórzył z większym naciskiem i pokręcił głową, jakby na podkreślenie swoich słów. Jezu, czuł się, jakby rozjechał go pociąg. I co on miał w ustach? Zupełnie jakby coś wlało mu do gardła i tam zdechło.

– Panie Dodge, już bym nie żyła, gdyby nie pan. Czy to chciał pan usłyszeć?

– Ta rozmowa jest niestosowna. Są pozwy, są prawnicy. Nikt nie może widzieć nas razem.

– Słusznie. Mogę niezauważona dostać się do Isabella Stewart Gardner Museum. A pan?

– Droga pani...

– Będę tam po jedenastej. W Sali Werońskiej.

– Miłego zwiedzania.

– Zna pan to powiedzenie, panie Dodge: Wróg twojego wroga jest twoim przyjacielem. Mamy tego samego wroga, co oznacza, że w tej chwili liczyć możemy tylko na siebie nawzajem.

O jedenastej piętnaście Bobby znalazł ją przed portretem pędzla Whistlera, namalowanym w żywych odcieniach błękitu. Przedstawiał leżącą nagą kobietę o bujnych kształtach, spowitą w jasne orientalne tkaniny. Na jego tle odcinała się prosta sylwetka Catherine Gagnon. Długie czarne włosy, obcisła czarna suknia, wysokie czarne szpilki. Nawet od tyłu była uderzająco piękna. Szczupła, powściągliwa, typowa arystokratka. Bobby pomyślał, że jest za chuda jak na jego gust, zbyt wyniosła, ale kiedy się odwróciła, poczuł ucisk w dołku. To przez to, jak się rusza, pomyślał. Albo jak jej ciemne, wielkie oczy odcinają się od posągowej twarzy.

Spojrzała na niego. On spojrzał na nią. Przez długą chwilę stali nieruchomo.

Kiedy Bobby widział ją po raz pierwszy, wydała mu się kimś w rodzaju Madonny z obrazu, kruchą matką osłaniającą synka własnym ciałem. Teraz, kiedy wiedział już, że zarzucano jej znęcanie się nad dzieckiem, zobaczył w niej czarną wdowę. Była opanowana. Odważna, skoro do niego zadzwoniła. I najprawdopodobniej niebezpieczna.

– Spokojnie – powiedziała cicho. – To muzeum. Nie wpuszczają tu kamer, pamięta pan?

– Sprytnie – przyznał i posłał mu lekki uśmiech, po czym odwróciła się w stronę obrazu.

Podszedł do niej, ale nie za blisko.

Sala była prawie pusta; sezon dawno się skończył. Za późno na podziwianie jesiennych parków, za wcześnie na świętowanie. W przestronnej komnacie pałacu-muzeum oprócz Bobby'ego i Catherine były tylko cztery osoby, które nie zwracały na nich większej uwagi.

– Lubi pan Whistlera? – spytała.

– Wolę bejsbol.

– Podoba mi się to studium. Zmysłowe kobiece kształty skonstrastowane z niebieskim materiałem. To bardzo erotyczne. Myśli pan, że ta kobieta była dla Whistlera tylko modelką, czy też z nią sypiał?

Bobby milczał, ale wyraźnie nie oczekiwała od niego odpowiedzi.

– Wie pan, Whistler uchodził za dandysa. Ale w 1880 roku, kilka lat po namalowaniu tego portretu, poślubił rzekomo największą miłość swojego życia, Beatrice Godwin. Niestety, osiem lat później umarła na raka. Jaka szkoda. Wie pan, że Whistler pochodził z tych okolic? Urodził się w Lowell...

– Nie przyszedłem tu dla obrazów. Uniosła brew.

– A szkoda. To wspaniałe muzeum.

Spojrzał na nią i wreszcie dała za wygraną.

– Chodźmy na górę. Na drugie piętro.

– Więcej Whistlerów?

– Nie, więcej prywatności.

Szerokimi, krętymi schodami weszli na ostatnie piętro. Bobby czuł się nagi, bezbronny. Po drodze minęli kolejnych zwiedzających i kilku strażników stojących z kamiennymi twarzami w rogach sal. Przed czternastoma laty dwaj złodzieje przebrani za policjantów ukradli trzynaście dzieł sztuki. Kradzież była na tyle głośna, że strażnicy do tej pory uważali ją za plamę na honorze i bacznie wszystkich obserwowali. Bobby unikał ich wzroku.

Na drugim piętrze zauważył, że ciężko oddycha. Catherine Gagnon też nie była tak spokojna, na jaką chciała wyglądać. Ręce jej się trzęsły. Czując na sobie jego wzrok, starała się opanować to drżenie, zaciskając dłonie w pięści.

Poszła na koniec korytarza, a on ruszył za nią, zwracając uwagę na różne szczegóły, których wolałby nie zauważyć. Na przykład zapach jej perfum, silny, lekko cynamonowy, woń ledwo tłumionego żaru. Albo jej ruchy, gibkie, pełne gracji, kocie. Ćwiczyła. Pewnie jogę albo pilates. Uznał, że prawdopodobnie jest silniejsza, niż się wydawało na pierwszy rzut oka.

W sali na tyłach drugiego piętra nie było żywej duszy. Stanęli nie za blisko siebie i Catherine zaczęła mówić.

– Kochałam męża. Wiem, że musi się to panu wydać dziwne. Kiedy go poznałam, był... niesamowity, hojny, słodki. Zabierał mnie na weekendy do Paryża, na zakupy. Ja... miałam wcześniej pewne kłopoty. Było w moim życiu wiele smutku. Kiedy poznałam Jimmy'ego, po raz pierwszy poczułam, że wszystko się układa. Był moim wybawcą. Dosłownie zawrócił mi w głowie.

Bobby był ciekaw, co miała na myśli, mówiąc o smutku, i w ogóle po co mu to wszystko opowiada. Zabił Jimmy'ego Gagnona i nie miał ochoty o nim rozmawiać.

– Myślałam się co do Jimmy'ego – powiedziała nagle. – Nie był moim wybawcą. Był pijakiem i brutalem, manipulatorem, który uśmiechał się, kiedy wszystko szło po jego myśli, a w przeciwnym razie chwycił za nóż. Dawniej obiecywałam sobie, że nigdy w życiu nie wyjdę za kogoś takiego. Ale kiedy się na nim poznałam, było o wiele za późno i wtedy mogłam tylko dziwić się, gdzie ja miałam głowę.

Urwała, stłumiła przekleństwo. Odwróciła się i zaczęła nerwowo chodzić po małej salce, stukając obcasami.

– Bił panią? – spytał Bobby.

– Mogę pokazać sińce.

Sięgnęła do paska sukni. Bobby uniósł rękę, by ją powstrzymać.

– Dlaczego nie wzywała pani policji?

– Bo mieszkamy w Bostonie. Ojciec Jimmy'ego, sędzia Gagnon, wydał dekret: jeśli Jimmy narozrabia, policja ma zadzwonić do niego osobiście, a on wszystkim się zajmie. Jimmy powiedział mi o tym któreś nocy. Po czym mnie pobił.

Bobby zmarszczył brwi. Nie lubił słuchać historii o niedopełniających obowiązków policjantach, jednak to zgadzało się z tym, co mówili mu kumple w knajpie. Jimmy Gagnon lubił sobie poszaleć i jak przyszło co do czego, chował się za plecami tatusia.

– A co z pani synem?

– Nathana nigdy palcem nie tknął. Odeszłabym, gdyby to zrobił. – Powiedziała to za szybko. Bobby od razu wyczuł, że skłamała.

– Już samo to, że panią bił, to chyba wystarczający powód, by zabrać dziecko i zwinąć manatki. – Podejrzliwie zmrużył oczy. – Tyle że wtedy trzeba by było pożegnać się z pieniędzmi.

– Jimmy nie miał pieniędzy.

– Tak? To skąd to mieszkanko w sercu Back Bay?

– Kupił je ojciec Jimmy'ego. Podobnie jak większość naszych rzeczy. Pieniądze Jimmy'ego są zamrożone w funduszu powierniczym. Zarządza nimi jego ojciec i wydziela je według swojego widzimisie, na mocy rozporządzenia prapradziadka Jimmy'ego ze strony matki, który zbił majątek na ropie i bał się, że przyszłe pokolenia go roztrwonią. Cóż więc zrobił? Zamroził wszystko w funduszach, które ulegają rozwiązaniu w chwili, kiedy spadkobierca kończy

pięćdziesiąt pięć lat. I następne pokolenia trzymały się tej zasady. Dlatego rodzina, owszem, pieniądze ma. Maryanne odziedziczyła prawdziwą fortunę, kiedy skończyła pięćdziesiąt pięć lat, ale Jimmy... Jimmy na razie nie miał ani centa.

– Co stanie się z tymi pieniędzmi po jego śmierci?

– Przejdą na Nathana, też w ramach funduszu. Ja nie dostanę nic. Bobby nie wyglądał na przekonanego.

– Był opiekuna na pewno został jakoś zabezpieczony.

– Ma otrzymywać comiesięczne wynagrodzenie – przyznała. – Ale zakłada pan, że to ja jestem opiekunką. Dziś rano dostałam wezwanie do sądu. James i Maryanne wystąpili o pozbawienie mnie praw rodzicielskich. Twierdzą, że chcę zabić Nathana. Może pan to sobie wyobrazić, panie Dodge? Że matka mogłaby chcieć zrobić krzywdę własnemu dziecku?

Podeszła do niego i stanęła bliżej, niż wypada. Znów poczuł jej perfumy i popatrzył na jej bladą, szczupłą szyję i długie ciemne włosy opadające na plecy bujną czarną zasłoną tak zmysłową jak niebieska tkanina na portrecie pędzla Whistlera.

Nie poruszyła się, nie odezwała się ani słowem, a mimo to zdawała się go kusić, by jej dotknął. By ją posiadał.

Gdyby przesunął się o dziesięć centymetrów, ich ciała zwałyby się ze sobą. Poczuliby dotyk jędrnych piersi. Wciągnąłby w nozdrza mocny, ciepły zapach jej perfum. Poczuliby jej język na swoich wargach i jej dłonie wędrujące po jego ciele.

Zesztywniał. Na wszelki wypadek wołał się w ogóle nie ruszać, bo nie ufał samemu sobie. Tak bolesnej erekcji nie miał od szkoły średniej, a Catherine nawet nie była w jego typie.

I wtedy zrozumiał. Igra z nim. Używa swojego ciała jako broni, rozmyślnie próbuje namieszać w głowie biednemu, skołowanemu gliniarzowi.

– Mój syn leży w szpitalu – szepnęła.

– Co takiego?

– Na oddziale intensywnej terapii. Zapalenie trzustki. Wydawałoby się, że to nic poważnego, ale nie dla takiego chłopca jak Nathan. Mój syn jest chory, panie Dodge. Bardzo, bardzo chory, lekarze nie wiedzą dlaczego, więc teściowie winą za jego chorobę obarczają mnie. Jeśli przekonają o tym sąd, odbiorą mi Nathana. Będą mieli wnuka – i pieniądze – tylko dla siebie. Chyba że, oczywiście, pan mi pomoże.

Bobby nie oparł się pokusie i obrzucił ją wzrokiem od stóp do głów.

– A niby czemu miałbym to zrobić?

Uśmiechnęła się. Był to znaczący, kobiecy uśmiech, ale Bobby po raz pierwszy zobaczył w jej oczach cień uczucia – smutku. Catherine Gagnon była głęboko, dojmująco smutna. Podniosła rękę i delikatnie położyła ją na jego piersi, rozstawiając palce.

– Jesteśmy sobie potrzebni – powiedziała cicho. – Proszę pomyśleć o przesłuchaniu przed sędzią pokoju...

– Wie pani o tym?

– Oczywiście. Te dwie sprawy są ze sobą powiązane. Wynik procesu o przejęcie opieki nad dzieckiem będzie kluczowy dla stwierdzenia, czy doszło do popełnienia przestępstwa. Krótko mówiąc, jeśli ja znęcam się nad Nathanem, to pan jest mordercą.

– Nie jestem.

Postukała palcami w jego pierś.

– Oczywiście. A ja nigdy w życiu nie zrobiłabym krzywdy mojemu synkowi. – Nachyliła się ku niemu tak, że poczuł jej oddech na swoich ustach. – Nie ufa mi pan, panie Dodge? A powinien pan. Bo ja nie mam innego wyboru, jak tylko zaufać panu.

Bobby musiał zaczerpnąć świeżego powietrza. Była druga po południu, a on spał raptem cztery godziny i od zeszłego wieczoru, kiedy to zagryzał piwo orzeszkami, nie miał nic w ustach. Postanowił pobiegać.

Najpierw G Street do Columbia Road. Stąd do parku, gdzie po lewej stronie miał ruchliwą ulicę, a po prawej ocean. Minał zabytkową łaźnię na L Street, za którą miejsce zadbanych szeregowców zajęły prawdziwe pałace. Dotarł na Castle Island, gdzie wiatr dmuchał mu w twarz, a fale rozbijały się o brzeg. Pogoda się popsowała, coraz trudniej było biec pod wiatr. Okrążył kamienne mury starego punktu obserwacyjnego, patrząc na powoli wzbijające się w niebo samoloty z lotniska Logana; aż trudno było uwierzyć, że zdołają przelecieć nad wyspą. Dotarł na plac zabaw. Dzieci zakutane w ciepłe kurtki szalały na ślizgawce.

Znów skręcił, wsłuchany w niesiony wiatrem dziecięcy śmiech. Południowy Boston stawał się modny. Dawniej na Castle Island przychodziły tylko dzieci z rodzin robotniczych, mieszkających w blokach. Teraz była to dzielnica dla osób lepiej sytuowanych, ale dzieciaki dokazywały jak zawsze.

Ruszył w stronę domu, ciężko dysząc. Wreszcie mógł jasno myśleć.

Zaraz po powrocie wziął książkę telefoniczną i wciąż ociekając potem, zaczął telefonować. Przy trzeciej próbie znalazł tego, kogo szukał.

– Tak, Nathan Gagnon leży u nas na oddziale intensywnej terapii – odpowiedziała pielęgniarka na jego pytanie. – Przywieziono go w nocy.

– Jak się czuje?

– Zdrowych nie umieszczamy na intensywnej terapii – odparła pielęgniarka z sarkazmem.

– To znaczy, w jakim jest stanie? Jestem z policji stanu Massachusetts. – Wyrecytował numer swojej odznaki.

– Ciężkim, ale stabilnym.

– Zapalenie trzustki – przypomniał sobie Bobby. – Czy jest groźne dla życia?

– Może być.

– A w tym przypadku?

– Musiałby pan porozmawiać z jego lekarzem, doktorem Rocco.

Bobby zapisał to nazwisko.

– Czy chłopiec był już wcześniej u was?

– Kilka razy. Jak mówiłam, powinien pan porozmawiać z doktorem Rocco.

– Dobrze, dobrze. Jeszcze tylko jedno pytanie, jeśli można.

Pielegniarka zastanowiła się, po czym najwyraźniej uznała, że można.

– Słucham.

– Czy kiedykolwiek zauważyliście u chłopca inne obrażenia? Wie pani, połamane kości, sińce niewiadomego pochodzenia...

– Chodzi o to, czy często spada ze schodów? – spytała z ironią.

– No właśnie. Jak sobie radzi ze schodami?

– Dwie złamane kości w ciągu ostatniego roku. Niech pan sam sobie odpowie na to pytanie.

– Dwie złamane kości w ciągu ostatniego roku – mruknął Bobby. – No proszę. Dzięki. Bardzo mi pani pomogła. – Odłożył słuchawkę.

Długo siedział bez ruchu na skraju krzesła, z książką telefoniczną na kolanach. Pot ściekał mu po nosie i kapał na cienki żółty papier. Znów czuł złowieszczą, głęboką ciemność. I pomyślał, że największą ochotę ma nie na bieganie, sen czy rozmowę z Susan, lecz na wizytę na strzelnicy i rozstrzelanie papierowego celu.

I o czym to świadczy?

Rozsądny człowiek zapomniałby o spotkaniu z Catherine Gagnon. Zrobił, co do niego należało, postąpił tak, jak postąpiłby każdy przyzwoity policjant. Teraz może umyć od tego wszystkiego ręce. Poza tym nie ma uprawnień, by prowadzić jakieś zwariowane dochodzenie w sprawie Gagnonów. Tak czy inaczej, czegokolwiek się dowie, nie cofnie tego, co zrobił. Przybył, zobaczył, zabił. Wszelkie dociekania i tak niczego nie zmienią.

Rozsądny człowiek wynająłby dobrego adwokata i przygotował się do długiego procesu.

Bobby westchnął. Inna sprawa, że rozsądny człowiek nie spotkałby się z taką kobietą, jak Catherine, w miejscu publicznym. I nie przejmowałby się tak bardzo dzieckiem, którego właściwie nie zna.

Wstał. Zamknął książkę telefoniczną.

– Doktor Rocco – powtórzył pod nosem i poszedł wziąć prysznic.

## Rozdział 9

Komórka zadzwoniła, gdy tylko wyszedł z domu. Nie miał ochoty jechać do Bostonu samochodem – parkowanie w centrum kosztowało majątek, a poza tym, nie mając do dyspozycji błyskawicznego czerwonego koguta, wolał nie ryzykować jazdy w korkach. Dlatego poszedł na przystanek autobusowy, z pochyloną głową i zwieszonymi ramionami, czując się jak przestępca z listu gończego.

Całe szczęście, że Jimmy Gagnon był biały, pomyślał. W przeciwnym razie nawet z domu nie mógłbym się ruszyć.

Znów zadzwoniła komórka. Rozłożył ją podejrzliwie, wiatr wyrwał mu słowa z ust.

– Tak?

– Bobby? Dzięki Bogu. Od wczoraj próbuję się z tobą jakoś skontaktować.

– Cześć, tato. – Bobby’emu nieco ulżyło. Szedł dużymi krokami do przystanku. – Dzwoniłem do ciebie dziś rano, ale było zajęte.

– Musiałem zdjąć słuchawkę z telefonu. Cholerni dziennikarze nie dawali mi spokoju.

– Przykro mi.

– Nic im nie powiedziałem. Darmozjady w mordę kopane. Ojciec Bobby’ego nienawidził dziennikarzy prawie tak bardzo, jak prezydentów z Partii Demokratycznej. – Jak się trzymasz?

– Tyle o ile.

– Dali ci urlop?

– Do czasu, aż prokuratura zakończy śledztwo.

– Dzwoniłem po ludziach – powiedział Tatko.

Używał swojego prawdziwego imienia, Larry, dopóki nie otworzył zakładu rusznikarskiego, by dorobić sobie do emerytury. Jego liczni klienci z policji, znajomi Bobby’ego, zaczęli go wtedy nazywać Tatkiem i tak już zostało. Bobby był zaskoczony, myślał, że jego szorstkiemu, hardemu ojcu nie spodoba się taka poufałość, ale Larry wyraźnie nie miał nic przeciwko temu. Czasem nawet sprawiał wrażenie, że mu to pochlebia. Cóż, świat się zmienia. Bobby też próbował się zmienić. Na swój sposób. Po prostu w jego przypadku trwało to trochę dłużej.

– Wszyscy cię chwala – mówił Tatko cicho. – Zrobiłeś, co musiałeś zrobić.

Bobby wzruszył ramionami. „Dziękuję” zabrzmiałoby zbyt wyniośle, a mówiąc cokolwiek innego, wyszedłby na niewdzięcznika,

– Bobby...

– Wiem, powinienem był bardziej się starać do ciebie dodzwonić. Nie powinienem pozwolić, żebyś tak długo się niepokoił,

– Nie o to chodzi...

Bobby mówił szybko, by wyrzucić z siebie wszystko, zanim straci odwagę.

– Dużo się ostatnio dzieje. I... nie wiem. Chyba poruszyło mnie to bardziej, niż myślałem. To znaczy, nie wątpię, że postąpiłem słusznie. Musiałem podjąć decyzję na podstawie tego, co widziałem, a z tego, co widziałem, wynikało, że muszę strzelać. Ale z drugiej strony w pokoju było dziecko tego człowieka. Nie dalej niż półtora metra od niego. A ja jego ojcu rozwalilem mózg. Teraz chłopak musi żyć z tym, co zrobiłem, i ja też muszę z tym żyć, i... – Bobby urwał, mówił bardziej chaotycznie, niżby tego chciał. Jezu, jak on się wplątał w cały ten bajzel?

Tatko milczał.

– Męczy mnie to, Tatku. Nie myślałem, że tak będzie. Ale to mnie męczy. A wczoraj... wczoraj wypilem piwo.

Ojciec milczał przez dłuższą chwilę. Wreszcie powiedział z ciężkim westchnieniem:

– Z tego, co słyszałem, raczej pięć.

– Tak, tak, pięć, może nawet sześć.

– I pomogło?

– Nie.

– Jak się dziś czujesz?

– Beznadziejnie.

– I jakie masz plany na wieczór?

– Nie, koniec z tym. Nawaliłem, dostałem nauczkę, wystarczy. – Bobby nie mógł oprzeć się pokusie, by dodać: – A jak ty się trzymasz?

– W porządku. Jeden palant w rodzinie wystarczy, nie sądzisz?

Bobby uśmiechnął się mimo woli.

– Tak, to prawda.

– A co z Susan? – spytał ojciec szorstko. – Masz wolne. Może do mnie przyjdziecie?

– Nie wiem.

– Czego nie wiesz, synu?

– Nie wiem... wielu rzeczy.

– Możesz do mnie wpaść, Bobby. To tylko pół godziny drogi. Porozmawiamy sobie.

– Mogę, fakt. – Co, jak oboje wiedzieli, znaczyło, że tego nie robi. Tatko próbował, Bobby próbował, ale niektórych rzeczy wciąż nie potrafili wybaczyć i zapomnieć. – Tatku, muszę kończyć. – Bobby był już przy przystanku. Stały tam trzy osoby. Jakaś staruszka patrzyła na niego, ich spojrzenia się skrzyżowały.

– Rozmawiałeś z bratem?

– Nie.

– Zadzwoń do niego. Nie chciałbym, żeby dowiedział się o wszystkim z telewizji.

– Tatku, George mieszka na Florydzie.

– Tak, ale wiesz, jak to jest, takie historie... żyją własnym życiem.

W szpitalu, o ironio, nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Po dziesięciu minutach

stania przy stanowisku dyżurnej stracił cierpliwość i podszedł do spisu lekarzy wiszącego przy windzie. Doktor Anthony J. Rocco miał gabinet na drugim piętrze.

Bobby wszedł schodami na górę. Dostał zadyszki. Znalazł oszkloną poczekalnię pełną zabawek i zasmarkanych dzieciaków. Dwoje z nich płakało. Jedna dziewczynka wpychała sobie do buzi metalowy samochodzik. Napis nad drzwiami głosił PEDIATRIA. Bobby uznał, że tu powinien zacząć.

Dyżurna ledwie raczyła na niego spojrzeć. Dała mu formularz i ogryziony długopis, żując gumę i rozmawiając przez telefon. Musiał zaczekać, aż odłoży słuchawkę, by poinformować ją, że nie jest pacjentem, chce tylko porozmawiać z doktorem Rocco. To było dla niej zupełnym zaskoczeniem. Machnął jej przed oczami odznaką, powiedział, że jest z policji, i to wreszcie poskutkowało. Dziewczyna zerwała się z krzesła i potruchtała w głąb korytarza, by poszukać osławionego doktora Rocco.

Nie wiedział, czy się cieszyć, czy wstydzić. Ubrał się w spodnie khaki, koszulę i swoją najlepszą sportową marynarkę, by wyglądać jak typowy detektyw z wydziału zabójstw, co prawdopodobnie nie oznaczało nic ponad to, że nawet policjanci oglądają za dużo telewizji.

Jakieś sześć czy siedem lat temu zastanawiał się, czy nie przejść ze służby patrolowej do dochodzeniówki. Mundurowi zawsze uchodzili za ludzi od czarnej roboty, nawet w organizacji tak elitarnej, jak policja stanowa. Detektywi są bystrzy, dobrzy w wykonywaniu poleceń. Masz łeb na karku, tłumaczył sierżant, po co przez resztę życia telepać się radiowozem?

Bobby wciąż jeszcze zastanawiał się, co robić, kiedy dowiedział się, że zwolniło się miejsce w jednostce STOP. Złożył swoje CV i zaczął się dwudniowy proces selekcji. Musiał zdać egzaminy ustne, wykazać biegłość w posługiwaniu się specjalnymi rodzajami broni i sprostać ciężkim wymaganiom odnośnie formy fizycznej. Potem były specjalne próby: zjazdy na linie, by sprawdzić, czy kandydat ma lęk wysokości; ćwiczenia w gęstym dymie, by sprawdzić, jak radzi sobie w ciężkim stresie. Poddawano ich działaniu zimna i gorąca. Kazano czołgać się w błocie z czterdziestoma kilogramami ekwipunku, tkwić przez trzy godziny w jednej pozycji.

Bezustannie wbijano im do głów, że jednostki antyterrorystyczne muszą być gotowe do działania w każdej chwili i w każdym miejscu. Mogą zostać wezwane w każdej sytuacji i prowadzić akcje na wszystkich rodzajach terenu. Trzeba szybko podejmować decyzje, umieć funkcjonować w stresie i nie wolno się bać. Jeśli przeszło się przez kwalifikacje, dostępowano się prawdziwego zaszczytu, jakim były cztery dodatkowe dni ćwiczeń w miesiącu i stałe pozostawanie w stanie gotowości, świątek, piątek czy niedziela. Bez dodatków do pensji. Wstąpienie do jednostki specjalnej było tylko i wyłącznie powodem do dumy. Dowodem, że jest się najlepszym wśród najlepszych. Że tak w zespole, jak i samodzielnie poradzisz sobie ze wszystkim.

Bobby przetrwał dwudniowy proces selekcji. Dostał się do STOP-u i tego nie żałował. Był dobrym policjantem, służył z najlepszymi. A przynajmniej tak mu się wydawało do przedwczoraj.

Wróciła dyżurna, zaczerwieniona i zdyszana.

– Doktor Rocco może pana przyjąć.

Z poczekalni dobiegł oburzony krzyk dziecka. Bobby z ulgą przecisnął się przez drzwi.

Doktor Rocco siedział w małym gabinecie, zavalonym teczkami, papierami, rysunkami dzieci i planami szczepień. Bobby spostrzegł, że lekarz jest młody, wygląda na nie więcej niż czterdzieści lat. I jest bardzo przystojny – gęste ciemne włosy, szczupła sylwetka. Sprawiał wrażenie dżentelmena. I bez wątpienia czytał „Boston Herald”, bo od razu poznał Bobby’ego.

– Mam kilka pytań dotyczących Nathana Gagnona – zaczął Bobby.

Doktor Rocco milczał. Uważnie przyglądał się Bobby’emu. Jest pod wrażeniem jego tupetu? Dziwi się, jak ktoś taki może pokazywać się publicznie? Chce zasłonić się tajemnicą lekarską? Bobby wyczytał też z jego oczu coś, co zupełnie go zaskoczyło: strach.

I wtedy zrozumiał. Doktor Rocco widzi w nim nie policjanta, lecz mordercę. Pewnie nie on jeden. Cóż, trzeba będzie do tego przywyknąć.

– Proszę usiąść – powiedział pediatra, usuwając z krzesła stertę papierów. – W czym mogę pomóc?

– Słyszałem, że jest pan lekarzem Nathana.

– Tak, od roku. Skierowała go do mnie doktor Wagner, ponieważ prowadzona przez nią kuracja nie przynosiła efektów.

– Nathan jest chory?

– Oficjalnie stwierdzono brak prawidłowego rozwoju i wzrostu.

– To znaczy? – spytał Bobby. Wyjął mały notes i długopis.

– Mówiąc w uproszczeniu, Nathan od urodzenia był poniżej przeciętnej, jeśli chodzi o wzrost, wagę i inne cechy określające poziom rozwoju. Nie rozwija się normalnie.

Bobby zmarszczył brwi, niepewny, czy dobrze zrozumiał.

– To znaczy, że jest za mały?

– Między innymi. Ma osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, jak na czterolatka to bardzo mało. I waży ledwie trzysta kilo. Ale wymiary to nie wszystko.

– Aha.

– Od urodzenia ma wymioty, biegunki i nagłe skoki temperatury. Jest niedożywiony, przeszedł krzywicę, ma za niski poziom fosforanów we krwi, to samo z glukozą. Jak już wspominałem, rozwijał się wolniej niż rówieśnicy, pierwszy raz usiadł w wieku jedenastu miesięcy, ząbkował, kiedy miał półtora roku, a chodzić zaczął w drugim roku życia. Wszystkie te objawy są niepokojące. W zeszłym roku jego stan jeszcze się pogorszył. Miał kilka ataków ostrego zapalenia trzustki i dwa złamania kości. Jest opóźniony w rozwoju i tyle.

Bobby przewrócił kartkę w notesie.

– Czy to nie dziwne, że czterolatek w ciągu roku łamie sobie dwie kości?

– W przypadku Nathana nie,

– Jak to?

– Ma hipofosfatemię, niskie stężenie fosforanów w krwi. W połączeniu z krzywicą powoduje to, że kości są niezwykle kruche i podatne na złamania. Aha, i łatwo robią mu się siniaki.

Bobby podniósł głowę.

– Dlaczego pan to mówi?

– Przecież po to pan przyszedł, prawda? By dowiedzieć się, czy Nathan był maltretowany. I upewnić się, że zabił pan właściwą osobę. – Doktor Rocco dodał cicho: – Nawiasem mówiąc, uważam, że wycelował pan doskonale.

Bobby odłożył długopis. Nie spodziewał się, że rozmowa tak nagle zejdzie na ten temat. Wyglądało na to, że wszyscy wszystko o nim wiedzą. Strasznie go to wkurzyło.

– Uważa pan, że Nathan był maltretowany? – spytał przez zaciśnięte usta.

– Dziecko można skrzywdzić na wiele sposobów.

– Czy ktoś połamał Nathanowi kości?

– Nie. Kości połamała mu krzywica. Dowodzą tego zdjęcia rentgenowskie.

Bobby zasepił się i wziął długopis. Diagnoza doktora Rocco nie spodobała mu się. Był coraz bardziej zbity z tropu.

– No to co się dzieje z tym dzieckiem? Skąd biorą się te wszystkie problemy?

– Nie wiem.

– Jak to, pan nie wie?

– W gruncie rzeczy do tego sprowadza się diagnoza braku prawidłowego rozwoju. Nie wiemy, co się tak naprawdę dzieje. Nie możemy znaleźć przyczyny, więc uciekamy się do ogólników.

– No ale chyba ma pan jakieś przypuszczenia?

– Oczywiście. Zrobiliśmy badania krwi, poziomu ołowiu, analizę moczu i elektrolitów. Wykluczaliśmy cukrzycę, refluks, zaburzenia trawienia i mukowiscydozę. Jeden z najlepszych endokrynologów w kraju zbadał Nathana pod kątem chorób tarczycy, zaburzeń przemiany materii i braku równowagi hormonalnej. Nefrolog zbadał mu nerki, przeprowadził dodatkowe analizy poziomu elektrolitów i potwierdził, że chłopiec nie ma ani cukrzycy, ani anemii. Ja też dokładnie badałem Nathana i posyłałem go do najlepszych specjalistów. I do tej pory nie umiem postawić diagnozy. Z punktu widzenia medycyny, Nathanowi Gagnonowi w gruncie rzeczy nie jest poza tym, że jest bardzo, bardzo chory.

Bobby zaczynał mieć dosyć tej rozmowy. Wziął długopis, obrócił go w palcach, odłożył i znów podniósł.

– Nie lubił pan Jimmy’ego Gagnona – powiedział w końcu.

– Ani razu go nie spotkałem. Ani razu?

– Tak. Nathan był u mnie dwa, trzy razy w miesiącu. Przez ostatnie pół roku cztery razy trafiał na pogotowie. A Jimmy’ego Gagnona nie widziałem ani razu. To powinno dać panu do myślenia.

Bobby przyjrzał się przystojnemu lekarzowi.

– Od kiedy sypia pan z Catherine?

Doktor Rocco nawet nie był zaskoczony.

– Zasługiwała na kogoś lepszego niż Jimmy – powiedział spokojnie. – Zaniedbywał ją?

– Gorzej. – Lekarz nachylił się ku niemu z napiętą twarzą. – Zadaje pan niewłaściwe pytania.

Nathanowi łatwo robią się sińce, ale Catherine nie.

– Bił ją?

– Sam widziałem siniaki.

– Podbite oczy?

– Aż tak głupi nie był. Nie bił jej w odsłonięte miejsca. Chodziłem do szkoły z takimi jak on.

Takimi, co to tłuką dziewczyny, by pokazać, jacy są twardzi.

– Mógł pan to zgłosić na policji.

– Tak? Żeby jakiś policjant patrzył na mnie tak, jak teraz pan? Nawet gdybym z nią nie sypiał, wystarczyłoby, żebym miał na to ochotę, by żaden z was nie potraktował mnie poważnie.

– A nie mógł pan rozmówić się z Jimmym?

– Myślałem o tym.

– I...?

– Któregoś dnia do nich poszedłem. Kiedy wiedziałem, że Catherine i Nathana nie będzie w domu. Zapukałem, ale nikt nie otworzył.

– I więcej się pan tam nie zjawił? Facet bije kobietę, którą pan kocha, więc idzie pan do pustego domu i to panu wystarcza? – Bobby spojrzał na niego spode łba.

– A co miałem zrobić? – powiedział doktor Rocco przez zaciśnięte zęby. – Pogrozić mu bronią?

To była złośliwa aluzja. Bobby tylko wzruszył ramionami i powiedział szczerze:

– Ja bym tak zrobił.

Doktor Rocco poczerwieniał. Odchylił się, założył ramiona na piersi i wbił wzrok w podłogę.

– Powiedziałem jej, żeby go rzuciła – wykrztusił wreszcie.

– I pan by się nią zaopiekował? – Bobby spojrzał znacząco na jego lewą dłoń, na której połyskiwała złota obrączka. I tym razem doktor Rocco się nie speszył.

– Byłby to dla mnie zaszczyt.

– Ale nie zrobiła tego.

– Powiedziała, że nie wiem, co mówię. Że jeśli odejdzie, Jimmy zniszczy ją i wszystkich, którzy spróbują jej pomóc. Że to będzie koniec mojej kariery.

– I uwierzył jej pan?

– Nie. Tak. Nie wiem. Nie znałem Jimmy'ego Gagnona osobiście, pamięta pan? Tylko z opowieści. Ale pół roku temu Jimmy dowiedział się o naszym... związku. Znalazł listy, które pisałem do Catherine, tylko po to, by dodać jej otuchy, a ona chyba nie miała serca ich spalić. Było jej ciężko.

Bobby milczał.

– Następnego dnia zjawił się u mnie prywatny detektyw i zaczął wypytywać o Nathana. Miał pisemne oświadczenie, w którym Jimmy żądał wydania akt medycznych syna. Po dziesięciu minutach zrozumiałem, do czego zmierza. Chciał wy badać, czy przyczyną złego stanu zdrowia Nathana może być głodzenie lub inna forma maltretowania. Krótko mówiąc, sugerował, że winna choroby chłopca jest Catherine, że głodzi syna na śmierć.

– A to możliwe?

– Nie sądzę.

– Nie sądzi pan? – Bobby uniósł brwi. – Dopiero co pan mówił, że chłopak cierpi na jakąś trudną do zdiagnozowania chorobę. A teraz sugeruje pan, że matka jednak może być wszystkiemu winna?

– Wie pan, bez poznania przyczyn stanu Nathana, z medycznego punktu widzenia niczego nie mogę wykluczyć. Owszem, któreś z rodziców może go głodzić, podtruwać czy zniechęcać do jedzenia. Jako lekarz pytałem o to Catherine, Nathana i jego nianie. Wszyscy zgodnie twierdzili, że chłopiec zawsze był regularnie karmiony. Ale ja jestem tylko lekarzem. Po pracy wracam do swojego domu, a Nathan do swojego.

– A więc ktoś może się nad nim znęcać?

– To możliwe – powiedział doktor Rocco wyraźnie zniecierpliwiony – ale raczej mało prawdopodobne. I to właśnie powiedziałem temu detektywowi. W każdym razie to bez znaczenia. Przestałem spotykać się z Catherine, ona pogodziła się z Jimmym i nikt nie miał więcej pytań. O to właśnie chodziło. Jimmy chciał zademonstrować, że ma władzę. Gdyby Catherine go opuściła, trafiłaby za kratki i więcej nie zobaczyła syna. Catherine to mądra kobieta. Postąpiła tak, jak musiała postąpić. A między nami mówiąc, nie wiem, co jeszcze Jimmy jej zrobił, ale kiedy przyszła tu, by ze mną zerwać, ledwo stała na nogach. Takim właśnie człowiekiem był Jimmy Gagnon. Tak więc powiedziałem to raz i powiem znowu: z mojego punktu widzenia, panie Dodge, wycelował pan doskonale.

Bobby zmrużył oczy.

– Myśli pan, że po śmierci Jimmy'ego Nathan nagle wyzdrowieje jak za dotknięciem różdżki?

– Nie wiem. I szczerze mówiąc, to już nie moja sprawa. Dziś rano oficjalnie przestałem być lekarzem Nathana. Skierowałem go do doktora Iorfina na polecenie doktora Gerritsena, ordynatora oddziału pediatrycznego.

– Został pan zwolniony z opieki nad Nathanem? – spytał Bobby zaskoczony. – Przez swojego szefa?

– Nawet pan się nie domyśla, jak daleko sięgają wpływy sędziego Gagnona – powiedział doktor Rocco cicho. Po chwili uśmiechnął się dziwnie. – Ale proszę się nie przejmować. Nie jestem tak bezradny, jak się panu wydaje. Doktor Iorfino to genetyk. I coś mi mówi, że jeszcze wyjdzie na moje.

## Rozdział 10

Wychodząc ze szpitala, Bobby usłyszał za plecami kroki. Przyspieszył, włożył ręce do kieszeni i spuścił głowę, dyskretnie zerkając za siebie. Zobaczył nogi w czarnych półbutach wypastowanych na wysoki połysk. Alfonsówki, tak nazwałby je Tatko.

Zaraz za rogiem nagle odbił w lewo. Facet zauważył to trochę za późno i szerokim łukiem skręcił w ślad za nim. Bobby miał okazję dobrze mu się przyjrzeć. Długi, beżowy, dobrze skrojony trenz. Czarne spodnie od garnituru, nienagannie zaprasowane nogawki. Prawnik, pomyślał Bobby. I nagle...

Stanął i ku zaskoczeniu nieznajomego oparł się plecami o witrynę sklepu. Starszy, tęgi mężczyzna o schludnie zaczesanych na uszy srebrno-brązowych włosach zatrzymał się w pół kroku, podniósł ręce i uśmiechnął się promiennie.

– No to wpadłem.

– To zaraz wypadniesz. – Bobby podszedł do niego z groźną miną, ale mężczyzna znów się uśmiechnął.

– I co pan robi, panie Dodge? Napadnie mnie na ruchliwej ulicy? Obaj wiemy, że nie lubi pan walki wręcz. Za to gdyby dać panu karabin i wsadzić pana do oddalonego o kilkadziesiąt metrów ciemnego pokoju ...

Bobby złapał mężczyznę za kłapy. Zauważyli to trzej przechodnie, natychmiast się rozpięchli.

– Chcesz się przekonać? – warknął.

– Bobby...

– Coś ty za jeden?

– Przyjaciel.

– No to gadaj, przyjacielu, o co ci chodzi, bo za pół minuty urwę ci jaja.

Mężczyzna się zaśmiał, tym razem jednak już nie tak serdecznie. Przekonał się, że Bobby nie blefuje.

– Chcę tylko porozmawiać.

– Po co?

– Bo mam ci do powiedzenia coś, co cię zainteresuje.

– Jesteś adwokatem?

– Detektywem.

– Kto cię wynajął?

– Przecież wiesz.

Bobby zastanawiał się przez chwilę.

– James i Maryanne Gagnon.

– Właściwie sama Maryanne. To ona złożyła pozew. À propos, Harris jestem. – Podał mu rękę. Bobby zignorował ten gest. – Harris Reed, z firmy Reed and Wagner Investigations. Może o nas słyszałeś?

– Nigdy w życiu.

– Jakże mi przykro. Mógłbyś na chwilę puścić mój płaszcz? Chodź, przejdziemy się. Wyglądasz na sprawnego fizycznie. Z drugiej strony, domyślam się, że po spotkaniu z Catherine Gagnon pewnie trochę brak ci tchu.

Bobby powoli puścił jego kołnierz. – Śledziłeś mnie.

– Ścisłe mówiąc, interesowałem się, co robisz. To jak, idziemy?

Gestem zaprosił go do wspólnego spaceru. Bobby zacisnął usta, lecz po chwili z ociąganiem ruszył za nim. Był zaintrygowany i obaj o tym wiedzieli.

– Piękna jest, co? – zagaił detektyw.

Bobby nie odpowiedział.

– Byłoby łatwiej, gdyby była brzydka? – spytał Harris. – Pewnie gnębi cię to, że ledwo spotkałeś wdowę po człowieku, którego zabiłeś, a już masz ochotę ją zerznąć.

– Do rzeczy.

– Zadajesz wiele pytań. W związku z tym pomyślałem, że powinieneś poznać odpowiedzi. Mówić dalej?

– Do rzeczy – powtórzył Bobby.

Harris tylko posłał mu kolejny irytujący uśmiech.

– Pracowała na stoisku z perfumami w Filene's – zaczął. – Mówiła ci o tym? Tak, piękna pani Gagnon zarabiała na życie, opryskując klientów próbkami perfum. Nie dość, że nie skończyła studiów, to jeszcze nie miała żadnych godnych odnotowania kwalifikacji. Sprzedawała perfumy, mieszkała w zaszczurzonym mieszkaniu we wschodnim Bostonie i co dwa dni nosiła tę samą sukienkę. Oczywiście do czasu, kiedy poznała Jimmy'ego.

– Ile miał wtedy lat? Osiemnaście?

– Dwadzieścia siedem.

– A więc był już dużym chłopcem, który wiedział, co robi.

– Tak by się wydawało. Ale w przypadku takiej kobiety jak Catherine pozory często mylą.

– Taaa, jest wilkiem w owczej skórze, ple, ple, ple. Przejdź wreszcie do rzeczy.

– Jimmy Gagnon był playboyem. Na pewno słyszałeś krążące o nim opowieści. Przystojny, rozrywkowy, niezależny i oczywiście bardzo rozrzutny. W jego życiu było wiele kobiet. Przyznaję, że jego rodzice zaczynali się lekko niepokoić, czy kiedykolwiek się ustatkuje. Wtedy poznał Catherine. On się uśmiechnął, ona prysnęła perfumami i tak się zaczęło. Moi pracodawcy, James i Maryanne, początkowo byli zachwyceni. Catherine była miła, cicha, może nawet trochę nieśmiała. Potem Jimmy opowiedział im tragiczną historię jej życia.

– Wiele smutku – mruknął Bobby.

– Słucham?

– Nie, nic.

– Poczytaj sobie o Catherine. Sprawdź akta z roku 1980, pod hasłem „Cud Święta Dziękczynienia”. Tak ją wtedy nazywano. Po tym, jak została uprowadzona przez pedofila, który przez dwadzieścia osiem dni więził ją w jamie wykopanej w ziemi. Szczęśliwym trafem znaleźli ją myśliwi. Gdyby nie to, Bóg raczy wiedzieć, co by się z nią stało.

Jimmy’ego zafascynowała ta historia. Musiałbyś zobaczyć, jak Catherine wyglądała sześć lat temu, kiedy się poznali. Wychudzona, podkrążone oczy, znoszona sukienka. Była nie tylko piękna, ale i bardzo nieszczęśliwa, jak uwięziona królowa. Powiedziała Jimmy’emu, że tylko on może odmienić jej los, a on połknął haczyk. Po kilku miesiącach zaręczyli się i wzięli ślub. Catherine Gagnon przybyła, zobaczyła, zwyciężyła.

Przeszli razem już jedną przecznicę.

– Krótko mówiąc, Jimmy zdobył piękną żonę, a Catherine konto bankowe.

Bobby wzruszył ramionami.

– Tak bywa w przypadku połowy małżeństw z wyższych sfer. W czym problem?

– Chodzi o ich syna. Nathan urodził się rok później, a Catherine przeżyła załamanie nerwowe. Okazało się, że nie nadaje się na matkę. Wtedy James i Maryanne zaczęli się bać. Nie tylko tego, co Catherine robi Jimmy’emu, ale co może zrobić Nathanowi.

Harris nagle zmienił temat.

– Kiedy porwał ją Richard Umbrio, miała raptem dwanaście lat. Wiesz, sam byłem policjantem, pracowałem w wydziale zabójstw w Baltimore. Nieważne, ile spraw byś prowadził, uprowadzenia dzieci są najgorsze. Dziewczynka wraca do domu ze szkoły, a tu nagle ktoś wciąga ją do samochodu, ona pewnie krzyczy na cały głos, ale nikt nic nie słyszy. A Richard nie był jakimś tam wymoczkim, jak większość pedofilów, tych, co to wyzywają się na dzieciach, bo z dorosłymi by sobie nie poradzili. Nie, w wieku dwudziestu lat Richard Umbrio miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył sto dziesięć kilo. Sąsiedzi na wszelki wypadek schodzili mu z oczu. Catherine pewnie ważyła ze czterdzieści kilo. Jak takie kurczątko mogło walczyć z takim typem? Mówię ci, dla niektórych kutasów piekło to zbyt łagodna kara. Richard zabrał ją do lasu. Wrzucił ją do jamy, w której mógł robić z nią, co chciał, bez obaw, że ktoś usłyszy jej krzyki. Miała puszkę po kawie służącą za nocnik, butelkę wody i bochenek chleba. To wszystko. Żadnej latarki, pryczy czy koca. Więził ją tam jak zwierzę. I przez prawie miesiąc robił z nią, co mu się żywnie podobało i kiedy mu się żywnie podobało. Pomyśl tylko, jaki wpływ na psychikę dziecka musi mieć takie regularne maltretowanie. Pomyśl, jak musiała się czuć. Samotna w ciemnościach ze zboczeńcem na karku. Aż nóż się w kieszeni otwiera, co?

Bobby nie odpowiedział, ale twarz mu stężała, a dłonie zacisnęły się w pięści. Coś mu mówiło, że Harris jeszcze nie powiedział najgorszego. To tylko wstęp; dopiero się rozkręca.

– Może Catherine miała szczęście, że ją znaleźli – mówił Harris. – A może nie. Jak można dojść do siebie po czymś takim? Czy dziecko może zapomnieć, wrócić do normalności?

Zamilkł na chwilę, po czym oznajmił:

– Gdy tylko przywieźli Nathana do domu, Catherine przestała sypiać. Jimmy przyłapywał ją na tym, jak chodziła po domu i gorączkowo zapalała wszystkie światła. Kiedy kładł ją do łóżka, zaraz z niego uciekała. Gasił światła, a ona zapalała je znowu, nawet na strychu. Dziwne nawyki to nie wszystko. Nathana nosiła w sztywno wyprostowanych rękach. On płakał, a ona trzymała go jak wazę z zupą, którą nie wiedziała, gdzie postawić. Trzeciego dnia Jimmy zastał ją stojącą nad łóżeczkiem z poduszką. Kiedy spytał, co robi, odpowiedziała, że Nathan powiedział jej, że jest zmęczony i musi się przespać. Jimmy wpadł w popłoch i zadzwonił do rodziców. Zgodzili się, że nie można zostawiać dziecka samego z Catherine, i postanowili wynająć nianię. Trzeba przyznać, kiedy zjawiała się niania, wszystko się trochę uspokoiło. Głównie dlatego, że Catherine oddała jej syna i szlus. Dosłownie. Niania wzięła dziecko, a Catherine zrobiła sobie wakacje. Jak się zapewne domyślasz, Jimmy trochę się wkurzył. Myślał sobie, że ożenił się z czarującą młodą damą, ba, ocalił ją, a ona w podzięce porzuciła dziecko, zaczęła wojażować po Europie i zadawać się z facetami, których nazywała swoimi kolegami. Owszem, trzeba uczciwie powiedzieć, że Jimmy nie był najwierniejszym z mężów, a ich małżeństwa z całą pewnością nie można było nazwać szczęśliwym.

– To dlaczego jej nie zostawił? – spytał Bobby. – Lubił ją tłum?

– Ach, te osławione opowieści o maltretowaniu. Już je słyszałeś. Cóż, powiedzmy sobie, że plotki o przemocy w rodzinie często bywają mocno przesadzone. Pokaż mi policyjny meldunek. Pokaż mi zdjęcia czy choć jednego świadka. Historyjki łatwo opowiadać, my trzymajmy się faktów.

– Fakt numer jeden. – Bobby podniósł palec. – Skoro Jimmy był tak nieszczęśliwy, dlaczego nie odszedł?

– Chciał to zrobić. Wtedy Nathan zachorował po raz pierwszy.

– Że co?

– Dobrze słyszałeś. Jimmy postanowił odejść i Nathan nagle zachorował. I to ciężko, według Catherine. Potrzebne były specjalne badania, opieka lekarska. Zwróciła się do najlepszych specjalistów, a Jimmy natychmiast wrócił do domu. Jego syn był śmiertelnie chory, na litość boską. W takich okolicznościach nie można ot tak zostawić żony.

I tak to się potem ciągnęło. Jimmy przyłapywał Catherine w łóżku ze swoim krawcem, wściekał się, a Nathan leżał w szpitalu. Chory, to fakt – wymioty, gorączka, niedożywienie – aż do chwili, kiedy Jimmy miękł. Wtedy następowało cudowne ozdrowienie i Nathan wracał do domu. Jak się pewnie domyślasz, James i Maryanne byli bardzo zaniepokojeni. Nie dość, że Jimmy zmienił się w kłębek nerwów, to jeszcze aż strach pomyśleć, co działo się z ich wnukiem.

– I stąd zarzuty o znęcanie się nad dzieckiem – stwierdził Bobby. Zatrzymał się i spojrzał Harrisowi w oczy. – Masz jakieś dowody na potwierdzenie tej historyjki? Bo lekarz Nathana twierdzi, że problemy chłopca mają podłoże fizjologiczne.

– Doktor Lancelot? – prychnął Harris, stając przed nim. – Przekaż mu pozdrowienia dla żony i dzieci. Catherine tak go omotała, że przysięgłby, że księżyc jest z sera, gdyby uznał, że ją tym

uszcześliwi. Pół roku temu Jimmy dowiedział się o ich romansie. I wtedy wynajął mnie. Miałem jej pilnować. Po to, by wy badać, co tak naprawdę dzieje się z Nathanem, i w razie czego go ochronić. Jimmy miał dosyć. Pół roku temu zaczął planować rozwód.

Doszli do skrzyżowania. Ruch był tu większy, ryk silników zagłuszał słowa. Nie miało to jednak znaczenia. Bobby wiedział, co Harris zaraz powie.

– Podejrzenia Jamesa i Maryanne były uzasadnione – powiedział detektyw cicho. – Niestety, nie docenili Catherine. Skoncentrowali się na Nathanie, nawet nie pomyśleli o biednym Jimmym.

We wtorek rano Jimmy Gagnon oficjalnie wystąpił o rozwód. I raptem sześćdziesiąt godzin później już nie żył. Sam powiedz, czy to nie za duży zbieg okoliczności?

– Daj spokój, Harris. Wezwano nas do awantury rodzinnej. Nie mogła wiedzieć, jak to się skończy.

– Oglądałeś wiadomości w czwartek wieczorem? Słyszałeś, że bostońscy policjanci są na akcji, ci sami policjanci, którzy znali Jimmy’ego i Catherine, i mogli subtelniej rozwiązać tę sytuację? Ciekawe, czy Catherine też wtedy oglądała telewizję.

– Tak czy inaczej, nie mogła wiedzieć, że Jimmy wróci do domu zalany, że się wścieknie, że złapie za broń...

– Naprawdę? Wiesz, znam wiele żon, które doskonale znają najczulsze punkty swego męża i bez trudu potrafią go sprowokować. Na pewno zgodzisz się ze mną, że każda kobieta wie, jak obudzić w mężu żądzę mordu.

Spojrzał na niego znacząco. Tym razem Bobby nie miał gotowej odpowiedzi.

– Nie – mruknął wreszcie. – Za dużo czynników pozostawało poza jej kontrolą. Nawet gdy już wezwała policję, nie mogła wiedzieć, jak się to wszystko rozwinie. Nie gadaj głupot.

Ale nie mówił już tak zdecydowanym tonem, bo wcale nie był pewien, czy ma rację. Odwrócił się. Miał dość tej rozmowy.

– Zadzwoń do ciebie znowu – powiedział Harris. – Powie, że jej syn jest ciężko chory. Że jesteś jej jedyną nadzieją. Będzie cię błagała o pomoc. W tym jest najlepsza: w niszczeniu mężczyzn.

– Naprawdę myślisz, że zabiłaby własne dziecko tylko po to, by odegrać się na mężu?

Harris wzruszył ramionami.

– Może mężczyźni to brutale, ale kobiety za to są okrutne.

## Rozdział 11

Mężczyzna siedzący przy stoliku przed kawiarnią w Fanueil Hall popatrzył ze zmarszczonym czołem na swoją podwójną mocha latte, a potem się rozejrzał. Co oni, do cholery, zrobili z tą dzielnicą? Fanueil Hall, jaką pamiętał, była pełna uroczych małych butików, starych irlandzkich pubów i sklepików z tandentymi pamiątkami. Teraz stały tu Disney Store, Gap i Ann Taylor. Zabytkowy rynek zmienił się w zasrany hipermarket. Postęp, w mordę kopany.

Mruknął coś pod nosem, upił łyk podwójnej latte i skrzywił się. Od dawna miał ochotę na taką kawę – napatrzył się na bohaterów seriali, gwiazdy rocka i aktorki sączące w modnych kawiarenkach podwójne sojowe coś lub dużą mokrą z chudym mlekiem. Marzenie każdego Amerykanina: nosić obcisłe ciuchy, sączyć napoje z dużą zawartością kofeiny i jeździć wozem terenowym, z żoną o wyglądzie Jennifer Aniston na przednim siedzeniu i zasapanym golden retrieverem na tylnym.

I cóż, po tylu latach niecierpliwego czekania przekonał się, że podwójna mocha latte smakuje niewiele lepiej niż kocie szczyny. Zamiast marzeń o samochodach, meczach piłki nożnej czy starannie przystrzyżonych trawnikach, obudziła w nim złość, że wyrzucił tyle forsy na taki syf. Miał ochotę podejść do lady, stanąć przed ponurą kasjerką o czarnych włosach i twarzy poprzekłuwanej niezliczonymi kolczykami. Nie powiedziałaby ani słowa. Stałby tylko. I patrzył. Zaraz oddałaby mu pieniądze.

A potem wyszłaby tylnym wyjściem i zapaliła upragnionego papierosa, roztrzęsiona, choć sama nie wiedziałaby dlaczego.

Chciałby wtedy zobaczyć jej minę. Przez ostatnie ćwierć wieku najbardziej brakowało mu właśnie widoku wykrzywionej strachem, pobladłej dziewczęcej twarzy. Rozszerzających się, ciemniejących źrenic. I tej chwili, tej cudownie podniecającej chwili, kiedy w oczach pojawi się prawdziwe przerażenie, kiedy strach przestaje być mglisty, nieokreślony. Kiedy dociera do nich, że naprawdę je zabije. Że należą do niego i nic a nic nie mogą zrobić.

Przesiedział w więzieniu osiem tysięcy trzysta sześćdziesiąt trzy dni. Zamknęli go dzień po jego dwudziestych urodzinach. Owszem, był potężnie zbudowany, nadzwyczaj silny i, jak zeznali jego sąsiedzi, „dziwny”. Mimo to był jeszcze dzieckiem.

A teraz od kilku godzin jest wolnym człowiekiem. Ma czterdzieści cztery lata. Komisja decydująca o zwolnieniach warunkowych uznała, że z biegiem czasu się uspokoił, a okres za kratkami pomógł mu ujarzmić najniższe instynkty. Po prawie dwudziestu pięciu latach spędzonych w więzieniu na pewno będzie grzeczny.

Przemyślał to. E tam. Najchętniej to by kogoś zabił.

Obok przeszły dwie dziewczyny. Osiemnaście, dziewiętnaście lat. Jedna podchwyciła jego spojrzenie. Pokazała mu środkowy palec, po czym lekko zakręciła biodrami i niespiesznie

ruszyła dalej. Miała tak nisko opuszczone i tak obcisłe dzinsy, że wyglądały jak namalowane na tyłku. Mruknął coś pod nosem i dziewczyna nagle przyspieszyła kroku, ciągnąc za sobą zaskoczoną koleżankę. Uśmiechnął się. To wynagrodziło mu paskudny smak kawy.

Odsiadkę zaczął na oddziale specjalnym dla „kapusiów i lalusiów”. Cela jak pokój w internacie, złagodzony rygor. Adwokat bez przerwy powtarzał, jak wielkie miał szczęście, że tu trafił. „Nie spieprz wszystkiego – powiedział mu surowo. – Taki jak ty na nic lepszego nie może liczyć”.

Pierwszej nocy jego współwięzień skulił się w rogu pryczy i zaczął błagać: „Nie gwałć mnie, nie gwałć mnie”. Mężczyzna spojrział na niego z obrzydzeniem. Takie rzeczy go nie brały.

Drugiej nocy współwięzień rozplakał się, a mężczyzna uległ najniższym instynktom i pobił go do nieprzytomności. Tamten przynajmniej się zamknął. Mężczyzna zarobił za to naganę. I zyskał reputację.

Wtedy jeszcze tego nie wiedział, ale sępy już go obserwowały, plotki w więzieniu rozchodziły się lotem błyskawicy. Za karę przeniesiono go na oddział ogólny i wtedy zaczęła się prawdziwa przygoda. Biały człowiek miał w więzieniu dwie możliwości: przystąpić do aryjskiego bractwa zapewniającego ochronę przed czarnymi i Latynosami lub się nawrócić. W betonowych murach Walpole Bóg miał niewiele do gadania. Mężczyzna (a właściwie jeszcze chłopiec) został neonazistą.

Wiele się nauczył. Jak wydłubywać dziury w ścianie celi i ukrywać w nich narkotyki pod warstwą pasty do zębów i farby modelarskiej. Jak chować papierosy, kokainę, heroinę, wszystko, czego dusza zapagnie, w podwiniętych nogawkach spodni. Jak przymocować żyłki do metalowego stelaża pryczy lub wnętrza spłuczki, by niedoświadczeni strażnicy pokaleczyli sobie palce.

Jak żyć w otoczeniu brudnych, gniewnych ludzi. Jak szczać na oczach współwięźniów. Jak srać na oczach współwięźniów. Jak przesypiać stłumione okrzyki i budzić się przy nich. Jak dzień w dzień wdychać zatechłe powietrze cuchnące moczem i środkami odkażającymi.

Ale nie był wystarczająco pojętym uczniem. Dopadli go w drugim roku odsiadki. Boston Red Sox grali o awans do finału ligi i strażnicy siedzieli z nosami w telewizorze. Latynosi wyrosli jak spod ziemi i dali mu niezły wycisk. Strażnicy mówili, że niczego nie zauważyli. Podobnie jak dwaj bracia neonaziści, którzy ani na chwilę nie oderwali oczu od telewizora.

Był duży, był silny, był wściekły. Połamał kilku napastnikom zębra, nosy i nadgarstki. W końcu pchnęli go nożem w nerkę. Zwalił się jak ranny nosorożec i leżał na podłodze w kałuży krwi.

Wtedy podszedł jeden z białych. „Było nie gwałcić dzieci” – wycedził i plunął mu w twarz.

Leżąc na betonowej podłodze, w powiększającej się kałuży krwi, mężczyzna zaczął snuć plany.

W izbie chorych podali mu krew i antybiotyki. Lekarka go zszyła, zaaplikowała mu leki i powiedziała, żeby uważał na swoją ocalałą lewą nerkę, jeśli chce żyć.

Władze więzienia nie były głupie. Jeśli wróci na oddział ogólny, zginie. Jeśli umieszczą go na oddziale specjalnym, zginie ktoś inny. Co robić?

Dać mu pojedynczą celę. Tylko to zostało. Po tygodniu zdał sobie sprawę, że jego gówniany adwokat miał rację – oddział specjalny to najlepsze, na co mógł liczyć.

Teraz siedział sam w celi o rozmiarach dwa na trzy metry. Co dzień wypuszczano go na godzinę, by poćwiczył na zamkniętym dziedzińcu wielkości psiarni i się umył. Mógł oglądać świat przez prostokątne okno mniej więcej wielkości jego twarzy. Patrzeć, jak żółkną i opadają liście. Jak śnieg okrywa drzewa. Jak boleśnie powoli mijają pory roku, miesiąc po miesiącu, rok po roku.

Najlepsze, co mogło go czekać, to funkcja „woźnego”, sprzątającego blok, w zamian za nieco większą celę. Tak, to się nazywa szczyt marzeń. Najciekawszym zajęciem było oglądanie Britney Spears w telewizji. Tyle czasu. Nic, tylko siedzieć. Myśleć. I snuć plany. W więzieniu najważniejsza jest siła. Siła to pieniądze. Znienawidzono go, budził strach, ale był cierpliwy. Zbierał papierosy. Czekał, aż w więzieniu pojawi się świeża krew, ktoś, dla kogo przyszłość będzie ważniejsza od przeszłości.

Minęło osiem lat, nim upatrzył sobie odpowiedniego kandydata. Młody chłopak, niewiele starszy niż on sam, kiedy go zamknęli, tyle że w odróżnieniu od niego chudy i przyszczyty. Jak się okazało, w przedszkolu prowadzonym przez jego matkę kręcił świńskie filmiki z małymi dziewczynkami. Chłopak trafił na oddział specjalny, gdzie co noc siedział z wybałuszonymi oczami, świadom, że nie ma szans przetrwać. Czekał, aż go dopadną.

Mężczyzna zdążył ich jednak uprzedzić. Dał strażnikowi trochę pieniędzy, a ten w zamian przekazał chłopakowi liścik od pana Bosu. Jeszcze trochę forsy, kilka liścików i chłopak był gotowy. Pan Bosu go przekonał: jeśli chłopak chce przeżyć, musi zaatakować pierwszy. Jeśli w ciągu pierwszych kilku tygodni zdobędzie odpowiednią reputację, będzie miał święty spokój.

Dzieciak połknął haczyk; pan Bosu zaoferował dalszą pomoc. Jak zrobić nóż, jak go ukryć. Jak szybko wyjąć zaostzony kawałek metalu i zniecka zaatakować. Aha, i jak wybrać odpowiedni cel.

Latynosi go nie obchodzili. Wiadomo, dla rozrywki zabiliby każdego białego. Pan Bosu chciał zapolować na grubszego zwierza.

To było w czwartek. Pornodzieciak podawał obiad w stołówce oddziału specjalnego. W kolejce stanęli dwaj biali więźniowie, których sobie upatrzył. Dzieciak powiedział: „Moment, trzeba przynieść świeże jedzenie”. Wyszedł zza lady, nikt nawet nie zwrócił na niego uwagi.

Pierwszego neonazistę załatwił, zanim ten zdążył się odezwać. Drugi zaskoczony podniósł tace, a chłopak skoczył mu do gardła.

Później po więzieniu krążyły opowieści. O tym, jak zaskakująco silny okazał się ten chudy dzieciak. Jak rzucił się na dwóch rasistów niczym zwinna małpa, z obnażonymi zębami i dzikimi oczami, jak poderznął im gardła. Więźniowie siedzący przy stołach nie wiedzieli, czy ich koszule poplamiła tryskająca krew, czy sos marinara z rozgotowanego spaghetti.

Rozpętało się prawdziwe piekło. Inni neonaziści zerwali się z miejsc i jak na tępych neandertalczyków przystało, rzucili się na najbliższych Latynosów, zamiast obezwładnić długorękiego dzieciaka zarzynającego członków ich gangu.

Strażnicy wpadli do stołówki z grubymi materacami i zaczęli strzelać z gumowych kul do każdego, kto był na tyle głupi, by stać. Zarządzono blokadę więzienia, zawyły syreny, a dzieciak stał na środku z nożem w zakrwawionej ręce i wrzeszczał: „Niech tylko któryś z was, dupojebcy, spróbuje mnie dotknąć!”

Wspaniała chwila, pomyślał mężczyzna. Był mile zaskoczony zachowaniem podopiecznego. Oczywiście po dwóch dniach chłopak zniknął. W pralni było dużo krwi, ale ani śladu ciała. Na wszelki wypadek przez jakiś czas nikt nie jadł klopsików.

Władze stanowe powołały specjalną komisję, która miała zająć się działalnością gangów w więzieniach. A naczelnik puścił im film o „wrażliwości rasowej”. Potem wszyscy mówili: „Wkurwiasz mnie ty, do twojej rasy nic nie mam”, zanim komuś obili mordę.

Mężczyzna czuł się dobrze przez kilka dni, po czym wrócił do gapienia się na ściany.

Nie było mu już jednak tak źle. Po więzieniu rozeszły się plotki o tajemniczym panie Bosu. Miał przyjaciół, miał znajomości. Nikt nie był pewien, co to właściwie za jeden, ale gościu wszystko potrafił załatwić, nawet za kratami.

Był zadowolony. Siedząc w pojedynczej celi, dokonał czegoś nadzwyczajnego – stał się postrachem więzienia.

Teraz już wiedział, biegając co dzień po dziedzińcu, robiąc pompki, brzuszki i przysiady, że na tym jego życie się nie skończy. Że stąd wyjdzie. Wróci do świata. Będzie twardszy i mądrzejszy.

I wszystko będzie dobrze.

Wtedy był chłopcem. Ulegał impulsom, popełniał błędy. Teraz jest mężczyzną. Zaprawionym w bojach. Wie, jak wiele warta jest cierpliwość. I zna kodeks karny na wylot.

Wspaniały pan Bosu nie będzie pracował w McDonalddie. Nie zamierza harować jak wół za marne, grosze i do końca życia dziękować komuś, że łaskawie raczył zatrudnić takiego bandziora jak on.

Odsiedział swoje. I nigdy nie wróci za kratki.

O nie, on ma wizję swojej przyszłości. Dokładnie zaplanował dalszą karierę. Zaczął o niej myśleć, jeszcze zanim skontaktował się z nim tajemniczy dobroczyńca X, ten, który załatwił mu zwolnienie warunkowe i przekazał listę zleceń.

Pan Bosu zgarnie kupę forsy, w dodatku robiąc to, co potrafi najlepiej: niszcząc ludzkie życie.

Uśmiechnął się. Zgniół styropianowy kubek i wstał od stolika. Inni klienci spojrzeli na niego. I natychmiast się odwrócili.

Dwadzieścia pięć lat temu pan Bosu popełnił jeden błąd. Darował jej życie.

Drugi raz tego błędu nie popełni.

## Rozdział 12

Catherine jechała do ojca. Zapadał zmrok, kolejny dzień przedwcześnie dokonywał żywota, zwiastując nadejście zimy. Była zmęczona. Ledwo widziała na oczy, za mocno ścisnęła kierownicę, starała się zmienić pozycję. Nie lubiła prowadzić. Co rusz odkręcała szybę, by orzeźwiło ją zimne powietrze, lub nastawiała głośniej odtwarzacz. Jimmy zawsze żartował z niej, że gdyby wybrała się w dłuższą podróż, od razu by zasnęła i zabiła się przed pierwszym postojem.

Skrzywiła się na myśl o nim. Poczowała bolesne ukłucie w sercu. Kiedy ostatnio powiedzieli sobie coś miłego? Kiedy przestali udawać, że się kochają? Właściwie co za różnica. Był stałym elementem jej pejzażu i brakowało jej go tak, jak innym brakowałoby amputowanej kończyny. Straciła coś bardzo dla niej ważnego.

Wjechała do dzielnicy ojca. Do swojej dzielnicy. Rodzice kupili ten dom, kiedy miała pięć lat. Stał na kawałeczku ziemi, otoczony innymi skromnymi domami na małych parcelach. Przez te wszystkie lata niewiele się tu zmieniło. Te same białe ściany, te same czerwone okiennice. W środy przyjeżdża śmieciarka. W soboty ludzie pracują w ogródkach. A w czwartkowe wieczory jej ojciec spotyka się z McGlashenami i Bodellami na piwie i kartach. Potem opowiada o ich dzieciach i wnukach, jej rówieśnikach, którzy teraz są kierownikami sklepów lub pracują w bankach, jeżdżą minivanami i mieszkają we własnych domach z rudymi dziećmiakami i wielkimi rozdokazywanymi psami. I wiodą normalne, szczęśliwe życie.

Czasami zastanawiała się, dlaczego nie spotkało to któregoś z nich. Czemu to nie oni natknęli się na niebieskiego chevy? Dlaczego to nie ich zaczepił facet szukający nieistniejącego zaginionego psa?

Boże, jak ona nie cierpi tej ulicy.

Zaparkowała mercedesa na podjeździe. Na ganku paliły się światła, oświetlając wąską, wyłożoną cegłami ścieżkę i cztery schodki. Odetchnęła głęboko, powtórzyła sobie w duchu, po co tu przyjechała, i wysiadła z wozu.

Zimno uderzyło ją w twarz. Oddychała szybko i płytko. Spojrzała w głąb ulicy, gdzie ciemność gęstniała za drzewami, tworząc ciemny tunel, z którego nie było ucieczki. Po drugiej stronie zobaczyła to samo.

Zadrzała. I nagle poczuła dziką nienawiść do tego miejsca. Tego domu, ogródka, całej dzielnicy. To złośliwy los przywiódł tu jej rodziców. A jeszcze gorsze było to, że tu zostali.

„To nie wina dzielnicy – cierpliwie tłumaczył ojciec matce po tym, jak to się stało. – To wina jednego człowieka. Co pomyśli Catherine, jeśli się przeprowadzimy?”

Pomyślałabym, że wam na mnie zależy.

Odetchnęła głęboko, stwierdziła, że jeszcze trochę, a znikuje. Zacisnęła dłonie w pięści. Pomyśl o jakimś szczęśliwym miejscu, powiedziała sobie rozpaczliwie. Potem stwierdziła:

„Pieprzyć to”, i ruszyła do drzwi.

Ojciec już na nią czekał. Otworzył drewniane drzwi i odsunął się na bok.

Wziął od niej płaszcz i jak zwykle zapytał:

– Jak się jechało?

– Dobrze.

– Duży ruch?

– Nie.

– W drodze powrotnej pewnie będzie większy, jak to w sobotni wieczór.

– Poradzę sobie.

Bąknął jeszcze coś o korkach – dzielnica Catherine nie podobała mu się tak bardzo, jak jego dzielnica – po czym gestem zaprosił ją do małego salonu. Wciąż ten sam włochaty złoty dywan, ta sama brązowa sofa w kwiaty. Kiedyś zaproponowała, że kupi mu nowe meble. Nie chciał. Sofa jest wygodna, dywan trwały. Nie potrzebuje jakichś tam luksusów.

Catherine usiadła na skraju sofy z dłońmi na kolanach. Wchodząc do tego pokoju, zawsze miała wrażenie, że wpada w pętlę czasu; nigdy nie wiedziała, gdzie patrzeć ani co czuć. Dziś utkwiała wzrok w dywanie.

– Muszę z tobą o czymś porozmawiać – powiedziała cicho.

– Napijesz się czegoś?

– Nie.

– Mam piwo korzenne. Lubisz je, prawda?

– Nie chce mi się pić, tato.

– A może dać ci wody? Przejechałaś kawał drogi, na pewno zaschło ci w gardle. Zaraz przyniosę.

Uznała, że nie ma sensu oponować. Zniknął w kuchni i po chwili wrócił z dwoma plastikowymi kubkami w stokrotki. Usiadł na tapczanie. Ona została na sofie. A jednak napiła się wody.

– Słyszałeś, co się stało – powiedziała wreszcie.

Ojciec unikał jej wzroku. Wodził oczami po całym pokoju. Wreszcie spojrzął na portret matki wiszący nad kominkiem. Catherine pomyślała, że bardzo się postarzał.

– Tak.

– Brakuje mi go – powiedziała cicho.

Ojciec milczał.

– Przykro mi, że tak to się skończyło. Że Jimmy nie żyje.

– Bił cię – przypomniał ojciec. Przyznał to po raz pierwszy.

– Czasami.

– Nie był dobrym człowiekiem.

– Nie.

– Aż tak zależało ci na jego pieniądzach?

Była zaskoczona jego ostrym tonem.

Coraz bardziej drżały jej ręce. Chciała wypić jeszcze jeden łyk wody, ale bała się, że upuści kubek. Zaprzagnęła uciec.

– Był dobry dla Nathana.

– Miał was oboje głęboko w dupie.

– Tato...

– Powinnaś była go rzucić.

– To nie takie proste, jak...

– Bił cię! Powinnaś go była zostawić. Ojciec nie patrzył na nią. – Powinnaś była tu wrócić.

Catherine otworzyła usta. Nie wiedziała, co powiedzieć. Ojciec nigdy dotąd jej tego nie proponował. Nigdy nie powiedział, co myśli o jej małżeństwie. Był na ślubie, uściskał dłoń Jimmy’ego i życzył mu powodzenia. Potem liczyły się dla niego tylko karty, spotkania weteranów i codzienna rutyna. W Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie przyjeżdżał do jej teściów, jadł indyka, dawał Nathanowi prezent, całował ją w policzek, po czym zniknął, wracał do dzielnicy, którą kochał, a której ona nienawidziła. Czasem zastanawiała się, czy byłoby inaczej, gdyby żyła matka. Nigdy się tego nie dowiedzą.

– To już bez znaczenia – powiedziała wreszcie.

– Fakt. – Jemu też ulżyło, że temat został zamknięty.

– Tyle że jest pewien kłopot. Gagnonowie, rodzice Jimmy’ego, podali mnie do sądu. Chcą mi odebrać Nathana. – Uniosła podbródek. – Twierdzą, że go maltretuję.

Ojciec nie odpowiedział. Napił się wody, obrócił plastikowy kubek w dłoniach i upił następny łyk. Cisza się przedłużała. Catherine była coraz bardziej zdumiona. A gdzie gwałtowne zaprzeczenia? Gdzie zażarta obrona czci córki? Jeszcze przed minutą mówił, że skoro miała kłopoty w małżeństwie, mogła poprosić go o pomoc. I co?

– Chodzi o te choroby? – spytał wreszcie.

– Twierdzą, że robię coś Nathanowi, podtruwam go, sama nie wiem. Myślą, że celowo wpędzam go w chorobę.

Ojciec podniósł na nią oczy.

– A jest tak?

– Tato!

– Często bywa w szpitalu.

– Jest chory!

– Lekarze nigdy nic nie stwierdzają.

– Ma zapalenie trzustki! Teraz, w tej chwili! Zadzwoń do doktora Rocco, czy do kogo chcesz. – Zerwała się na nogi. – Jest moim synem! Robię wszystko, żeby mu pomóc. Jak możesz... jak śmiesz! Do cholery, jak śmiesz!

Wrzeszczała, wrzeszczała jak dzikuska, na jej szyi nabrzmiały żyły i w głębi duszy zrozumiała, że to właśnie chciała zrobić od kilku dni. A dokładnie od wtorku rano, kiedy

podniosła słuchawkę i usłyszała, że Jimmy jakby nigdy nie rozmawia z adwokatem o rozwodzie.

„Jesteś pewien, że nie dostanie ani grosza? – spytał. – Moi rodzice stawiają sprawę jasno: nie dadzą jej złamanego szeląga”.

„Nie dostanie Nathana, nie dostanie pieniędzy – zapewnił prawnik. – Wszystko załatwione. Za godzinę mogę złożyć dokumenty”.

– Kocham mojego syna! – krzyknęła do ojca. – Dlaczego nikt nie może w to uwierzyć?

I wtedy się załamała. Nogi się pod nią ugięły. Opadła na paskudną brązową sofę, jej ramionami wstrząsnął szloch. Przez chwilę wydawało jej się, że Jimmy i Nathan jednak ją opuścili, a ona wróciła do swojej zaszczurzonej nory, bez rodziny, bez pieniędzy, sama jak palec. Wkrótce nadjedzie niebieski chevy. W ziemi otworzy się dziura. I nikt jej nie uratuje.

Ojciec wciąż siedział naprzeciwko niej, z oczami utkwionymi w portrecie matki. To wreszcie dodało jej sił. Wzięła się w garść, otarła suche oczy grzbietem dłoni.

– Pomożesz mi? – spytała cicho.

– Potrzeba ci pieniędzy?

– Nie, tato. – Znow powrócił szorstki ton. Złapała się na tym i zmusiła się, by mówić spokojnie, jak do dziecka. – Odbędzie się rozprawa. O przyznanie opieki nad dzieckiem. Byłam dziś u adwokata. Gagnonowie powołają świadków, którzy zeznają, że jestem złą matką. Ja potrzebuję takich, którzy temu zaprzeczają. A przynajmniej – poprawiła się – powiedzą, że nie stanowią zagrożenia dla Nathana.

– Gdzie on teraz jest?

– W szpitalu. Ma zapalenie trzustki.

– Nie powinnaś być przy nim?

– Oczywiście, że powinnam! – Próbowała odetchnąć głęboko. – Ale jestem tu, tato, i rozmawiam z tobą o przyszłości Nathana, bo wbrew temu, co myślą wszyscy, nie chcę stracić syna.

– Gagnonowie nie są złymi dziadkami.

– To prawda. Jestem pewna, że na swój sposób kochają Nathana.

– Tylko on im został.

– Mnie też.

– Myślę, że dobrze by się nim opiekowali.

Catherine zamrugnęła, trochę zdziwiona.

– Ja też.

Ojciec wreszcie na nią spojrział. Była zaskoczona, widząc ból malujący się na jego twarzy.

– Byłaś takim wesołym dzieckiem.

– Tato?

– Znalazłem stare filmy. Sprzątałem strych, przeglądałem rupiecie. Wiesz, mam artretyzm, coraz trudniej mi chodzić po schodach. Pomyślałem więc, że dobrze byłoby zrobić tam porządek, dopóki jestem w stanie. Znalazłem stare filmy. Wczoraj je oglądałem.

Nie mogła wydobyć głosu. W kącikach jego oczu zalśniły łzy.

– Byłaś taka śliczna – szepnął. – Miałaś ciemne włosy związane wielką czerwoną wstążką. Matka czesała cię co rano, a ty wybierałaś wstążkę. Najbardziej lubiłaś czerwoną i różową. Byłaś na podwórku. To chyba były twoje urodziny, ale na filmie nie widać tortu. Przyszło dużo dzieci, kąpaliście się w baseniku. Śmiałaś się i pluskałaś, piszczałaś, kiedy oblewałem cię wodą z węża. Śmiałaś się – powtórzył bezradnie. – Catherine, od dwudziestu lat nie widziałem, żebyś choć raz się roześmiała.

Coś ścisnęło ją w piersi. Pomyślała, że powinna się odezwać, ale pokręciła tylko głową, jakby chciała zaprzeczyć.

– Matka tak bardzo cię kochała. – Nagle wstał i odwrócił się. – Dobrze, że nie żyje. Dobrze, że nie zobaczyła, co się stało.

– Tato...

– Coś jest z tobą nie tak, Catherine. Wróciłaś do nas, Bóg mi świadkiem, że cieszyliśmy się, że wyszłaś cała z tego piekła. Ale coś jest z tobą nie tak. Nasza córeczka umarła tamtego dnia i teraz nie wiem, kto przede mną stoi. Nigdy się nie śmiejesz. Czasem zastanawiam się, czy w ogóle coś czujesz.

Znów chciała zaprzeczyć, ale on zdecydowanie kiwał głową, jakby dotarł do kresu bardzo długiej podróży. Odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

– Oddaj im Nathana.

– Jest moim synem.

– Mają dużo pieniędzy, dobrze się nim zaopiekują. Może nawet znajdą mu odpowiedniego lekarza.

– Cały czas takiego szukam!

Ojciec zdawał się jej nie słyszeć.

– Mogą zaprowadzić go do psychologa. My powinniśmy byli to zrobić z tobą.

Catherine zerwała się na równe nogi.

– Jesteś moim ojcem. Proszę cię o pomoc. Mogę na ciebie liczyć?

– To byłoby nie w porządku.

– Mogę na ciebie liczyć czy nie?

Wyciągnął do niej rękę. Cofnęła się gwałtownie, a ojciec uśmiechnął się smutno.

– Byłaś szczęśliwym dzieckiem – powiedział cicho. – Może nie jest jeszcze za późno. Może jeśli znajdziesz pomoc, znów będziesz mogła być szczęśliwa. Wiesz, tego najbardziej chciała twoja matka. Nawet kiedy zachorowała na raka. Nie modliła się o życie. Modliła się tylko o to, by jeszcze raz zobaczyć twój uśmiech. Ale ty się nie uśmiechnęłaś, Catherine. Twoja matka umierała, a tobie nawet usta nie drgnęły.

– Jesteś na mnie zły? O to chodzi? Wkurzyłeś się na mnie, bo nie mogłam się uśmiechać, kiedy moja matka umierała? Ty... ty...

Nie mogła mówić, oniemiała z szoku i wściekłości. Gdyby tylko wymacała kominek,

mogłaby się przytrzymać drewnianego obramowania, znaleźć punkt oparcia. Zaraz jednak wyobraziła sobie swoją dłoń zaciskającą się na stojącym na kominku mosiężnym świeczniku i rozwalającą nim głowę ojca.

Myśląc o tym na chłodno, nie była pewna, co zaskoczyło ją bardziej: jej bezdenna rozpacz czy dzika furia.

– Dziękuję, że poświęciłeś mi czas – usłyszała swój głos.

Opuściła ręce. Zmusiła się, by rozewrzeć pięści. Odetchnęła głęboko. Powrócił spokój. Zimny. Jałowy. Ale lepszy niż jakiegokolwiek uczucia.

Chciał, by była szczęśliwa? No to gdzie był, do cholery, kiedy pedofil wciągnął ją do samochodu? Gdzie, do cholery, był, kiedy ten zwalisty zboczeniec gwałcił ją raz po raz w zimnej, ciemnej jamie? Chciałby była szczęśliwa?

Wzięła płaszcz i bardzo powoli ruszyła do drzwi.

Ojciec nie odezwał się słowem. Stał w drzwiach i patrzył za nią gdy szła do samochodu. Podniósł dłoń na pożegnanie. Na widok tego swobodnego gestu przygryzła wargę, by powstrzymać się od krzyku.

Wrzuciła wsteczny bieg i powoli zjechała na drogę. Hamulec, jedynka, gaz. Jechała za szybko, zaciskając usta w wąską kreskę.

Potrzebuje wsparcia. Adwokat powiedział to wyraźnie. Bez tego Gagnonowie wygrają odbiorą jej Nathana. I prawdopodobnie nigdy więcej go nie zobaczy.

Zostanie sama. Bez grosza przy duszy.

O Boże, co ona zrobi?

Była zdruzgotana. Rozkojarzona. Rozpaczliwie szukała odpowiedzi. Dlatego nie zauważyła tego od razu, tylko dopiero na trzecim czy czwartym skrzyżowaniu. Kiedy podniosła głowę i spojrzała we wsteczne lusterko.

Ktoś zrobił to jej własną szminką, którą zostawiła między siedzeniami. To był jej ulubiony kolor, ciemny szkarłat, barwa walentynkowych róż i świeżej krwi.

Na lusterku widniał napis A KUKU!

## Rozdział 13

Bobby wrócił do domu. Na automatycznej sekretarce nagrało się ze trzydzieści wiadomości. Dwadzieścia dziewięć od tych sępów dziennikarzy, z których każdy obiecywał mu, że przedstawi jego wersję wypadków w zamian za ekskluzywny – „czy wspomniałem, że chodzi o ekskluzywny?” – wywiad. Trzydziesta była od jego szefa, który zapraszał go na kolację.

– Wpadnij – namawiał Bruni. – Rachel upiekła pół krowy i poda ją z górą ziemniaczanego puree. Nażremy się jak świny, zdrowo sobie pobekamy i pogadamy o pierdołach. Będzie fajnie.

Bruni to równy gość. Troszczy się o swoich ludzi, pilnuje, by trzymali się razem. Zaproszenie było szczere i Bobby powinien je przyjąć. Dobrze by mu to zrobiło, przynajmniej nie wpakuje się w nowe kłopoty. On jednak wiedział, że do Bruniego nie pójdzie.

Zostawił mrugającą automatyczną sekretarkę i powłókł się do kuchni. Otworzył lodówkę. Pusta.

Miał ochotę zadzwonić do Susan. Powiedzieć jej... Co? Jestem palantem. Osłem. I co gorsza, mordercą. Nie brzmiało to obiecująco. Słowa niczego nie zmieniają.

Pizza, pomyślał. Pójdzie do pizzerii. Jednak na samą myśl o pizzy zachciało mu się piwa. A na myśl o piwie serce zabiło mu mocniej i ślina napłynęła do ust.

Tak, to jest to. Pieprzyć życzliwego dowódcę. Pieprzyć zbyt doskonałą Susan. Pieprzyć nawet tajemniczą, niebezpieczną Catherine Gagnon, która podrapała go paznokciami po piersi i to wystarczyłoby zaczął dyszeć jak napalony piesek salonowy. Pieprzyć ich wszystkich. Nie potrzebuje ludzi.

Potrzebuje piwa.

Ostatnim wysiłkiem woli powiedział sobie, że jeśli czegoś nie zrobi już, zaraz, to wyląduje w knajpie. A wtedy zacznie pić.

Podniósł słuchawkę. Wybrał numer. Po krótkiej rozmowie wyszedł z domu, zanim zdążył się rozmyślić.

Doktor Lane wpuściła go prosto do gabinetu. Kiedy widział ją ostatnio, miała na sobie kostium. Jasnobrazowe spodnie, dobrze skrojony żakiet, białą bluzkę. Drogie ciuchy, które mu się nie podobały. Wyglądała w nich zbyt męsko, jak nadęta bizneswoman w drodze na ważne spotkanie. Zupełnie nie pasowały do jej uśmiechu.

Tego wieczoru, wezwana nagle, by pomóc policjantowi w potrzebie, ubrała się zupełnie inaczej. Było zimno jak diabli, włożyła więc ciemnobrazowe legginsy i gruby irlandzki golf podkreślający długie kasztanowe włosy. Strój w sam raz na miły wieczór przy wielkim kamiennym kominku z dobrą książką albo przystojnym facetem.

Myśl ta wprowadziła Bobby'ego w lekkie zakłopotanie i zdejmując szalik i płaszcz, nie patrzył

doktor Lane w oczy.

– Może napije się pan czegoś? – spytała, stojąc w drzwiach gabinetu. – Wody, kawy, coli, gorącej czekolady...

Zdecydował się na colę, za szklanekę podziękował. Usiadła za biurkiem. On wybrał to samo krzesło co w piątek.

– Dzięki za colę – powiedział, balansując na jego skraju.

– Proszę bardzo.

– Przepraszam, jeśli popsulem pani plany na ten wieczór.

– Nic się nie stało.

– A miała pani jakieś? – wyrwało mu się.

– Wybierałam się do kwaciarni po fikusa.

– Hm – mruknął.

– Hm – powtórzyła.

– A jak minął dzień? – brnął jak kretyn. – Robiła pani coś ciekawego?

Spojrzała na niego z nieskrywanym rozbawieniem. Na poprzedniej sesji nie miał ochoty na luźną pogawędkę, teraz sam ją rozpocząłby zyskać na czasie, i oboje o tym wiedzieli. Przez chwilę chciała kazać mu, by przeszedł do rzeczy, ale w końcu odpowiedziała na jego pytanie.

– Szczerze mówiąc, nic. Myślałam, czyby nie pobiegać, ale uznałam, że jest za zimno. Gotować też mi się nie chciało. Na czytanie byłam zbyt śpiąca. Dlatego przez większą część dnia myślałam o życiu, a potem starałam się zapomnieć o swoich przemyśleniach. Trudno sobie wymarzyć lepsze zajęcia. A co u pana?

– Przez cały dzień starałem się zapomnieć o pani radach. – Cóż, nie pierwszy raz. Co takiego pan robił?

Uznał, że nie ma co owijać w bawelnę.

– Wczoraj wieczorem poszedłem do knajpy.

Patrzyła na niego wyczekująco.

– I piłem.

– Dużo?

– Wystarczająco. – Odetchnął głęboko. – Nie powinienem pić.

– Jesteś alkoholikiem, Bobby?

– Nie wiem. – Musiał to przemyśleć. – Życie jest lepsze, kiedy nie piję – powiedział w końcu.

– Domyślam się, że wiesz o tym z własnego doświadczenia.

– Można tak powiedzieć.

Zakręcił puszką i wbił wzrok w dywan, który z daleka wydawał się ciemnozielony. Teraz, kiedy patrzył na niego z bliska, zauważył, że splata się w nim wiele różnokolorowych nici. Nie był zielony, jedynie dawał złudzenie zieleni.

– Mój ojciec pił – powiedział. – Dużo. Co wieczór. Po powrocie z pracy od razu sięgał do

lodówki po piwo. Mówił, że pomaga mu się odprężyć. W końcu co to jest parę piw? Nic strasznego. Byliśmy z bratem jeszcze dziećmi. Wierzyliśmy mu. Ale po jakimś czasie zauważyliśmy, że na kilku piwach już się nie skończy. Kiedy zostałem przyjęty do akademii, po służbie chodziłem po knajpach z kumplami, wypijaliśmy parę piw, gadaliśmy o głupotach. Bo to pomagało mi się odprężyć. I po pewnym czasie na kilku piwach już się nie kończyło. Było ich więcej. Tak dużo, że rano spóźniałem się na służbę. Pewnego wieczoru był do mnie telefon. Kumpel dzwonił z miejsca wypadku. Mój ojciec uderzył w drzewo. Zła wiadomość była taka, że rąbnął w nie, jadąc siedemdziesiąt na godzinę, i dosłownie owinął wóz wokół pnia, a dobra – że wyszedł z tego tylko z rozciętym czołem. Wóz był skasowany, ale jemu nic się nie stało.

Bobby spojrzął na Elizabeth.

– Był pijany. Badanie alkomatem wykazało dwa promile. Nie powinien był siedzieć za kółkiem; miał szczęście, że rąbnął tylko w drzewo. Wystraszył się jak diabli. Ja też. To tak jak w tych spotach telewizyjnych: To twoje życie. A to twoje życie po alkoholu. Dlatego złożyliśmy sobie przysięgę. Powiedziałem, że nie będę pił, jeśli on obieca to samo. Uznałem, że w ten sposób mu pomogę. Domyślam się, że on to samo myślał o mnie.

– Poskutkowało?

– O ile wiem, przez dziesięć lat obaj dotrzymywaliśmy słowa. Aż do wczoraj.

– Czemu akurat do wczoraj, Bobby?

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Mógłbym powiedzieć, że to dlatego, że chłopaki stawiały – powiedział spokojnie. – Że po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie musiałem być pod telefonem, więc czemu nie miałbym się napić. Że po dziesięciu latach przerwy co zaszkodzi strzelić sobie jedno piwo. Mógłbym znaleźć wiele wytłumaczeń.

– Ale to byłyby kłamstwa?

– Ciągłe widzę jego twarz – szepnął Bobby. – Kiedy zamykam oczy, widzę jego twarz. Zrobiłem, co do mnie należało, do cholery. – Spuścił głowę. – Jezu, nie sądziłem, że będzie mi z tym tak ciężko.

Nic nie powiedziała. Słowa zawisły w powietrzu. Bobby podniósł puszkę do ust, wypił kilka łyków. Spojrzął w sufit i w ciemnej mahoniowej boazerii zobaczył Jimmy’ego Gagnona. Białego mężczyznę grożącego pistoletem żonie i dziecku. Białego mężczyznę, autentycznie zaskoczonego, kiedy kula Bobby’ego wbiła się w jego czaszkę. Wiecie, jaką minę ma truposz? Zdziwioną.

Wiecie, jak inni patrzą na zabójcę takiego człowieka? Z podziwem, żalem i strachem.

– Masz ochotę znów się napić? – spytała Elizabeth cicho.

– Tak.

– Może powinieneś zapisać się do AA?

– Nie lubię rozmawiać z obcymi o swoich problemach.

– To może porozmawiasz z ojcem?

– Z nim też nie lubię rozmawiać o swoich problemach.

– To kto może ci pomóc, Bobby?

– Wychodzi na to, że tylko ty.

Pokiwała głową w zamyśleniu.

– Zanim posuniemy się dalej, muszę cię ostrzec – powiedziała po chwili. – Jestem od jakiegoś czasu zaangażowana w tę sprawę. Spotkałam się z sędzią Gagnonem.

– Co takiego?!

– Nie był moim pacjentem.

– Akurat! – Bobby zerwał się z krzesła. Spojrzał na nią roziskrzonymi oczami i zaczął chodzić po gabinecie. Własnym uszom nie wierzył. – Czy to nie konflikt interesów? Jak możesz robić coś takiego? Najpierw wysłuchujesz moich zwierzeń, a potem udzielasz porad człowiekowi, który podał mnie do sądu?

Doktor Lane uniosła dłoń.

– Sędzia zwrócił się do mnie, bo potrzebował fachowej porady. Po półgodzinnej rozmowie skierowałam go do znajomego psychologa, który, moim zdaniem, lepiej może mu pomóc.

– Dlaczego? Dlaczego tu przyszedł? Co chciał wiedzieć? – Bobby nachylił się nad biurkiem, zaciskając zęby. Był wkurzony jak diabli i nawet nie próbował tego ukryć.

Elizabeth patrzyła na niego spokojnie.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałam z sędzią Gagnonem. Za jego pozwoleniem powiem ci o czym. Z góry uprzedzam, że to niewiele pomoże.

– Mów!

– Najpierw usiądź.

– Mów!

– Panie Dodge, proszę usiąść.

Zachowała kamienny wyraz twarzy. Z ociąganiem zabrał ręce z biurka. Usiadł, wziął puszkę coli i zaczął obracać ją w palcach. Serce tłukło mu się w piersi. Nie mógł złapać tchu. Wpadał w panikę. Cholera, nie chce dłużej czuć się, jakby świat uciekł mu spod nóg, a on sam miał już nigdy nie odzyskać kontroli nad własnym życiem.

– Sędzia Gagnon przyszedł tu skierowany przez mojego znajomego. Szukał informacji o pewnej przypadłości. Może pan o niej słyszał. Chodzi o zespół Münchhausena.

– Cholera – mruknął Bobby.

– Opowiedział mi o swojej synowej, Catherine. Chciał wiedzieć, czy człowiek z jej przeszłością pasowałby do profilu osoby podatnej na Münchhausena. Mówiąc krótko, pytał, czy moim zdaniem Catherine pozorowała choroby jego wnuka, czy też rozmyślnie je wywoływałaby zwrócić na siebie uwagę.

– I co mu powiedziałaś?

– Że to nie moja specjalność. Że z tego, co wiem, nie ma czegoś takiego jak profil osoby podatnej na Münchhausena. Że jeśli naprawdę sądzi, że jego wnukowi coś grozi, powinien

zwrócić się do specjalistów i wziąć pod uwagę możliwość wystąpienia na drogę sądową przeciwko matce dziecka.

– I zamierza to zrobić?

– Nie wiem. Wziął ode mnie namiary na innego specjalistę i podziękował, że poświęciłam mu czas.

– Kiedy to było?

– Pół roku temu.

– Pół roku temu? Bał się o wnuka na tyle, by zwrócić się do specjalistów, i przez pół roku palcem nie kiwnął!

– Bobby, ja nie wiem, co działo się w tym domu. Co ważniejsze, nie wiesz tego ty.

– Nie – odparł z goryczą. – Ja tylko wydałem wyrok i zastrzeliłem człowieka. Cholera – zaklął znowu i spuścił głowę. – Co za bajzel.

Elizabeth nachyliła się ku niemu.

– Wczoraj poczyniłeś bardzo ważne spostrzeżenie – powiedziała życzliwie. – „Informacje to luksus, na który jednostki antyterrorystyczne nie mogą sobie pozwolić”. Tak mówiłeś, pamiętasz?

– Tak.

– I nadal tak sądzisz?

– Zginął człowiek. Czy to, że miałem za mało informacji, wystarczy, by to usprawiedliwić?

– To nie jest usprawiedliwienie, Bobby. To fakt.

– Tak. – Zgniół puszkę. – O kant dupy to wszystko potłuc.

Zapadła cisza. Elizabeth przerzuciła papiery na biurku.

– Porozmawiamy o twojej rodzinie?

– Nie.

– To może o tamtym wieczorze?

– Za cholere.

– No dobrze, to pogadajmy o twojej pracy. Dlaczego zostałeś policjantem?

Wzruszył ramionami.

– Mundur mi się podobał.

– Miałeś policjantów wśród krewnych? Albo znajomych?

– Nie.

– A więc jesteś pierwszy? Daleś początek nowej rodzinnej tradycji?

– To cały ja. Buntownik bez powodu. – Wciąż był wściekły.

Elizabeth westchnęła i zabębniła paznokciami w biurko.

– Dlaczego zacząłeś nosić odznakę, Bobby? Tyle jest różnych miejsc pracy do wyboru, dlaczego wybrałeś akurat to?

– Nie wiem. W dzieciństwie chciałem być astronautą albo policjantem. A że nie jest łatwo zostać astronautą, zostałem policjantem.

– A twój ojciec?

– Co mój ojciec? Nie ma nic przeciwko temu.

– Gdzie pracował?

– „Był kierowcą ładowarki.

– A twoja mama?

– Nie wiem.

– Nie rozmawiasz o niej z ojcem?

– Nie. – Odstawił pustą puszkę i spojrzał znacząco na doktor Lane. – Miałas nie pytać o rodzinę.

– Rzeczywiście. No dobrze, zostałeś policjantem, bo marzenia o lotach kosmicznych nie były realistyczne. Czemu wybrałeś jednostkę specjalną?

– Bo to wyzwanie – odpowiedział bez namysłu.

– Chciałeś zostać snajperem? Zawsze interesowałeś się bronią?

– Nigdy wcześniej nie strzelałem. Wreszcie udało mu się ją zaskoczyć.

– Przed wstąpieniem do jednostki STOP ani razu nie strzelałeś?

– Zgadza się. Mój ojciec zbiera pistolety, majstruje przy nich. Ale nie lubi strzelać, samo dłubanie mu wystarcza. Fascynuje go ich budowa. Piękno naprawdę dobrego gnata.

– Więc jak to się stało, że zostałeś snajperem?

– Byłem w tym dobry.

– Jak to?

Westchnął.

– Podczas kwalifikacji do jednostki specjalnej strzela się z różnych rodzajów broni. Wziąłem karabin i dobrze mi poszło. Trochę się podszkoliłem i uzyskałem bardzo dobry wynik. Dowódca zaproponował mi więc, żebym został snajperem.

– Jesteś urodzonym strzelcem.

– Na to wygląda. – Mówiąc to, poczuł się nieswojo. Zaczął się pospiesznie tłumaczyć: – Snajper nie jest tylko od strzelania. Oficjalna nazwa mojej funkcji to snajper obserwator.

– To znaczy?

Nachylił się i rozłożył dłonie.

– No dobra, raz w miesiącu ćwiczę na strzelnicy, żeby być w formie. Ale w czasie akcji w terenie prawdopodobieństwo, że będę musiał oddać strzał, jest jak jeden do tysiąca, może nawet do miliona. Ćwiczę, by być w gotowości. Jednak na co dzień moim zajęciem jest obserwacja. Snajperzy są zwiadowcami. Przez celowniki i lornetki widzimy to, czego nie widzi nikt inny. Sprawdzamy, ile osób jest na miejscu zdarzenia, jak są ubrane, co robią. Jesteśmy oczami oddziału.

– I przygotowujecie się do tego?

– Bez przerwy. Gry KIMŚ i tak dalej.

– KIMŚ?

– Tak. Nie pamiętam, skąd taka nazwa. Od tytułu powieści Rudyarda Kiplinga czy może skrót. Sprowadza się to do ćwiczenia zmysłu obserwacji. Wychodzisz w teren i masz minutę na to, by zobaczyć dziesięć rzeczy i potem dokładnie je opisać. – Wskazał puszkę po coli. – Widzę jedną zgniecioną puszkę, wygląda na nową, jest czerwono-biała, prawdopodobnie po coca-coli... – Przechylił ją na bok. – I prawdopodobnie pusta. Albo: widzę coś, co wygląda jak kawałek drutu, długości około pół metra, z zieloną izolacją. Na końcu jest rozcięty i widać brudny mosiężny rdzeń. Coś w tym stylu.

Popatrzyła na niego w zamyśleniu.

– A więc szkolą cię tak, żeby nic nie uszło twojej uwagi. Czy na co dzień nie dostajesz od tego kręćka? To chyba męczące, zwracać uwagę na wszystkie nieistotne szczegóły.

Skrzywił się i wzruszył ramionami.

– Susan powiedziałaaby, że na nic nie zwracam uwagi. Kiedy ostatnio skróciła włosy, zauważyłem to po dwóch dniach.

– A kim jest Susan?

– Moją dziewczyną. – Ugryzł się w język. – Byłą dziewczyną.

– Wspominałeś o niej w piątek. Zdaje się, że mówiłeś, że wszystko jest w porządku.

– Kłamałem.

– Kłamałeś?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo dopiero co cię poznałem. Bo czułem się niezręcznie. Bo... sama sobie odpowiedz.

Każdy facet czasem kłamie – dodał z uśmiechem.

Doktor Lane jednak nie było do śmiechu.

– To co zaszło między tobą a Susan?

– Nie wiem.

– Odeszła?

– Nie. – Westchnął, zaczerpnął powietrza. – Ja odszedłem.

– Ty? Chwila, moment. W ogóle nie rozmawiałeś ze swoją dziewczyną o tym, co się stało?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

– Gówno prawda. Jesteś inteligentnym człowiekiem, Bobby Dodge. Bardziej inteligentnym, niż to pokazujesz. Nie robisz niczego bez powodu. Dlatego powiedz: dlaczego nie porozmawiałeś z Susan? Olałeś ją?

– Nie wiem. – Ugryzł się w język. Ma rację, wie to doskonale. – Myślałem, że to będzie dla niej wstrząs. W świecie Susan policjanci to dobrzy ludzie, strzegą bezpieczeństwa i tak dalej. Nie rozwalają człowiekowi głowy na oczach jego dziecka.

– Myślałeś, że sobie z tym nie poradzi.

– Nie myślałem. Ja wiedziałem, że sobie z tym nie poradzi.

– Cóż za protekcyjny ton.

– Spytałaś, to odpowiedziałem.

– Oczywiście. I chciałam ci tylko powiedzieć, że się mylisz.

Zamrugnął nerwowo i usiadł prosto.

– Co z ciebie za lekarz, do licha?

– Taki, z którym rozmawiasz. Bobby, zadam ci teraz pytanie i chcę, żebyś dobrze zastanowił się nad odpowiedzią. Czy policjanci są dobrymi ludźmi w świecie Susan, czy w świecie Bobby'ego? Czy to w świecie Susan „nie rozwalają człowiekowi głowy”, czy w świecie Bobby'ego? Kiedyś powiedziałeś, że jesteś pełen gniewu. Ale czy nie jesteś również przerażony?

Wbił wzrok w dywan. Milczał.

– Już kilka razy wspomniałeś, że zastrzeliłeś Jimmy'ego Gagnona na oczach jego syna. Wyraźnie cię to dręczy. Z kim właściwie się utożsamiasz? Z silnym ojcem umierającym na oczach dziecka czy z bezbronnym dzieckiem, które widzi śmierć najbliższej osoby?

Wciąż wpatrywał się w dywan.

– Bobby? – naciskała Elizabeth.

Wreszcie podniósł wzrok.

– Nie chcę dłużej o tym rozmawiać – powiedział.

Odezwał się dopiero, gdy włożył kurtkę i zaczął zawiązywać szalik.

– Myślisz, że podejrzenia sędziego Gagnona mogły być uzasadnione?

Elizabeth siedziała na skraju biurka recepcjonistki i patrzyła na niego nachmurzona.

– Nie mam pojęcia.

– Trudno sobie wyobrazić, by matka mogła skrzywdzić dziecko tylko po to, by zwrócić na siebie uwagę.

– Zespół Münchhausena nie jest jakąś szczególnie pospolitą przypadłością ale czytałam, że co roku odnotowuje się do tysiąca dwustu nowych przypadków.

– Jakie są znaki ostrzegawcze?

– Dziecko często zapadające na choroby, których objawy nie trzymają się kupy. W jednym tygodniu tryska zdrowiem, a w następnym ciężko choruje. Rodzina, w której występowały przypadki zespołu nagłej śmierci niemowląt.

– Rozmawiałem dziś z lekarzem Nathana Gagnona – powiedział Bobby. – Nie potrafi postawić jednoznacznej diagnozy.

Elizabeth milczała przez chwilę.

– Myślisz, że to było rozsądne?

Bobby spojrzał na nią spode łba.

– Poszedłem do niego. Teraz już nieważne, czy to było rozsądne, czy nie.

– Co ty robisz, Bobby?

– Zakładam szalik.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Gagnonowie chcą mnie oskarżyć o morderstwo. Nie słyszałaś? Wykorzystali jakąś furtkę prawną, by postawić mi zarzut zabójstwa ich syna. Prawdę mówiąc, rozsądek przestał się dla mnie liczyć.

– To musi być straszne, zostać oskarżonym o morderstwo.

– Myślisz?

Nie zareagowała na jego sarkastyczny ton.

– Bobby, to, co stało się w czwartek, było potworną tragedią. Dla ciebie. Dla Gagnonów. Dla małego Nathana. Naprawdę sądzisz, że dowiesz się czegoś, co sprawi, że lżej ci będzie żyć z myślą, że zabiłeś człowieka?

Spojrzał jej w twarz. W jego ciemnoszarych oczach było coś, czego wcześniej nie widziała, coś, co sprawiło, że na chwilę straciła dech. Chłód przeniknął ją do szpiku kości.

– Dopadnę ją – powiedział cicho. – Jeśli robi krzywdę temu chłopcu, jeśli wrobiła mnie w zabójstwo męża... Catherine Gagnon może i myśli, że umie sobie radzić z mężczyznami, ale z takim jak ja jeszcze nie miała do czynienia.

Skończył wiązać szalik.

Elizabeth westchnęła ciężko i pokręciła głową. Tak wiele chciała mu jeszcze powiedzieć, wiedziała jednak, że to nic nie da. Nie był gotów jej wysłuchać. Może Bobby jeszcze tego w pełni nie zrozumiał, ale ona doskonale wiedziała, z kim utożsamiał się w noc zabójstwa, i nie był to wymachujący bronią ojciec.

– Nie jesteś odpowiedzialny za Nathana Gagnona – powiedziała cicho, ale Bobby był już za drzwiami.

## Rozdział 14

Catherine pojechała prosto do szpitala. Nathan jeszcze spał, monitor pracy serca wiernie pikał, a morfina kropla po kropli spływała do cienkich żył. Pielęgniarka dyżurna miała niewiele do powiedzenia. Nathan jest pod kroplówką, temperatura spadła, ból zelżał. Może jutro będzie mógł wrócić do domu, trzeba się jeszcze skonsultować z lekarzem.

Catherine spojrzała w głąb długiego, ciemnego korytarza. Urządzenia pikały, respiratory buczały, pacjenci rzucali się niespokojnie na zasłoniętych łózkach. Szpital nocą. Za mało pielęgniarek, za dużo obcych. Pełno ciemnych zakamarków.

– Nathan jest ciężko chory – powiedziała znowu.

– Wiem.

– Potrzebuje troskliwszej opieki. Mogłabym wynająć prywatną pielęgniarkę? Albo cały zespół pielęgniarski? Dobrze zapłacę.

Pielęgniarka spojrzała na nią nieprzychylnie.

– Wie pani, my, służba, robimy, co możemy.

– To moje dziecko – powiedziała Catherine cicho. – Martwię się o niego.

– Skarbie, one wszystkie są czyimiś dziećmi.

Pielęgniarka nie zamierzała jej pomóc. Catherine wezwała lekarza dyżurnego, ale nie zgodził się wypisać Nathana. Chłopiec musi zostać w szpitalu. Zwłaszcza biorąc pod uwagę jego stan.

Jaki stan? – pomyślała z rozpaczą. Ten, którego nikt nie potrafi zdiagnozować? Przyszło jej do głowy, by zadzwonić do Tony’ego Rocco. Może ubłaga go, by przyjechał i wypisał Nathana.

I co potem? Zabierze Nathana do domu, w którym jakimś cudem będzie bezpieczny?

A KUKU. Tak brzmiał ten napis.

W jej samochodzie, zaparkowanym pod domem ojca, napisany jej szminką.

Wyszła szybkim krokiem ze szpitala. Ręce jej drżały.

Po powrocie do domu nie mogła usiedzieć na miejscu. Dziennikarze zniknęli. Policja też. Gdzie te sepy, kiedy akurat są potrzebne? Pewnie znów ktoś zginął. Albo jakiś senator został przyłapany in flagranti ze swoją śliczną asystentką. Nawet hańba nie zapewnia długotrwałego rozgłosu.

Sprawdziła drzwi i okna. Zapaliła światła, cały dom rozbłysł jak pas startowy. Nie weszła tylko do głównej sypialni. Policja wciąż traktowała ją jak miejsce zbrodni i niczego nie wolno było dotykać. Łatwo powiedzieć. Zasłonili wybitą szybę płachtami plastiku. Nie zabezpieczyły mieszkania nawet od wiatru, jak więc miały powstrzymać intruzów?

Przesunęła komodę przed drzwi balkonowe. Inna sprawa, że jeśli sobie z tym poradzi, to silny mężczyzna odsunie ją bez trudu. No dobra. Zasłoni komodą balkon, włączy reflektor przed domem, by oświetlić górny taras, potem zamknie drzwi sypialni i zabije je gwoździami.

Doskonały pomysł.

Zeszła na dół do Prudence.

– Potrzebuję twojej pomocy – rzuciła krótko. – Musimy zrobić małe przemeblowanie.

Prudence o nic nie pytała. Efekt wielu lat szkolenia, pomyślała Catherine. Bardzo drogiego brytyjskiego szkolenia.

Weszły na górę. Prudence pomogła jej przesunąć ciężką sosnową komodę przed zniszczone drzwi balkonowe. Na dywanie wciąż leżały kawałki szkła. Wciąż widać było plamy krwi. Prudence nie skomentowała tego ani słowem.

Catherine poszła na dół po narzędzia. Kiedy zaczęła wbijać gwoździe we framugę drzwi sypialni, Prudence wreszcie przerwała milczenie.

– Proszę pani?

– Zauważyłam kogoś na dworze – powiedziała Catherine szybko. – Czaił się. Pewnie jakiś reporterzyna chce sobie dorobić. Jak myślisz, ile warte byłyby zdjęcia miejsca zbrodni w Back Bay? Nie pozwolę, by ktokolwiek wzbogacił się na tej tragedii.

Prudence chyba zadowolilo to wyjaśnienie. Po chwili Catherine dodała:

– Wiesz, chcę ci podziękować. Przeżywamy ciężkie chwile. Bóg jeden wie, co o tym wszystkim sądzisz. Ale cały czas byłaś przy Nathanie. Jestem ci za to wdzięczna. On cię potrzebuje. Szczególnie teraz, kiedy dzieje się tyle złego.

– Czuje się już lepiej?

– Jutro powinien wrócić do domu. – Przyszła jej do głowy pewna myśl. – Może jeśli się zgodzi, pojedziemy we trójkę na wakacje. Gdzieś, gdzie jest ciepło, gdzie są piaszczyste plaże i drinki z małymi parasolkami. Moglibyśmy uciec od... od tego wszystkiego.

Wbiła ostatni gwóźdź. Szarpnęła drzwiami. Wytrzymały. To powinno wystarczyć. Przynajmniej taką miała nadzieję.

– Prudence, nie otwieraj obcym. A gdybyś zobaczyła innych... dziennikarzy, daj mi znać.

– Dobrze, proszę pani – powiedziała Prudence. – A co ze światłami?

– Myślę – odparła Catherine, wciąż ciężko dysząc – że jeszcze przez jakiś czas zostaną zapalone.

Tony Rocco miał ciężki dzień. O dziesiątej wieczorem wreszcie wyszedł ze szpitala. Dziesięć lat temu to byłaby norma, ale teraz podobno jest u szczytu kariery. To ambitni stażyści powinni zajmować się tymi nieprzebranymi hordami zarzyganych i zasmarkanych dzieciaków. Jego interesują tylko poważne przypadki.

Żona przypominała mu o tym co wieczór. „Jezu Chryste, Tony, kiedy wreszcie zażadasz należnego ci szacunku? Rzuć ten szpital w cholerę. Prywatna praktyka to jest to. Zarabiałbyś trzy, cztery razy więcej niż teraz. Moglibyśmy...”

Przestał jej słuchać jakieś pięć lat temu. Było to na kolacji z okazji Święta Dziękczynienia u jego rodziców. Słuchając, jak matka utyskuje na ojca, który ośmielił się pójść na golfa ze

znajomymi, Tony spojrzął na swoją piękną żonę i uprzytomnił sobie, że ożenił się z własną matką. To było dla niego jak cios obuchem.

Jego matka była zrzedą. Jego żona też. A on za piętnaście lat będzie wyglądał jak jego ojciec, z lekko zgarbionymi ramionami, brodą wtuloną w pierś jak u żółwia i selektywną głuchotą w obu uszach.

Powinien był się wtedy rozwieść, ale musiał pomyśleć o dzieciach. Dwójce kochanych, pięknych dzieci, które już patrzyły na niego z wyrzutem, gdy spóźnił się na kolację. Zupełnie jak żona.

Znów zaczął myśleć o Catherine. O tym, jak przyszła do niego przed dziewięcioma miesiącami. Jak musnęła palcami jego ramię. Jak jej długie czarne włosy opadły mu na policzek, kiedy nachyliła się nad nim, by obejrzeć wyniki badań Nathana.

Któregoś dnia przyszła do jego gabinetu bez dziecka, w długim czarnym płaszczu. Zamknęła drzwi na zasuwę. Spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała: „Potrzebuję cię”.

I rozchyliła płaszcz, odsłaniając nagą białą skórę i zmysłową, czarną koronkową bieliznę. Wziął ją od razu, pod ścianą, on miał spodnie spuszczone do kolan, ona objęła go nogami w biodrach.

Jej orgazm był tak intensywny, że zatopiła zęby w jego ramieniu. Potem padli na podłogę i po chwili ona już była na czworakach, a on wchodził w nią od tyłu, twardy i napalony jak nastolatek łapiący drugi oddech.

Potem, kiedy oboje byli zbyt wyczerpani, by się ruszyć, kiedy ledwo zdołał powiedzieć recepcjonistce, by odwołała wszystkie wizyty umówione na to popołudnie, zobaczył siniec na lewym boku Catherine.

Nic takiego, powiedziała. Uderzyła się o blat kuchenny. Tamtego dnia żadne z nich nie skomentowało faktu, że siniec miał kształt dłoni.

Pewnego dnia z płaczem opowiedziała mu wszystko o Jimmym. Byli wtedy w pokoju hotelowym na Copley Square. Wcześniej przez dwadzieścia minut klęczała przed nim i robiła rzeczy, o jakich do tej pory tylko czytał w magazynach dla mężczyzn. Teraz przytulał ją do siebie i gładził po włosach.

Potrzebuję cię – szepnęła z ustami przy jego piersi. – O Boże, Tony, nawet sobie nie wyobrażasz, jak to jest. Tak bardzo się boję...

Powinienem odejść z tego cholernego szpitala, myślał Tony, idąc przez pusty podziemny parking, rozbrzmiewający echem jego kroków. Ma już serdecznie dosyć ludzi, którzy mówią mu, co ma robić – żony, ordynatora pediatrii, Jamesa Gagnona. Po co harować tyle lat, skoro i tak nie może robić tego, co chce?

Kocha Catherine Gagnon. Miał dość babrania się w tym gównie. Pieprzyć żonę, pieprzyć dzieci. Powinien już, teraz pojechać do Catherine. Odwołać to, co powiedział. Przeprzić za to, że ją zawiódł, że twierdził, iż nie może pomóc Nathanowi.

Cholerny świat, było mu głupio, że tego popołudnia siedział przed jakimś gliniarzem i czuł

się jak mięczak, usiłując wytłumaczyć, jak mógł kochać Cathy i nie zrobić nic, by ochronić ją przed Jimmym. Jak ten facet na niego patrzył...

Dość tego. Postawi się. Stanie na własnych nogach. Ten jeden jedyny raz zrobi to, co chce zrobić. Pieprzyć inne kobiety w jego życiu.

Podszedł do samochodu. Wyjął kluczyki rękami drżącymi z podniecenia.

Kiedy otworzył drzwi, usłyszał za plecami jakiś dźwięk.

Gumowe podeszwy cicho odrywały się od białej winylowej posadzki. Zaszleściła zasłona. Monitory pikały, wentylatory syczały.

Pielęgniarka poszła do innego pacjenta.

Na korytarzu było ciemno i cicho.

Mężczyzna skradał się na palcach, dopóki nie znalazł właściwej sali.

Na łóżko padł cień. Nathan się poruszył. Odwrócił głowę w stronę, z której dobiegł dźwięk.

Lekko uchylił powieki.

Mężczyzna wstrzymał oddech.

A Nathan szepnął:

– Tatusiu.

## Rozdział 15

Ledwie położył głowę na poduszce, zadzwonił telefon. Tym razem nie pomyślał o Susan. Przed oczami od razu stanęła mu Catherine. Uprzytomnił sobie, że mu się śniła. Była naga, jej długie czarne włosy opadały mu na pierś.

– Dajcie mi się wreszcie wyspać – powiedział do słuchawki.

– Nadal masz ochotę bawić się w detektywa?

Dopiero po chwili rozpoznał ten głos. Harris, gorliwy detektyw Gagnonów. Bobby usiadł. Spojrzał na zegar. Druga w nocy. Jezu, kiedy on się wyśpi?

– Czego? – spytał.

– Masz znajomych w bostońskiej policji? – spytał Harris. – Bo zdarzyło się morderstwo, które powinno cię zainteresować.

– Kto zginął?

Harris milczał przez chwilę.

– Doktor Tony Rocco. Na podziemnym parkingu szpitala. Nie wkładaj za dobrych butów. Szkoda byłoby je pobrudzić.

Detektyw D.D. Warren pracowała w bostońskim wydziale zabójstw od ponad ośmiu lat. Drobna, zgrabna blondynka o niesamowitych niebieskich oczach na miejsce zabójstwa doktora Rocco przybyła w obcisłych dżinsach, szpilkach i skórzanej kurtce w kolorze karmelu. Połączenie *Seksu w wielkim mieście z Nowojorskimi gliniarzami*. Policjanci gapili się na nią, ale ponieważ dla D.D. liczyła się tylko praca, żaden nie miał u niej najmniejszych szans.

Znali się z Bobbym od dawna. Wieki temu nawet ze sobą chodzili. Byli wtedy żółtodziobami, ona zaczynała pracować w policji miejskiej, on w stanowej. Dobrze rozumieli ograniczenia, jakie na ich życie osobiste nakłada praca, i nie było między nimi rywalizacji. Bobby nie pamiętał, dlaczego ze sobą zerwali. Pewnie mieli za dużo roboty. Nieważne. Lepiej im było, gdy zostali przyjaciółmi. Z podziwem śledził jej błyskotliwą karierę – niedługo pewnie dostanie awans na porucznika – a ona zawsze interesowała się jego pracą w STOP-ie.

Teraz jednak zaglądała do ciemnozielonego bmw 450i, przygryzając dolną wargę. Po drugiej stronie wozu technik robił zdjęcia. Trzaski migawki i terkot przewijanego filmu niosły się po przestronnym podziemnym parkingu, podkreślając zbliżające się kroki Bobby'ego.

Parking był zatłoczony jak na tę porę. Furgonetki lekarza sądowego i ekipy śledczej, liczne radiowozy, kilka aut należących do detektywów i o wiele ładniejszy sedan, w którym Bobby rozpoznał wóz zastępcy prokuratora okręgowego. Dużo samochodów jak na zabójstwo. Duże zainteresowanie. Koniec, kropka.

Z ust Bobby'ego unosiły się kłęby pary. Włożył ręce głęboko do kieszeni puchowej kurtki i

starał się nie rzucać w oczy. Kilka głów zwróciło się w jego stronę. Niektóre twarze rozpoznał, innych nie. Jego znali wszyscy i choć chciał tego uniknąć, kiedy podszedł do bmw, zapanowało już ogólne poruszenie.

– Cześć, Bobby – rzuciła D.D., nie podnosząc głowy.

– Ładne buty.

Nie dała się zwieść.

– Późna pora na spacer po mieście – stwierdziła.

– Nie mogłem spać.

– Bo telefony się urywały? – Spojrzała na niego podejrzliwie zmrużonymi oczami. – Masz dobry słuch, Bobby, zważywszy na to, że robimy wszystko, by wyciszyć sprawę.

Zrozumiał, do czego pije, ale postanowił nie odpowiadać na jej pytanie.

– Jeśli przez najbliższą godzinę postoję sobie pod tym betonowym słupem i pooglądam paznokcie, bardzo wam będę przeszkadzał?

– Powiedziałałabym, że robienie manikiuru jest tu ściśle zabronione. – Ruchem głowy wskazała Ricka Copleya, zastępcę prokuratora okręgowego, pogrążonego w rozmowie z lekarzem sądowym. Ostatni raz Bobby widział go w czwartek wieczorem, po akcji u Gagnonów, kiedy to musiał bawić się w kotka i myszkę z ludźmi z prokuratury. Uznał, że Copley raczej nie ucieszy się na jego widok. Musi więc się streszczać.

– Możesz powiedzieć w skrócie, co i jak? – spytał półgębkiem.

Znów spojrzała na niego znacząco.

– Ile jeszcze znajdziemy ofiar w jakiś sposób powiązanych z tobą?

– Dziś po południu widziałem go pierwszy raz w życiu. Rozmawialiśmy o Nathanie Gagnonie.

Przemyślała to, szybko skojarzyła fakty i powiedziała:

– O kurde. To lekarz tego małego?

– Tak.

– Coś jeszcze?

– Miał romans z mamą chłopca. Był już przesłuchiwany jako ewentualny świadek w sprawie rozwodowej. Twoja kolej.

Zerknęła w bok. Copley nadal rozmawiał z lekarzem sądowym, ale teraz już patrzył na nich ze zmarszczonym czołem.

– Zamordowany lekarz na przednim siedzeniu – szepnęła D.D. szybko. – Wygląda na to, że zdążył otworzyć drzwi i ktoś rąbnął go z tyłu.

– Zastrzelony?

– Zadźgany.

– Napastnik musiał być silny – zauważył Bobby.

Pokręciła głową.

– To jeszcze nie wszystko.

Copley ruszył w ich stronę.

– Musisz lecieć – mruknęła D.D.

– No.

– Ale pamiętaj, zawsze będziemy mieli Paryż.

Bobby zrozumiał, o co chodzi.

– Na razie.

Wyszedł na klatkę schodową, zanim dopadł go Copley. Usłyszał jeszcze, jak jeden z techników powiedział:

– O w mordę, to krew?

Drugi odpowiedział:

– Raczej szminka.

Casablanca była elegancką restauracją w Cambridge, serwującą dania kuchni śródziemnomorskiej. Znajdował się w niej doskonale wyposażony bar, a eklektyczne menu było skomponowane z myślą o bogatszej klienteli Harvardu – ściśle mówiąc, zamożnych rodzicach studentów. Bogey's natomiast był małym barkiem niedaleko Kapitolu, otwartym całą dobę. Były w nim oblażące winylowe stołki i wielka blacha do pieczenia, niemyta od lat. Lokal w sam raz dla gliniarzy.

Bobby poszedł tam na piechotę. Mroźne poranne powietrze ocuciło go do reszty, rzęsy zmieniły się w sople. Choć było dopiero parę minut po piątej, bar już tętnił życiem. Bobby zaczął dwadzieścia minut w gorącym wnętrzu, pachnącym jajkami na bekonie, po czym szybko zajął zwalniającą się wnękę na tyłach sali. Burczało mu w brzuchu, zamówił więc trzy sadzone jajka, sześć plastrów bekonu i angielską babeczkę. Nie był pewien, czy można to nazwać pożywnym posiłkiem. W każdym razie trochę białka w tym jest. Popił jedzenie dużą szklanką soku pomarańczowego, po czym wziął się do kawy.

Kiedy poczuł, że spowodowana głodem senność zaczyna ustępować kofeinowemużywieniu, do baru weszła wreszcie D.D. Nie miała już na sobie skórzanej kurtki. Ubrana była w obcisłą białą bluzkę z napisem z czerwonych cekinów ZABÓJCZA. Pasował do butów.

Wsunęła się za stolik, zerkając na pusty talerz Bobby'ego.

– Nic mi nie zostawiłeś?

– A co byś chciała?

– Jajka, bekon, tost. I największy sok pomarańczowy świata. A do tego może naleśniki.

– Sprawa jest aż tak ciekawa?

– No pewnie. Umieram z głodu.

Bobby złożył zamówienie. Kiedy wrócił, D.D. właśnie wylewała resztę kawy do kubka, który zwinęła z bufetu. Wrócił do kontuaru, napełnił dzbanek i wziął spory zapas śmietanki. O ile dobrze pamiętał, D.D. miała apetyt większy niż marine, a mniejszy niż kierowca ciężarówki. Dużo śmietanki, dużo cukru, dużo cholesterolu.

Kiedy wrócił do stolika z kawą i przyprawami, spojrzała na niego z uznaniem.

– No to kto dał ci cynk? – spytała, rozrywając saszetki z cukrem.

– Harris Reed. Prywatny detektyw. Pracuje dla Gagnonów.

– Tych Gagnonów? Jamesa i Maryanne?

– Dynamicznego duetu we własnej osobie.

Zmarszczyła brwi.

– A skąd ten Harris wiedział, co się stało?

– Nie powiedział.

– Ma znajomości w policji?

– Pewnie tak.

Skrzywiła się.

– Cholerne komisariaty. Jeden pije, wszyscy szczają. A więc Gagnonowie trzymają rękę na pulsie?

– Na to wygląda.

– Ciekawe. – Skończyła słodzić kawę i dodała śmietanki. – A ty, Bobby? Nie powinienes wybrać się na ryby czy coś?

Rozłożył ręce.

– Nie umiem łowić ryb.

– Słyszałam o pozwie. Parszywa sprawa.

Nie zaprzeczył.

– Masz adwokata? Jak groźnie to wygląda?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Jeszcze nawet garnituru nie kupiłem. Za dużo roboty.

Przestała mieszać kawę.

– Bobby, musisz poważnie podchodzić do takich spraw. Jeśli można postawić policjanta przed sądem za to, że robi, co do niego należy... to naprawdę niepokojące.

I tym razem nie zaprzeczył.

– Jakby co, masz przyjaciół. Kryliście nas, kiedy przyjęliście to wezwanie, nie chcemy, żebyście mieli przez to kłopoty.

Bobby nie chciał o tym rozmawiać. Co się stało, to się nie odstanie.

– Jak było na parkingu? – spytał. – Co z panem doktorem? D.D. westchnęła, upiła duży łyk kawy i usiadła wygodnie.

– Sama nie wiem. Wygląda na to, że przeleciał o jedną kobietę za dużo.

– Zabiła go porzucona kochanka?

– Raczej wściekły mąż kochanki. Morderca napadł go od tyłu. Był tak silny, że przeciął mu pól szyi.

– Paskudna sprawa – mruknął Bobby.

– I to jak. Morderca zaczekał, aż doktor wsadzi głowę do samochodu, żeby nie było słycać krzyków. Tyle że na tym zabawa się nie skończyła. Pan doktor został, że tak powiem,

rozcłonkowany.

– Rozcłonkowany?

– Rozcłonkowany – powiedziała D.D. z posepną miną. – Członek znaleźliśmy w schowku.

– Au – mruknął Bobby.

– Au – powtórzyła D.D.

Zmarszczył brwi. Morderca musiał działać z pobudek osobistych. Skoro tak się napracował, w dodatku na ogólnodostępnym parkingu.

– Nagrania z kamer monitoringowych?

– Sprawdzamy je. Te, które widziałam, są bardzo niewyraźne. Morderca nie był głupi. Obezwładnił doktora i wsadził do wozu. Sam wsiadł od strony pasażera. Bmw ma przyciemniane szyby, jest późna noc. Przechodzień mógł zobaczyć tylko sylwetki dwóch osób siedzących w środku. Tyle że jedna z nich była martwa, a druga bawiła się nożem. Jezu, skąd biorą się tacy ludzie? Słowo daję, wszystko przez te filmy.

D.D. dostała zamówione jedzenie. Z błyszczącymi oczami nałożyła na tost jajka i plastry bekonu. Potem dobrała się do sosu. – Musiało być dużo krwi. Pewnie tryskała na wszystkie strony.

– Pewnie tak. – Odkroiła widelcem kawałek grzanki i zaczęła żuć go z rozkoszą. – Byłeś tam, Bobby. Wyobraź sobie ten wielki zimny parking, pomyśl, pod jaką instytucją się mieści, i sam wyciągnij wnioski.

Bobby zamyślił się. W blasku reflektorów beton wydawał się gładki, czysty. Nigdzie nie było ani kropelki krwi. Nachmurzył się, przemyślał wszystko jeszcze raz i nagle się uśmiechnął.

– Szpital. Fartuch chirurgiczny!

– Brawo. W pojemniku na śmieci pod zachodnim wejściem znaleźliśmy plastikowy worek z zakrwawionym fartuchem i nakładkami na buty. Wygląda na to, że nasz sprytny morderca włożył fartuch, zrobił swoje, po czym brudny fartuch zmiął i wyrzucił. Prawdopodobnie wchodząc na parking, wyglądał jak chirurg. Kiedy było po wszystkim, czekał na odpowiedni moment, wysiadł z wozu, zdjął fartuch i sobie poszedł.

– Wtedy zostawiłby ślady butów. Przy wysiadaniu z samochodu.

– Znaleźliśmy rozmazaną krew. Pewnie wytarł ślady, może fartuchem. Nie udało mu się to do końca, ale wzór podeszwy zamazał dokładnie. Cwany skurczybyk.

– Przewidujący – myślał Bobby na głos. – Na pewno to zaplanował.

– Tak i nie. Musiał trochę ruszyć głową, ale wszystko, czego potrzebował, miał na miejscu. Dlatego nie musiał planować wszystkiego z dużym wyprzedzeniem. Oczywiście, przy założeniu, że nie jest chirurgiem, czego, uwzględniając miejsce zdarzenia, nie można wykluczyć. – D.D. pochłonęła już pół porcji i aż wzdychała z rozkoszy.

– Och, jakie to dobre. Słowo honoru, gdyby to nie groziło zawałem serca, przychodziłabym tu codziennie.

– Są jacyś podejrzeni?

– I kto o to pyta?

– Chyba nie masz na myśli mnie, co? – Był autentycznie zaskoczony.

– A powinnam?

– D.D.!

– Spokojnie, Bobby. To twoją panienkę wzięliśmy na cel. Catherine Gagnon.

Bobby zmarszczył brwi. Ta uwaga miała go sprowokować, ale on nie połknął haczyka.

– Nie bardzo to widzę – powiedział po chwili.

– Biuro zastępcy prokuratora zajmuje się nią od wczoraj. Podobno mogła wiele zyskać na śmierci męża. Krążą plotki, że szukała specjała, który pomógłby jej za pieniądze... albo zakochanego frajera, który zrobiłby to za darmo.

– Copley myśli, że Catherine namawiała Tony'ego Rocco, by zabił jej męża?

– Wczoraj próbował się umówić na rozmowę z panem doktorem. Rocco go spławił.

Bobby skinął głową w zamyśleniu, trzymając kubek z kawą w obu dłoniach.

– Skoro Tony Rocco był sprzymierzeńcem Catherine, czemu miałyby go zabić lub nasłać na niego zabójcę?

D.D. wzruszyła ramionami. Nie patrzyła mu w oczy.

– Jak wiesz, Rocco nie zabił Jimmy'ego.

– Fakt. – Bobby wpatrywał się w D.D., ale ona siedziała ze wzrokiem utkwionym w talerzu.

– Ale może mówiła Rocco, że chce to zrobić – powiedziała po chwili. – I może dowiedziała się, że zastępca prokuratora się tym zainteresował. Może bała się, że Rocco się wygada.

– Przecież morderca najprawdopodobniej był mężczyzną.

– Jest ładna, ma kasę. Jedno i drugie wystarczy, by znaleźć chętnych do pomocy.

– Do pomocy w usunięciu pomocnika – podkreślił Bobby z ironią.

D.D. wzruszyła ramionami.

– Tak sądzi Copley. Dla mnie zabójcą był zazdrosny mąż. W końcu, jeśli zabija się kogoś dla własnej korzyści, po co mu jeszcze obcinać wacka?

– Rzeczywiście, to wskazuje na osobiste porachunki.

– No i jest jeszcze ta wiadomość.

– Wiadomość?

– Uhm. Napisana na tylnej szybie. Dzięki niej znaleziono doktora Rocco; ktoś nachylił się, by ją przeczytać.

– Jak brzmiała?

– „Pozdrowienia od pana Bosu”.

– Pozdrowienia od pana Bosu?

– Uhm. Napisane szminką.

– Szminką?

– Tak. I założę się, że usta Catherine Gagnon wyglądają zabójczo w tym odcieniu czerwieni.

D.D. skończyła jeść. Bobby wziął rachunek.

– Dziś odwiedzi cię Copley – uprzedziła.

– Flirtuje tylko, czy kocha?

– Mówi, że wczoraj widziano cię z wesołą wdówką w Gardner Museum.

Bobby wyjął z portfela plik banknotów i zaczął odliczać jednodolarówki.

– Niedobrze jest – powiedziała D.D. cicho – pokazywać się z wdową po człowieku, którego się zabiło. Ludzie zaczynają mówić różne rzeczy.

Potrzebował dziesiątki. Nie miał. Wyjął dwa banknoty pięciodolarowe.

– Ona narobi ci kłopotów – dodała D.D. – Dwa dolary to wystarczający napiwek. Wiesz, chciał się z nią rozwieść i przejąć opiekę nad dzieckiem. Mogła zostać pozbawiona środków do życia, ale szczęśliwym trafem od czwartku jest zamożną wdową. W tej branży nie można nie zauważać takich szczegółów.

Bobby wreszcie podniósł wzrok.

– Naprawdę myślisz, że mogła to wszystko ukartować? Sprowokować kłótnię, dopilnować, by mąż miał pistolet, a potem tak wszystko zachachmęcić, żeby on zginął, a ona nie?

D.D. długo milczała.

– Znałeś ją, Bobby? – powiedziała wreszcie. – Przed tym, jak do ciebie zadzwoniła? Może spotkałeś ją przelotnie, może była znajomą znajomych?

– Nie.

D.D. odchyliła się na oparcie, ale wciąż przyglądała mu się uważnie, ze zmarszczonym czołem. Bobby wstał i nieporadnie usiłował schować portfel do kieszeni. Zmełł w ustach przekleństwo.

– Bobby – powiedziała po chwili i coś w jej głosie kazało mu na nią spojrzeć. Patrzyła na niego z jakimś ponurym zainteresowaniem. Przez chwilę wyglądało na to, że się rozmyśliła, jednak w końcu zadała mu to pytanie, jakby nie mogła się powstrzymać. – Kiedy strzełeś... czy było ci ciężko? Czy widząc w celowniku człowieka z krwi i kości, zawahałeś się?

Bobby nie miał ochoty odpowiadać. Łatwiej byłoby się obrazić, spojrzeć na nią spode łba i wyjść. Ale D.D. to przyjaciółka. Znają się od lat. I być może w głębi duszy rozumiał jej pytanie nawet lepiej niż ona. Każdy glina ma tego rodzaju wątpliwości. Tyle czasu spędzali na ćwiczeniach, ale kiedy przychodziło co do czego, kiedy ryzykowało się życie swoje albo, co gorsza, życie partnera...

Odpowiedział więc szczerze:

– Prawdę mówiąc, nie czułem nic – wyznał cicho.

D.D. spuściła wzrok. Nie mogła spojrzeć mu w oczy. A on nawet się nie zdziwił. Trzy dni po śmierci Jimmy'ego Gagnona wreszcie przekonywał się na własnej skórze, że tak to już jest.

Skinął jej głowę na pożegnanie i wyszedł z baru.

## Rozdział 16

Dwie przecznice od baru koło Bobby'ego przystanął smukły czarny lincoln. Przyciemniona szyba się opuściła. Bobby zajrzał do środka i zaklął.

– Nie masz jakiegoś hobby? – spytał Harrisa.

Z tyłu dobiegło gniewne trąbienie.

– Wsiadaj – powiedział Harris.

– Nie.

– Moi pracodawcy chcą z tobą porozmawiać.

– Niech wytoczą mi jeszcze jedną sprawę.

– Są bardzo wpływowi. Zamienisz z nimi kilka słów i twoje kłopoty się skończą.

– Zbytek łaski. – Przyspieszył kroku. – Pójdę pieszo.

Harris zmienił taktykę.

– Zabiłeś ich syna. Chyba możesz poświęcić im dziesięć minut.

Bobby zwolnił. Harris wcisnął hamulec.

– To cios poniżej pasa – mruknął Bobby ze zmarszczonym czołem. Z ociąganiem otworzył drzwi. Harris uśmiechnął się radośnie jak idiota.

Gagnonowie zaszyli się w nowym, droгим hotelu LeRoux, naprzeciwko parku. Musieli się tu przenieść, bo pod ich kamienicą w Beacon Hill koczowali dziennikarze. Pani Gagnon nie mogła spać ani jeść. Pan Gagnon wynajął luksusowy apartament na ostatnim piętrze, z pozostającą do dyspozycji przez całą dobę masażystką, która miała pomóc jej się odprężyć.

W drodze Harris opowiadał Bobby'emu o swoich pracodawcach. Że pochodzą z Georgii, więc niech nie dziwi go ich południowy akcent. Że pani Gagnon była podobno autentyczną młodą damą, taką w atlasowej sukni i z tapirowanymi włosami, kiedy w sześćdziesiątym drugim poznała Jamesa Gagnona. To jej rodzina miała pieniądze. Ale James już wtedy był ambitnym studentem prawa. Jej rodzina zaakceptowała związek, a przyszły teść zamierzał pomóc Jimmy'emu w założeniu kancelarii adwokackiej.

Niestety, cała rodzina Maryanne – matka, ojciec, młodsza siostra – zginęła w wypadku na tydzień przed ślubem. Nie trzeba dodawać, że Maryanne była zdruzgotana. Chcąc jej pomóc, Jimmy wywiózł ją ze stanu. Przenieśli się do Bostonu, zdecydowani zacząć wszystko od nowa.

Dobra wiadomość była taka, że Maryanne od razu zaszła w ciążę, zła natomiast, że ich syn, James Jr., był chorowitym dzieckiem. Umarł po kilku miesiącach i James z Maryanne pochowali go na cmentarzu w Atlancie, tam gdzie spoczęła reszta rodziny.

Po dwóch latach na świat przyszedł Jimmy i karta się odwróciła.

Bobby dziwił się, czemu drugiemu dziecku nadali to samo imię co pierwszemu. Pierwszy syn

miał na imię Junior, drugi Jimmy, poprawił go Harris. Bobby i tak uważał, że to dość dziwne.

Zaraz po wejściu do apartamentu pomyślał, że Gagnonowie wiedzą, jak robić wrażenie. Posadzka była z włoskiego marmuru, w pokoju stały cenne antyki, a okna okrywało tyle jedwabiu, ile nie wytworzyłaby cała ferma jedwabników. Apartament stanowił idealne tło dla jego mieszkańców.

Maryanne Gagnon wyglądała na sześćdziesiąt kilka lat i wciąż była szczupłą, ale lekko przygarbioną, o platynowych blond włosach, teraz już bardziej platynowych niż blond. Na szyi nosiła potrójny sznur dużych pereł, na palcu natomiast kamień szlachetny wielkości piłki golfowej. Siedząc na eleganckim francuskim krześle, w jedwabnym kremowym kostiumie, niemal zlewała się z wiszącymi za nią draperiami.

W odróżnieniu od niej sędzia Gagnon dominował nad otoczeniem. Wysoki, dostoyny, w jednorzędowym czarnym garniturze, za który pewnie dał więcej, niż Bobby zarabiał w miesiąc, stał tuż za prawym ramieniem żony. Miał siwe włosy, ale widać było, że upływ czasu w najmniejszym stopniu nie nadważył jego sił. Błyszczące oczy, wyraźnie zarysowana szczeka i usta zaciśnięte w wąską kreskę – można było go sobie wyobrazić, jak kieruje sądem. I całym krajem.

Bobby'emu błysnęła myśl, że słaby Jimmy Gagnon więcej cech musiał odziedziczyć po matce niż po ojcu.

– Jaki pan niepozorny – zauważyła Maryanne Gagnon, ku zaskoczeniu wszystkich. Podniosła oczy na męża i Bobby zauważył, że jej złożone na kolanach ręce drżą. – Nie myślałeś, że będzie jakiś... większy?

James ścisnął ramię żony i w tym geście było coś, co wstrząsnęło Bobbym bardziej niż ubrania, apartament czy doskonale przygotowane pozy. Wbił wzrok w marmurową posadzkę w szare i różowe zygzaki.

– Napije się pan? – spytał James.

– Nie.

– A może zje pan coś?

– Raczej nie zdążę. Nie zabawię tu długo.

James przyjął to do wiadomości. Wskazał stojącą obok sofę.

– Proszę, niech pan usiądzie.

Tego Bobby też nie chciał zrobić, ale mimo to podszedł do kremowej sofy, usiadł niepewnie na jej skraju, położył dłonie na kolanach i zacisnął pięści. W odróżnieniu od zadbanego i eleganckiego Gagnona, miał na sobie znoszone dżinsy, ciemnoniebieski golf i stary szary sweter. Wylazł z łóżka w środku nocy po to, by obejrzeć miejsce zbrodni, a nie stanąć twarzą w twarz z pogrążonymi w żałobie rodzicami. Z czego, rzecz jasna, Gagnonowie doskonale zdawali sobie sprawę, kiedy wysłali po niego Harrisa.

– Harris mówił, że spotkał się pan z Catherine.

To znów James. Bobby czuł, że to on tu rządzi. Maryanne nawet na niego nie patrzyła.

Siedziała trochę odwrócona, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Po chwili zauważył, że szłocha bezgłośnie. Twarz, którą starała się przed nim ukryć, była mokra od łez.

– Panie Dodge?

– Tak, spotkałem się z Catherine. – Bobby usłyszał swój głos. Wciąż wpatrywał się w Maryanne. Chciał coś powiedzieć. Ale co? „Przepraszam. Nie cierpiał. Hej, przynajmniej nadal macie wnuka...”

Głupio zrobił, że tu przyszedł. Teraz zdał sobie z tego sprawę. James Gagnon zastawił na niego pułapkę, a on dał się w nią zwabić.

– Znał pan moją synową już wcześniej? – naciskał James.

Bobby zmusił się, by na niego spojrzeć. Ostatnio wszyscy go o to pytają.

– Nie – powiedział zdecydowanie.

– Jest pan pewien?

– Na ogół pamiętam ludzi, których znam.

James uniósł brew.

– Co pan widział tamtej nocy? Kiedy zginął Jimmy?

Bobby spojrział na Maryanne, a potem na jej męża.

– Jeśli mamy o tym mówić, wolałbym, by pani przy tym nie było.

– Maryanne? – James spojrział ciepło na żonę, a ona na niego. Jeszcze przed chwilą płakała. Teraz wyprostowała się, jakby wstąpiły w nią nowe siły. Wzięła męża za rękę. Razem odwrócili się do Bobby’ego.

– Chcę znać prawdę – powiedziała Maryanne łagodnie. – To mój syn. Ja go urodziłam. Chcę wiedzieć, jak umarł.

Jest niesamowita, pomyślał Bobby. Wystarczyło, że powiedziała cztery zdania, a serce mu pękło.

– Dostałem wezwanie – odparł tak beznamiętnie, jak potrafił. – Kobieta zgłosiła, że jej mąż ma broń, sąsiedzi donieśli, że słyszeli strzały. Kiedy zająłem pozycję po drugiej stronie ulicy, zauważyłem, że podejrzany...

– Jimmy – przerwał mu sędzia.

– Podejrzany – nie ustąpił Bobby – nerwowo chodzi po sypialni. Po chwili ustaliłem, że ma w ręku pistolet kaliber 9 milimetrów.

– Nabity? – To znów James.

– Nie mogłem tego stwierdzić, ale skoro wcześniej słyszano strzały, to można było przypuszczać, że broń jest nabita.

– Zabezpieczona czy nie?

– Nie mogłem tego ustalić, ale powtarzam: skoro wcześniej słyszano strzały, można było przypuszczać, że jest odbezpieczona.

– Jimmy mógł ją zabezpieczyć?

– Mógł.

– Możliwe, że w ogóle to nie on strzelał. Nie widział pan tego na własne oczy, zgadza się?

– Tak.

– Nie widział pan, by nabijał broń?

– Nie.

– Rozumiem – powiedział sędzia i dopiero teraz Bobby zorientował się, co tak naprawdę jest grane. To wstępne przesłuchanie, przedsmak tego, co czeka go na rozprawie, kiedy to szanowny pan sędzia będzie się starał wykazać, że on, Robert G. Dodge, w czwartek jedenastego listopada 2004 roku z zimną krwią zastrzelił jego biednego, Bogu ducha winnego syna, Jamesa Gagnona Juniora.

To będzie wojna na słowa, a sędzia miał po swojej stronie wszystkie ciężkie działa. – Co więc dokładnie pan widział? – spytał. – Po pewnym czasie...

– Co to znaczy? Po minucie, pięciu minutach, półgodzinie?

– Po około siedmiu minutach zobaczyłem kobietę...

– Catherine.

– I dziecko. Kobieta trzymała je przy piersi. Potem zaczęła klócić się z podejrzanym – powiedział Bobby z naciskiem na ostatnie słowo.

– O co?

– Nie słyszałem.

– A więc nie wie pan, co do siebie mówili? Może Catherine groziła Jimmy’emu.

– Czym?

Sędzia zmienił taktykę.

– Albo mu wymyślała.

Bobby wzruszył ramionami.

– Wiedziała, że pan tam jest? – naciskał sędzia.

– Nie wiem.

– Pod domem były reflektory, karetka, jeździły radiowozy. Nie sądzi pan, że zauważyłaby takie zamieszanie?

– Była na trzecim piętrze. Kiedy przybyłem na miejsce, chowała się z dzieckiem za łóżkiem. Dlatego nie wiem, co mogła, a czego nie mogła widzieć.

– Ale mówił pan, że sama wezwała policję.

– Tak mi powiedziano.

– Prawdopodobnie spodziewała się więc stosownej reakcji na swoje zgłoszenie.

– W przeszłości reakcja ta sprowadzała się do wizyty dwóch umundurowanych funkcjonariuszy.

– Wiem, panie Dodge. Dlatego tak ciekawe wydaje mi się to, że tym razem wspomniała, że Jimmy ma broń. To oznaczało automatyczne wezwanie antyterrorystów, zgadza się?

– Ale Jimmy miał broń. Sam widziałem.

– Czy aby na pewno? Jest pan pewien, że to był prawdziwy pistolet? Może to była atrapa

albo zabawka Nathana? Ba, mogła to być nawet zapalniczka w kształcie rewolweru.

– Panie sędzio, przez ostatnie dziesięć lat oglądałem ponad sto różnych pistoletów. Jimmy miał w ręku berettę 9000S z wytrawioną na zamówienie rękojeścią. To ją zobaczyłem przez celownik i to ją ekipa śledcza znalazła na miejscu zdarzenia.

Sędzia zasepił się, wyraźnie niezadowolony z tej odpowiedzi, szybko jednak ponowił atak.

– Panie Dodge, czy w czwartek mój syn nacisnął na spust?

– Nie, panie sędzio. Ja strzeliłem pierwszy.

Maryanne drgnęła. James za to omal się nie uśmiechnął. Zaczął chodzić po marmurowej posadzce, kiwając palcem.

– Tak naprawdę niewiele pan wie o tym, co działo się w tamtym pokoju, prawda, panie Dodge? Nie wie pan, czy Jimmy miał nabitą broń. Nie wie pan, czy była zabezpieczona, czy nie. Może to Catherine zaczęła. Może nawet groziła, że zrobi krzywdę Nathanowi. Może Jimmy wyjął pistolet z sejf, bo nie miał innego wyjścia i musiał walczyć o życie dziecka. Mogło tak być?

– Trzeba o to spytać Catherine.

– Catherine? Miałbym zachęcać moją synową do kłamstwa? W ilu akcjach bierze pan udział w ciągu roku?

– Nie wiem. Może dwudziestu.

– Czy wcześniej strzelał pan do kogoś?

– Nie.

– Ile przeciętnie trwa taka akcja?

– Trzy godziny.

– Rozumiem. A więc rocznie uczestniczy pan w około dwudziestu akcjach, z których każda trwa trzy godziny, i jak dotąd ani razu nie miał pan okazji pociągnąć za spust. W czwartek jednak zastrzelił pan mojego syna niecałe piętnaście minut po przybyciu na miejsce. Co sprawiło, że tym razem było inaczej? Dlaczego był pan przekonany, że nie ma innego wyjścia, jak tylko go zabić?

– Bo zamierzał strzelić.

– Skąd pan to wiedział?

– Miał to wypisane na twarzy! Zamierzał zabić żonę!

– Na twarzy? Wyczytał to pan z jego twarzy, a może miał pan przed oczami twarz kogoś innego?

Bobby był tak wzburzony, że dopiero po chwili zrozumiał, o co chodzi. A wtedy czas jakby się zatrzymał. Poczł ucisk w dołku. Wszystko zastygło w bezruchu. Miał wrażenie, że na chwilę opuścił swoje ciało i obserwował całą tę straszną scenę z zewnątrz. Widział siebie siedzącego na skraju obitej jedwabiem sof, wychylonego do przodu, z pięściami zaciśniętymi na kolanach. Zrozpaczoną Maryanne zapadniętą głęboko w kremowe krzesło. I sędziego Gagnona, z oskarżycielsko wzniesionym palcem i triumfalnym błyskiem w oku.

Harris, pomyślał nagle Bobby. Gdzie, do cholery, podział się Harris?

Odwrócił się. Detektyw siedział na ciemnym drewnianym krześle w kącie. Napotkawszy jego spojrzenie, zsalutował mu, nawet nie próbując ukryć zadowolenia. Oczywiście, że wyszperał tę informację. Takie są reguły gry. Gagnonowie płacą, a on grzebie w brudach po to, by dostali to, czego chcą.

Dopiero teraz Bobby zaczął rozumieć, jak bezbronna musiała czuć się Catherine.

– Na procesie to wyjdzie na jaw – uprzedził sędzia Gagnon. – Zawsze tak jest.

– Czego chcecie?

– To przez nią Jimmy nie żyje – powiedział James. Nie musiał mówić, kim jest „ona”. – Proszę to przyznać. Skłoniła pana, by go pan zastrzelił.

– Niczego takiego nie przyznam.

– No dobrze. Alternatywna wersja wydarzeń: przybył pan na miejsce, usłyszał pan kłótnię, oczywiste było, że to ona zaczęła. Groziła Jimmy’emu. Co więcej, wreszcie wyznała, co robi Nathanowi. Jimmy nie mógł tego dłużej znieść.

– Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, że usłyszałem to wszystko, siedząc w domu po drugiej stronie ulicy.

– To już moje zmartwienie. Ona zabiła mojego syna, panie Dodge. Równie dobrze mogła sama pociągnąć za spust. Nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami i pozwolić jej, by skrzywdziła mojego wnuka. Niech pan mi pomoże, a ja zapomnę o zarzutach przeciwko panu. Jeśli pan się nie zgodzi, będę pana włóczył po sądach dotąd, aż zrobię z pana wrak człowieka, bez kariery, domu, godności, osobowości. Każdy prawnik panu powie, że to dla mnie nic trudnego. To tylko kwestia pieniędzy i czasu. – James rozłożył ręce. – A ani jednego, ani drugiego mi nie brakuje.

Bobby wstał z sofy.

– Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

– Daję panu czas do jutra. Jedno pańskie słowo wystarczy, by sprawa została wycofana z sądu, a Harris zapomniał o swoim małym projekcie badawczym. Ale o piątej po południu przestanę być wspaniałomyślny.

Bobby ruszył do drzwi. Kiedy położył rękę na mosiężnej gałce, usłyszał głos Maryanne:

– Był dobrym chłopcem.

Bobby odetchnął głęboko. Był wściekły, tak wściekły, że krew wrzała mu w żyłach. Mimo to odwrócił się. Spytał tak łagodnym tonem, na jaki tylko mógł się zdobyć:

– Słucham?

– Mówię o moim synu. Czasem lubił poszaleć. Ale był dobrym człowiekiem. Kiedy miał siedem lat, u jednego z jego kolegów wykryto białaczkę. Tego roku na urodziny Jimmy urządził wielkie przyjęcie, ale poprosiłby zamiast przynosić prezenty, goście dokonali wpłat na Stowarzyszenie Walki z Rakiem. A na studiach był wolontariuszem w telefonie zaufania.

– Przykro mi z powodu państwa straty.

– Co rok na Dzień Matki dawał mi jedną czerwoną różę. Nie taką z cieplarni, ale prawdziwą,

pachnącą jak ogrody w latach mojej młodości. Jimmy wiedział, jak kocham ten zapach. Rozumiał, że nawet teraz czasem tęsknię za Atlantą. – Maryanne spojrzała na niego oczami pełnymi bezgranicznego bólu. – Co ja zrobię w Dzień Matki? – szepnęła. – Niech pan powie, kto przyniesie mi różę?

Bobby nie był w stanie jej pomóc. Ledwie wyszedł, nie wytrzymała i rozszlochała się na dobre. Przez zamykające się drzwi Bobby zobaczył, że James obejmuje ją, i usłyszał, jak mówi:

– Ciii... Wszystko będzie dobrze, Maryanne. Już niedługo Nathan będzie z nami. Pomyśl o Nathanie. Ciii...

## Rozdział 17

Kiedy Catherine się obudziła, Prudence już nie było. Niedziele miała wolne i na ogół starała się je w pełni wykorzystać. Catherine uznała, że to nawet lepiej. Świeciło słońce, niebo było niemal nieznośnie niebieskie, takie w zimne listopadowe dni można zobaczyć tylko nad Nową Anglią. Mimo to Catherine zapaliła wszystkie światła. Pomyślała, że chyba lekko jej odbija.

Czy w ogóle spała tej nocy? Nie była pewna. Coś jej się śniło, więc spać musiała. Widziała Nathana w dniu jego narodzin. Parła przez trzy godziny. „Już prawie, już prawie”, powtarzał lekarz. Przestała krzyczeć przed dwoma godzinami i teraz tylko dyszała ciężko, jak cierpiące zwierzę. Lekarze kłamali, Jimmy kłamał. Umierała, a dziecko rozrywało ją na pół. Następny skurcz. „Przyj!” krzyknął lekarz. „Przyj”, krzyknął Jimmy. Zagryzła wargę i jeszcze ten jeden raz zaczęła przeć.

Dziecko wyskoczyło z niej tak nagle, że lekarz nie zdążył go złapać, i wylądowało na przykrytej prześcieradłami podłodze. Ucieszył się lekarz. Ucieszył się Jimmy. Ona tylko stęknęła. Potem położyli małego Nathana na jej piersi. Był siny, drobny, cały w śluzie.

Nie wiedziała, co myśleć. Nie wiedziała, co czuć. Nagle jednak Nathan poruszył się, jego malutkie wargi zaczęły szukać jej piersi, a ona rozbeczała się jak idiotka. Z jej oczu pociekły łzy wielkie jak groch, jedyne szczere łzy w jej życiu. Płakała z powodu Nathana, tej pięknej istotki, która zrodziła się z jej jałowej duszy. Płakała, bo nie wierzyła, że kiedyś spotka ją taki cud. I płakała, bo mąż trzymał ją w ramionach, dziecko szukało jej piersi i przez ułamek sekundy czuła, że nie jest sama.

Śniła o matce. Widziała ją, stojącą w drzwiach sypialni. Ona sama leżała w łóżku z szeroko otwartymi oczami. Nie wolno jej było spać, bo gdyby zasnęła, nadciągnęłaby ciemność, a z nią on. Przyciągnąłby jej głowę do swojego krocza. Ten zapach, ten zapach, ten zapach. Wygiąłby jej drobne ciało do tyłu i stękając, wdarł się w nią jak wielbłąd próbujący przejść przez ucho igielne. Ten ból, ten ból, ten ból. Albo byłoby jeszcze gorzej. Jak wiele dni i tygodni później, kiedy nawet nie musiał jej do niczego zmuszać. Kiedy robiła, co chciał, bo opór był daremny, bo upokorzenia przestały się liczyć, bo dziewczynki, która została wrzucona do tej jamy, już nie było. Zostało tylko ciało, wyschnięta skorupa, która robiła, czego od niej oczekiwano, i była wdzięczna, że on w ogóle wracał.

Bo pewnego dnia nie wróci. Zdążyła to już zrozumieć. Pewnego dnia zmęczy się nią i odejdzie, a ona umrze tu, sama w ciemnościach.

W domu było za mało światła. O trzeciej, czwartej, a może piątej nad ranem zebrała wszystkie świece. Latarki też się przydały. I światełko w piekarniku. I to w drzwiach lodówki. LAMPY nad kuchnią. I te w szafce. Płomienie w dwóch kominkach na gaz. Potrzebowała światła, musiała mieć światło.

Śniła o Jimmym. O uśmiechniętym, szczęśliwym Jimmym. „Hej, co mam zrobić, żebyś mnie wyperfumowała?” O wściekłym, pijanym, zimnym Jimmym. „Jesteś pewien, że nic nie dostanie? Nie chcę, by dostała złamanego szeląga”.

Tak długo śniła o Jimmym, że o szóstej rano wyskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki z wymiotować.

A kuku, szeptał głos w głębi jej duszy. A kuku.

O Boże, proszę, niech Jimmy wreszcie umrze.

Teraz była już prawie dziewiąta. Zaczęły się godziny wizyt w szpitalu. Dzwoniła tam już cztery razy. Nathan się obudził. Może się z nim zobaczyć.

Srać na to. Nie ufa szpitalowi. Nie jest tam dość bezpiecznie. Przywiezie syna do domu.

Wzięła płaszcz i klucze. Ostatni obchód domu. Aha, zapomniała o świecach. Przeszła przez wszystkie pokoje i zdmuchnęła płomyki, jeden po drugim, aż od dmuchania zakreśliło jej się w głowie. Schodząc na dół, przypomniała sobie o paralizatorze. Trzymała go w sejfie. Poszła na górę do sypialni, by uzbroić się do walki z bezimiennym wrogiem.

Kto mógł napisać „a kuku” na jej wstecznym lusterku? Kto mógł zrobić coś takiego?

Wolała za dużo o tym nie myśleć. Gdzieś tam były odpowiedzi i większość z nich ją przerażała.

Sejf był szeroko otwarty, tak jak zostawili go policjanci. Zajrzała do środka. Tazer zniknął. Pieprzone szczury. Pewnie włączyli go do dowodów. Jakby tazer mógł ochronić ją przed pistoletem Jimmy’ego.

Wróciła na dół, gniew dodawał jej sił i pchał ją do drzwi. Do szpitala, do Nathana. Położyła dłoń na klamce, kiedy rozległo się pukanie. Odskoczyła w tył z ręką na piersi, jak uderzona obuchem. I znów usłyszała pukanie.

Bardzo powoli przyłożyła oko do judasza.

Troje ludzi. Policja.

Poczuła ucisk w dołku. Nie, pomyślała rozpaczliwie. Nie teraz. Nathan jest sam. Czy nie wiedzą, że w każdej chwili może nadjechać mężczyzna w niebieskim chevy?

O Boże, stało się. Zaczyna tracić rozum.

Znów zapukali. Bardzo powoli otworzyła drzwi.

– Catherine Gagnon? – spytał mężczyzna stojący na przodzie. Miał spłaszczony nos, jakby dostał w twarz o jeden raz za dużo. To zupełnie nie pasowało do jego stosunkowo eleganckiego szarego garnituru.

– Kim pan jest?

– Rick Copley, zastępca prokuratora hrabstwa Suffolk. A to detektyw D.D. Warren z policji bostońskiej – wskazał piękną, okropnie ubraną blondynkę – i śledczy Rob Casella z prokuratury okręgowej. – Tu wskazał wyjątkowo posępnego mężczyznę w ciemnym garniturze nadającym się tylko na pogrzeby. – Mamy kilka pytań. Możemy wejść?

– Właśnie szłam do syna – powiedziała.

– Postaramy się nie zabrać za dużo czasu. – Zastępca prokuratora okręgowego już wpychał się do środka. Dała za wygraną. Lepiej załatwić to teraz, zanim wrócą Nathan i Prudence.

Blondynka rozglądała się po holu z wyraźnym niesmakiem. Śledczy już zaczął robić notatki.

– Chyba byłoby wygodniej, gdybyśmy wszyscy usiedli. – Zastępca prokuratora zaprosił ich do salonu na lewo od holu. Catherine odłożyła torebkę, zrzuciła płaszcz. Z uwagą przypatrywała się zastępcy prokuratora. To on tu rządzi.

Była ciekawa, co sądzi o pograżonych w żałobie wdowach. Znów podchwyciła jego spojrzenie. Było harde, przenikliwe, jak u drapieżnika obserwującego ofiarę. A więc to tak. Odkąd pamiętała, wywoływała u mężczyzn skrajne reakcje. Ci, którzy pożąдали kobiet, jej pożąдали jeszcze bardziej, Za to ci, którzy ich nienawidzili...

Uznała, że lepiej będzie skupić się na mężczyźnie w stroju żałobnika.

– Dobrze, że przyszliście – powiedziała i dumnie wyprostowana weszła lekkim krokiem do pokoju. – Wczoraj dzwoniłam do zakładu medycyny sądowej. Ku mojemu zdumieniu, okazało się, że nadal nie mogę odebrać ciała męża.

– W takich okolicznościach musi to trochę potrwać.

– Ma pan dzieci, panie Copley?

– Dwoje – odpowiedział zimno.

– Wyobraża pan sobie, jak cierpiałyby po utracie ojca?

W odpowiedzi tylko przeszył ją wzrokiem.

– Mój synek przeżywa ciężkie chwile – mówiła cicho. – Chciałabym załatwić wszystkie formalności związane z pogrzebem, żebyśmy mieli już to za sobą. Im szybciej pogodzi się z tym, co się stało, tym szybciej będzie mógł dojść do siebie.

Nie zareagowali. Catherine usiadła naprzeciwko nich na starym drewnianym krześle. Założyła nogę na nogę i splotła dłonie na kolanie. Była ubrana stosownie do swojej roli: w czarną spódnicę z paskiem i fioletowo-szary kaszmirowy golf. Miała perłowe kolczyki, obrączkę, jej długie czarne włosy spięte były w kok. Wyglądała jak pełna godności wdowa i doskonale o tym wiedziała.

Jeśli chcą dręczyć wdowę, proszę bardzo.

Milczenie przerwał zastępca prokuratora okręgowego. Odkasznął znacząco.

– Mamy pewne pytania dotyczące czwartkowej nocy – powiedział. – Mogłaby pani jeszcze raz wyjaśnić nam kilka spraw?

W odpowiedzi tylko spojrzała na nich wyczekująco.

– Hm, no dobrze.

Śledczy Hades z uwagą wertował notes. Catherine przestała mu się przyglądać, zamiast tego wbiła wzrok w blondynkę. Co ona tu robi? Przecież zabójstwo popełnione przez policjanta to sprawa wyłącznie dla prokuratury.

– Co się tyczy kaset wideo z systemu monitoringu... Zdaje się, że brakuje tej z głównej sypialni.

– Bo jej niebyło.

– Słucham? Firma, która instalowała system, mówiła nam, że w sypialni jest kamera.

Spojrzała spokojnie na śledczego Casellę.

– Nie była włączona.

– Tak?

– Cóż za korzystny zbieg okoliczności – mruknęła blondynka.

Catherine zignorowała ją.

– Kamera jest włączana, kiedy wychodzimy. Jimmy ustawił ją tak, by wyłączała się automatycznie o północy.

– Ciekawe – powiedział Casella – bo z pani wcześniejszych zeznań wynika, że Jimmy wrócił o dziesiątej, więc kamera powinna być włączona.

– Powinna, ale okazało się, że panel sterowania nie zna się na zegarze.

– Słucham?

– Chcecie, to sprawdźcie – zaproponowała Catherine. – Zegar panelu sterowania spieszy się o dwie godziny, więc dziesiąta to dla niego północ. – Wzruszyła ramionami. – Jimmy nie bardzo znał się na elektronice. Całe to zamieszanie z czasem letnim i zimowym... pewnie coś mu się poprzestawiało.

– Firma ochroniarska nic o tym nie wspominała.

– Bo pewnie im o tym nie powiedział.

Trzej śledczy wymienili znaczące spojrzenia.

– Mówiła pani, że pokłóciliście się z mężem – rzekł wreszcie Casella. – Z jakiego powodu?

Catherine spojrzała na niego z nienawiścią. Mówiła o tym już w piątek rano, kiedy krew w sypialni była jeszcze świeża. Wkurzało ją, że kazali jej znów to powtórzyć.

– Jimmy bywał zazdrosny, zwłaszcza gdy sobie popił. W czwartek wieczorem zaczął się awanturować z powodu lekarza Nathana. Chciałam pójść do niego z Nathanem, bo źle się czułam. Jimmy myślał, że to tylko pretekst do spotkania z byłym kochankiem.

– Spotykała się pani z doktorem Tonym Rocco? – Zastępca prokuratora okręgowego udawał zaskoczonego tą nowiną, choć oboje wiedzieli, że odstawia szopkę. Policja miała swoje sztuczki, ona swoje. Czym właściwie jest ta rozmowa: grecką tragedią czy szekspirowską komedią?

Nagle poczuła się śmiertelnie zmęczona. Chce zobaczyć Nathana. Chce wiedzieć, że przynajmniej on jest bezpieczny. Powiedziała bez cienia emocji:

– Tak, mieliśmy z Tonym romans. Skończyliśmy ze sobą wiele miesięcy temu i jak zapewniłam Jimmy'ego, to była przeszłość.

– A gdzie znajdowała się niania, Prudence Williams, w trakcie tej rozmowy? – Pałeczkę przejął Casella.

– Czwartkowe wieczory ma wolne. I niedziele.

Casella zmarszczył brwi.

– Ale pani mąż wrócił do domu dość późno. Jest pani pewna, że Prudence jeszcze wtedy nie

było? Może była na górze, w swoim pokoju?

– O ile wiem, spędziła tę noc z kimś.

– Z chłopakiem? – Blondynka po raz pierwszy zabrała głos. Patrzyła przenikliwie na Catherine. – Spędzała z nim wszystkie czwartkowe noce?

– Większość.

– Korzystny zbieg okoliczności – mruknęła blondynka.

Catherine puściła jej słowa mimo uszu.

– A pani syn? – spytał śledczy Hades. – Jak to się stało, że był świadkiem waszej kłótni?

– Obudził się po jedenastej, miał zły sen. Kiedy poszłam do jego pokoju, by go uspokoić, usłyszałam Jimmy’ego. Od razu... od razu zorientowałam się, że będzie źle.

– To znaczy?

– Że pił. Poznałam to po tym, jak trzasnął drzwiami. I jak zaczął mnie wołać. Nathan oczywiście przeraził się jeszcze bardziej.

Nie żeby cokolwiek powiedział. Nathan nigdy nic nie mówił. Patrzył tylko na nią tymi poważnymi niebieskimi oczami, cały spięty. Jimmy wrócił do domu. Jimmy jest pijany. Jimmy jest silniejszy od nich obojga.

Tak bardzo chciała dla syna czegoś lepszego. O tym właśnie myślała w czwartkowy wieczór, kiedy Jimmy trzasnął drzwiami, kiedy zaczął krzyczeć, kiedy ruszył w stronę schodów. Spojrzała wtedy w oczy Nathana i przeraziła się na widok odbitego w nich swojego pozbawionego nadziei spojrzenia.

Czy tak właśnie czuła się jej matka, kiedy stała w drzwiach jej pokoju? Czy wiedziała, że zawiodła córkę? Czy zastanawiała się bezradnie, co robić?

– Kiedy Jimmy kupił broń? – spytał zastępca prokuratora.

– Nie wiem.

– Skąd ją wziął?

– Nie wiem.

– Wszedł z pistoletem na górę?

– Tak.

– Groził nim pani i Nathanowi?

Siedziała z uniesionym podbródkiem.

– Tak.

– I co pani zrobiła?

– Powiedziałam, żeby go odłożył. Że Nathan się boi.

– A co zrobił on?

– Roześmiał się, panie Copley. Powiedział, że w tym domu to nie on stanowi zagrożenie dla Nathana, tylko ja.

– Co chciał przez to powiedzieć?

Wzruszyła ramionami.

– Był pijany. Nie wiedział, co mówi.

– A co robił Nathan, kiedy to wszystko się działo?

– Nathan był... – Załamał jej się głos, ale zmusiła się, by mówić dalej. – Nathan siedział u mnie na kolanach. Wtulił twarz w moje ramię, by nie widzieć ojca. Zatkanął sobie uszy. Powiedziałam Jimmy’emu, że położę Nathana do łóżka w naszym pokoju. Poprosiłam, żeby się uspokoił, bo straszy dziecko. Potem przeszłam obok niego do naszego pokoju. Zamknęłam drzwi na zasuwę i zadzwoniłam na policję.

– I wtedy Jimmy zaczął strzelać?

– Nie pamiętam.

– Sąsiedzi zgłosili, że słyszeli dwa strzały.

– Naprawdę?

Copley uniósł brwi.

– To znaczy, że nie jest pani pewna, czy Jimmy strzelał, czy nie?

– Nie obchodziło mnie, co on robi. Zajmowałam się Nathanem. Był śmiertelnie przerażony. „Mamusi, czy umrzemy? Zapal światła, mamusi. Musimy mieć dużo światła”, mówił.

– Czy wcześniej Jimmy kiedykolwiek zrobił krzywdę pani albo pani synowi?

– Kiedy wpadał w złość, rzucał różnymi przedmiotami. Czasem... mieliśmy pewne kłopoty, jak to w małżeństwie.

– Kłopoty? – To znowu ta blondynka. Mówiła z sarkazmem. – Co dwa tygodnie wzywano tu patrol. Tyle że sprawy w końcu posunęły się za daleko, prawda, pani Gagnon? Jimmy chciał rozwodu.

Catherine spojrzała na nią chłodno.

– To prawda.

– Miał pieniądze – ciągnęła blondynka. – Miał władzę. Najpierw się nad panią znęcał, a teraz jeszcze chciał panią wykiwać. Mówiąc szczerze, nikt nie może mieć pani za złe, że się pani trochę wkurzyła.

– Mieliśmy problemy. To nie znaczy, że nie mogliśmy ich rozwiązać.

– Nie no, bądźmy poważni. Facet panią bił i rzucał ciężkimi przedmiotami w pani dziecko. Jak można z kimś takim żyć?

– Nie znała pani Jimmy’ego...

– A pani go znała, a mimo to bawiła się w doktora z lekarzem syna.

Catherine drgnęła.

– Proszę bez wulgarności.

– W końcu zobaczyła się pani z doktorem Rocco, zgadza się?

– Nathan miał w piątek atak ostrego zapalenia trzustki. Oczywiście, że poszłam do doktora Rocco.

– Stęsknił się za panią? Chciałby pani do niego wrócić? Teraz, kiedy Jimmy odszedł...

– Obraża mnie pani. Ciało mojego męża jeszcze nie ostygło...

– Nie ostygło? Przyłożyła pani rękę do jego śmierci!

– Niby jak? Służąc mu za cel?

Blondynka przesunęła się na skraj sofy. Zaczęła wyrzucać z siebie pytania z szybkością karabinu.

– Kto wszczął kłótnię w czwartek wieczorem? Kto pierwszy wspomniał o doktorze Rocco?

– Ja. Nathan źle się czuł.

– Wspomniała pani o byłym kochanku zazdrosnemu mężowi?

– To lekarz Nathana!

– Dopuściła pani do tego, by lekarzem Nathana pozostawał pani kochanek, choć miała pani zazdrosnego, agresywnego męża?

Catherine zamrugała nerwowo. Na chwilę zabrakło jej słów. Rozpaczliwie próbowała wziąć się w garść.

– Nathan nie lubi nowych lekarzy. Nowi lekarze to nowe badania. Nie chciałam, by znów musiał przez to przechodzić.

– Ach, rozumiem. A więc widywała się pani z byłym kochankiem dla dobra syna?

– Doktor Rocco jest dobrym lekarzem!

– Jest?

– Jest – powtórzyła Catherine zdezorientowana.

– Pewnie jest pani zawiedziona, że dłużej nie będzie pani pomagał.

– To nie jego wina. James Gagnon to wpływowy człowiek. Tony nie miał wyjścia.

Po raz pierwszy blondynka była wyraźnie zbита z tropu. Zmarszczyła brwi i wymieniła z pozostałymi śledczymi spojrzenia, z których Catherine nie mogła niczego wyczytać.

– Kiedy ostatni raz widziała pani doktora Rocco? – spytała blondynka.

– W piątek wieczorem, gdy Nathan został przyjęty na oddział intensywnej terapii. Doktor Rocco powiadomił mnie, że nie może dłużej być jego lekarzem. Zrezygnował na prośbę ordynatora oddziału pediatrycznego. Skierował mnie do genetyka, doktora Iorfina. Jesteśmy umówieni na poniedziałek.

– A kiedy zdążyła się pani z nim umówić?

– Tony zrobił to za mnie.

– Jak miło z jego strony – mruknęła blondynka, unosząc brew.

– Mój syn jest ciężko chory – mówiła spokojnie Catherine. – Potrzebuje specjalistycznej opieki. Żeby dostać się do specjalisty, trzeba mieć znajomości. Gdybym to ja zadzwoniła do doktora Iorfina, trafiłabym na listę oczekujących, a Tony mógł zapisać nas do niego od ręki. Może w życiu osobistym nie zawsze postępował uczciwie, ale jest bardzo dobrym lekarzem. Dla Nathana zawsze robił wszystko co w jego mocy.

– Wygląda na to, że nadal go pani kocha.

– Kochałam mojego męża.

– Nawet kiedy robił sobie z pani worek treningowy? Kiedy wymachiwał bronią? Wygląda na

to, że wszystko nieźle się dla pani ułożyło, pani Gagnon. Ma pani dom, samochód, pieniądze i nie musi męczyć się z Jimmym. – Blondynka patrzyła na nią uważnie. – No i nikt nie może pani oskarżać o to, że znęca się pani nad synem. Można by powiedzieć, że ma pani wolną rękę.

Catherine wstała. Miała już tego dość. Wskazała drzwi.

– Proszę wyjść.

– Wie pani, porozmawiamy z Prudence. I z poprzednimi nianiami. Dowiemy się o wszystkim, co działo się w tym domu.

– Wynoście się!

– A potem porozmawiamy z Nathanem.

Catherine nadał uparcie wskazywała im drzwi. Trójka detektywów wreszcie wstała.

– Przykra sprawa z tym doktorem Rocco – powiedziała blondynka niedbałym tonem, kiedy szli przez wyłożony marmurem hol. – Najbardziej szkoda jego żony i dzieci.

– A co się stało?

– Nie żyje, oczywiście. Został zamordowany wczoraj wieczorem. Na parkingu pod szpitalem. – Blondynka zatrzymała się i wbiła wzrok w twarz Catherine, która tym razem nawet nie próbowała ukryć swojej reakcji. Była autentycznie wstrząśnięta. Po chwili szok przeszedł w zdumienie. A potem w przerażenie.

– Jak to się stało? – szepnęła.

– Pozdrowienia od pana Bosu – rzuciła blondynka, ale Catherine nie zrozumiała, o co chodzi.

Policjanci wyszli. W ostatniej chwili zastępca prokuratora okręgowego się odwrócił. W oczach znów miał ogień, jak fanatyk, który walczy o słuszną sprawę.

– Wie pani, co to są ślady prochu?

– Domyślam się.

– Mówiąc najprościej, kiedy ktoś strzela z pistoletu, zostają mu po tym ślady na dłoniach i ubraniu. Dzięki najnowszym osiągnięciom medycyny sądowej możemy je wykryć i na tej podstawie ustalić, czy dana osoba rzeczywiście pociągnęła za spust. Niech pani zgadnie, jakie badania zrobiliśmy w kostnicy, pani Gagnon. I czego nie znaleźliśmy na dłoniach ani ubraniu pani męża.

Catherine nie odezwała się ani słowem. I tak nie mogła już mówić. Nie mogła oddychać. Tony został zamordowany. Czy to przypadek? Pozdrowienia od pana Bosu, pomyślała gorączkowo. I krew zastygła jej w żyłach.

A kuku, a kuku, a kuku.

Nie wiedziała, nie rozumiała, o co chodzi, ale to już nie miało znaczenia. Niebezpieczeństwo wciąż czyha, każdy może cię dopaść, czy wiesz za co, czy nie. O Boże, Nathan miał rację. Potrzebują świateł. Mnóstwa świateł.

Czuła, że ciemność zaczynają osaczać. Nad jamą opuszczała się kłapa. Wokół nic, tylko ziemia. A ona znów zostanie sama.

I wtedy przez narastającą panikę przebiła się jedna trzeźwa myśl. Musi dostać się do szpitala.

Do Nathana.

Śledczy zeszedł po schodach.

– Jeden błąd! – krzyknął Copley przez ramię. – Tyle mi wystarczy. Jeden drobny błąd, pani Gagnon, i będę miał panią w garści.

## Rozdział 18

Pan Bosu dobrze się spisał. Zasłużył na nagrodę. Włożył beżowy wełniany sweter od Armaniego i wyruszył na poszukiwania parku.

Niedziela rano. Słońce świeciło, w rześkim powietrzu czuć było nadciągającą zimą. Przechodnie przemykali od jednego drogiego sklepu do drugiego, wciskając głowy w szaliki niczym żółwie i chowając ręce do kieszeni płaszczy. Co innego pan Bosu. Szedł przez pełen wielkich, starych drzew park bez płaszcza, czapki i rękawiczek. Uwielbiał taką pogodę. Zapach gnijących liści. Ostatnie tchnienie gasnącego zimowego słońca, wciąż jasno świecącego, ale nie dającego ciepła.

W dzieciństwie była to jego ulubiona pora roku. Zostawał na dworze długo po zmroku. Jego rodzicom to nie przeszkadzało. Świeże powietrze dobrze mu zrobi, mówił ojciec, po czym wsadzał nos w gazetę.

Matka pana Bosu robiła wtedy kolację w kuchni. Po jakimś czasie wychodziła tylnymi drzwiami i dzwoniła małym trójkątem. To był znak dla pana Bosu, by kończył zabawę, gdziekolwiek był, i wracał do domu.

W sumie miał nienajgorsze dzieciństwo. Nie mógł narzekać. Do dziś z nostalgią wspominał swoje żołnierzyki i zabawkowe betoniarki. Jeździł rowerem górskim, bawił się z innymi dziećmi. Urządzał nawet przyjęcia urodzinowe w pomalowanym na żółto salonie matki, ozdobionym małymi pomarańczowymi i żółtymi kwiatkami, którymi ludzie siedzących tamtych czasach zachwycali.

Słyszał, że to wszystko znów wraca do łask. Moda retro. Tak się mówi. Pan Bosu był w więzieniu dość długo, by wszystko, co otaczało go w dzieciństwie, znów znalazło się na topie.

Ciekawe, co by się stało, gdyby wrócił do domu. Jego rodzice pewnie mieszkają w tym samym domu, może nawet jeżdżą tym samym samochodem. Ojciec nie lubił zmian. „Jeśli coś się nie zepsuło, nie ma co tego naprawiać”, mawiał pan Bosu senior.

Nie odwiedzili go w więzieniu. Ani razu. Po tym, jak ta dziewczyna wyszła na środek sali sądowej, wskazała go i powiedziała: „Tak, panie sędzio, to ten pan mnie porwał”, przestali nawet przychodzić na proces.

Gdy tylko bez najmniejszego wahania wyciągnęła palec w jego stronę, jego matka zemdlą. Ojciec musiał wynieść ją z sali. Nigdy nie wrócili.

Właściwie można powiedzieć, że złamał im serca. Dwoje zwykłych, ciężko pracujących Amerykanów. Matka – członkini komitetu rodzicielskiego. Ojciec – przykładny obywatel. Tacy ludzie powinni mieć zwyczajnego syna. Takiego, co to wstąpi do korpusu oficerów rezerwy, skończy studia i w weekendy będzie służył ojczyźnie. Potem ożeni się ze zwyczajną dziewczyną, może młodszą kopią matki, która będzie krzątała się w modnej kuchni w stylu retro i przyrządzała dania w stylu retro, gdy ich dwa i dwie dziesiąte dziecka będą bawiły się za domem

zabawkami w stylu retro.

Tyle że pan Bosu nie chciał zwyczajnej kobiety. Nie przepadał za dużymi, rozkołysanymi piersiami. Ani szerokimi biodrami. Ani dorosłymi partnerkami. Jego fantazje były inne. Marzyła mu się uczennica katolickiej szkoły w zielonej spódniczce w kratę i białych podkolanówkach. Taka, która miałaby długie ciemne włosy związane czerwoną wstążką. Przyciskałaby książki do swoich nierozwiniętych piersi. Mówiłaby: „Tak, proszę pana” i „Nie, proszę pana”. Miałaby ciasne, dziewicze ciało, nietknięte przez żadnego mężczyznę, i robiłaby wszystko, czego by od niej zażądał.

Byłaby na zawsze jego.

Pan Bosu nie był głupi. Zachowywał swoje fantazje dla siebie. Pierwszy raz spróbował je urzeczywistnić, kiedy miał szesnaście lat. Podszedł do dziewczynki na placu zabaw, powiedział, że szuka młodszej siostry. Nie uciekła, więc zaproponował, że ją pohuśta. Kiedy jednak poczuł pod dłońmi jej małe, kościste żebra, wywołało to u niego reakcję, której nie mógł ukryć, bo miał za ciasne spodnie. Widząc, co się dzieje, mała zaczęła krzyczeć i poleciała do domu.

Jej rodzice poskarżyli się jego rodzicom na jego „niestosowne” zachowanie. Zaczerwienił się, zaczął się jąkać, skłamał, że właściwie to patrzył na przechodzącą obok cheerleaderkę, oczywiście nie chciał... Po prostu nie umiał kontrolować... Ojej, tak bardzo, bardzo mu przykro.

Miał wrażenie, że rodzice dziewczynki nie do końca mu uwierzyli. W odróżnieniu od jego rodziców. „Cóż, tak to już jest z chłopcami”, powiedział ojciec, kręcąc głową i sięgając po gazetę.

Od tamtej pory był ostrożniejszy. Brał samochód rodziców, jeździł daleko od domu. Ćwiczył i uczył się. Ładne ubrania budziły większe zaufanie, zwłaszcza przy jego potężnej budowie ciała. Ważne było, by mieć dobrą historyjkę. Cukierki się nie sprawdzały, wszyscy ostrzegali dzieci, by nie przyjmowały ich od nieznajomych. Lepiej szukać zaginionej siostry, kota, psa. Tak łatwiej znaleźć z dzieckiem wspólny język.

Uczył się, doskonalił metody. I pewnego dnia zaatakował.

Załatwił to szybko, ale niezbyt sprawnie. Było inaczej, niż sobie wyobrażał. Po wszystkim wpadł w popłoch. Nie wiedział, co zrobić z ciałem. W końcu obciążył je i wywiózł aż na granicę ze stanem Connecticut, gdzie znalazł rzekę.

Wrócił do domu wstrząśnięty, poruszony i, co ciekawe, dręczony wyrzutami sumienia. Przez wiele dni oglądał wiadomości ze spoconymi dłońmi i czekał, aż po niego przyjdą.

Nic się jednak nie stało. Po prostu... nic. I po jakimś czasie fantazje powróciły. Śnił i pożałował. Aż wreszcie pewnego dnia skręcił w ulicę biegnącą niedaleko domu rodziców i zobaczył tę dziewczynę. Jej spódniczka co prawda była brązowa i sztruksowa, nie zielona w kratę, ale poza tym prawie wszystko się zgadzało.

Poszło mu zaskakująco gładko. Wypróbował nową metodę i sprawdziła się doskonale. Aż do chwili, kiedy dziewczynka zaczęła zeznawać w sądzie.

Wtedy był młody. Teraz zdawał sobie z tego sprawę. Był młody, popełniał błędy. Potem miał

dwadzieścia pięć lat na naukę, a ludzie, którzy twierdzą, że w więzieniu nie można się niczego nauczyć, najwyraźniej nigdy tam nie byli.

Pan Bosu doszedł Park Street do wielkiej gotyckiej katedry, którą pamiętał z lat młodości. Usiadł na drewnianej ławce obok starszej pani karmiącej gołębie. Uśmiechnęła się do niego. Elegancki, w beżowym swetrze i wyprasowanych w kant spodniach z melanzu jedwabiu z wełną, odwzajemnił uśmiech.

Poprzedniego dnia, dzięki dobroczyńcy X, wybrał się na zakupy. Potężnie zbudowany, budzący lekki niepokój mężczyzna z Faneuil Hall zniknął. Jego miejsce zajął elegancki, zadbane dzentelmen. Sweter od Armaniego i nowa fryzura dokonały cudów.

– Piękny ranek – powiedział.

– O tak – odparła kobieta. Znowu spojrzała na jego uśmiechniętą twarz i omal nie zachichotała.

Rzuciła okruszki tłustym gołębiom drepczącym pod ich nogami. Mężczyzna odchylił głowę i zwrócił twarz do słońca. O rany, dobrze jest być na wolności.

Po chwili rozdzwoniły się kościelne dzwony. Wielkie drewniane drzwi rozwarły się szeroko. Na schody wyległy rodziny, najpierw dumni ojcowie, za nimi zabiegane matki, a na końcu rozdokazywane dzieci.

Pan Bosu otworzył oczy. Patrzył w zachwycie na ciemnowłose dziewczynki o długich lśniących lokach związanych wielkimi białymi wstążkami. Uśmiechał się na widok nieprzebranych tłumów małych jasnowłosych księżniczek w falbaniastych białych sukienkach i wypastowanych pantofelkach. Na rozległym placu przed kościołem dorośli pogrążyli się w pogawędkach, podczas gdy ich dzieci bawiły się beztrudnie.

O, na przykład tam pięć dziewczynek bawi się w berka. A nieco dalej dwie inne wymachują rękami. Jedna mała dziewczynka, na którą prawie nikt nie zwraca uwagi, ugania się za gołębiami...

Starsza pani podążyła za jego spojrzeniem.

– Piękne, prawda?

– Najpiękniejsze na świecie – zapewnił ją.

– Przypomina mi się moje dzieciństwo.

– A mnie moje, o dziwo.

Znowu się do niej uśmiechnął. Lekko zaskoczona, odwzajemniła uśmiech. Wstał i wszedł w sam środek kłębiącego się tłumu młodych, pełnych życia ciał. Kiedy śmigwały obok niego, po plecach przebiegały mu dreszcze.

Podszedł po schodach do drzwi kościoła, po czym odwrócił się i obejrzał swoje królestwo.

W mieście ludzie na ogół są ostrożni. To jednak ekskluzywna dzielnica. Luksusowa wysepka na oceanie betonu. Poza tym, cóż może im grozić pod ich kościołem? Teraz najważniejsze jest kultywowanie znajomości i rywalizacja, kto ma lepszy samochód albo pije lepszą kawę. Rodzice wmawiają sobie, że cały czas mają małego Johnniego czy małą Jenny na oku. Ale to złuda.

Dzieci chodzą, gdzie chcą, zwłaszcza kiedy dorośli zaabsorbowani są rozmową.

I czasami nie wracają.

Pan Bosu poczuł nagły, niespodziewany przyływ gwałtownego, szalonego pragnienia, które zrodziło się gdzieś głęboko w jego trzewiach i domagało się zaspokojenia, teraz, teraz, teraz! Omiótł wzrokiem piszczący, roześmiany, bawiący się tłumek. Był krążącym na niebie jastrzębiem. Tam... nie, tam... nie. Tam... tak!

Samotne dziecko. Czteroletnia dziewczynka goniąca niesiony wiatrem suchy liść. Nie patrzy na nią nikt z dorosłych. Nie goni jej braciszek ani siostrzyczka.

Może zejść po schodach szybkim, ale niedbałym krokiem. Zasłonić ją przed oczami dorosłych. Zagonić ją w prawo, za drzewo. Potem rozejrzeć się, zaczekać na właściwy moment i wziąć się do rzeczy. W okamgnieniu byłoby po wszystkim. DZIECKO ZNIKA W BIAŁY DZIEŃ, głosiłyby nagłówki. ZROZPACZENI RODZICE SZUKAJĄ ŚLADÓW.

Żadnych by nie znaleźli. Wspaniały pan Bosu już by się o to zatroszczył.

Był w połowie schodów, zanim się opanował. Chwycił balustradę z kutego żelaza. Przytrzymał się jej kurczowo. Nie mógł ujarzmić swoich fantazji. Gdyby ktoś na niego teraz spojrział, zobaczyłby jego prawdziwą twarz, obnażone zęby, ślinę na ustach; nawet sweter od Armaniego tego nie zamaskuje.

Z ogromnym wysiłkiem zmusił się, by odetchnąć głęboko. Raz. Potem drugi. I trzeci. Powoli puścił balustradę.

Zmusił się, by przypomnieć sobie zeszłą noc, metaliczny zapach krwi, miły ciężar noża w dłoniach, zaskoczenie na twarzy innej, gorszej istoty ludzkiej. To nie było to, co lubił najbardziej, ale dało mu o wiele więcej satysfakcji, niż oczekiwał. Jak randka z litości. Nie w jego typie, nie jego ulubiony rodzaj rozrywki, ale lepszy rydz niż nic.

A jeszcze lepsze było to, że po raz pierwszy w życiu dostał za to pieniądze. Z góry. Gotówką. Dziesięć tysięcy dolców. Kiedy wyszedł z więzienia, wóz już na niego czekał. Na tylnym siedzeniu leżała teczka. W środku list i pieniądze. List zawierał instrukcje, dołączona do niego była lista. Przy każdym celu widniała określona suma. To się nazywa sprawna organizacja.

Oczywiście pan Bosu nie był tak głupi, za jakiego brał go tajemniczy zleceniodawca. Dobroczyńca X sugerował w liście, że na przyszłość byłoby łatwiej, gdyby pan Bosu założył konto. Można by mu płacić przelewem. Dobroczyńca X poradził mu, jak załatwić sobie dowód tożsamości. Dołączył nawet listę banków.

Dobroczyńca X to idiota. Banki są monitorowane. Przelewy można namierzyć. Co gorsza, banki są w niedziele zamknięte, a pan Bosu nie zamierzał nic robić za darmo. Pozostanie przy gotówce, dziękuje bardzo. Woli ładne, grube pliki banknotów, które może sobie nosić na brzuchu i wydawać do woli.

Wziął teczkę. Został wywieziony do Fanueil Hall. Tam dostał komórkę z wpisanymi do pamięci numerami; tak będą się kontaktowali.

Słuchając słów szofera, kiwał głową. Udawał wdzięcznego. Ale i tak to on jest górą.

Mimo to nic nie mówił. W więzieniu nauczył się, że wiedza to potęga i starał się zdradzić jak najmniej informacji.

Teraz jednak, pomyślał, w ten piękny jesienny dzień nadszedł czas, by pokazać pazury. Za nową robotę dobroczyńca X zabuili nie dziesięć, ale trzydzieści tysięcy dolarów. A za następną pięćdziesiąt.

Dobroczyńca X będzie niezadowolony, ale zapłaci. Tak naprawdę nie ma wyboru. Powinien był wcześniej nauczyć się, jak postępować z potworami.

Pan Bosu włożył ręce do kieszeni. Pogwizdując, niespiesznie zszedł po schodach i ostatni raz nacieszył się bliskością biegających, szczęśliwych, roześmianych smacznych kąsków. Wszystko w swoim czasie.

Teraz musi znaleźć szczeniaka.

## Rozdział 19

To jak to się odbywa? – Bobby siedział w małym, ciasnym gabinecie w Wellesley. Stały w nim cztery szare stalowe szafki na dokumenty, jedno duże dębowe biurko i kilka tanich szaf z półkami zawalonymi stosami publikacji prawniczych i teczek opisanych jaskrawymi literami. W półmetrowym odstępnie między stertami dokumentów i pokrytym zaciekami sufitem zmieściły się dwa krzywo wiszące dyplomy z Uniwersytetu Stanu Massachusetts i Boston College.

Bobby próbował wyobrazić sobie gabinet prawników reprezentujących Jamesa Gagnona. Na pewno w niczym nie przypomina tego tutaj. Po pierwsze, gotów był się założyć, że ich dyplomy pochodzą z takich uczelni, jak Harvard czy Yale. No i pewnie mają sekretarkę, wyłożoną wiśniową boazerią salę konferencyjną oraz imponującą panoramę Bostonu za oknami.

Tymczasem Harvey Jones pracuje na strychu starego sklepu żelaznego. Prowadzi praktykę od siedmiu lat. Nie ma wspólników ani sekretarki. A w dodatku nie nosi garnituru. Przynajmniej dziś.

Bobby'emu polecił go znajomy policjant. Gdy tylko się przedstawił, Harvey zgodził się z nim spotkać. Od razu. W niedzielę. Bobby nie wiedział jeszcze, czy to dobrze, czy źle.

– To jest tak – tłumaczył Harvey. – Przesłuchanie przed sędzią pokoju odbywa się w obecności sędziego sądu okręgu Chelsea. Krótko mówiąc, powód będzie starał się wykazać, że zachodzi uzasadnione podejrzenie, iż popełniono przestępstwo. Naszym zadaniem jest wykazać coś wręcz przeciwnego.

– Jak?

– Wyjaśnisz, dlaczego uznałeś, że uzasadnione było użycie siły. Powołamy na świadków innych policjantów, którzy uczestniczyli w akcji. Porucznika, który nią dowodził... Jak on się nazywa?

– Jachrimo.

– Porucznika Jachrima, no właśnie. On też będzie zeznawał. I inni policjanci, którzy będą mogli potwierdzić, że miałeś powód, by sądzić, że Jimmy Gagnon chciał zastrzelić żonę.

– Nikt tego nie potwierdzi. Byłem pierwszym snajperem na miejscu zdarzenia. Nikt nie widział tego co ja. Harvey zmarszczył brwi, coś sobie zapisał.

– Snajperzy nie działają w parach? Nie jest tak, że jeden pełni funkcję obserwatora czy coś?

– Wtedy było jeszcze za mało ludzi. Kolejne westchnienie, kolejne notatki.

– No cóż, mamy dwie możliwości. Po pierwsze, możemy przydać ci wiarygodności. Opowiedzieć o szkoleniu, jakie przeszedłeś, poprosić porucznika, by przedstawił twoje kwalifikacje. Wykazać, że jesteś dobrze wyszkolonym, doświadczonym snajperem zdolnym do podejmowania trudnych decyzji.

Bobby skinął głową. Spodziewał się tego. Wszystkie ćwiczenia jednostki STOP były

skrupulatnie udokumentowane właśnie z tego powodu – by pewnego dnia w razie potrzeby dowódca mógł udowodnić, że jego podkomendni mieli odpowiednie kwalifikacje, by postąpić tak, jak postąpili. Mówiło się, że coś, czego nie ma w dokumentach, nie istnieje. Dlatego porucznik Bruni pilnowałby na wszystko były papiery.

– Oczywiście James Gagnon ma mocniejszą pozycję.

– Bo jest sędzią?

– I to sądu apelacyjnego. – Harvey się skrzywił. – Sędzia pokoju, jako przedstawiciel sądu cywilnego, nie ma ochoty tracić czasu na roztrząsanie, co może pociągnąć za sobą zarzuty natury kryminalnej, a co nie. Od tego jest sąd apelacyjny. Spójrz na to z jego punktu widzenia: staje przed nim sędzia, ekspert od prawa kryminalnego, i twierdzi, że popełniono przestępstwo. Trudno się z kimś takim nie liczyć. Skoro sędzia James F. Gagnon mówi, że doszło do zabójstwa, jakże mu nie wierzyć!

– No to świetnie – mruknął Bobby.

– Ale i my mamy w zanadrzu parę atutów – pocieszył go Harvey. – Możemy liczyć na korzystny werdykt prokuratury: miałeś prawo strzelać. To byłoby super. Chociaż – dodał po chwili – to pewnie dlatego Gagnonowi tak się spieszy. Minie ładnych kilka tygodni, zanim prokuratura wyda opinię, więc chce wszystko załatwić w kilka dni. Tak by cała sprawa sprowadziła się do tego, kto przed sądem wypadnie bardziej przekonująco, ty czy on, a prokuratura nie miała nic do powiedzenia.

– I może mu się to udać? – spytał Bobby ze zmarszczonym czołem.

– Jeśli ma dość kasy, by zapłacić prawnikom za nadgodziny, jasne, może robić, co chce. Oczywiście, będę się starał grać na zwłokę. Z drugiej strony... – Harvey rozejrzał się po ciasnym gabinecie i Bobby podążył za jego wzrokiem. Samotny prawnik przeciwko hordzie dobrze opłacanych adwokatów. Strych kontra wielka kancelaria adwokacka. Obaj rozumieli sytuację.

– A więc on próbuje działać szybko, a my staramy się go hamować – podsumował Bobby. – On powołuje się na doświadczenie sędziego sądu apelacyjnego, my liczymy na kontropinię prokuratury. Co potem?

– Potem zaczyna się pranie brudów.

Bobby wbił w niego wzrok. Harvey wzruszył ramionami.

– W gruncie rzeczy wszystko sprowadza się do tego, komu wierzyć, tobie czy im. Ty twierdzisz, że wystąpiło bezpośrednie zagrożenie życia. Druga strona uważa, że się mylisz. Aby to udowodnić, muszą się do ciebie dobrać. Wciągną w to twoją rodzinę. Czy byłeś agresywnym dzieckiem, czy zawsze lubiłeś zabawy z bronią? Zaczną wnikać w twoje życie prywatne: jesteś młodym, samotnym policjantem. Czy lubisz wypić, czy sypiasz z przygodnie poznanymi kobietami, czy wdajesz się w bójki? Szkoda, że nie masz żony i dzieci; to zawsze lepiej wygląda. – Harvey wpadł na nowy pomysł. – A może masz psa? Takiego ślicznego? Najlepiej czarnego labradora lub golden retrievera.

– Nie mam żadnych ślicznych psów. – Bobby zastanowił się. – Odnajmuję część domu. Moja

sublokatorka ma koty.

– Jest ładna i młoda? – spytał Harvey podejrzliwie.

– Emerytka.

Harvey rozpromienił się.

– Doskonale. Nie można nie kochać człowieka, który pomaga starszkom. Przejdźmy do następnej kwestii. Co z byłymi dziewczynami?

Bobby przewrócił oczami.

– Kilka ich było – przyznał.

– Któraś z nich cię nienawidzi?

– Żadna.

– Jesteś pewien?

Pomyślał o Susan. Nie wie, co z nią.

– Nie – powiedział z wahaniem. – Nie jestem pewien.

– Ludzie Gagnona będą rozmawiali z twoimi sąsiadami. Grzebali w twojej przeszłości. Szukali dowodów na uprzedzenia przeciwko czarnym, Latynosom czy kierowcom mercedesów.

– Nie mam uprzedzeń – zapewnił Bobby, urwał i zmarszczył brwi. Zaczynał mieć złe przeczucia. – Zatrzymałem faceta za jazdę pod wpływem alkoholu.

– No i...?

– To było w czwartek, zanim się to wszystko zaczęło. Facet prowadził hummera na bani. Narobił szkód i wściekł się, kiedy chcieliśmy go zamknąć. Stawiał się. Powiedziałem mu parę słów do słuchu.

– Słów?

– Nazwałem go nadzianym skurczybykiem – wyjaśnił Bobby jakby nigdy nic.

Harvey skrzywił się.

– Tak, z tym będzie kłopot. Jest jeszcze coś?

Bobby długo patrzył na niego w milczeniu. Zastanawiał się, co powiedzieć, ile powiedzieć.

W końcu poprzestał na stwierdzeniu:

– Nie chcę, by mój ojciec został powołany na świadka.

Harvey spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Nie musimy go powoływać, jeśli nie chcesz.

– A jeśli powołają go oni?

– Jest twoim ojcem. Jeśli będzie zeznawał na twoją korzyść, nie zrobią tego.

– A jeśli jednak? – upierał się Bobby.

Harvey zaczynał rozumieć.

– Czego nie chcesz mi powiedzieć?

– Nie chcę, żeby zeznawał. Koniec, kropka.

– Jeśli oni coś wiedzą, Bobby, jeśli wiedzą coś, czego mi nie mówisz, możemy nie mieć wyboru.

– A jeśli on jest... poza granicami stanu?

– To wyślą mu wezwanie. Jeśli się nie stawi, zostanie uznany za winnego obraży sądu i będzie mu groziło więzienie.

Tego właśnie obawiał się Bobby.

– A jeśli ja nie będę zeznawał?

– To przegrasz – odparł Harvey krótko. – Wtedy zostanie tylko ich wersja wydarzeń, według której jesteś mordercą.

Bobby przytaknął. Spuścił głowę. Starał się wybiec myślą w przyszłość, nie rozpamiętywać tej jednej jedynej nocy, kiedy zrobił to, co zrobić musiał. Nie wyglądało to obiecująco. Nie miał w sobie krzty optymizmu.

– Jest szansa, że wygramy? – spytał cicho.

– Szansa jest zawsze.

– Nie mam tylu pieniędzy co on.

– Fakt.

Bobby nie owijał w bawełnę.

– Nie mam takich adwokatów jak on.

Harvey też był szczery.

– Fakt.

– Myślisz, że ci się uda?

– Jeśli wytrzymamy, aż prokuratura wyda werdykt, i jeśli w werdykcie tym stwierdzi, że użycie siły było uzasadnione, to owszem, możemy wygrać.

– Dużo tych „Jeśli”.

– Wiem.

– I co potem?

Harvey zawahał się.

– Może złożyć apelację, zgadza się? – odpowiedział Bobby za niego. – Najpierw do sądu okręgowego, potem apelacyjnego i najwyższego. I tak bez końca, nie?

– Uhm. I będzie zgłaszał wnioski, dziesiątki wniosków, głównie błahych, ale odrzucenie każdego będzie cię kosztowało dużo czasu i pieniędzy. Zrobię, co będę mógł. Wykorzystam znajomości. Znam młodych prawników, którzy pomogą ci, by zdobyć doświadczenie czy rozgłos. Ale masz rację: to walka Dawida z Goliatem, a wybacz, ale Goliatem to ty nie jesteś.

– Potrzeba tylko pieniędzy i czasu – westchnął Bobby.

– To stary człowiek – zauważył Harvey.

– I kiedyś umrze – dokończył Bobby bez ceregieli. – To dla mnie najlepsze rozwiązanie. Jeszcze jedna śmierć.

Harvey nie zamierzał kłamać.

– Tak. W skrócie tak właśnie wygląda sytuacja.

Bobby wstał i wyjął książeczkę czekową. Długo oszczędzał. Zbierał na drugi dom albo na

ślub z Susan, gdyby sprawy między nimi inaczej się ułożyły. Wypisał czek na pięć tysięcy dolarów i położył go na biurku Harveya Jonesa.

Według niego mogło to potrwać tydzień. Inna sprawa, że Bobby wiedział już coś, czego nie wiedział jego adwokat – jeśli jego ojciec zostanie powołany na świadka, sprawa będzie przegrana.

– Wystarczy na zaliczkę?

Harvey skinął głową.

– Jeśli będę chciał to ciągnąć – powiedział Bobby – zadzwonię jutro przed piątą.

Uścisnęli sobie dłonie.

A Bobby poszedł do domu po pistolety.

Na krytej strzelnicy w siedzibie Związku Myślistwa Sportowego w Woburn był mały ruch jak na niedzielne popołudnie. Bobby zwinął w palcach dwie gąbczaste pomarańczowe zatyczki, włożył je do uszu i poprawił okulary ochronne. Miał ze sobą smith & wessona kaliber 38 i, tak dla rozrywki, colta magnum, czterdziestkępiątkę.

Na comiesięcznych egzaminach ze strzelania oddawał tylko jeden strzał. I tyle. Przygotowywał się prawie godzinę, po czym jeden jedyny raz pociągał za spust. Robił tak, ponieważ przy pierwszym strzale kula rozgrzewała zimną lufę, co lekko zmieniało tor lotu następnych pocisków.

Jako snajper zakładał, że następnych pocisków nie wystrzeli. Jedno naciśnięcie spustu, jedno trafienie; dlatego właśnie dzień w dzień, na każdych ćwiczeniach liczył się dla niego tylko ten jeden jedyny strzał.

Teraz wziął sześć skrzynek z amunicją. Zabręczały mosiężne łuski. Nabił broń.

Zaczął od trzydziestkiósemki, najpierw z trzech metrów, by się rozluźnić, potem z siedmiu. Badania wykazały, że na akcjach policjanci najczęściej strzelają z takiej właśnie bądź nieco mniejszej odległości, dlatego strzelcy szczególnie ją sobie upodobali. Bobby zawsze zastanawiał się, kto właściwie prowadził te badania i czemu nie wspomniano ani słowem, kto w strzelaninach był górą.

Początkowo szło mu fatalnie. W życiu gorzej nie strzelał. Aż trudno uwierzyć, że Związek Myślistwa Sportowego nadał mu tytuł mistrza. Był ciekaw, czy jakiś prywatny detektyw już czeka na okazję, żeby zabrać papierowy cel z myślą o nadchodzącym procesie. Okazałby podziurawioną wokół dziesiątki kartkę i powiedział: „Proszę zobaczyć, Wysoki Sądzie, jak strzela człowiek, który zdaniem władz stanowych jest mistrzem”.

Może nie potrafi już strzelać do papieru? Może jeśli zastrzeli się człowieka, to nic innego nie jest już w stanie nas zadowolić.

Ta myśl była przygnębiająca. Spuścił głowę. Piekły go oczy. Jest żałosny. Szalony. Sam nie wie, co, do cholery, powinien czuć.

Odłożył trzydziestkęósemkę. Wziął czterdziestkępiątkę. Ją też odłożył i przez długą chwilę stał w zimnym, przestronnym pomieszczeniu, ściskając grzbiet nosa i usiłując zwalczyć uczucie,

którego nie potrafił nazwać.

Na drugim końcu ćwiczył najlepszy strzelec Związku, J.T. Dillon. Bobby stanął z boku i zaczął go obserwować.

Dillon strzelał z pistoletu kaliber 22, który nawet nie wyglądał jak pistolet. Wielka drewniana rękojeść bardziej przypominała niedbale ociosany kawał drewna. Lufa, odchodząca od niej pod kątem prostym, miała srebrną obwódkę. Celownik był jasnoczerwony. Całość prezentowała się jak broń z *Gwiezdnych Wojen*.

Tak naprawdę jednak ten wykonany na zamówienie, superlekki włoski pistolet kosztował przeszło tysiąc pięćset dolarów. Tylko duzi chłopcy mogli bawić się takimi zabawkami, a w świecie strzelectwa wyczynowego Dillon uchodził za bardzo dużego chłopca.

Dillon uczestniczył w zawodach organizowanych przez IPSC – Międzynarodowe Stowarzyszenie Strzelectwa Praktycznego. Takich jak on uważano wręcz za artystów. Oceniano szybkość i precyzję, z jaką wykonują przeróżne dziwaczne ćwiczenia, na przykład strzelanie z grzbietu rozpędzonego konia, bieg przez atrapę miasta z teczką przykutą do sprawniejszej dłoni czy ucieczkę z dżungli z unieruchomioną nogą. Im trudniejsze ćwiczenie, tym bardziej podobało się zawodnikom.

Strzelcy z IPSC zawsze uważali, że strzelać do celu, to tak jakby patrzeć, jak rośnie trawa. Dopiero podczas walki można się naprawdę rozerwać.

Bobby patrzył, jak J.T. Dillon wciska magazynek do pistoletu, bierze go do słabszej, lewej ręki i oddaje sześć szybkich strzałów. Spokojnie. Bez mrugnięcia okiem.

Bobby nie musiał widzieć celu, by wiedzieć, że wszystkie kule trafiły w dziesiątkę. Dillon też nie. Już przeładowywał broń.

Bobby słyszał o nim wiele plotek – że jest byłym marine, karnie wydalonym ze służby. Że mieszkał kiedyś w Arizonie, gdzie podobno kogoś zabił. Może to przez tę poszarpaną bliznę, która przecinała jego mostek. Albo szczupłą, wysportowaną sylwetkę, która mimo upływu lat ani trochę się nie zmieniła. Albo przez fakt, że mimo swoich prawie pięćdziesięciu lat nadal potrafił zgasić każdego mrocznym, złowieszczym spojrzeniem.

Bobby nie miał pojęcia, ile prawdy jest w tych plotkach, ale jako policjant stanowy z Massachusetts wiedział o J.T. Dillonie coś, co wiedziało niewiele innych osób: przed dziesięcioma laty z więzienia Walpole zbiegł były policjant, a zarazem seryjny morderca Jim Beckett. W ciągu kilku miesięcy spędzonych na wolności urządził organom ścigania krwawą jatkę; zabił sporo policjantów stanowych, w tym snajpera, a także agenta FBI.

Bobby nie znał wszystkich szczegółów, ale z tego, co słyszał, to nie policja dopadła Becketta. Zrobił to Dillon. Po tym, jak Beckett zabił jego siostrę.

Dillon podniósł głowę nad pistoletu. Ich spojrzenia się spotkały.

– Dawno nie widziałem tak beznadziejnego strzelca – powiedział Dillon.

– Zastanawiam się, czy nie spalić celu.

– Musiałbyś trafić w niego zapalką.

Bobby nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

– Fakt.

Dillon spojrział przez celownik i Bobby podszedł do niego. Rzadko ze sobą rozmawiali, ale wiele o sobie słyszeli.

Dillon odsunął cel na odległość piętnastu metrów. Przełożył pistolet do lewej ręki i podniósł go do oka. Wdech. Wydech. Jeszcze jeden wdech. Wręcz wyczuwalne skupienie. I nagle jego palec drgnął sześć razy, napinając się nie bardziej niż skrzydła motyla w locie. Bum, bum, bum, bum, bum, bum. Cały magazynek został opróżniony w niecałe trzy sekundy.

Na widok przestrzelonego celu Bobby pokręcił głową. Tym razem, zamiast mierzyć w dziesiątkę, Dillon wystrzelał w nim pięcioramienną gwiazdę.

– Popisujesz się – stwierdził Bobby.

– Przynajmniej mam prezent dla moich dziewczynek.

– Masz córki? – spytał Bobby.

– Uhm. Dwie. Jedna ma szesnaście, druga sześć lat.

– Strzelają?

– Starsza, Samantha, jest całkiem dobra.

Bobby umiał czytać między wierszami. Jeśli Dillon mówił, że jego córka jest całkiem dobra, to znaczyło, że Bobby nie dorasta jej do pięt. Zważywszy na to, co wiedział o chłopakach w jej wieku, ta umiejętność powinna jej się przydać.

– A młodsza?

– Lanie? Jest podobna do matki. Nie znosi huku wystrzałów. Ale ma inne zalety. Gdybyś zobaczył, jak jeździ konno...

– To miło. – Bobby pomógł Dillonowi zbierać łuski. Mosiądz to najdroższa część kuli. Prawdziwi strzelcy wykorzystują zużyte łuski do produkcji własnej amunicji. – Jesteś żonaty? – spytał Bobby.

– Od dziesięciu lat.

Żonaty od dziesięciu lat, a ma szesnastoletnią córkę. Bobby próbował jakoś dojść z tym do ładu, ale dał sobie spokój.

– Co robi żona?

– Jest przedszkolanką. I rozstawia dziewczynki po kątach. No i próbuje mnie pilnować.

– Dobrze ci się powodzi.

Dillon spojrział mu w oczy.

– To prawda – powiedział.

– To ja pójde jeszcze poćwiczyć – mruknął Bobby, ale nie ruszył się z miejsca.

Dillon patrzył na niego wyczekująco. Strzelców łączy więź, jakiej nie zna nikt inny. Doceniają sztukę i technikę strzelania. Rozumieją, że snajperzy nie wybierają tego fachu dlatego, że są niedoszłymi Brudnymi Harrymi czy samotnikami marzącymi o pojedynkach w słońcu. Bobby robił to, co robił, bo było to dla niego wyzwaniem, a nie dlatego, że chciał komukolwiek

zrobić krzywdę.

– Było ci ciężko? – spytał cicho. – To znaczy, potem.

– Po czym? Po tym, jak zastrzeliłem tego człowieka w Arizonie, czy po tym, jak zabiłem Jima Becketta?

Wszystko jedno.

– Wstyd przyznać, synu, ale nigdy nikogo nie zabiłem.

– Nawet Jima Becketta?

– Uhm. – Dillon uśmiechnął się z żalem i wyprostował ramię. – Nie żebym nie próbował.

– Aha. – Bobby nie mógł ukryć rozczarowania.

Dillon patrzył na niego przez chwilę. W końcu wskazał pustą strzelnicę.

– Dziesięć lat temu – powiedział – nie pomyślałbym, że tu będę. Że będę miał żonę i dwie córki. Że będę... szczęśliwy.

– Przez Becketta? – spytał Bobby.

– Z wielu powodów. Może i nigdy nie zabiłem człowieka, ale parę razy niewiele brakowało.

– Wzruszył ramionami. – Wiem, jak to jest siedzieć i czekać, patrząc przez celownik na ludzką głowę. Jak to jest zmuszać się do pociągnięcia za spust.

– W tamtej chwili raczej o tym nie myślałem.

– To zrozumiałe. Byłeś zbyt zajęty. Robiłeś, co do ciebie należało. Dopiero teraz, po upływie wielu godzin, dni, w chwilach kiedy nic się nie dzieje, zaczynasz to rozpamiętywać, myśleć o tym, zastanawiać się po raz tysięczny, co mogłeś zrobić inaczej. O ile to w ogóle było możliwe.

– Wmawiam sobie, że to nie ma znaczenia. Co się stało, to się nie odstanie. Nie ma sensu się tym zadreć.

– Słusznie.

– Tyle że sam siebie nie mogę przekonać.

– I nie przekonasz. Żałujesz tego, co się stało? Nie ty jeden. Ja mogę sporządzić długą listę osób, które powinienem był ocalić, i tych, które powinienem był zabić. Daj mi pięć minut i flaszkę tequili, a zniszczę swoje życie.

– Ale tego nie robisz.

– Trzeba sobie coś znaleźć. Coś, co będzie ostoją, co pozwoli patrzeć w przyszłość, nawet w tych trudnych chwilach, kiedy nas kusi, by spojrzeć za siebie.

– Rodzina – domyślił się Bobby.

– Rodzina – przytaknął Dillon.

Bobby spojrział mu w oczy.

– To kto tak naprawdę zabił Jima Becketta?

– Moja żona.

– Tess?

– Tak, dziewczyna naprawdę umie obchodzić się ze strzelbą.

– I jak to na nią wpłynęło?

– Szczerze? Od tamtej pory nie miała broni w rękach.

## Rozdział 20

Gdy Catherine przyszła do szpitala, przy stanowisku pielęgniarki dyżurnej zobaczyła teściów.

– Jestem jego dziadkiem – mówił James z uśmiechem mającym wymusić uległość. – Oczywiście, że mogę zabrać go do domu.

– Proszę pana, wszystkie papiery podpisała matka Nathana. Nie mogę zrobić nic bez jej upoważnienia.

– Pani sumienność jest godna pochwały. Niestety, moja synowa zajęta jest przygotowaniami do pogrzebu. Dlatego to my przyjechaliśmy po Nathana. Choć tyle możemy dla niej zrobić w tych trudnych chwilach.

James objął Maryanne. Jak na zawołanie, uśmiechnęła się. Miała podkrążone oczy, była nieco bledsza od męża, ale wciąż nienagannie uczesana, w naszyjniku z pereł. Dobrana para. Wpływowy sędzia i jego krucha, czarująca żona.

Pielęgniarka wyraźnie miękła.

James nachylił się ku niej, pragnąc to wykorzystać.

– Chodźmy do Nathana. Na pewno ucieszy się, że chcemy go zabrać. Sama pani zobaczy.

– Powinam skonsultować się z jego lekarzem – mruknęła pielęgniarka, zajrzała w dokumenty i zmarszczyła brwi. – Ojej.

– Co się stało?

– Chodzi o lekarza Nathana, doktora Rocco. Niestety... Ojej, ojej. – Urwała. Była wyraźnie wstrząśnięta tym, co spotkało doktora Rocco, i zaczynała tracić głowę.

Catherine uznała, że to właściwy moment, by wtrącić się do rozmowy. Podeszła do biurka i spojrzała na plakietkę z imieniem pielęgniarki.

– Siostrzo Brandi, cieszę się, że panią widzę. Jak czuje się Nathan?

– Już lepiej – odparła pielęgniarka z uśmiechem, po czym zaczęła nerwowo zerkać to na Gagnonów, to na Catherine.

Catherine postanowiła rozwiązać ten dylemat za nią. Położyła dłoń na ramieniu teścia. Jak przystało na pierwszorzędnego aktora, nawet nie drgnął.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała z ciepłym uśmiechem, po czym uśmiechnęła się do Maryanne. – Na szczęście załatwiłam wszystkie formalności szybciej, niż się spodziewałam, więc sama przyjechałam po Nathana.

– Nie musiałaś się fatygować – rzekł James. – Chętnie go popilnujemy. Ty powinnaś odpocząć.

– Tak, moja droga – zawtórowała mu Maryanne. – Musisz być bardzo zmęczona. Zajmiemy się małym. Mamy piękny pokój w hotelu LeRoux. To będzie dla niego wielka atrakcja po

pobycie w szpitalu.

– Nie, nie, jestem pewna, że po tym, co przeszedł, lepiej, by od razu wrócił do domu.

– Tego samego, w którym umarł jego ojciec? – spytał James szorstko.

– Tego, w którym ma swój pokój.

James zacisnął usta. Wymienił spojrzenia z żoną. Catherine zwróciła się do siostry Brandi.

– Chciałabym zobaczyć Nathana.

– Oczywiście.

– I proszę, by lekarz, który zastępuje doktora Rocco, wypisał Nathana ze szpitala. Chcę go zabrać do domu. – Catherine pokazała jej torbę od Luisa Vuittona. – Zaczę go już ubierać.

– Może my go ubierzemy, skarbie – zaszczebotała Maryanne – a ty zajmiesz się papierkową robotą? Tak będzie szybciej.

– O właśnie – powiedział James z entuzjazmem. – Doskonały pomysł!

Catherine zaczęła boleć głowa. Mimo to uśmiechnęła się.

– To naprawdę miło z waszej strony, ale tak stęskniłam się za Nathanem, że muszę go natychmiast zobaczyć.

– My też! – powiedziała Maryanne aż za bardzo radosnym tonem.

– Och, jesteście tacy kochani. Niestety, Nathan jest jeszcze bardzo słaby. Po wszystkim, co przeszedł przez ostatnie trzy dni, myślę, że najlepiej by było, gdyby na razie zobaczył się tylko ze mną, rozumiecie, żeby oszczędzić mu wzruszeń. Jutro, oczywiście, będziecie u nas mile widzianymi gośćmi. – Catherine położyła dłoń na ramieniu siostry Brandi, tym razem bardziej zdecydowanie. – Idziemy do Nathana?

– Oczywiście.

Pielęgniarka niepewnie spojrzała na Jamesa i Maryanne, po czym szybko poprowadziła Catherine w głąb korytarza. Gagnonowie wyraźnie nie zamierzali wyjść. Wręcz przeciwnie, na samo wspomnienie lekarza zastępującego Tony'ego Jamesowi rozblęły oczy.

James i Maryanne nie poddadzą się bez walki. Catherine ma mało czasu.

Nathan siedział w łóżku ogrodzonym zasłoną od reszty sali. Nabiał rumieńców. Nie miał już boleśnie wydętego brzucha. Wciąż wydawał się drobny, zagubiony w morzu białych prześcieradeł i czarnych kabli. Nic nie wygląda tak groteskowo jak dziecko w szpitalnej koszuli.

– Skarbie – szepnęła Catherine.

Nathan spojrzał na nią poważnymi niebieskimi oczami.

– Gdzie Prudence? – spytał głośno.

– Dziś ma wolne – odpowiedziała spokojnie. – Zabiorę cię do domu. Chcesz wrócić do domu?

Nathan rozejrzał się po sali, popatrzył na kropłówkę, na monitor pracy serca, na igłę wciąż przyklejoną do jego dłoni.

– Już mi lepiej? – szepnął z rozdzierającą serce niepewnością.

– Tak.

Kiwnął głową z większym przekonaniem.

– To chcę.

– Najpierw cię ubierzemy.

Siostra Brandi wyjęła igłę od kroplówki i odsunęła monitor.

– Przyniesie pani papiery? – spytała Catherine, nerwowo zerkając przez ramię.

– Oczywiście.

Brandi zniknęła w głębi korytarza. Catherine postarała się uśmiechnąć i odwróciła się do syna.

– Przyniosłam twój ulubiony strój. Dżinsy, kowbojki i koszulę kowbojską.

Otworzyła torbę i położyła ubrania na skraju łóżka. Nathan, wciąż przygaszony, zrzucił szpitalną koszulę.

– Czy to był sen? – spytał.

Catherine wiedziała, co ma na myśli.

– Nie – powiedziała.

– Tatuś miał pistolet.

– Tak.

– Nie żyje?

– Tak.

Nathan skinął głową i zaczął się ubierać. Właśnie kończył zapinać flanelową koszulę, kiedy weszli James, Maryanne i mężczyzna w fartuchu Chirurga.

– Nathan! – huknął James radośnie. – Mój ulubiony kowboj! Koń osiodłany? Może pojedziesz ze mną i babcią do hotelu LeRoux? Pełna obsługa, mówię ci. Tyle lodów, ile zdołasz zjeść.

Chłopiec spojrzał na dziadka, jakby wyrosły mu dwie głowy. James rzadko bywał taki serdeczny. A poza tym lody bardzo Nathanowi szkodziły.

Nieporuszony James zwrócił się do Catherine z triumfalną miną.

– Catherine, to doktor Gerritsen, ordynator oddziału pediatrycznego. Powinnaś z nim porozmawiać. My z Maryanne zostaniemy z Nathanem.

Maryanne już wyciągała rękę do chłopca. Trudno było znieść widok tęsknoty malującej się na jej twarzy. Czy w swoim wnuku widzi ostatni ślad po Jimmym? A może jest dla niej tylko swego rodzaju bronią, żywym narzędziem, za pomocą którego można zadać ból Catherine?

Doktor Gerritsen próbował dyskretnie wywołać Catherine na korytarz. Nie drgnęła. Jamesowi i Maryanne wystarczy pół minuty, by wyprowadzić stąd Nathana. I kto później ośmieli się im go odebrać?

Doktor Gerritsen dał za wygraną. Wszedł za zasłonę, gdzie zrobiło się tłoczno, i zajął się Nathanem. Pod pachą miał jego kartę.

– Jak się czujesz, młody człowieku? – spytał.

– Dobrze. – Nathan patrzył na czterech dorosłych z lekkim niepokojem.

– Z karty wynika, że wszystko jest w porządku.

– Gdzie doktor Rocco? – spytał Nathan.

– Nie mógł dziś przyjść, więc go zastępuję. Nie masz nic przeciwko temu?

Chłopiec patrzył na niego w milczeniu. Nie lubił lekarzy, zwłaszcza tych, których nie znał, i w jego oczach czaiła się nieufność.

– Chcesz wrócić do domu? – spytał doktor Gerritsen.

Skinienie głowy.

– Też myślę, że to dobry pomysł. Wiesz co? Zaczekaj tu jeszcze minutkę, zamienię tylko słówko z twoimi dziadkami i mamą. Siostrzo Brandi, może pokaże pani Nathanowi, jak działa stetoskop?

Nathan wiedział, jak działa stetoskop. Spojrzał z niepokojem na Catherine. Uśmiechnęła się, by dodać mu otuchy, choć sama też zaczynała się bać. Wyszli za zasłonę. Doktor Gerritsen nie tracił czasu.

– Sędzia Gagnon poinformował mnie, że są pewne wątpliwości co do tego, kto ma prawo do Nathana – powiedział, patrząc Catherine w oczy.

– Sędzia Gagnon i jego żona złożyli wniosek o przejęcie nad nim opieki – odparła ze spokojem. Gorączkowo przyglądała się ordynatorowi, starając się go rozgryźć. Starszy mężczyzna. Obrączka. Szczęśliwy w małżeństwie? A może znudzony, samolubny, podatny na wdzięki młodej, pięknej wdowy?

– Niepokoją się o bezpieczeństwo chłopca – ciągnął doktor Gerritsen poważnym tonem. Śmiertelnie poważnym.

Catherine uznała, że flirtowanie nie ma sensu. Zamiast tego wcieliła się w rolę zatroskanej, pełnej szacunku synowej. Odwróciła się lekko i powiedziała cicho, jakby nie chciała drażnić teściów:

– Sędzia Gagnon i jego żona dopiero co stracili syna. Są wspaniałymi dziadkami, ale... nie doszli jeszcze do siebie po tej tragedii. Na pewno pan to rozumie.

– Czujemy się świetnie i dobrze o tym wiesz – wtrącił James ostro. – Nie rób z nas zramolałych idiotów.

Doktor Gerritsen zerknął na Jamesa i Maryanne, po czym znów spojrzął na Catherine. Był wyraźnie zakłopotany.

– Nie lubię takich sytuacji.

– Nie miałam najmniejszego zamiaru pana w to mieszać – zapewniła Catherine.

– Z akt doktora Rocco wynika, że Nathan często choruje – stwierdził znacząco. – Za często.

– Doktor Rocco zawsze troskliwie opiekował się Nathanem. Gerritsen spojrzął na nią z powątpiewaniem. Najwyraźniej wiedział o jej romansie z Tonym i nie dał się zwieść.

– Moim zdaniem nie powinna pani zabierać chłopca – oznajmił.

Catherine serce zamarło w piersi. Strach wzbierał w gardle. Na twarz Jamesa powoli wypłynął uśmiech.

– Niestety – ciągnął doktor Gerritsen szorstkim tonem – nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia.

– Słucham? – James nie wierzył własnym uszom.

– Ta pani wciąż pozostaje prawną opiekunką Nathana. – Doktor Gerritsen wzruszył ramionami. – Przykro mi, panie sędzio, mam związane ręce.

Maryanne zaczęła kręcić głową, jak kobieta, która przebudziwszy się, zauważa, że trafiła w sam środek koszmaru.

– Okoliczności wymagają natychmiastowego działania – skontrował pospiesznie James. – Pana zdaniem życie chłopca jest zagrożone, a to uzasadnia odesłanie go do domu z dziadkami.

– Przecież nie wiem, czy tak rzeczywiście jest.

– A te wszystkie choroby? Sam pan mówił, że to podejrzone!

– On nas potrzebuje – powiedziała Maryanne błagalnie. – Tylko my mu zostaliśmy.

Doktor Gerritsen spojrział na Maryanne ze współczuciem, po czym zwrócił się do Jamesa:

– Podejrzone, tak. Ale to o niczym nie przesądza.

James wpadał we wściekłość.

– Ona stanowi zagrożenie dla tego dziecka!

– Gdyby tak było – wtrąciła Catherine spokojnie – po co przywoziłabym go do szpitala?

– Bo to część twojego planu! – warknął James. – Wykorzystujesz własne dziecko, żeby zwrócić na siebie uwagę i odgrywać rolę cierpiącej matki.

Próbowałem przestrzec Jimmy’ego, powiedzieć mu, co knujesz. Robisz krzywdę własnemu dziecku. To potworne! Catherine spojrziała mu w oczy.

– Przecież nie muszę odgrywać roli cierpiącej matki, by zwracać na siebie uwagę, prawda, James? W końcu jestem pogrążoną w żałobie wdową.

Z jego gardła dobył się gniewny pomruk. Catherine przez chwilę myślała, że zaraz rzuci się na nią, chwyci ją za gardło. To byłoby coś nowego. Jimmy nie potrafił powściągnąć złości, lecz jego ojciec był zimny jak lód.

– James, kochanie? – szepnęła Maryanne. – Czy ona zabierze Nathana? Mówiłeś, że to wykluczone. Jak to możliwe?

James objął roztrzęsioną żonę. Przytulił ją i pogładził jedną ręką po ramieniu, nie odrywając gniewnych oczu od Catherine.

– To jeszcze nie koniec – wycodził.

– Na dziś owszem.

Doktor Gerritsen miał już dość tego rodzinnego dramatu. Gestem zaprosił Catherine za zasłonę.

– Przykro mi, panie sędzio, ale zgodnie z prawem nie mogę w żaden sposób przeszkodzić pani Gagnon w zabraniu chłopca ze szpitala. Gdyby okoliczności się zmieniły, chętnie pomogę. Ale do tego czasu...

Lekarz wzruszył ramionami; Catherine przeszła obok niego. Nawet nie posłała Jamesowi

triumfalnego uśmiechu. Nie śmiała spojrzeć na zrozpaczoną twarz Maryanne.

Włożyła Nathanowi kurtkę i wyszła z nim ze szpitala.

W drodze do domu Nathan milczał. Siedział z tyłu, w foteliku, prawą ręką ściskając pas bezpieczeństwa. Catherine myślała, że powinna coś powiedzieć. I przez chwilę było jej tak smutno jak Nathanowi, że Prudence ma dziś wolne.

Wjechała na wąskie miejsce do parkowania. Świeciło słońce, popołudnie było zaskakująco ciepłe. Spojrzała na ulicę i zobaczyła kilku sąsiadów spacerujących z dziećmi i psami. Była ciekawa, czy to dziwne, że im nie macha. I czy jeszcze dziwniejsze jest to, że nawet by jej nie odpowiedzieli.

Nathan nieporadnie wysiadł z wozu. Miał na sobie grubą wełnianą kurtkę i nowe kowbojki. Kurtka, prezent od dziadków, była o trzy rozmiary za duża. Kowbojki od Ralpa Laurena przynajmniej pasowały jak ulał.

Nathan nie podniósł głowy. Nie spojrział na ulicę. Ani na dom. Posłusznie wziął Catherine za rękę, ale z każdym kolejnym krokiem coraz bardziej powłóczył nogami. Wyrażnie się ociągał, kopał liście leżące na ziemi.

Catherine spojrzała na drzwi. Pomyślała o holu za nimi, o schodach prowadzących do apartamentu. O głównej sypialni, z poszarpanym dywanem, poplamionymi ścianami i pospiesznie przestawianymi meblami. I nagle jej też odechciało się tam wchodzić. Żałowała, że nie mogą po prostu stąd uciec.

– Nathanie – powiedziała cicho – może pójdziemy do parku?

Spojrzał na nią. Pokiwał głową tak energicznie, że uśmiechnęła się, choć bolało ją serce. Ruszyli przed siebie.

W parku był tłok. Zakochani, ludzie z psami, rodziny z bawiącymi się dziećmi. Catherine i Nathan szli brzegiem stawu, po którym w lecie pływały łodzie i łabędzie. Kupiła popcorn i zaczęli karmić kaczki. Usiedli na ławce na skraju polany, gdzie dzieci w wieku Nathana, ale dużo wyższe od niego, biegały, wywracały się i śmiały w gasnącym świetle słońca.

Nathan nawet nie próbował się do nich przyłączyć. Choć miał dopiero cztery lata, znał już swoje miejsce w szyku.

– Nathanie? – zaczęła Catherine cicho. – Teraz, kiedy wróciłeś do domu... pewni ludzie będą chcieli z tobą porozmawiać.

Spojrzał na nią z tak pobladłą twarzą, że odruchowo pogładziła go po policzku. Jego skóra była chłodna i sucha, znak, że za dużo czasu spędzał pod dachem.

– Pamiętasz, co było w czwartek? – spytała łagodnie. – W tę złą noc?

Nie odpowiedział.

– Tatuś miał pistolet, prawda, Nathanie?

Powoli pokiwał głową.

– Kłóciliśmy się.

Znów przytaknął.

– A pamiętasz o co? – Catherine wstrzymała oddech. To największa niewiadoma. Co wystraszony czterolatek mógł zapamiętać, czy choćby zrozumieć?

Nathan powoli pokręcił głową,

Catherine głośno wypuściła powietrze i powiedziała spokojnie:

– Wystarczy, by wszyscy wiedzieli, że tatuś miał pistolet. I że się baliśmy. Resztę sami rozumieją.

– Tatuś nie żyje.

– Tak.

– Tatuś nie wraca do domu.

– Nie, już nigdy nie wróci.

– A ty?

Catherine znów pogładziła go po policzku.

– Postaram się zawsze wracać, Nathanie.

– A Prudence?

– Ona też wróci.

Po chwili Nathan pokiwał głową.

– Tatuś miał pistolet – powtórzył. – Bałem się.

– Dziękuję, Nathanie.

Nathan wrócił do obserwacji pozostałych dzieci. Usiadł jej na kolanach. Catherine przytuliła go i oparła policzek na jego główce.

## Rozdział 21

Po powrocie do domu Bobby zastał pod drzwiami nie jednego, lecz troje gości. Robi się coraz ciekawiej, pomyślał.

– Nie powinienesz być teraz w kościele? – spytał zastępcę prokuratora okręgowego, Ricka Copleya, otwierając drzwi. Po chwili uniósł dłoń. – Moment. Zapomniałem, że zaprzedałeś duszę diabłu.

Copley zmarszczył brwi na ten nieudany żart i wszedł za Bobbym do mieszkania. Za nim ruszyła D.D. Warren, skrupulatnie unikając wzroku przyjaciela, a korowód zamykał śledczy z prokuratury, którego Bobby mgliście pamiętał z pierwszego przesłuchania, ale za żadne skarby nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska.

Poznał je pół minuty później. Śledczy Casella. Copley przedstawił go, kiedy weszli do salonu Bobby'ego. Był to mały pokój z wysłużonymi meblami, zawałonymi pustymi pudełkami po jedzeniu i stertami serwetek. Wszyscy rozglądali się, niepewni, gdzie usiąść.

Bobby postanowił im nie pomagać. Nie chciał, żeby za bardzo się rozgościli.

Poszedł do kuchni, wziął colę i wrócił do salonu, nie pytając, czy ktoś oprócz niego chce się napić. Podstawił sobie drewniane krzesło i usiadł. D.D. spojrzała na niego spode łba i poprzesuwała leżące na sofie pudełka po pizzy tak, by zrobić miejsce dla całej trójki. Usiedli i zapadli się na dziesięć centymetrów w poduszki. Bobby przyłożył puszkę do ust, by nie zauważyli, że się uśmiecha.

– No dobrze – zaczął Copley, starając się przybrać na tyle srogi ton, na ile to możliwe, kiedy ma się kolana pod brodą. – Musimy wrócić do kilku pytań, które zadaliśmy w czwartkowy wieczór.

– Proszę bardzo. – Bobby spodziewał się, że Copley zacznie od samego początku i zmusi go do powtórzenia całej historii, by wyłować jakieś nieścisłości. Dlatego jego pierwsze pytanie zbiło go z tropu.

– Wiedziałaś, że Catherine i Jimmy Gagnon byli wielkimi miłośnikami Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej?

Bobby zeszywniał. Wiedział już, do czego Copley zmierza, i wcale mu się to nie podobało.

– Nie – powiedział po namyśle.

– Często bywali na koncertach.

– Naprawdę?

– Na imprezach charytatywnych też. Aktywnie działali w tych kręgach.

– I bardzo dobrze.

– Zwłaszcza dla twojej dziewczyny – skwitował Copley.

Bobby nie odpowiedział.

– Susan Abrahms. Tak się nazywa, prawda? Jest wiolonczelistką w orkiestrze.

– Chodziliśmy ze sobą.

– Dziś ucieliśmy sobie z nią miłą pogawędkę.

Bobby upił duży łyk coli. Żałował, że to nie piwo.

– Bywałeś z nią na przyjęciach – powiedział Copley.

– Spotykaliśmy się przez dwa lata.

– Dziwne, że na żadnym z nich nie poznałeś Catherine ani Jimmy’ego Gagnona.

Bobby wzruszył ramionami.

– Jeśli nawet, nie przypominam sobie tego.

– Poważnie? – powiedział Copley. – Bo Susan pamięta ich doskonale. Powiedziała, że spotkała ich przy kilku okazjach. Wygląda na to, że Gagnonowie byli wielkimi fanami muzyki poważnej.

Bobby nie wytrzymał i spojrzał na D.D. Nie tylko unikała jego wzroku, ale wręcz wierciła oczami dziurę w dywanie.

– Detektyw Warren – rzucił Copley – może powie pani panu Dodge’owi, czego jeszcze dowiedzieliśmy się od Susan Abrahms.

D.D. odetchnęła głęboko. Bobby wiedział już, co się zaraz stanie. I przypomniał sobie coś jeszcze – dlaczego z D.D. ze sobą zerwali. Bo oboje stawiali pracę na pierwszym miejscu.

– Panna Abrahms pamięta, że poznał pan Gagnonów na przyjęciu jakieś osiem, dziewięć miesięcy temu. Catherine zadała panu wówczas wiele pytań dotyczących pańskiej pracy w jednostce antyterrorystycznej.

– Wszyscy wypytyują mnie o moją pracę – powiedział Bobby spokojnie. – Nie co dzień spotyka się snajperów policyjnych, zwłaszcza w tych kręgach.

– Według panny Abrahms, później powiedział pan, że nie podobało mu się to, jak Jimmy na nią patrzył.

– Panna Abrahms – powiedział Bobby z naciskiem – jest niezwykle piękną i utalentowaną kobietą. Nie podobało mi się to, jak wielu facetów na nią patrzyło.

– Zazdrosny? – mruknął śledczy Casella.

Bobby nie dał się zwabić w pułapkę. Dopił colę, odstawił puszkę i pochylił się do przodu, opierając łokcie na udach.

– Czy panna Abrahms wspomniała, jak długo to rzekome spotkanie trwało?

– Kilka minut – powiedziała D.D.

– Aha. Pomyślmy więc. W pracy co dzień spotykam około piętnastu nowych osób, co daje w przybliżeniu czterysta pięćdziesiąt osób miesięcznie. A więc przez dziewięć miesięcy mam do czynienia z iloma? Z czterema tysiącami różnych ludzi? Cóż więc dziwnego, że nie przypominam sobie dwóch osób, z którymi rozmawiałem przez kilka minut na jakimś przyjęciu, na którym, szczerze mówiąc, nie znałem nikogo?

– Trudno się połapać, który nadziany skurczybyk jest który? – palnął śledczy Casella.

Bobby westchnął. Zaczynał wpadać w złość. Niedobry znak.

– Nigdy nie miał pan złego dnia? – spytał zirytowany. – Nigdy nie powiedział pan czegoś, czego później żałował?

– Susan Abrahms miała pewne obawy dotyczące waszego związku – powiedziała D.D. cicho. Bobby zmusił się, by oderwać oczy od Caselli.

– Tak?

– Mówiła, że ostatnio wydawał się pan nieobecny. Zamyślony.

– Tak to jest w tym fachu.

– Zastanawiała się, czy nie ma pan kogoś na boku.

– Szkoda, że mi o tym nie powiedziała.

– Catherine Gagnon to piękna kobieta.

– Catherine Gagnon nie dorasta Susan do pięt – rzekł Bobby poważnie. Przynajmniej tak mu się wydawało.

– Czy dlatego zaniepokoiło cię to, że Jimmy się nią zainteresował? – zapytał Copley. – Miał pieniądze, był przystojny. Spójrzmy prawdzie w oczy, był bardziej w jej typie niż ty.

– Zdecyduj się, Copley. Zabiłem Jimmy’ego Gagnona, bo byłem zazdrosny o dziewczynę, czy dlatego, że posuwałem jego żonę? Po trzech dniach przesłuchań powinieneś wiedzieć więcej.

– Może zrobiłeś to z obu tych powodów – uciął Copley.

– A może naprawdę nie pamiętam spotkania z Gagnonami? Może chodziłem na te przyjęcia tylko po to, by dotrzymać towarzystwa mojej dziewczynie. I może mam ciekawsze zajęcia niż rozmyślanie o wszystkich przypadkowo poznanych ludziach.

– Gagnonów raczej trudno zapomnieć – powiedział Casella.

Bobby machnął ręką.

– Znajdźcie jednego świadka, który widział mnie sam na sam z Catherine Gagnon albo słyszał, jak kłóczę się z Jimmym. To się wam nie uda. Bo coś takiego nigdy się nie zdarzyło. Bo naprawdę ich sobie nie przypominam, a Jimmy’ego Gagnona zabiłem tylko dlatego, że groził pistoletem żonie. Odebrałem życie, by życie ocalić. Nie czytaliście podręcznika dla snajperów?

Urwał. Przepęłniała go odraza. Nie może dłużej tu siedzieć i wysłuchiwać historii lęgnących się w chorym umyśle Copleya. Wstał, nie zważając na to, jakie tym zrobi wrażenie, i zaczął spacerować po pokoju.

– Słyszałem, że piłeś – powiedział Copley.

– Raz się zdarzyło.

– Myślałem, że alkoholikowi raz wystarczy.

– Nie mówiłem, że jestem alkoholikiem.

– No coś ty, dziesięć lat bez kropli alkoholu... Bobby przeszył go wzrokiem.

– Moje ciało jest moją świątynią. Dbam o nie, a ono w zamian dobrze mi służy. – Spojrzał na zaokrąglony brzuch zastępcy prokuratora. – Też powinieneś spróbować.

– Dopadniemy ją – powiedział Copley.

– Kogo?

– Catherine Gagnon. Nie obchodzi nas, co powiesz. Wiemy, że w taki czy inny sposób za tym stała.

– Niby tak wszystko ukartowała, żebyś zabił jej męża? Morderstwo przy użyciu snajpera? Dajcie spokój...

Copley patrzył na niego z zimnym błyskiem w oku.

– Wiesz, Gagnonowie mieli gosposię...

– Nie może być.

– Marię Gonzalez. To starsza, bardzo doświadczona kobieta. Wiesz, dlaczego została wylana?

– Skoro nie wiedziałem, że w ogóle u nich pracowała, trudno, żebyś wiedział, dlaczego ją wywalili.

– Poczęstowała Nathana kanapką z tuńczykiem. Chłopiec, który notabene ma dziesięć kilo niedowagi, był głodny. Marie podzieliła się z nim kanapką. Nathan zjadł pół. A następnego dnia Catherine zwolniła Marie. Bo tylko niani wolno go karmić. Nawet gdyby umierał z głodu.

Bobby nie odpowiedział, ale coś zaczynało mu świtać.

– Przesłuchujemy inne nianie – powiedział Copley jakby od niechcenia. – Jak dotąd, słyszymy same dziwne, makabryczne opowieści. Jak to Catherine zniknęła na wiele dni i ledwo wracała, a Nathan znów zaczynał chorować. Jak kazałaby brudne pieluchy przechowywać w lodówce...

– Brudne?

– Obsrane, mówiąc ściśle. Przez pół roku wszystkie ładowały w lodówce. Do tego dochodziły diety, listy rzeczy, które mógł i których nie mógł jeść. W połączeniu z dziwnymi minerałami, ziołami, preparatami i lekami. Mówię ci, pracuję w tym fachu piętnaście lat i nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Nie ma co do tego wątpliwości, Catherine Gagnon znęca się nad synem.

– Masz dowód?

– Nie, ale go zdobędziemy. Ta historia z kamerą to jej pierwszy błąd. Znów chcieli złapać go na haczyk. Mimo to nie mógł się powstrzymać od pytania:

– Jaką kamerą?

– W głównej sypialni – odparła D.D. – W czwartek wieczorem była wyłączona. Tyle że w firmie ochroniarskiej mówią, że to niemożliwe.

– Nie rozumiem. – Bobby zatrzymał się i zaczął pocierać kark ze zmarszczonymi brwiami.

– Kamera w głównej sypialni była zaprogramowana tak, by wyłączała się o północy, tymczasem tamtego dnia jakimś cudem wyłączyła się o dziesiątej. Catherine sprzedała nam jakąś bajeczkę o usterce w panelu sterowania. Tyle że rozmawialiśmy dziś z ludźmi z firmy ochroniarskiej. We wtorek, tego samego dnia, kiedy Jimmy wniósł sprawę o rozwód, skontaktował się z nimi. Powiedział, że ma kłopoty w domu i chce obserwować pokoje bez

obaw, że ktoś będzie majstrował przy kamerach. Dlatego firma ochroniarska zresetowała cały system i dała mu nowy kod. We wtorek panel sterowania był w pełni sprawny i co ważniejsze, jedyną osobą, która mogła wprowadzić w nim jakiegokolwiek zmiany, był Jimmy Gagnon.

– Czyli to on wyłączył kamerę w głównej sypialni?

– Nie – powiedział Copley. – Ona.

– Dopiero co mówiłeś, że nie mogła...

– Nie mogła. I założę się, że o tym nie wiedziała aż do dziesiątej w czwartek wieczorem, kiedy wcieliła w życie swój plan. Pewnie długo stała przed panelem sterowania i coraz bardziej zdesperowana zachodziła w głowę, czemu nie może obejść zabezpieczeń. Musiała znaleźć się w sypialni. Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć dlaczego.

– Nie wiem – powiedział Bobby najzupełniej szczerze. – Dlaczego?

– Żebyś widział, co się dzieje. Żebyś ty, czy ktokolwiek inny, mógł zobaczyć, jak Jimmy, który nigdy wcześniej nie miał do czynienia z bronią, grozi pistoletem żonie i dziecku. Oczywiście powstaje pytanie, co go do tego sprowokowało i kto włożył mu pistolet do ręki. Catherine nie mogła pozwolić, byśmy to zobaczyli ani by zarejestrowały to kamery. Wtedy doznała olśnienia: plan B. Przeszła zegar w panelu sterowania na dwie godziny naprzód i bum, wszystko załatwione. Kamera myśli, że jest północ, i automatycznie się wyłącza. Sprytna kobieta, trzeba przyznać. Bardzo sprytna. Za sprytna.

Bobby wpatrywał się ze zdumieniem w trójkę siedzącą na kanapie. Nie mógł się zdecydować, czy to największy absurd, jaki w życiu słyszał, czy też najbardziej genialny plan.

– Naprawdę myślicie, że to ukartowała?

– Gosposia zwolniona, niania ma wolny wieczór. Zostają we troje. I kropka nad i: wiadomości podają, że bostońscy antyterrorysty, u których Jimmy ma „znajomości”, zostali wysłani na akcję. Pomyśl tylko: Jimmy złożył wniosek o rozwód, oskarża ją o maltretowanie dziecka. W czwartkowy wieczór świat Catherine Gagnon zaczyna walić się w gruzy. I nadarza się doskonała okazja.

Copley nagle zmienił temat.

– Chciałeś jej pomóc? Może na tamtym przyjęciu tylko trochę flirtowałeś, przechwalałeś się, jaki to z ciebie dzielny antyterrorysta? A może to było coś więcej? Może po kilku randkach sam wpadłeś na ten pomysł?

– Powtarzam po raz ostatni: nie pamiętam, bym z nią kiedykolwiek rozmawiał! – Bobby pokręcił głową zirytowany. Miał już dość. Nawet nie przypominał sobie żadnego szczególnego koncertu. Wszystkie te oficjalne przyjęcia go nudziły. Uczestnicząc w nich, funkcjonował na autopilocie, z przyklejonym uśmiechem ścisnął dłonie i odliczał minuty do chwili, kiedy będzie mógł wrócić do domu, zrzucić smoking i zaciągnąć Susan do łóżka.

Nagle jednak obudziło się wspomnienie.

„W jakich sytuacjach wzywa się takie jednostki jak pańska? Gdy ktoś napadnie na bank? Albo weźmie zakładników? A może ścigacie przede wszystkim zbiegłych więźniów?”

„Nie. W tych okolicach zajmujemy się przede wszystkim przemocą w rodzinie. Pijany gość dostaje białej gorączki i zaczyna grozić żonie”.

„Antyterroryści zajmują się takimi sprawami?”

„Jeśli facet ma broń, tak. Członkowie rodziny są uznawani wówczas za zakładników. Traktujemy takie wezwania bardzo poważnie, zwłaszcza kiedy mamy zgłoszenie, że słyszano strzały”.

To było przyjęcie z okazji Mardi Gras, mecenasi orkiestry symfonicznej krążyli po sali w misternych, ozdobionych piórami maskach. Jimmy i Catherine Gagnonowie pogratulowali Susan udanego występu. Catherine, z czarnymi włosami upiętymi w kok, miała na sobie obcisłą złotą suknię i egzotyczną maskę z pawich piór. W pierwszej chwili piękne przebranie zrobiło na Bobbym spore wrażenie. Potem jednak zajął się obserwowaniem, jak Jimmy rozbiera Susan oczami, i przestał zwracać uwagę na Catherine.

W końcu uciął rozmowę i pod jakimś pretekstem odwołał Susan na bok. Rozmawiali rozbawieni o pozerstwie Jimmy’ego, pełni poczucia moralnej wyższości, jakiego doświadcza jedna para po spotkaniu z drugą, mającą większą sławę, więcej pieniędzy i w ogóle wszystkiego więcej. Z kłopotami włącznie.

Bobby spuścił głowę. Cholera, że też musiał to sobie przypomnieć akurat teraz.

– Dopadniemy ją – powtórzył Copley. – I dobrze wiesz, że Catherine nie jest typem kobiety, która weźmie wszystko na siebie. Gdy tylko zwierzy zagrożenie, wypłacze mi się w koszulę. Lepiej żebyś nie utonął w tych łzach.

– Gonią cię terminy? – spytał Bobby ze złością. – Niech zgadnę. Musisz się uwinąć do jutra, do piątej.

Copley zmarszczył brwi.

– Skoro już o tym wspomniałeś...

– Aha, rozumiem. No to do jutra. Zadzwoń. – Bobby dał im znak, żeby ruszyli tyłki i wyszli z jego domu. D.D. patrzyła na niego dziwnie. Unikał jej wzroku.

– Jeszcze jedno – powiedział Copley na odchodnym. – Gdzie byłeś wczoraj wieczorem między dziesiątą wieczorem a pierwszą w nocy?

– Zabijałem Tony’ego Rocco, rzecz jasna.

– Co...

– Spałem, palancie. Ale dzięki za znieważanie mnie we własnym domu. Won.

Copley wciąż stał w drzwiach.

– To poważna sprawa...

– A to jest moje życie – warknął Bobby i trzasnął drzwiami.

## Rozdział 22

Robinson nieopatrznie odebrała telefon. Ostatnimi czasy nie wróżyło to nic dobrego. Teraz musi poradzić sobie jakoś z rozmówcą, który jest wyraźnie niezadowolony.

– Co on wyprawia, do cholery? Instrukcje były jasne: miało to wyglądać jak wypadek albo ślepy traf, spaprana próba kradzieży samochodu czy coś takiego. Zarżnięcie człowieka nożem rzeźniczym nie wygląda na wypadek!

– Mówiłam, że nad nim nie panuję.

Rozmówca zdawał się jej nie słyszeć.

– Policja ostro wzięła się do roboty. Cholera, teraz to dopiero będzie burdel.

– On chyba ma to gdzieś.

– Dlaczego? Bo jest słynnym panem Bosu? Co to, do cholery, w ogóle znaczy?

– To taki sprzęt do ćwiczeń.

– Że co?

– Piłka Both Sides Up – wyjaśniła Robinson. – Czyli BOSU. Płaska z jednej strony, wypukła z drugiej. Robi się na niej przysiady, można też położyć ją wypukłą stroną w dół i ćwiczyć pompki. Idealna do ćwiczeń na małej przestrzeni.

– To znaczy, że wynająłem człowieka, który uważa się za sprzęt do ćwiczeń? – spytał rozmówca z rozbawieniem.

Robinson zachowała śmiertelnie poważny ton.

– Wynajął pan człowieka, który nie zważa na ból.

Rozmówca milczał przez chwilę. Robinson też.

– Jest gotów do następnego zlecenia? – spytał w końcu.

– Właśnie się przygotowuje. Jest jednak drobny kłopot... – powiedziała Robinson powoli.

– Drobny kłopot?

– Stawia nowe warunki: zamiast dziesięciu, chce trzydzieści tysięcy.

Rozmówca parsknął śmiechem.

– Tak? Bo niby tak świetnie się spisał? Przecież wszystko spieprzył!

– On widzi to inaczej – powiedziała Robinson szczerze.

– A założył choć konto?

– Hm, nie.

– Nie?

– Woli gotówkę.

– Och, na litość boską. Przekaz seniorowi Psycholowi, co następuje: po pierwsze, nie mam pod ręką tyle gotówki. Po drugie, dostanie dziesięć tysięcy i ani centa więcej. Szczerze mówiąc, powinien się cieszyć, że daję mu aż tyle, biorąc pod uwagę, że jak oboje wiemy, chcę, by zrobił

coś, co i tak chce zrobić.

– On chyba nie lubi negocjować.

– Życie to ciągle negocjacje.

Robinson odetchnęła głęboko. Nie ma co dłużej owijać w bawełnę.

– Przysłał list. Píše w nim, że jeśli chce pan, by wykonał zlecenie, musi pan zapłacić trzydzieści tysięcy. A jeśli nie, to zapłaci pan i tak. Bo wie, gdzie pan mieszka.

– Co takiego? Chyba nic mu nie powiedziałaś, co? Mówiłaś, że zabrałaś go wynajętym samochodem i dałaś skradzioną komórkę. Niby jak miałby namierzyć...

– Myślę, że blefuje – przerwała mu Robinson. – Ale nie mogę być tego pewna. Mam znajomości, on pewnie też.

Rozmówca milczał i ciężko oddychał. Był wściekły? Wystraszony? Trudno powiedzieć.

– Ja bym mu zapłaciła – powiedziała Robinson śmiertelnie poważnie. – Albo wyjechała w cholere.

Rozmówca odetchnął głęboko.

– Powiedz mu, że nie przyjmuję jego warunków – rzekł zdecydowanym tonem. – Skoro wyciągnąłem go z więzienia, mogę go tam z powrotem wsadzić.

Robinson milczała.

– Co znowu? – spytał rozmówca.

– Widzi pan, żeby wsadzić go do więzienia... musi pan go najpierw złapać.

Kolejna chwila ciszy.

– Cholera – sapnął rozmówca.

– Cholera – powtórzyła Robinson.

Pan Bosu miał szczeniaka. Kupił go w sklepie ze zwierzętami, bo w niedzielne popołudnie nie miał innego wyboru. Kiedy wszedł do wypełnionego lekkim zapachem środków odkażających pomieszczenia z zastawionymi półkami i podłogą wyłożoną tanim linoleum, ciarki go przeszły. Zważywszy, że jeszcze czterdzieści osiem godzin temu sam był więźniem, widok szczeniaków i kociąt pozamykanych w małych drucianych klatkach nieszczęśliwie podniósł go na duchu.

Zamierzał pokręcić się tam przez jakiś czas. Nie ma to jak sklepy ze zwierzętami w niedzielne popołudnie, pełne puszystych kociąt, miłutkich szczeniaków i dzieci. Ale panująca tam przygnębiająca atmosfera sprawiła, że zmył się raz-dwa. Cholera, zastanawiał się nawet, czy nie wykupić wszystkich zwierząt i nie wypuścić ich na wolność.

Tak, pewnie wlażyłby pod pierwszy nadjeżdżający samochód.

Wybrał więc psa i wyszedł.

Zdecydował się na mieszańca beagle'a z terierem. Mały, wesoły szczeniak miał wielkie brązowe łaty wokół oczu, zwisające brązowe uszy i zamasyście merdał brązowym ogonem. Pan Bosu w życiu nie widział śliczniejszego stworzenia.

Kupił też smycz, małe nosidełko, które przypominało worek marynarski, i kilkadziesiąt zabawek. No dobra, może trochę przesadził. Ale szczeniak... może Łatek? Nie, to chyba niezbyt oryginalne... tak radośnie kąsał go ząbkami w brodę i łaskotał noskiem w szyję, że pan Bosu kupił wszystko, co piesek choćby powąchał. Zabawki to dobra rzecz. Zwłaszcza gdy za długo siedziało się za kratkami.

Teraz prowadził szczeniaka na smyczy. Piesek... Karmel? Śnieżyk? Nie, to też zbyt trywialne... jest taki szczęśliwy, że wyszedł na spacer. Zupełnie jak jego nowy właściciel.

Pan Bosu i piesek... może Figlarz? Jak można mieć psa bez imienia? Doszli do skrzyżowania. Pan Bosu zatrzymał się i wyjął z kieszeni plan miasta. Obok stanęła kobieta. Piękna blondynka, kostium z jesiennej kolekcji Ralphi Laurena. Uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Jaki śliczny piesek!

– Dziękuję. – Pan Bosu popatrzył na kobietę. Nie ma z nią dzieci. Jaka szkoda.

– Jak się wabi?

– Jeszcze się nie zdecydowałem. Właśnie go kupiłem. Jeszcze się dobrze nie poznaliśmy.

– Och, jaki on słodki. – Kobieta przykucnęła, nie zważając na mijających ich ludzi. Szczeniak posłusznie podbiegł do niej. Poskrobała go za zwisającymi uszami. Piesek zamknął oczka, zachwycony. – To pana pierwszy pies? – spytała.

– Miałem psa w dzieciństwie.

– Mieszka pan w mieście?

– Teraz tak.

– Ciężko wytrzymać z psem w mieszkaniu.

– Mam wolny zawód, więc nie będzie tak źle.

– No to szczęściarz z pana – ucieszyła się kobieta. Patrzyła na jego sweter od Armaniego z błyskiem zainteresowania w oku. Dla jaja naprężył mięśnie. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Czym się pan zajmuje?

– Zabijam ludzi – powiedział radośnie.

Wybuchnęła gardłowym śmiechem. Pewnie ćwiczy ten śmiech po nocach, z myślą o takich facetach jak on. Normalnie nie zrobiłoby to na nim wrażenia. Jednak po dwudziestu pięciu latach odsiadki zauważył, że nawet na niego to działa.

– A tak naprawdę? – zapytała.

– Mówię serio – upierał się, ale wymowę swoich słów złagodził uśmiechem. – Powiedziałbym pani więcej, ale wtedy panią też musiałbym zabić.

Była wyraźnie zdezorientowana. Jak powinna zareagować? Roześmiać się, czy uciec? Znów spojrzała na jego sweter, a potem na szczeniaka... Figlarza, to imię zaczynało mu się podobać... i postanowiła obrócić jego słowa w żart.

– To musi być ciekawe. Bardzo tajemnicze.

– O, to prawda. – A co tam. – A czym pani się zajmuje?

– Jestem właśnie po rozwodzie. On miał pieniądze, teraz ja je wydaję.

– Gratulacje! Nie ma pani dzieci?

– Na szczęście nie. A może na nieszczęście. Na alimentach można więcej zarobić.

– A to pech – przytaknął. Wreszcie przestała bawić się z Figlarzem i wstała. Jej ciepłe, błyszczące oczy pieściły jego pierś. Zaczął się zastanawiać, czy nie zostać żigolakiem. Dorobiłby sobie. Wymaga to mniej więcej tych samych umiejętności co zabijanie, no i nadal nie miałby normowanego czasu pracy. To niezła myśl... Może uda mu się znaleźć zdesperowaną rozwódkę z małymi dziećmi. Hm.

Kobieta wciąż patrzyła na niego kusząco.

– Może zjemy razem kolację – wypowiedział magiczne zaklęcie.

Kobieta wprawnym ruchem wyjęła wizytówkę z nazwiskiem i numerem telefonu. Schował ją do kieszeni i obiecał zadzwonić.

Figlarz sikał pod kioskiem. Nie wyglądało to już tak uroczo, więc pan Bosu pociągnął smycz i ruszyli dalej. Znów zerknął na plan miasta. Po przejściu sześciu przecznicy dotarli na miejsce.

To była ładna, mała uliczka schowana w labiryncie ulic w centrum Bostonu. Osiedle mieszkaniowe. Na parterze spożywczy, kwaciarnia i mały bar kanapkowy, a na górze mieszkania. Odliczył od lewej do prawej, aż znalazł numer, którego szukał. Potem jeszcze raz zajrzał do notatek.

Dobra, wszystko się zgadza.

Usiadł na ławce przy spożywczym na rogu. Poklepał wolne miejsce obok siebie, Figlarz wskoczył na ławkę i skulił się przy jego boku. Westchnął cicho, zmęczony szczeniackimi wybrykami.

Pan Bosu się uśmiechnął. Przypomniał mu się jego pierwszy pies, Popeye. Śliczny mały terier, którego ojciec dostał od jakiegoś znajomego z pracy i niechętnie przyniósł do domu. Rodzice nie przepadali za psami, ale cóż, uznali, że tak trzeba – każdy chłopiec powinien mieć psa i już. Pan Bosu miał się nim opiekować, a jego matka nauczyła się wzdychać i nie wpadać w złość, kiedy Popeye obgryzał jej ulubione buty, po czym dobierał się do pokrytej plastikiem sofy.

Popeye był dobrym psem. Pan Bosu biegał z nim, uczył go aportować i wskakiwał z nim w wielkie sterty liści.

Wbrew temu, co ogólnie sądzono o takich jak on, nigdy nie zrobił swojemu psu krzywdy. Nawet mu to przez myśl nie przeszło. W cichym, małym domu, w którym dorastał, Popeye był jego najlepszym przyjacielem.

Sielanka trwała pięć lat, aż do dnia, kiedy Popeye wybiegł za wiewiórką na ulicę, prosto pod koła buicka pani Mackey. Pan Bosu go nie dogonił. Do dziś pamięta przerażony krzyk pani Mackey. I widok pieska rozpląszonego na asfalcie, rzucającego się w przedśmiertnych drgawkach. Niesienie go do weterynarza nie miało sensu.

Zawinął Popeye'a w swój ulubiony podkoszulek. Wykopał dół za domem i sam go pochował. Nie płakał. Ojciec był z niego bardzo dumny.

Tamtego wieczoru położył się wcześniej, ale nie zasnął. Leżał z szeroko otwartymi oczami. Chciałby Popeye wrócił. Tęsknił za jego szorstkim językiem oblizującym mu twarz, za ciepłym, wtulonym w niego ciałkiem. Co go teraz pocieszy w tym dusznym domu? Kto doda mu otuchy, kiedy zostanie całkiem sam?

W końcu łzy napłynęły mu do oczu i w tej strasznej, pustej chwili stwierdził, że nienawidzi pani Mackey.

Wyszedł z domu tuż po pierwszej w nocy. Nie zajęło mu to dużo czasu. Ludzie trzymali samochody na ulicy, a w takiej dzielnicy jak ta nikt nie zamykał drzwi. Otworzył klapę silnika. Zrobił śrubokrętem kilka dziur. Prosta sprawa.

Mówiono, że pani Mackey nawet nie zauważyła, co się dzieje. W jednej chwili hamowała przed skrzyżowaniem, a w następnej już mijała znak stopu. Samochód nadjeżdżający z przeciwka uderzył w nią z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Wyszła z tego ze wstrząsem mózgu i kilkoma złamanymi żebrami, o biodrze nie wspominając.

Ale przeżyła. Cholerny buick.

Mimo to, jak na dwunastolatka, pan Bosu spisał się całkiem nieźle. Oczywiście od tamtej pory nabrał wprawy.

Teraz wpatrywał się w okno na piętrze. Nadal żadnych śladów ludzkiej obecności. To nic. Może poczekać.

Oparł się wygodnie. Zamknął oczy i wystawił twarz na ciepłe słońce. Westchnął cicho, prawie jak Figlarz. Poskrobał go za uszami.

Pies pomierdał z wdzięcznością ogonem. Człowiek i jego pies, pomyślał pan Bosu.

Tak, człowiek, pies i czarna lista.

## Rozdział 23

Bobby postanowił pobiegać. Zapadał zmrok. Skończyło się słoneczne jesienne popołudnie, nadciągał zimny wieczór. Wychodząc z domu, odruchowo złapał jasnożółtą kurtkę i to przyprawiło go o niewytłumaczalne poczucie ulgi. Pomimo wszystko, co przeszedł, jego podświadomość jeszcze nie próbuje go zabić. Pomyślał, że może powinien zadzwonić do doktor Lane i podzielić się z nią tą doskonałą nowiną.

Zaczął biec, zostawiał za sobą kolejne przecznice. Na ulicach było cicho, ludzie zaszyli się w domach i przygotowywali do kolejnego tygodnia pracy. Tu i ówdzie przejeżdżały pojedyncze samochody, ich światła na chwilę wyławiały go z mroku.

Zamierzał pobiec do starej łaźni, zrobić siedmiokilometrowe kółko. Wkrótce jednak zostawił łaźnię za sobą, jego nogi miarowo uderzały w asfalt. Dotarł na Castle Island, na brzegu skręcił i pomknął w ciemność.

Kusiło go, by winę za to, jak się czuje, zrzucić na Jamesa Gagnona. Albo Catherine Gagnon, czy nawet krwiożerczego zastępcę prokuratora okręgowego, Ricka Copleya, tak spragnionego dobrej, soczystej sprawy o zabójstwo, że już ślina mu ciekła.

Jednak, szczerze mówiąc, wiedział, czemu tak naprawdę przypisać jego nastrój. Myślom o matce.

Minęło tak dużo czasu, że nie wiedział, czy twarz, którą ma w pamięci, rzeczywiście jest jej twarzą, czy tylko wytworem jego wyobraźni. Jak przez mgłę przypominał sobie brązowe oczy, ciemne włosy rozwiane wokół bladej twarzy, zapach perfum White Shoulders. Niejasno pamiętał, jak kuciała przed nim i mówiła z poważną miną: „Kocham cię, Bobby”. A może to też tylko złudzenie? Może tak naprawdę powiedziała: „Nie wsadzaj ręki do kontaktu”, czy „Nie baw się pistoletem”.

Nie miał pojęcia. Odeszła, kiedy miał sześć lat. Był na tyle duży, że go to zabolalo, i na tyle mały, że tego nie zrozumiał. „Mama odeszła i nie wróci”. Któregoś dnia ojciec powiedział to przy śniadaniu. Bobby i George zajadali się lukrowanymi płatkami, których matka nigdy nie chciała im kupić, i pierwszą myślą Bobby'ego było: „O rany, od dziś codziennie na śniadanie będą lukrowane płatki”. Ojciec był spokojny, George kiwał głową z poważną miną, więc Bobby dostosował się do ogólnego nastroju.

Później, z upływem czasu, było mu coraz trudniej. W nocy czuł, jak pierś przygniata mu wielki ciężar, który nie znikał po przebudzeniu. Wreszcie któregoś wieczoru usłyszał, jak George krzyczy na ojca. Potem trzeba było jechać na pogotowie.

I od tej pory w ich domu nie mówiło się o matce.

Bobby długo nienawidził ojca. Jak George, za wszystko winił właśnie jego. Ojca, który za mało mówił i za dużo pił. Ojca, który był zbyt skory do bicia.

Kiedy George skończył osiemnaście lat, wyjechał i nigdy nie wrócił. Może odezwała się w nim krew matki? Bobby nigdy o to nie spytał.

Z nim było inaczej. Czas wszystko zmienia. Ojciec się zmienił. Bobby też. Podobnie jak jego uczucia do matki. Coraz rzadziej myślał o powodach jej odejścia i coraz częściej zastanawiał się, dlaczego nie próbowała się z nimi skontaktować. Nie tęskniła za synami? Nie czuła choć lekkiego bólu, choć odrobiny pustki w miejscu, w którym dawniej przechowywała miłość do dzieci?

Poczuł klucie w boku. Chwyliła go kolka, oddychanie sprawiało ból. Mimo to przyspieszył kroku, bo wszystko było lepsze od samotnego zmagania się z takimi myślami. Może jeśli pobiegnie dalej, w końcu prześcignie swoje wspomnienia. Albo zmęczy się na tyle, by nie być w stanie myśleć.

Dwadzieścia kilometrów dalej. Zdyszany. Spocony. Przemarznięty.

Zawrócił. Z trudem przebierał nogami, ale w głowie wciąż mu się kotłowało.

Gdyby mógł cofnąć czas. Gdyby mógł zabrać palec z cyngla tuż przed tym, jak zobaczył w celowniku głowę Jimmy'ego Gagnona. A jeszcze lepiej, gdyby w ogóle nigdy nie usłyszał o Gagnonach, bo teraz już sam nie był pewien, co widział, dlaczego postąpił tak, jak postąpił, i to właśnie najbardziej go przerażało.

Po upływie trzech dni nie obawiał się już, że Catherine Gagnon jest morderczynią. Obawiał się, że mordercą jest on.

Pobiegł do domu.

Zadzwoił do Susan.

Zaproponowałyby spotkali się w kawiarni. Zdecydowali się na Starbucks w centrum. Neutralne terytorium.

Za długo dobierał ubranie. W końcu włożył džinsy i batystową koszulę z długimi rękawami, którą, jak sobie poniewczasie przypomniał, dostał od Susan na Gwiazdkę. W portfelu znalazł zdjęcie zrobione w czasie jakiejś wspólnej wycieczki i znów zaczął się rozklejać.

Zmienił koszulę na prosty ciemnozielony sweter.

Interesy, powiedział sobie. To spotkanie w interesach.

Susan już na niego czekała. Wybrała stół przy dużej gablocie ze srebrnymi i zielonymi kubkami z logo kawiarni. Włosy miała spięte na karku. Długie jasne kosmyki wysunęły się spod spinki i opadały na twarz. Na jego widok zaczęła je odgarniać za uszy, jak zawsze, kiedy była spięta. Poczuł ukłucie w piersi i robił, co mógłby to zignorować.

– Dobry wieczór – powiedział wreszcie.

– Dobry wieczór.

Zapadła niezręczna cisza. Czy powinien pocałować ją w policzek? Czy ona powinna wstać i go uściskać? Cholera, może lepiej poprzestać na uścisku dłoni.

Bobby wypuścił powietrze z ust i wskazał głową kontuar.

– Idę po kawę. Chcesz coś?

Wskazała stojący przed nią wielki, zwieńczony pianką kubek.

– Dzięki.

Bobby nie cierpiał Starbucks. Wpatrywał się w menu z kilkunastoma różnymi rodzajami espresso, zastanawiając się, jak można zarabiać tyle pieniędzy na prowadzeniu kawiarni oferujących najzwyklejszą w świecie kawę. W końcu zdecydował się na francuską paloną kawę, która, według rezolutnej kasjerki, była czarna, ale łagodna.

Zaniósł wielki kubek do stolika, zauważył, że lekko drżą mu dłonie, i zmieszał się jeszcze bardziej.

– Co u ciebie? – spytał w końcu, postawił kubek i usiadł.

– Dużo pracy. Koncert i tak dalej.

– Jak idą przygotowania?

Wzruszyła ramionami.

– Nerwowo, jak zawsze.

– To dobrze. – Napił się kawy, poczuł gorycz spływającą mu do żołądka i rozpaczliwie zateśknił do Bogey's.

– A co u ciebie? – spytała Susan.

Nie tknęła kawy, obracała tylko kubek w dłoniach. Bobby złapał się na tym, że wpatruje się w jej długie palce. Nie nosiła pierścionków. Dłonie muzyka. Zaskakująco silne, zaskakująco, wrażliwe. Zanim ją poznał, nie przepadał za muzyką klasyczną. Ku swojemu lekkiemu zdziwieniu stwierdził, że teraz będzie mu jej brakowało.

– Bobby?

Zmusił się do podniesienia oczu.

– Jakoś się trzymam.

– Myślałam, że zadzwonisz w piątek.

– Wiem.

– Przeczytałam gazetę i zrobiło mi się tak... smutno. Przez to, co się stało, i jak to musiałoś przeżywać. Dlatego siedziałam przy telefonie i czekałam, aż zadzwoni. Byłam pewna, że będziesz chciał porozmawiać.

Jego spojrzenie powędrowało do gabloty z kubkami. Oczy Susan wpatrywały się w jego twarz.

– Nigdy nie byłeś otwarty, Bobby. Wmawiałam sobie, że to mnie w tobie pociąga. To, że jesteś silnym, milczącym facetem. Typowym macho. Ale ostatnio przestało mi się to podobać. Minęły dwa lata i zasługuję na coś lepszego, do cholery.

Tak go zaskoczyła tym przekleństwem, że na nią spojrział. Powoli pokiwała głową.

– Tak, przeklinam. Czasem nawet w złości rozwalam różne rzeczy. Powiem więcej, w ciągu ostatnich dwóch dni rozwaliałam całkiem dużo rzeczy. Przynajmniej mogłam się czymś zająć do czasu, aż przyjdą ci z prokuratury.

Bobby podniósł kubek z kawą, Chryste, ręka mu się trzęsła jak cholera. Susan wpatrywała się w niego znacząco.

– To dlatego zadzwoniłeś, Bobby? Nie z troski o mnie, tylko żeby dowiedzieć się, o co mnie pytali?

– Jedno i drugie.

– Pieprz się! – Straciła panowanie nad sobą. O mało nie wybuchnęła płaczem, przycisnęła dłonie do oczu, rozpaczliwie starała się nie robić sceny w publicznym miejscu, ale nie najlepiej jej to wychodziło.

– Nie powinienem był odejść tak bez słowa – powiedział niepewnie.

– Co ty nie powiesz!

– Nie planowałem tego. Obudziłem się, rozejrzałem... i wpadłem w panikę.

– Myślałeś, że sobie z tym nie poradzę? O to chodzi?

– Myślałem... – Zmarszczył brwi, niepewny, jak to ująć. – Myślałem, że zasługujesz na coś lepszego.

– Pieprzenie w bambus! – Widać powiedział nie to, co trzeba, bo dosłownie zatrzęsała się ze złości. Odstawiła kubek i wymierzyła w niego palec wskazujący. – Nie zwalaj tego na mnie! Nie rób z siebie szlachetnego jaskiniowca chroniącego swoją kruchą kobietkę! To bzdura! Uciekłeś, Bobby. Nawet nie dałeś mi szansy. Jak zrobiło się gorąco, dałeś nogę i tyle.

Bobby też zaczął tracić nerwy.

– Przepraszam bardzo. Gdy następnym razem kogoś zastrzelę, to przede wszystkim wezmę pod uwagę twoje uczucia.

– Zależało mi na tobie!

– Mnie na tobie też.

– No to dlaczego siedzimy tu i na siebie krzyczymy?

– Bo tylko to nam zostało! – Natychmiast pożałował tych słów. Odchyliła się, zaszokowana i boleśnie dotknięta. Po chwili jednak zaczęła kiwać głową, i to zabolalo jego, więc byli kwita.

– Od samego początku czekałeś, kiedy to się skończy – powiedziała po chwili łagodnie i znów zaczęła obracać kubek w dłoniach.

– Nigdy nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego.

– Na dwa lata wystarczyło.

Wzruszył ramionami. Czuł się coraz bardziej niezręcznie, czuł pustkę. Chciał, żeby ta scena się skończyła. Nie umie odchodzić. Lepiej mu szło, gdy to jego opuszczano.

– Spytaj mnie o to, o co chciałeś mnie spytać, Bobby – odezwała się Susan zmęczonym głosem. – Wyciągnij ze swojej byłej dziewczyny, co powiedziała policji.

Miał dość przyzwoitości, by się zaczerwienić.

– Naprawdę nie pamiętam spotkania z nimi – rzekł po chwili.

– Gagnonami? – Wzruszyła ramionami. – Moim zdaniem nie sposób nie zwrócić na nich uwagi.

– Spotkałem ich tylko ten jeden raz?

– Ja byłem z nimi na kilku imprezach, ale co do większych przyjęć... myślę, że tak, widziałeś się z nimi tylko wtedy.

– Nie zwróciłem na nią szczególnej uwagi – mruknął Bobby.

Susan przewróciła oczami.

– Nie chrzań, Bobby. Jest piękną kobietą, a w tej złotej sukni i egzotycznej masce... Cholera, nawet ja miałam ochotę się z nią przespać.

– Nie zwróciłem na nią uwagi – powtórzył Bobby. – Byłem zbyt zajęty obserwowaniem, jak on się na ciebie gapił. To właśnie pamiętam. Jakiś typ gapi się na moją dziewczynę, na oczach moich i jego żony.

Susan nie wyglądała na przekonaną, ale w końcu skinęła głową, wciąż trzymając kubek w obu dłoniach.

– To cię niepokoi?

– Co?

– Znałeś go. Byłeś wrogo do niego nastawiony. Potem go zabiłeś. No, Bobby, to musi cię dręczyć.

– Ale o tym, że go spotkałem, przypomniałem sobie dopiero podczas przesłuchania.

Przez chwilę milczała i kiwała głową w zamyśleniu.

– Jeśli to ci w czymś pomoże, to z tego, co czytałam w gazecie, wynika, że ocaliłeś temu chłopcu życie.

– Może – odparł, po czym dodał tylko dlatego, że czuł potrzebę powiedzenia tego na głos: – Jego rodzina chce się do mnie dobrać.

– Rodzina?

– Rodzice Jimmy’ego Gagnona podali mnie do sądu. Chcą zrobić ze mnie mordercę. Krótko mówiąc, jeśli zostanę uznany za winnego, pójdę siedzieć.

– Och, Bobby...

Zmarszczył brwi, czując zaskakująco silny ucisk w gardle. Napił się kawy.

– Chyba wygrają.

Zamknęła oczy.

– Och, Bobby...

– To dziwne. W tej robocie zawsze byłem taki pewny. Tego, co robię, co widzę. Nawet wtedy, w czwartek. Nie miałem najmniejszych wątpliwości. Usiadłem, wycelowałem i pociągnąłem za spust. Potem powiedziałem sobie, że nie miałem wyboru. Co za bzdura – parsknął po chwili. – Przez piętnaście minut obserwowałem ludzi, których nie znam. Jakby ktokolwiek z zewnątrz mógł wiedzieć, co naprawdę dzieje się w rodzinie.

– Nie rób tego, Bobby.

– Czego?

– Nie poddawaj się. Nie obwiniaj. Nie wycofuj się. To właśnie robisz. Jesteś jednym z

najbystrzejszych policjantów, ale nie zostałeś detektywem. Dlaczego?

– Podoba mi się w STOP-ie...

– Bo się poddałeś. Albo weźmy nas. Spędziliśmy ze sobą cudowne dwa lata, a mimo to siedzimy tu, w Starbucks, i niezręcznie próbujemy się rozstać. Nie wierzę, że za mało nas łączy. Nie wierzę, że to musi się skończyć. Ale jednocześnie wiem, że to już się skończyło. Bo się poddałeś.

– To nie fair...

– Jesteś dobrym człowiekiem, Bobby, jednym z najlepszych, jakich znam. Ale jest w tobie coś mrocznego. Może to gniew? Robisz krok do przodu i dwa do tyłu. To tak jakbyś z jednej strony chciał być szczęśliwy, ale z drugiej nie mógł do tego dopuścić. Chcesz być gniewny, Bobby. W jakiś sposób tego ci potrzeba.

Odsunął krzesło od stolika.

– Muszę już iść.

Nie odrywała od niego oczu.

– Tak, uciekaj sobie.

– Hej, przecież nie chcę wylądować w pierdlu! – Nagle stracił cierpliwość. – Nic nie rozumiesz. Dla kogoś takiego jak James Gagnon prawda nie ma znaczenia. Każdy fakt może przeinaczyć tak, jak mu się spodoba. Jeśli chcę uniknąć więzienia, muszę rzucić mu kogoś na pożarcie. A tego nie zrobię.

– Catherine Gagnon – powiedziała Susan cicho.

Zacisnął wargi. Nie zaprzeczył, a Susan powoli, ale zdecydowanie skinęła głową.

– No nie wiem, Bobby. Wygląda mi na to, że pamiętasz Catherine lepiej, niż myślisz. Że zrobiła na tobie całkiem duże wrażenie.

– Nie na tym przyjęciu – powiedział ostro. – Nie wtedy, kiedy byłaś ze mną.

– O Boże, Bobby, co ty w czwartek zobaczył? – wyszeptała Susan.

## Rozdział 24

Catherine nie wiedziała, co zaniepokoiło ją najpierw. Byli z Nathanem na dole, w salonie. Była prawie dziesiąta, Nathan powinien już dawno spać. Nie chciał jednak iść na górę, a ona nie miała serca go do tego zmuszać. Leżał na podłodze w stosie poduszek, z którego wystawała tylko jego głowa. Włączyła mu jego ulubiony film *Gdzie jest Nemo*. Oglądał go już dwa razy.

Catherine za często zerkała na zegar i zastanawiała się, kiedy wreszcie wróci Prudence.

Wreszcie, żeby czymś się zająć, poszła do kuchni. Nathanowi nie wolno było pić czekolady. Zagotowała mu więc mleko sojowe o smaku waniliowym. Bez słowa wziął kubek, nie odrywając oczu od telewizora.

– Jak brzuszeczek?

Wzruszył ramionami.

– Głodny jesteś?

Kolejne wzruszenie ramion.

– Może chcesz jogurtu?

Pokręcił głową, ostentacyjnie wpatrzony w telewizor.

Catherine wycofała się do kuchni. Stwierdziła, że trzeba zrobić zakupy. Kończy się mleko sojowe, jogurt też. Została resztką bezglutenowego chleba, jedyne, jaki Nathan może jeść. Organiczne masło orzechowe też już prawie się skończyło. Zaczęła robić listę zakupów, gdy nagle przypomniała sobie, że są na jutro umówieni z nowym lekarzem.

Wyszła z kuchni do położonego niżej salonu.

– Nathanie, musimy porozmawiać.

Powoli, z ociąganiem, Nathan zwrócił na nią zamglone oczy.

– Doktor Rocco nie może dłużej być twoim lekarzem.

– Dlaczego?

Chciała powiedzieć mu prawdę, ale na widok jego ściągniętej buzi straciła odwagę.

– Doktor Rocco uważa, że potrzeba ci specjalnego lekarza. Superlekarza. Takiego obdarzonego supermocami.

Mimo swoich czterech lat Nathan spojrział na nią jak urodzony sceptyk. Boże, czemu Prudence nie wraca? Owszem, ma dziś wolny dzień, ale czy musiała przepaść na całą noc? Nie wie, jak bardzo jest potrzebna w tych ciężkich chwilach? Catherine spróbowała jeszcze raz.

– Jutro idziemy do nowego lekarza. Doktora lorfina. Jego specjalnością są tacy mali chłopcy jak ty.

– Do nowego lekarza?

– Tak.

Nathan wpatrywał się w nią. Po chwili podniósł kubek i wylał mleko na dywan. Catherine

wzięła głęboki oddech. Nie była na niego zła – jeszcze nie – ale coraz bardziej wściekała się na Prudence, która zostawiła ją i zmusiłaby sama poradziła sobie z tą sytuacją.

– Tak nie wolno, Nathanie. Tylko źli chłopcy wylewają mleko na dywan. Chyba nie chcesz być złym chłopcem?

Dolna warga chłopca zaczęła drżeć. Wysunął ją, gwałtownie kiwając głową.

– Właśnie że chcę! Źli chłopcy nie chodzą do lekarzy!

Miał w oczach łzy. Wielkie, lśniące, neuronione łzy, takie, których widok był dla matki bardziej bolesny niż głośny, gniewny szloch.

– Doktor Iorfino ci pomoże – nie ustępowała. – Wyleczy cię. Zrobi z ciebie dużego chłopca i będziesz mógł bawić się z innymi.

– Lekarze nie pomagają! Lekarze mają igły. Igły nie pomagają!

– Kiedyś pomogą.

Nathan spojrzał jej prosto w oczy.

– Pieprzyć lekarzy! – powiedział wyraźnie.

– Nathan!

– Wiem, co knujesz – powiedział po chwili tonem, jakiego jeszcze nigdy u niego nie słyszała. – Chcesz mnie zabić.

Serce zamarło jej w piersi. Stała przed synem, wstrząśnięta, oszołomiona i dręczona wyrzutami sumienia. I po chwili zrozumiała: on słyszał. Wszystkie kłótnie, wszystkie straszne oskarżenia, jakimi obrzucali się z Jimmym. Nathan słuchał i słyszał.

Chciała zniknąć. Chciała cofnąć czas. Jimmy wróci. Prudence też. Wtedy zostawi ich wszystkich, pojedzie do Canyon Ranch i niech sami sobie radzą. Co ona wie o czteroletnich chłopcach? Co wie o własnym synu?

Odetchnęła głęboko. Wróciła do kuchni z nadzieją, że Nathan nie zauważy, jak bardzo drżą jej ręce. Teraz ty tu rządzisz, powiedziała sobie. Taki jest prawdziwy skutek śmierci Jimmy’ego. Żadnych wymówek, żadnego uciekania. Wszystko spoczywa na jej barkach.

Wzięła rolkę papierowych ręczników i wróciła do salonu. Nathan nie był już tak pewny siebie. Schował głowę w ramionach.

Czekał, aż go uderzy. Tak postąpiłby Jimmy.

I wtedy o mało nie straciła panowania nad sobą, o mało nie zaczęła płakać. Ale nie mogła. Bo teraz ona tu rządzi. Panuje nad sytuacją. Przepraszam, przepraszam, przepraszam. O Boże, Nathanie, przepraszam.

Wyciągnęła do niego rolkę ręczników. Wziął ją z wahaniem.

– Nathan, proszę, wytrzyj mleko.

Siedział ze zwieszoną głową.

– Wiesz co? Ja wytrę pół, ty drugie pół. Zrobimy to razem. – Wzięła rolkę i zaczęła energicznie odrywać ręczniki. Uklękła. To zaintrygowało go na tyle, że wyłonił się z poduszkowego kokonu. Zaczęła wycierać dywan. – Widzisz, od razu znika.

Po chwili zaczął jej pomagać.

Kiedy skończyli, zaniósł stos wilgotnych papierów do kuchni i wyrzuciła je do kosza. Tymczasem Nathan wyjął kasetę z magnetowidu. Usiadł na środku zaplamionego soją dywanu, mały i samotny.

Czas spać. Spojrzeli na pogrążony w ciemnościach szczyt schodów.

– Mamusiu – szepnął – jeśli chodzę do tyłu lekarzy, to dlaczego nie jestem zdrowy?

– Nie wiem. Ale kiedyś się tego dowiemy, a wtedy będziesz biegał i szalał jak inne dzieci. A wtedy przekonasz się, że warto było czekać. Chodź, Nathanie, pora spać.

Wyciągnął do niej ręce. Spełniła jego niewypowiedzianą prośbę, choć był już za duży, by go nosić do łóżka. Przez ułamek sekundy mocno ją ścisnął. Przez ułamek sekundy odwzajemniła jego uścisk.

I w tej chwili zorientowała się, co jest nie tak.

Podmucha powietrza. Zimny, rześki, z góry. Targał delikatne brązowe włosy Nathana. I niósł charakterystyczny odór śmierci.

Bobby tym razem nie spał. Dał sobie z tym spokój. Srać na sen, zdrowe jedzenie, nie nazbyt intensywne ćwiczenia. Olać porady doktor Lane. Chodził po salonie na uginających się ze zmęczenia nogach, jadł zimną pizzę, pił colę i wpadał we wściekłość.

Na automatycznej sekretarce były wiadomości od dowódcy, dwóch gości z grupy wsparcia i kilku kumpli z jednostki. Wszyscy chcieli sprawdzić, co u psychogliny. Powinien to docenić. Członkiem jednostki STOP-u jest się na zawsze. Tak mówią.

Strasznie go to wkurzało. Nie chciał ich telefonów ani zainteresowania. A najbardziej nie chciał być gliną-psycholem, nieszczęsnym snajperem, który spełnił swój obowiązek i teraz miał przesrane do końca życia. Pieprzyć jednostkę, pieprzyć kumpli. Im nic nie grozi.

Tak, nie ma to jak poużalać się nad sobą.

Miał ochotę zadzwonić do brata na Florydę. Hej, Georgie, ile to lat minęło, dziesięć, piętnaście? Tak tylko pomyślałem, że zadzwonię. Aha, parę dni temu rąbnąłem jednego takiego i to mi o czymś przypomniało. Co właściwie stało się z mamą?

A może lepiej zadzwonić do doktor Lane? Dobra wiadomość, dziś nie piłem. Zła wiadomość, poza tym wszystko spieprzyłem. A tak w ogóle, jeśli można ocalić własną skórę kosztem drugiej osoby, to czy powinno się skorzystać z takiej szansy? Czy też od takich rozważań po prostu dostaje się fioła?

Nie mógł dłużej znieść siebie samego w takim nastroju, był tak spięty, że czuł się, jakby miał zaraz wyskoczyć z własnej skóry, i tak roztrzęsiony, że nie mógł zebrać myśli. Słowo honoru, najchętniej by do czegoś postrzelał.

I wtedy usłyszał dzwonek telefonu. Kiedy podniósł słuchawkę, nawet nie był zaskoczony.

– Mówi Catherine – szepnął chrapliwy głos z jego snów. – Niech pan przyjdzie. Chyba ktoś włamał się do mojego domu. Proszę, potrzebuję pana.

Rozległ się trzask odkładanej słuchawki, a po nim sygnał.

– Już to widzę – mruknął, ale po chwili wzruszył ramionami. Przynajmniej ma pretekst, by wziąć broń.

Mijając rezydencję Gagnonów, spodziewał się, że poczuje nieprzyjemne déjà vu. Ale tak się nie stało. W czwartkowy wieczór było jasno od świateł, reflektorów. Teraz, w noc poprzedzającą dzień powszedni, dostojna dzielnica była cicha i dyskretna jak dama leżąca w łóżku z wałkami we włosach.

Rozejrzał się za radiowozem i ku lekkiemu zaskoczeniu, żadnego nie zauważył. No proszę. A myślał, że Copley kazał policji bostońskiej nie spuszczać pani Gagnon z oka. Może zabrakło środków w budżecie?

Zatrzymał wóz kilka przecznic dalej, pod kinem na Huntington Avenue. Sprawdził, jakie filmy są pokazywane na nocnych seansach i o której. Odnotował ze zdziwieniem, że już przygotowuje sobie alibi.

Kiedy szedł do Back Bay, obudził się w nim zdrowy rozsądek. Co on wyprawia? Jak myśli, czym to się skończy? Ani przez chwilę nie wierzył w historyjkę Catherine o włamywaczu. Zamiast tego przypomniały mu się słowa Harris: „Zadzwoń do ciebie znowu. Powie, że jej syn jest ciężko chory. Że jesteś jej jedyną nadzieją. Będzie cię błagała o pomoc. W tym jest najlepsza: w niszczeniu mężczyzn”.

Czy będzie próbowała go uwieść? Czy będzie miał coś przeciwko temu? Jego karierę już szlag trafił. Pił alkohol po raz pierwszy od dziesięciu lat, a dziś oficjalnie zerwał z kobietą za którą powinien dziękować losowi.

Jest wolny jak ptak. Ma ochotę zaszaleć, bez względu na konsekwencje. Odrobina rozpusty będzie w sam raz. Przypomniał mu się ciepły, cytrynowy zapach jej perfum. Dotyk jej paznokci delikatnie drapiących jego pierś.

Wyobrażenia podsunęła mu następne obrazy. Jej długie, blade nogi oplatające jego biodra. Jej silne, gibkie ciało wijące się pod nim. Na pewno porusza się i jęczy jak prawdziwa profesjonalistka. I spełni wszystkie jego zachcianki.

A więc Harris miał rację – Jimmy nie żyje dopiero od czterech dni, a Bobby już nie może się doczekać, kiedy zerznie jego żonę.

Wszedł do jej dzielnicy, z pochyloną głową, by chronić twarz od zimna, i rękami wciśniętymi w kieszenie puchowej kurtki. Przed oczami przebiegały mu dziesiątki erotycznych fantazji, jedna bardziej wymyślna od drugiej.

Podniósł głowę, zobaczył okno na trzecim piętrze i serce mu zamarło.

O w mordę!

Zaczął biec.

Catherine była w holu. Skulona pod windą, przyciskała do piersi Nathana, który wtulił twarz w jej szyję. Bobby mimochodem zauważył ironię tej sytuacji – tak samo Catherine i Nathan

wyglądali w czwartek wieczorem, a za każdym razem, kiedy ją spotyka, ta rzekomo niedobra matka trzyma syna w ramionach – po czym wbiegł schodami na górę z pistoletem w dłoni.

– Gdyby usłyszała pani strzały, proszę uciekać. I poprosić sąsiadów, żeby wezwali policję.

Nie czekał, aż przytaknie, tylko od razu pobiegł na górę.

Pochylony, wpadł w otwarte drzwi i przykucnął pod sztucznym fikusem. Oddychał ciężko, zdawał sobie sprawę, że działa zbyt szybko, zbyt pochopnie. Musi odzyskać zimną krew. Walka oko w oko w gruncie rzeczy niewiele różni się od pojedynku snajperskiego. Wygrywa ten, kto potrafi lepiej zapanować nad nerwami.

Odetchnął głęboko i uspokoił się. Był w apartamencie Gagnonów po raz pierwszy. W czwartek dowiedział się, że zajmują trzy górne piętra czteropiętrowej kamienicy, przy czym ostatnie zostało przerobione na sklepiony sufit.

Musi więc iść na górę.

Rozejrzał się po wyłożonym marmurem holu. Po lewej stronie miał salon, przed sobą przestronną jadalnię i kuchnię. Oparty plecami o ścianę, z pistoletem trzymany w obu rękach przy piersi, ruszył do salonu.

Schylił się i wpadł do środka, omiatając wnętrze lufą pistoletu. Upewniwszy się, że nikogo nie ma, wyszedł i zamknął drzwi, po czym postawił przed nimi sztuczne drzewo; nie chciałby ktoś zaszedł go od tyłu.

Sprawdził jadalnię i kuchnię, choć był już prawie pewien, że nikogo tam nie znajdzie. Za dużo światła, za duża przestrzeń. Gdyby ktoś tu był, tam nie ukryłby się na pewno.

Dla formalności zajrzał do spiżarni, garderoby i pomieszczenia z pralką. Zostały jeszcze schody.

Nagle poczuł ten zapach. Spływający w dół ciemnej klatki schodowej. Tu światła się nie paliły. Były tylko schody prowadzące w gęsty mrok i charakterystyczna woń śmierci.

Czuł, że pocą mu się dłonie. Skupił się. Być częścią wydarzeń, a zarazem poza nimi. Drapieżnik na tropie. Spokojna, dobrze naoliwiona maszyna robiąca to, czego ją nauczono.

Po cichu, krok po kroku, wszedł na górę. Znalazł się na małej, ciemnej antresoli. Po lewej stronie zamknięte drzwi, z przodu drzwi otwarte. Najpierw podszedł do tych otwartych. W pokoju odór był wyraźnie słabszy. Bobby nie zapalił światła – byłby wtedy widoczny jak na dłoni – ale słaba poświata sącząca się przez okna wystarczyłaby wypatrzeć wszystkie szczegóły. Łazienka, sypialnia, pokój zabaw. Sądząc po wymalowanych na ścianie kowbojach i narowistych koniach, pokój Nathana. Bobby zajrzał do garderoby, pod prysznic, myślał nawet, czy nie sprawdzić skrzyń z zabawkami.

Upewniwszy się, że żaden intruz nie czyha w mroku, wziął koszulę Nathana i zarzucił ją na klamkę, po czym zamknął drzwi.

Kolej na te drugie, zamknięte drzwi. Ryzyko nieco większe, ale on jest na fali. Porusza się coraz płynniej i coraz lepiej nad sobą panuje. Pochylić się, obrócić w bok, by stanowić mniejszy cel, otworzyć drzwi i wśliznąć się do środka.

Następne ciemne pokoje. Funkcjonalne umeblowanie. Duże łóżko, sofa w stylu lat osiemdziesiątych, stare szafy. Tu pewnie mieszka niania. Wygodnie, ale bez luksusów. Trochę żałował, że niczego nie znalazł. Zostało już tylko jedno miejsce. Trzecie piętro. Osławiona główna sypialnia.

Bardzo ostrożnie wszedł na górę.

Zapach był coraz mocniejszy. Ostry, drażniący. Bobby opuścił pistolet. Nie trzymał go już tak mocno. Coś mu mówiło, że nie będzie go potrzebował. To, co jest w sypialni, zostało zrobione na pokaz. To właśnie zobaczył z ulicy.

Drzwi były szeroko otwarte. Światło zgaszone, ale paliły się świece. Dziesiątki małych, pełgających płomyków.

Ciało zwisało z krokwi, przed otworem po wyjętych drzwiach balkonowych. Plastikowa płachta została usunięta, do środka wpadał lekki wiatr. Świece migotały. Ciało kołysało się przy wtórze skrzypienia krokwi.

Bobby podszedł bliżej. Powoli obróciła się ku niemu młoda, przerażona twarz Prudence Walker.

## Rozdział 25

Muszę to zgłosić. Bobby i Catherine rozmawiali szeptem w salonie. Bobby zamknął główną sypialnię. Przedtem jeszcze raz obszedł całe mieszkanie i wprowadził Catherine i Nathana do środka; policja będzie chciała przesłuchać ich na miejscu zdarzenia.

Nathan siedział w salonie i patrzył z lekko otwartymi ustami w telewizor. Zamykały mu się oczy. Zaraz zaśnie. Tym lepiej dla niego. Tym lepiej dla nich wszystkich.

– Nie rozumiem. Prudence się powiesiła?

– Na to wygląda.

Catherine nie mogła wyjść ze zdumienia.

– Ale czemu miałyby to zrobić?

Zawahał się.

– Zostawiła list – powiedział w końcu. – Napisała, że nie może dojść do siebie po śmierci Jimmy’ego.

– Gadanie! Pru miała Jimmy’ego gdzieś. A on traktował ją jak powietrze. Powiedzmy, że nie byli w swoim typie.

– To znaczy, że...

– Była lesbijką – wyjaśniła Catherine zniecierpliwiona. – Jak pan myśli, czemu ją zatrudniłam? Wszystkie inne nianie, bez względu na wiek, w końcu lądowały w łóżku Jimmy’ego, choćby dla sportu.

Bobby westchnął. Przeczesał dłonią włosy. Westchnął jeszcze raz.

– Cholera.

– W tym liście jest coś jeszcze, tak?

– Napisała, że nie może dłużej żyć z wiedzą, kto naprawdę zabił Jimmy’ego. – Spojrzał Catherine w oczy. – Ten list panią obciąża.

Catherine szybko znalazła wytłumaczenie.

– James!

– To pani teść ją zabił?

– Nie osobiście, niech pan nie opowiada głupot. Kogoś wynajął albo ktoś zrobił to za niego. Tak to się zwykle odbywa.

Oskarża pani sędziego o zabójstwo?

– Oczywiście! Pan nic nie rozumie. To dla niego idealne rozwiązanie. Przyjdzie policja, przeczyta list i mnie aresztuje. A James zabierze Nathana.

Bobby próbował przemówić jej do rozsądku.

– Pani Gagnon...

– Catherine! Nie jestem moją teściową.

– Sędzia już podał panią do sądu. Myślę, że oboje wiemy, że przy jego pieniądzach i koneksjach jest tylko kwestią czasu, kiedy wygra. Po co w ogóle miałby ryzykować zabójstwo?

– Żeby jeszcze dziś zabrać Nathana.

– Pani Gagnon...

– Catherine! Nic nie rozumiesz. Nie wiesz, jaki on jest. James chce wszystko i wszystkich kontrolować. Pieniądze, Nathana, mnie. Jak myślisz, kto powiedział Jimmy’emu, że znęcam się nad Nathanem? Kto prawdopodobnie pierwszy zasugerował Jimmy’emu rozwód? Sędzia nigdy mnie nie lubił. Maryanne też. A teraz zabiorą Nathana, dostaną wszystkie pieniądze, a ja nie będę miała nic! Będzie tak jak kiedyś. Zostanę sama.

Oczy Catherine zapłonęły chorobliwym blaskiem. Podeszła do niego. Dotknęła go lekko, a mimo to, gdy tylko jej palce spoczęły na jego piersi, zeszywniał i stracił oddech.

Przejechała paznokciami po jego udzie.

– Wiele potrafię – szepnęła. – Umiem rzeczy, jakie widziałeś tylko w pornosach, które oglądałeś przy piwie z kumplami. Powiedz, nie masz dosyć rutyny? Nie zastanawiałeś się, jak to jest poznać kobietę, przy której nie musisz niczego udawać? Chcesz rozerwać mi koszulę i szczytać moje sutki? Proszę bardzo. Chcesz kąsać mnie w szyję, ciągnąć za włosy? Nie będę protestowała. Nawet nie będziesz musiał potem dzwonić czy czynić fałszywych wyznań miłosnych. Możesz mnie mieć tu i teraz, zrobimy to na pieska na podłodze albo możesz mnie wziąć od tyłu na kanapie. A może w ogóle nie chcesz się rznąć? Może wolisz seks oralny? Mnie to bez różnicy. A może chcesz urzeczywistnić swoje najskrytsze fantazje...

Nagle ścisnęła go za jądra. Drgnął jak prawiczek, po czym gwałtownym ruchem otarł się o jej dłoń. Wybuchnęła gardłowym śmiechem i zaczęła pieścić go lewą ręką, a prawą odgarnęła mu włosy.

– Chcesz, żebym była słodką uczennicą? Włożę kraciastą spódniczkę i podkolanówki. Ty możesz wziąć linijkę. A może wolisz dziką, niegrzeczną dziewczynkę? Czarna skóra, szpilki, pejcz. Robiłeś kiedyś sześćdziesiąt dziewięć? Powiedz, o czym marzysz?

– Przestań.

Zaśmiała się tylko i zaczęła masować go jeszcze mocniej.

– Och, to musi być coś specjalnego. Zoofilia? Jak chcesz, przypnę sobie koński ogon i będę rżała, kiedy mnie będziesz pieprzył. A może bierze cię coś gorszego? Homoseksualizm? Mogłabym mówić grubszym głosem. A może... Niektórzy mężczyźni lubią, kiedy odgrywam dla nich to, co mnie spotkało. Chciałbyś tego? Mogę pokazać ci wszystko, do czego mnie zmuszał. Ja będę dziewczynką, ty pedofilem.

Początkowo nie rozumiał. Był zbyt oszołomiony, wypełniający ją mrok znajdował wierne odbicie w jego duszy. Chciał zerwać z niej ubranie. Chciał rzucić ją na podłogę. Chciał posiąść ją dziko, brutalnie, zupełnie nie w jego stylu. Czuł się, jakby przez całe życie udawał i dopiero teraz poznał swoje prawdziwe oblicze.

Nagle jednak dotarło do niego pełne znaczenie jej słów. Przeszedł go lodowaty dreszcz.

Złapał ją za rękę i wykręcił je do tyłu.

– Przestań – wychrypiał.

– O, widzę, że lubisz ostrą jazdę.

– Catherine, to co cię spotkało... to nie twoja wina.

Otworzyła szeroko oczy. Wyrwała mu się gwałtownie i uderzyła go w twarz.

– Nie mów o sprawach, o których nic nie wiesz!

Milczał. Oboje ciężko dyszeli. Odwróciła się i poszła na drugi koniec pokoju. Szary sweter zsunął jej się z ramienia, odsłaniając czarną koronkową bieliznę. Poprawiła go niecierpliwie, nie patrząc Bobby'emu w oczy.

Powinien coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu. Był zbyt wstrząśnięty, widział przed sobą nie kobietę, lecz dziewczynkę uwięzioną w ciemnościach, uczącą się robić straszne rzeczy tylko po to, by skłonić potwora do powrotu. A jeszcze straszniejsza była myśl o wszystkich mężczyznach, którzy na wieść o jej upokorzeniu wykorzystali je dla własnej rozrywki.

Pożądanie ulotniło się bez śladu. Czuł się wyczerpany, nieobecny. Harris miał rację. Dziewczynka, którą wrzucono do tej jamy, nie była tą samą, którą z niej wyciągnięto.

– No dobrze – powiedziała Catherine szorstko z drugiego końca pokoju – skoro nie chcesz pójść mi na rękę, twoja sprawa. Zadzwoń na policję. Proszę bardzo, niech przyjdą. Niech cię zobaczą w moim domu. Powiem, że jesteśmy kochankami. Od wielu miesięcy. Że to ty wpadłeś na pomysł, żeby zastrzelić Jimmy'ego. On nawet nie miał pistoletu. To ja strzelałam, żeby sąsiedzi usłyszeli. Przyszedłeś, zgłosiłeś, że Jimmy jest uzbrojony, i go rozwaliliś. Twoje słowo przeciwko mojemu. To będzie koniec twojej kariery.

– I tak jestem skończony – rzekł spokojnie. – Jeśli do jutra, do siedemnastej nie ogłoszę wszem wobec, że w czwartek groziłaś Jimmy'emu, sędzia Gagnon wsadzi mnie do więzienia.

Catherine w ataku furii przygryzła dolną wargę.

– Powiem im, że Prudence z tobą sypiała, że dlatego się powiesiła! – Wyciągnęła palec w jego stronę. – Ty! To o tobie mówi w swoim liście. Wiedziała, że to ty zabiłeś Jimmy'ego, i to złamało jej serce, bo tak bardzo cię kochała.

– Ta historyjka byłaby bardziej przekonująca, gdyby Prudence naprawdę się powiesiła.

– Co?

Wreszcie zrobiło mu się jej żal.

– Na jej szyi nie ma sińców. Nie widać też otarć od sznura czy złamanych paznokci od rozpaczliwych prób rozluźnienia pętli. Nie tak łatwo się powiesić. Prudence jest za czysta.

– Nie...

– Ktoś ją zabił. Prawdopodobnie skrzył jej kark. Potem zaniósł ją do twojej sypialni i przygotował wszystko na twoje powitanie.

Catherine zbladła i zachwiała się lekko.

– A kuku – szepnęła. – A kuku.

– Co?

– Nic.

– Rzecz w tym, Catherine, że zauważyłem to od razu. Detektywi też to zobaczą.

– A jeśli pomyślą że to ja ją zabiłam?

– Prudence była dwadzieścia kilo cięższa od ciebie. Nie ma mowy, byś mogła sama powiesić ją na krokwi.

– A co z listem?

– Jeśli to nie było samobójstwo, nie jest to list pożegnalny. Krótko mówiąc, nie można wierzyć w ani jedno zawarte w nim słowo.

– Och...

– Prudence została zamordowana, Catherine. Trzeba wezwać policję.

Wyszedł z salonu i skierował się do jadalni, gdzie wcześniej zauważył telefon. Catherine zatrzymała go w drzwiach.

– Bobby...

Odwrócił się. Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, wydała mu się krucha, zdezorientowana.

Spojrzał na nią spokojnie, ciekawy, co teraz zrobi. Była zimna i wyrachowana, co do tego nie miał wątpliwości. Gdyby nie powiedział jej prawdy o przyczynie śmierci Prudence, zdradziłaby go. I może jeszcze to zrobi. Ale nie mógł się zmusić do tego, by ją znienawidzić. Wciąż widział w niej tę małą dziewczynkę i może to właśnie było tajemnicą jej sukcesów. Potrafiła grać rolę ofiary, jednocześnie planując kolejną zbrodnię.

– Rozumiesz... – Darowała sobie przeprosiny, machnęła tylko ręką. – Nie mogę stracić Nathana. Nie mogę i tyle.

– Dlaczego zwolniłaś gosposię za to, że go nakarmiła?

Nie była zaskoczona, że o tym wie.

– Doktor Rocco zarządził ścisłą dietę, bez pszenicy, bez białka zwierzęcego. Może wydaje się, że to prosta sprawa, ale składniki białkowe są we wszystkim, od płatków owsianych po tuńczyka. Łatwiej było po prostu zabronić go karmić. Niestety, nie wszyscy się z tym zgadzali.

– A brudne pieluchy w lodówce?

– Kał do badania na mukowiscydozę. Jimmy ciągle je wyrzucał, więc co rusz potrzebne były nowe próbki.

– Podobno stan zdrowia chłopca pogarsza się, kiedy jesteś przy nim.

– Nathan cały czas jest chory, Bobby – powiedziała zmęczonym głosem. – Może ludzie zwracają na to większą uwagę, kiedy mają pod ręką kogoś, kogo można o to obwiniać.

– A więc naprawdę jest z nim źle?

– Tak.

– Ale Jimmy ci nie wierzył?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo rodzice wmawiali mu, że jestem źródłem wszelkiego zła, i z upływem czasu Jimmy

kochał mnie coraz mniej, a im coraz bardziej wierzył.

– W porządku – powiedział Bobby i poszedł do telefonu.

## Rozdział 26

D.D. nie ucieszyła się na jego widok. Zadzwonił do niej i zjawiała się po dwudziestu minutach w czystym, modnym T-shircie, szpilkach, z pochmurną twarzą. Zaraz po niej przybyła ekipa dochodzeniowa.

– Ależ z ciebie kretyn – burknęła, wchodząc do mieszkania. – Życie ci niemiłe.

– Nie mów tak przy dziecku. – Bobby wskazał głową salon, w którym spał Nathan, zagrzebany w stosie poduszek. Nie miał pojęcia, jak mały może spać w takim zamieszaniu, ale nie znał się na dzieciach.

D.D. skrzywiła się i poszła na górę, by obejrzeć miejsce zdarzenia. Czekał cierpliwie w holu, oparty o ścianę. Przyszli kolejni mundurowi. Chłopak o dziecinnej twarzy dyskretnie stanął w drzwiach, tak by mógł obserwować Bobby'ego i Catherine siedzącą cicho w salonie. Bobby od czasu do czasu zerkał na niego i ziewał przeciągle. Fajnie było patrzeć, jak małolat stara się powstrzymać od ziewania.

Po kwadransie D.D. wróciła i wskazała głową ustronny kąt. Posłusznie poszedł za nią. Oboje zdawali sobie sprawę, że muszą porozmawiać jak najszybciej, zanim zjawi się Copley, zwabiony zapachem świeżej krwi.

– Co ty wyczyniasz, Bobby? – spytała D.D. bez ogródek.

– Zadzwoniła, powiedziała, że w domu jest intruz, i poprosiła, żebym przyszedł. Co miałem zrobić?

– Wezwać policję.

– Myślisz, że potraktowaliby ją poważnie?

– To już nie twoje zmartwienie, Bobby. Powinieneś myśleć o swojej karierze i, jakbyś nie wiedział, te twoje wybryki wcale ci nie pomagają.

– Ciekawe, że tak wielu ludziom nagle zaczęło zależeć na mojej karierze – mruknął.

– Bobby...

– Nie wierzyłem w istnienie tego intruza.

Teraz, kiedy zaczynał mówić serio, D.D. się uspokoiła.

– A co myślałeś?

Wzruszył ramionami.

– Że to podstęp. Że chce porozmawiać ze mną w cztery oczy. Namówić mnie do czegoś.

– W związku ze śmiercią jej męża?

– Tak.

– Tym bardziej nie powinieneś był przychodzić.

– Oczywiście. Po takim incydencie policjant nie powinien mieć kontaktu z rodziną ofiary.

Myślisz, że nie znam zasad?

– To po co przyszedłeś?

– Bo zastrzeliłem jej męża, a w podręczniku ani słowem nie wspomina się o tym, że po czymś takim człowiek czuje się rozdarty i szuka odpowiedzi, a może po prostu chce, by ktoś mu powiedział: „Postąpił pan słusznie, wybaczam panu, może pan spokojnie żyć dalej, wszystko będzie dobrze”.

D.D. wypuściła powietrze z ust.

– O Jezu, Bobby...

Nie dał jej dokończyć. Nie chciał tego więcej słyszeć.

– Pani Gagnon zadzwoniła do mnie około wpół do jedenastej – powiedział szorstko. – Po przyjeździe do Back Bay zaparkowałem wóz i przyszedłem tu na piechotę. Podchodząc do domu, zobaczyłem w oknie na trzecim piętrze sylwetkę wiszącego człowieka. Przyspieszyłem kroku. Po wejściu do holu kamienicy zobaczyłem panią Gagnon i jej syna, skulonych na podłodze pod windą, wyraźnie przerażonych. Poleciałem im nie ruszać się z miejsca i wszedłem po schodach do drzwi jej apartamentu. Miałem nabity pistolet kaliber 9 milimetrów, na który mam pozwolenie. Przeszukałem całe mieszkanie, piętro po piętrze, aż w końcu wszedłem przez otwarte drzwi do głównej sypialni, gdzie znalazłem wiszące na krokwi ciało Prudence Walker. Po przeczytaniu listu leżącego na materacu wyszedłem z pokoju, uważając, by niczego nie dotknąć, i zamknąłem drzwi, chwytając klamkę przez mankiet koszuli. Potem wróciłem na dół i powiadomiłem panią Gagnon, że trzeba wezwać policję.

D.D. dostroiła się do jego napuszonego, urzędowego tonu.

– I jak pani Gagnon zareagowała na tę wiadomość?

– Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– Co powiedziała?

– Że ponieważ Prudence była lesbijką, raczej nie mogła być kochanką Jimmy’ego Gagnona.

– Naprawdę? – To zainteresowało D.D. Coś sobie zapisała. – Masz na to dowody?

– Moglibyśmy spytać o to Prudence – powiedział Bobby z sarkazmem – ale nie żyje.

D.D. przewróciła oczami.

– O czym jeszcze rozmawiałeś z panią Gagnon?

– Niepokoili się, co policja pomyśli po przeczytaniu listu. Ponieważ walczy z teściami o prawo do opieki nad synem, obawiała się, że list ten może zostać wykorzystany przeciwko niej.

– I słusznie.

– Powiedziałem jej, że policja ma dość oleju w głowie, by zorientować się, że samobójstwo zostało upozorowane.

– Nie zrobiłeś tego!

– A właśnie że tak.

– Jezu Chryste, Bobby, szkoda, że nie pozwoliłeś jej zniszczyć dowodów.

– Gdybym jej tego nie powiedział, nie byłoby jej tu teraz, D.D. Zabrałaby dziecko i uciekła.

– A ty byś ją powstrzymał?

– Niby jak? Grożąc bronią jej i czteroletniemu dziecku? Wątpię, by potraktowała mnie poważnie.

– Nie miałeś prawa zdradzać informacji o przestępstwie. Rozmyślnie utrudniasz prowadzenie śledztwa...

– Wezwałem was. Beze mnie nie mielibyście nic.

– Z tobą też nic nie mamy.

– Macie nazwisko.

– Jakie?

– James Gagnon.

D.D. zamruła szybko i spojrzała na niego z autentycznym zdumieniem.

– Sędzia Gagnon? Myślisz, że to on zabił Prudence Walker?

– Catherine tak sądzi. Albo kogoś wynajął.

– Po co?

– Żeby wrobić ją w zabójstwo męża. Popytaj ludzi, D.D. Nie jest tajemnicą, że sędzia Gagnon jest głęboko wstrząśnięty śmiercią syna. I że winą obarcza Catherine.

– Na litość boską, Bobby, on jest sędzią sądu apelacyjnego...

– Który wczoraj zaprosił mnie do swojego apartamentu hotelowego, gdzie zaproponował mi, że wycofa oskarżenie przeciwko mnie, jeśli zeznam, że w noc zabójstwa słyszałem, jak Catherine sprowokowała Jimmy'ego do sięgnięcia po broń.

– Przecież nie mogłeś tego słyszeć.

– Wspomniałem o tym. Powiedział, żebym się nie przejmował, on wszystko załatwi.

– Załatwi?

Bobby wzruszył ramionami.

– Wystarczy mu jeszcze jeden świadek, który powie, że słyszał to co ja. Sędzia ma długie ręce i głębokie kieszenie. Domyślam się, że nie tylko do mnie się zwrócił.

– Cholera. – D.D. westchnęła ciężko.

– Mam czas do piątej – powiedział Bobby cicho. – Jeśli skłamię, będę miał spokój. Jeśli powiem prawdę, sędzia mnie zniszczy.

D.D. zamknęła oczy.

– Polityka i zbrodnia. No świetnie. – Otworzyła oczy. – Co zrobisz?

Wyglądał na urażonego.

– Nie powinnaś nawet pytać.

– Nie chciałam, by tak to zabrzmiało.

– Gówno prawda.

– Bobby...

– Byliśmy kiedyś przyjaciółmi. Jeszcze to pamiętam, D.D. A ty?

Nie odpowiedziała od razu. To mu wystarczyło. Odepchnął się od ściany.

– Rób, co chcesz i jak chcesz, D.D. Ale jeśli wolno mi wtrącić swoje trzy grosze, to uważam,

że Tony Rocco i Prudence Walker zginęli z tego samego powodu.

– Znali Catherine Gagnon?

– Byli po jej stronie. Rozmawiałem z doktorem Rocco w dniu jego śmierci. Był szczerze przekonany, że Catherine nie robiła Nathanowi krzywdy. Pomagał jej, tak samo Prudence. Teraz nie został jej nikt.

– Ma ojca – przypomniała D.D.

– Naprawdę? Na waszym miejscu wysłałbym do niego kilka radiowozów. Może jest następny.

– A co? Zostanie napadnięty przez rzeźnika z nożem czy się powiesi? Bobby, nawet sposób działania mordercy się nie zgadza.

– Chce ją odizolować.

– Jest ogólnie szanowanym sędzią, który nie musi uciekać się do zabójstwa. Jak sam przyznałeś, ma pieniądze, wpływy i zna wymiar sprawiedliwości od podszewki. Mówiąc wprost, jeśli sędzia Gagnon chce uzyskać prawo do opieki nad wnukiem, to je uzyska. Na pewno nie musi mieszać się w coś takiego.

– Mam czas do piątej – powtórzył Bobby. – Sędzia chce, żebym jutro zeznawał, i najwyraźniej zależy mu na tym, by dostać wnuka w swoje ręce jeszcze dziś. Bardzo mu się spieszy. – Skrzywił się. – Ciekawe dlaczego.

D.D. przesłuchała Catherine w salonie. Nie wpuściła Bobby'ego. Krążył po holu, nad słuchując stłumionych odpowiedzi Catherine przez zamknięte drzwi. Był zaskoczony, że Copley nie pokazał tu jeszcze swojej zakazanej mordy.

Catherine i Nathana przez większą część dnia nie było w domu. Tyle Bobby usłyszał. Przed wyjściem włączyła system alarmowy, po powrocie nadal był włączony. Nie, nie widziała Prudence przez cały dzień; myślała, że niania wyszła rano, kiedy ona jeszcze spała. Nie, niewiele wie o znajomych i przyjaciółkach dziewczyny. Prudence miała komórkę, żeby Catherine mogła się z nią skontaktować w razie potrzeby. Nie, nie próbowała do niej dzwonić, nie miała powodu.

Catherine nie wiedziała, skąd wzięły się świece i sznur. Znalezione też drabinę. Może z piwnicy? Nie miała pojęcia; piwnica była królestwem Jimmy'ego.

Ostatni raz w sypialni była poprzedniego wieczoru. Bała się, że ktoś może wejść do środka, więc przesunęły z Prudence komodę pod wybite drzwi balkonowe. Nie wiedziała, czy ktokolwiek ją odsunął, raczej wątpi, by mogła to zrobić Prudence, sama nie dałaby sobie rady.

D.D. zapytała z ironią, czy kamera w sypialni była włączona, czy też nadal nie zna się na zegarze.

Catherine odparła zimno, że nie dotykała systemu alarmowego, ale wie na pewno, że żadnych nagrań z sypialni nie będzie, bo policja zarekwirowała wszystkie taśmy.

Ponieważ rozmowa utknęła w martwym punkcie, D.D. przeszła na bardziej neutralny grunt.

Prudence pracowała u niej od pół roku, wyjaśniła Catherine. Poleciała ją agencja z Anglii.

Tak, podejmując decyzję o jej zatrudnieniu, po części kierowała się tym, że była lesbijką. To, że pogodziła się z nieustającą niewiernością Jimmy'ego, nie znaczyło, że zamierzała ułatwić mu zadanie.

Prudence doskonale się sprawdziła. Była cicha, pracowita, dyskretna. Nie, nie sprawiała wrażenia poruszonej tym, co spotkało Jimmy'ego. Czy wydało jej się to dziwne? Cóż, Brytyjczycy słyną z rezerwy.

Prudence bardziej niepokoiła się o stan zdrowia Nathana. I słusznie.

Czy odwiedzała Nathana w szpitalu? Nie. Nathan leżał na oddziale intensywnej terapii, gdzie wpuszczano tylko członków rodziny.

Nathan był w szpitalu przez dwa dni. Co robiła Prudence w tym czasie? Jej pracodawca nie żył, jej podopieczny leżał na oddziale intensywnej terapii. Co robiła Prudence?

Catherine zawahała się po raz pierwszy. Nie wiedziała.

Czy widziała się z Prudence? Raczej nie. Często wychodziła, była przy Nathanie.

Czy rozmawiała z Prudence? Krótko.

A więc Prudence tak naprawdę mogła być bardzo poruszona śmiercią Jimmy'ego. Może bała się zostać sama w domu, w którym zginął człowiek? Może nawet potajemnie kochała się w Jimmym? Był charyzmatyczny, czarujący, przystojny. A może usłyszała to i owo. Taka cicha, dyskretna dziewczyna. Może wiedziała więcej o tym, co stało się w czwartek, niż mówiła, i to nie dawało jej spokoju?

– Do tego stopnia – powiedziała Catherine cicho – by skrócić sobie kark?

Bobby wręcz słyszał, jak D.D. klnie w duchu. Tego wieczoru napisze raport, w którym nie przedstawi go w korzystnym świetle. A wraz z nią straci ostatnich sojuszników w policji.

Izolacja, pomyślał. Jego i Catherine. Chciał wierzyć, że to skutek jego własnych decyzji. A może sędzia Gagnon naprawdę jest taki dobry?

Przesłuchanie się skończyło. D.D. nie miała więcej pytań, a Catherine nic do dodania.

D.D. wypadła z pokoju jeszcze bardziej nachmurzona niż przed wejściem. Bobby nawet nie próbował jej przeproszać.

Podszedł do niej, kiedy ruszyła do wyjścia.

– Spierdalaj, Bobby... – syknęła.

– Wiem, co wiąże ze sobą te zabójstwa – powiedział. I chociaż nie zamierzała go o nic pytać, dodał: – Morderca obezwładnił dorosłego mężczyznę i skrzył kark młodej dziewczynie. Stąd wniosek, że musi być rośli i silny.

– Przez nią zacząłeś myśleć kutasem – wycodziła D.D. z furią. – Tak ci namieszała w głowie, że nie wiesz, co dla ciebie dobre. To zaskakujące, Bobby. Kto jak kto, ale ty powinieneś mieć więcej rozsądku. Cóż, ciesz się seksem, póki możesz, bo to koniec twojej kariery.

## Rozdział 27

Druga w nocy. Wszyscy smacznie śpią. Panu Bosu też chce się spać. Niestety, Figlarz nie pozwala mu zasnąć. Wyje w łazience i drapie w drzwi. W pierwszej chwili pan Bosu pomyślał, srać na to. To dopiero jego druga noc w prawdziwym łóżku, w prawdziwej pościeli, na litość boską. Może wyciągnąć ręce i nogi. Może wcisnąć głowę w materac i nie czuć smrodu szczyn. Jeszcze tego brakuje, żeby wstawał z powodu jakiegoś marudzącego psa.

Rozsądek podpowiedział mu jednak, że tej nocy i tak nie zmruży oka. Co mu szkodzi zająć się psem. Kto by się spodziewał, że jak już wyjdzie na wolność, nie będzie mógł znieść ciszy?

Życie jest takie niesprawiedliwe.

Wstał. Włożył spodnie, za które dał pięćset dolców. Otworzył drzwi łazienki. Figlarz wskoczył mu na ręce, radośnie merdając ogonem i liżąc go po brodzie.

– No dobrze, już dobrze. – Próbował przybrać szorstki ton.

Figlarz wycalował go po twarzy i ponury nastrój ulotnił się bez śladu. Cóż, przez dwadzieścia pięć lat wyspał się za wszystkie czasy. Teraz jest wolnym człowiekiem i może pobawić się ze swoim psem.

– No to idziemy na spacer. – Założył psu smycz i ruszył do drzwi. Tę noc spędził w Hampton Inn, wygodnym, ale nierzucającym się w oczy motelu. Mógł uchodzić za jednego z wielu gości bawiących tu przejazdem. Dziś tu, jutro tam, komu by się chciało go pamiętać.

Figlarz znalazł na parkingu duży krzak, uniósł łapę i puścił zaskakująco silny strumień. O tej porze wokół nie było żywej duszy. A co tam. Pan Bosu rozpiął rozporek i dołączył do niego. Człowiek i jego pies, sikający razem. Od razu poczuł się lepiej.

I dobrze, bo ma za sobą smutny wieczór.

To nie był udany dzień. Niby zrobił swoje, ale... nie czuł satysfakcji. Znalazł dziewczynę. Zobaczył ją, kiedy wyszła z mieszkania, którego adres dostał. Zrównał się z nią i wykorzystując psa, nawiązał rozmowę. Wszystko poszło gładko, tyle że...

Po pierwsze, jego nowe ciuchy nie zrobiły na niej wrażenia. Nie zauważył w jej oczach najmniejszego śladu zainteresowania. Trochę go to wkurzyło. W końcu wyglądał całkiem nieźle. Wystarczająco dobrze, by jakaś babka, którą widział pierwszy raz w życiu, zgodziła się pójść z nim na kolację. A ta dziewczucha, żadna piękność, wyraźnie go ignorowała.

Poklepała Figlarza po łbie i ruszyła dalej.

Przyspieszył kroku, by ją dogonić. Zdenerwowany, zbity z tropu, musiał szybko coś wymyślić. Jak człowiek przesiedzi dwadzieścia pięć lat w więzieniu, to ma potem kłopoty z improwizacją. Pan Bosu potrafił być sprytny. Ba, nawet genialny. Tyle że na ogół miał cały dzień, by się odpowiednio przygotować.

A teraz ta głupia krowa go olała. Nie mógł robić sceny, ale nie mógł też jej puścić. Przecież

jeśli znów się na niego natknie, nie uwierzy, że to zbieg okoliczności. Nie, nie miał wyjścia. Wybrał strategię i musiał być konsekwentny.

Na środku ulicy doznał olśnienia. Kogo najlepiej zna i kocha? Dzieci. Kogo niania zna najlepiej i kocha? Dzieci. Zaczął pleść coś o swoich dwóch i dwóch dziesiątych dziecka i braku dobrych opiekunek. Strzał w dziesiątkę. Od razu nastawiła uszu.

Okazało się, że Prudence Walker szuka nowego pracodawcy. Co ciekawe, rodzina, dla której teraz pracuje, wydaje jej się „trochę straszna”. Wychodzi na to, że opiekunki nie lubią domów, w których głowa rodziny straszy pistoletem żonę i dziecko, a zaraz potem dostaje kulkę.

Nie żeby to była wielka strata. Facet ją obmacywał i po pijaku bił rodzinę. Kompletny nieudacznik. Ale za to nadziany, co tłumaczyło, dlaczego miał dom w Back Bay, podczas gdy inni nieudacznicy trafiali do więzienia. Życie jest niesprawiedliwe, ple, ple, ple...

Pan Bosu miał dość słuchania o panu domu. Chciał dowiedzieć się czegoś o jego żonie. O Catherine...

Z tej to niezłe ziółko, mówiła niania. Kto to widział, żeby kobieta w jej wieku chodziła na tak wysokich obcasach. (Pani Gagnon jest piękna, przetłumaczył sobie jej słowa pan Bosu, piękniejsza od młodej niani i zdecydowanie bardziej seksowna).

I tyle tych zasad. Chłopiec nie może jeść tego, musi jeść tamto. „Biedak jest leciutki jak źdźbło trawy – terkotała niania. – Powinna cieszyć się, cokolwiek weźmie do ust”.

Pan Bosu pokiwał głową ze zrozumieniem. Miał wielką ochotę spytać, czy karmi go tylko chlebem i wodą. A jeśli tak, to czy jest to biały chleb pszenny? Powstrzymał się jednak. Takie rzeczy nie powinny go interesować.

Niania mówiła dalej. Pani domu jest zimna i arogancka. Ciągle zadziera nosa, myśli o sobie Bóg wie co. Nie pracuje, nie zajmuje się domem ani dzieckiem, przepada na całe dni. Pewnie chodzi do kochanków.

Kiwał głową z ożywieniem. Nie ciągnął jej już za język, wystarczyło „ach, tak” i „och, niewypowiedane współczującym tonem. Dziewczyna rozkręciła się, najwyraźniej za długo dusiła to wszystko w sobie. Nawet nie musiał jej specjalnie zachęcać, by wracała do tematu tej okropnej kobiety, która tak strasznie traktuje swojego biednego, biednego synka.

I nagle wróciło stare, dobrze mu znane uczucie. Słońce świeciło. Figlarz brykał. Szli we dwoje sprężystym krokiem, a on czuł, jak wyostrzają mu się zmysły; wszystko widział jak w zwolnionym tempie, świat stał się surrealistyczny. Pan Bosu krążył po miejskiej dżungli. Powoli, dostojnie zbliżał się do swojej ofiary.

Trzydzieści tysięcy dolarów, myślał. O rany, kto by pomyślał, że kiedyś będą mu za to płacili.

Doszli do przystanku na rogu. Niania zatrzymała się i nagle jakby dotarło do niej, jak długo mówiła, i że on nadal jest przy niej. Poczowała się nieswojo.

Pomyślał, że teraz powinien zrobić pierwszy krok. Zaprosić ją do domu, żeby poznała jego żonę i dzieci. To tu, zaraz za rogiem. Musi pod byle pretekstem zwabić ją w ustronne miejsce.

Spojrzał jej w oczy i w tej chwili marzenia się ulotniły, wszystkie kolory wyblakły, adrenalina przestała krążyć w żyłach. Nie uwierzyła mu. Nie dała się zwieść jego pięknym ciuchom i ślicznemu pieskowi. Zmarszczyła brwi.

Stał na skraju przepaści. Zostaw ją. Odejdź. Nikt się o niczym nie dowie.

Zrozumiał jednak, że jest za późno. Pieprzyć pieniądze. Pieprzyć szefa. Pan Bosu nie jest urzędasem siedzącym za biurkiem. Jest potworem. Rozpiera go żądza krwi.

Ta dziewczyna знаła Catherine. Mówiła o Catherine. Jej los był przesądzony.

Rozejrzał się. Dziewczyna otworzyła usta.

Wykręcił jej lewą rękę, przyciągnął ją do siebie, drugą ręką objął jej szyję. Cichy pisk. Tak, nie, proszę, nie. Nie zważał na to. Coś trzasnęło i bezwładnie osunęła się na niego. Wziął ją w ramiona i wtulił usta w jej szyję, jakby ją całował.

Wtedy poczuł ten zapach. Seksu. Potu, żądy. Zapach dorosłego człowieka.

Pożądanie ulotniło się bez śladu. Trzymał w ramionach martwe, brzydkie ciało, podczas gdy Figlarz ciągnął za smycz i skamlał żałośnie.

Potem było już łatwo. Zero frajdy. Musiał niepostrzeżenie zabrać zwłoki. Uświadomił sobie, że spieprzył robotę – miał „nakłonić” dziewczynę do napisania listu pożegnalnego. Cóż, za późno. Będzie musiał napisać go sam, podrabiając charakter pisma młodej dziewczyny – tak, policja na pewno da się nabrać, już to widzi.

Nie miał wątpliwości, że zleceniodawca nie będzie zadowolony. Zwłaszcza po tym, jak trochę przegiął przy poprzedniej robocie.

Wpadł w złość. Skoro zabijanie jest takie łatwe, to niech facet sam to robi. Słowo honoru, morderstwo to nie taka prosta sprawa, jak się wydaje. Teraz widać to było aż za dobrze. Pan Bosu był zmęczony i głodny. Najchętniej strzeliłby sobie drinka.

A tymczasem stał na rogu ulicy z trupem i musiał udawać, że się z nim obściskuje tylko po to, by nie wyglądać jak kretyn. Naprawdę, to nic zabawnego!

Znów zmusił umysł do wzmożonego wysiłku. Nie miał całego nudnego dnia na rozwiązywanie problemów. Każda chwila była na wagę złota.

No dobra. Posadził martwą nianię pod ścianą na pustej klatce schodowej. Ot, dziewczyna zażywa drzemki w słońcu. Sam poszedł za róg i, zmuszony podjąć ryzyko, ukradł samochód. To koniec, pomyślał ponuro. Morderstwo ujdzie mu na sucho, ale zamkną go za kradzież.

Wrócił na główną ulicę. Zatrzymał wóz. Zaczekał, aż przejadą inne samochody, po czym dyskretnie posadził trupa na przednim siedzeniu. „Kochanie, nie wolno ci tyle pić” – powiedział głośno, z irytacją. To, że w pobliżu nie było widać nikogo, nie znaczyło, że nikt niczego nie słyszy.

Wreszcie wyruszył w drogę z psem i martwą nianią.

Super, można powiedzieć. Brawa dla wspaniałego pana Bosu. Tak, prawdziwy spec zawsze sobie poradzi.

Otóż nie. To była dopiero połowa sukcesu. Zabicie tej dziewczyny to tylko wstęp. Teraz

musiał dostarczyć ciało we właściwe miejsce we właściwym momencie.

Cholerny świat, już łatwiej było organizować zabójstwa w więzieniu. Całe szczęście, że dobroczyńca X w końcu wybulił więcej kasy, bo dziesięć tysięcy to za mało za taką fuchę. Ba, nawet trzydzieści nie brzmiało już tak kusząco.

Zadzwoił z komórki do swojego informatora. Dobra wiadomość była taka, że miał niezłe wyczucie czasu. Mieszkanie było puste.

Podjechał pod dom, o wejściu do którego marzył od pół roku, od chwili kiedy dostał ten pierwszy telefon, kiedy tajemniczy zleceniodawca niczym dobra wróżka dał mu nadzieję.

Wszedł do kamienicy. Wciągnął powietrze, szukając zapachu jej perfum. Nie mógł zostać tu długo. Jeszcze nie dziś, ale, och, być tak blisko...

Wchodząc na górę, myślał o niej. Kiedy rozstawiał drabinę, wiązał sznur i dźwigał ciało, miał przed oczami jej delikatne rysy. A kiedy zapalał świece, jedną po drugiej, widział swoje dłonie zaciskające się na jej szyi.

Dusił ją. Codziennie. I za każdym razem w ostatniej chwili zwalniał uścisk. Oboje wiedzieli, że pewnego dnia tego nie zrobi. Pożądanie okaże się zbyt silne, a on wycisnie z niej ostatnie bolesne tchnienie.

Na razie jednak zabierał dłonie i widział w jej oczach błysk ulgi, po czym wchodził na górę, do światła, machał jej na pożegnanie i zostawiał ją samą w zimnej, ciemnej jamie.

Wreszcie pewnego dnia przyszedł do ich kryjówki, pogwizdując wesoło – nawet przyniósł baton, żeby sprawić jej przyjemność – ale jej tam nie było. Serce na chwilę zamarło mu w piersi. Poczul prawdziwy ból, jakby coś w nim pękło. Ktoś ją ukradł, ktoś mu ją zabrał, nigdy więcej jej nie zobaczy...

I po chwili zorientował się, co się stało. Uciekła. Zostawiła go. Tak mu podziękowała za wszystko, co dla niej zrobił, za to, jak się nią opiekował, za te wszystkie chwile, kiedy miał jej los w swoich rękach i pozwalał jej żyć...

Ogarnęła go niewyobrazalna wściekłość. Mroczna, dzika furia. Wrócił do domu i zamknął się w swoim pokoju. Miał szczerą ochotę zabić wszystkich ludzi ze swojej ulicy. Oczywiście, zacząłby od rodziców. Tak nakazuje przyzwoitość. Zabiłby ich, zanim dowiedzieliby się, jakiego potwora wychowali. Następni byłiby sąsiedzi, jeden po drugim, od pierwszego do ostatniego domu.

Najlepszy byłby pistolet. Załatwiłby to szybko, nie zmęczyłby się. Ale to nie dla niego. Kule zabijają na odległość. On chciał być blisko ofiar. Słyszeć odgłos noża przecinającego skórę, czuć na dłoniach gorący deszcz krwi, widzieć ostatnią iskierkę nadziei gasnącą w oczach, w których zostawała tylko nieskończona, przerażająca nicość.

Powinien był to zrobić. Wziąć nóż z kuchni, pójść do matki i zabrać się do roboty.

Ale tego nie zrobił. Siedział tylko i po jakimś czasie stwierdził, że jest głodny. Zrobił sobie kanapkę z masłem orzechowym i dżemem. Najadłszy się do syta, poczuł, że atak furii strasznie go zmęczył, więc się zdrzemnął.

I tak mijał dzień za dniem, a on wciąż nie mógł się na nic zdecydować. Dopiero po czterech dniach przyszła po niego policja i od tej pory o wszystkim decydowali za niego inni.

Powiesił nianię, przesunął komodę i zerwał plastikową płachtę z otworu po drzwiach balkonowych. Nieudolnie podrobiony list położył na łóżku.

Zadzwoiła komórka. Informator powiedział, że Catherine i Nathan są w drodze do domu. Pora iść. Stał w drzwiach, z dłonią na klamce, łowiąc nosem zapach jej perfum. Czy śniła o nim? Czy tęskniła? Podobno dziewczyny nie zapominają swojego pierwszego razu...

I po chwili spłynęło na niego natchnienie. Szybko poszedł do pokoju chłopca. Cztery minuty, tyle czasu potrzebował.

Podniecenie wróciło. Dreszcz, którego nie czuł od chwili, kiedy objął ramieniem szyję grubej dziewczyny. Szybko przemykał po pokoju chłopca, wyobrażając sobie, jaką Catherine będzie miała minę.

Po trzech minutach zbiegł na dół, pogwizdując. Włączył alarm, zamknął drzwi na klucz. Wziął na ręce Figlarza, który czekał na niego przy drzwiach. Wyszli na ulicę.

Usłyszał za plecami głos chłopca: „Mamusiu, zobacz, piesek”.

Pan Bosu rozpląnął się w mroku.

A teraz, stojąc na parkingu przy Hampton Inn, postanowił, że tej nocy w ogóle nie będzie spał. Jest zbyt niespokojny, zbyt podekscytowany wspomnieniami.

Może przy okazji zrobić coś pożytecznego.

– Hej, Figlarz – powiedział cicho. – Wycieczka.

## Rozdział 28

Dwie noce nie spałem. Jestem zdenerwowany i mam ochotę się napić. Wiem, że jest późno, ale mogę przyjść?

– Dobrze by było – odparła.

Przyjechał po piętnastu minutach.

Doktor Elizabeth Lane ostatnio widziała Bobby'ego przed dwudziestoma czterema godzinami. Teraz przeżyła lekki szok. Miał ściągniętą twarz, zapadnięte oczy. Wcześniej milczał jak grób, teraz nerwowo chodził po jej gabinecie, rozpierany dziką energią. Był człowiekiem na krawędzi. Jeden fałszywy krok i runie w przepaść. Pomyślała, że trzeba mu przepisać jakieś leki. Na razie jednak zaczęła od pytania:

– Wody?

– Znasz to powiedzenie: To, że jesteś paranoikiem, nie znaczy, że nie chcą cię dopaść? – wyrzucił z siebie.

– Tak.

– Cóż, nigdy nie uważałem siebie za paranoika, ale myślę, że chcą mnie dopaść.

Nie przestawał chodzić. Zamiast próbować go uspokoić, usiadła za biurkiem i splótła dłonie.

– Kto? – spytała spokojnie.

– A kto nie? Sędzia, zastępca prokuratora, policja, wdowa. Kurde, wszyscy chcieliby dobrać mi się do skóry.

– Niepokoi cię śledztwo w sprawie śmierci Gagnona?

– Śledztwo? – Zamilkł, zamrugał zdumiony, po czym machnął niecierpliwie ręką. – Pieprzyć to. Nikt nie będzie czekał na jego wyniki. Nie, albo dopadną mnie jutro, albo wcale.

– Co stanie się jutro, Bobby? – dopytywała się cierpliwie.

Nie spodobał mu się jej ton. Stał przed nią i oparł się o biurko. Spojrzał jej prosto w oczy i Elizabeth z niepokojem stwierdziła, że się go boi.

– Nie jestem idiotą – powiedział z naciskiem. – Nie tracę rozumu. Nie, zaraz, właśnie że tracę. Dlatego tu jestem. Ale mam powód, do cholery!

– Może zaczniesz od początku?

Odwrócił się od biurka, podnosząc rękę.

– Od początku? To znaczy od kiedy? Sam nie wiem. Od czwartkowego wieczoru, kiedy to zabiłem Jimmy'ego Gagnona? A może wszystko zaczęło się dziewięć miesięcy temu, kiedy przypadkowo spotkałem Jimmy'ego i Catherine na przyjęciu? A może we wtorek, kiedy Jimmy wniósł sprawę o rozwód, albo dwadzieścia parę lat temu, kiedy Catherine została porwana przez pedofila? Cholera jasna, skąd ja mogę wiedzieć?

– Bobby, chciałabym ci pomóc...

– Ale gadam jak pieprzony psychol?

– Tak bym tego nie ujęła...

– A ja owszem. Copley też. Chryste, to tylko kwestia czasu... – Przeczesał dłonią włosy, po czym gorączkowo rozejrzał się po gabinecie, jak zwierzę zamknięte w klatce. W ostatniej chwili, kiedy już zaczynała obawiać się najgorszego – że zrobi coś złego sobie albo jej – wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze z ust. Odetchnął jeszcze kilka razy.

Bez słowa wstała i przyniosła mu szklanekę wody. Wziął ją z wdzięcznością i wypił duszkiem. Zabrała pustą szklanekę, napełniła ją znowu, a on i tym razem wychylił ją do dna.

Wzburzenie pobudza organizm, dosłownie go przegrzewa. Woda natomiast pomaga go schłodzić.

– Wszystko się pogmatwało – powiedział w końcu. W jego głosie nie było już napięcia, mówił beznamiętnie, wręcz monotonicznie.

– W jakim sensie?

– Ojciec Jimmy’ego podał mnie do sądu. Ale wycofa oskarżenie, jeśli skłamię w sprawie tego, co zaszło w czwartek wieczorem, i zrobię jego synową. Zastępca prokuratora myśli, że nie jestem mu potrzebny, by załatwić Catherine, jest pewny, że miała coś wspólnego z zabójstwem, zastanawia się tylko, czy ja również. Do niedawna mogłem liczyć na kumpli z policji, ale zawałem sprawę, bo spotkałem się z Catherine, więc też przestali mi ufać. Aha, miałem dziewczynę, która mnie kochała, ale dziś z nią zerwałem. Wmówiłem sobie, że tak trzeba. Ale jeśli mam być szczery, przez cały czas myślałem o wdowie po Gagnonie.

– Zakochałeś się w Catherine Gagnon?

– Miłością bym tego nie nazwał. Jak się kogoś kocha, to myśli się o tym kimś z czułością. Ja o niej tak nie myślę.

– Czujesz się wobec niej winny?

Bez namysłu pokręcił głową.

– Nie. Pograżoną w żałobie wdową to ona nie jest.

Elizabeth zniżyła głos.

– To co to jest? Pożądanie?

– Tak.

– Podniecenie?

– Na jedno wychodzi.

– Być może. Myślisz, że jesteś jej potrzebny?

Zastanowił się przez chwilę.

– Może. Myślę, że chce, bym tak myślał. Ale nie wiem, na ile to gra, a na ile prawdziwe uczucie.

– To znaczy?

– Jest świetną aktorką. Kłamie, manipuluje, oszukuje. Według teścia, wyszła za Jimmy’ego dla pieniędzy. Według zastępcy prokuratora Copleya, znęca się nad dzieckiem, żeby zwrócić na

siebie uwagę. Według, niej samej, jest ofiarą. A według mnie... Czasem wydaje mi się, że oni wszyscy mają rację. Jest samolubna, niebezpieczna i nieobliczalna. Ale przy tym... bardzo smutna.

– Bobby, myślisz, że rozsądnie jest się z nią spotykać?

– Nie.

– Ale widziałeś się z nią?

– Kilka razy.

– Dlaczego?

– Bo do mnie dzwoni.

Elizabeth spojrzała na niego znacząco, a on się zaczerwienił. Przysunął krzesło do jej biurka i wreszcie usiadł. A Elizabeth mimo woli odetchnęła z ulgą.

– Nie jest tak, jak myślisz... – zaczął.

– A jak myślę?

– Że to było typowe zabójstwo. – Dodał zjadliwie: – O ile w ogóle coś takiego istnieje. Słuchaj... ja się z nią nie kontaktowałem. Nie szukałem u niej odpowiedzi. Ona przyszła do mnie. A potem... – Zmarszczył brwi. – Dzieje się coś dziwnego. Lekarz, który zajmował się jej dzieckiem, został w sobotę zamordowany. Dziś poprosiła, żebym do niej przyszedł, i w jej sypialni znalazłem powieszoną nianię. Na Jimmym się nie skończyło. Jimmy to był dopiero początek.

– Nie bardzo rozumiem.

– To jest nas dwoje. Krótko mówiąc, giną wszystkie osoby z jej otoczenia. A moje życie zmierza donikąd. Catherine Gagnon albo ma największego pecha na świecie, albo potrzebuje pomocy jak nikt inny.

– I ty jej pomagasz?

– Próbuję.

– Czemu to robisz, Bobby?

Zmarszczył brwi, jakby nie zrozumiał jej pytania.

– Bo potrzebuje pomocy. Bo tak trzeba.

– Bobby, każde spotkanie z tą kobietą pogarsza twoją sytuację, zgadza się?

– Tak.

– A im częściej się z nią widzisz, tym trudniej nabrać ci dystansu do śmierci Jimmy'ego Gagnona. W ten sposób sam sobie szkodzisz.

– Może.

– Ale kiedy do ciebie dzwoni, przychodzisz do niej. Dlaczego, Bobby?

Wciąż miał ściągnięte brwi.

– Bo jestem policjantem.

– Jesteś policjantem. To znaczy, że znasz wiele innych osób, profesjonalistów, do których mógłbyś ją skierować albo których mógłbyś poprosić, by jej pomogły. Nie musisz wszystkiego

brać na siebie. Zgadza się?

Jej słowa wyraźnie nie przypadły mu do gustu.

– Być może.

– Naprawdę myślisz, że Catherine Gagnon jest w tarapatkach, Bobby?

– Tak.

– Skąd ta pewność? Dopiero co mówiłeś, że kłamię.

Wzruszył ramionami.

– Widziałem trupy. Były prawdziwe.

– W porządku. Masz przyjaciela czy znajomego, któremu ufasz?

– Raczej nie.

– Nawet jednego?

– Jestem policjantem stanowym. Nie pracujemy w parach, jeśli do tego zmierzasz.

– Mówisz to tak, jakbyś się bronił.

– Ona potrzebuje pomocy, ja jej pomagam. Nie widzę w tym nic złego. – Znow wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

– Kiedy ostatnio spałeś, Bobby?

– W sobotę. Kilka godzin.

– Co to znaczy „kilka”?

– Trzy.

– Kiedy ostatnio jadłeś?

– Niedawno piłem kawę.

– Mówię o jedzeniu, Bobby.

– Wczoraj rano.

– Biegałeś, prawda?

Tym razem nie odpowiedział.

Zmusiła się, by milczeć i zachować spokój.

– Dwadzieścia kilka kilometrów – wykrztusił w końcu.

– Rozklejasz się, Bobby. Ja to wiem, ty to wiesz. Dlatego właśnie zadzwoniłeś. Bo boisz się o siebie. Pytam więc raz jeszcze: myślisz, że rozsądnie jest spotykać się z Catherine Gagnon?

– Nie chodzi o nią.

– A o kogo?

– Zdaje się, że o moją cholerną matkę.

– Nie rozmawiamy o tym – powiedział po jakimś czasie. – W każdej rodzinie są tematy tabu.

My nie mówimy o niej.

– Jacy „my”?

– Mój ojciec. Mój starszy brat, George. – Bobby zatrzymał się przed jednym z dyplomów wiszących na ścianie i wbił niewiążący wzrok w chroniącą go szybkę. – Mój ojciec pił.

– Wspominałeś o tym.

– Po pijaku robił się agresywny.

Milczała chwilę.

– Jak agresywny?

– Bił wszystko, co się ruszało.

– A więc twoją mamę, ciebie i twojego brata?

– Tak.

– Długo się to ciągnęło? Czy ktoś z rodziny próbował wam pomóc?

Kolejne wzruszenie ramion.

– Nie zauważyłem.

– Twój ojciec był brutalnym pijakiem i twoja matka go zostawiła?

– Nie było mnie przy tym – powiedział cicho. – Któregoś wieczoru usłyszałem, jak mój brat George krzyczy na ojca. Ale on... on był chyba strasznie nawalony. I wpadł w szała. Złapał skórzany pas i rzucił się na mamę. Zbił ją jak psa. Zdaje się, że George próbował jej pomóc i też dostał. Aż stracił przytomność. Kiedy się ocknął, ojciec spał, a matka pakowała rzeczy.

Powiedziała George'owi, że dłużej nie wytrzyma. Że może jeśli odejdzie, ojciec się uspokoi. Miała krewnych na Florydzie. Razem z George'em przetrząsnęli kieszenie ojca i tyle ją widzieliśmy.

Później słyszałem, jak ojciec kłócił się o to z George'em. W furii rzucił nim o ścianę. George podczołgał się do niego. Stał przed nim i powiedział: „I co teraz zrobisz, tato?” Powiedział: „Matkę już straciłem”. Powiedział... – Bobby zniżył głos. – Powiedział: „Co nam zostało?”

– Co zrobił ojciec?

– Rzucił się na niego z nożem. Dźgnął go w zębra.

– A gdzie byłeś ty?

– Stałem w drzwiach. – I co zrobiłeś?

– Nic.

Elizabeth skinęła głową. Miał wtedy sześć, siedem lat. Trudno się dziwić, że nic nie zrobił.

– Co stało się potem?

– George trafił do szpitala. Ojciec obiecał mu, że jeśli skłamię, jeśli powie, że został napadnięty, to on już nigdy nie weźmie do ust alkoholu. George skłamał, ojciec poszedł na odwyk i nigdy więcej ani słowem nie wspomnieliśmy o matce.

– I to poskutkowało?

– W końcu tak. Owszem, ojciec wracał do picia, przeżywaliśmy trudne chwile, ale naprawdę się starał. Nie wiem... Może wystraszył się, kiedy odeszła matka? Albo kiedy zaatakował George'a. Ale wziął się w garść. Starał się, jak mógł.

– A ty i George?

– Przetrwaliśmy. Jak to dzieci. Nie dać się to podstawa.

– Czy matka kiedykolwiek odezwała się do was?

– Nie.

– Jesteś na nią zły?

– Tak.

– To twój ojciec cię bił.

Bobby odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

– No właśnie. Byliśmy tylko dziećmi. A on był pijakiem, który z byle powodu łapał za pas i nóż. Jak mogła nas z nim zostawić? Co z niej za matka?

– Bobby, może teraz powiesz mi, czemu widujesz się z Catherine Gagnon?

Zamknął oczy. Zauważyła, że wstrząsnął nim lekki dreszcz.

– Bo trzymała dziecko. Bo nawet kiedy Jimmy mierzył do niej z pistoletu, nie puściła Nathana.

Elizabeth skinęła głową. Czytała jego zeznania z czwartku. Teraz zobaczyła to, co widział on, i nasunął jej się jedyny logiczny wniosek, ten, któremu on sam jeszcze nie był gotów stawić czoła.

– Och, Bobby – powiedziała cicho. – Ale się wpakowałeś.

## Rozdział 29

Policja kończyła pracę w domu Catherine. Kobieta detektyw wyszła. Bobby też. Zostali tylko snujący się tu i ówdzie mundurowi, którzy robili Bóg wie co.

Mieszkanie pustoszało. Myślała, że kiedy zostanie sama, znów poczuje się jak u siebie w domu, że odetchnie z ulgą. W miarę jednak jak kolejni technicy znikali za drzwiami, ogarniał ją coraz większy niepokój i poczucie zagrożenia. Ten dom nie jest już jej domem. Jego świętość została w straszny sposób zszargana. Chciała stąd uciec. Zamiast tego stała sama w salonie, rozpaczliwie próbując zapewnić Nathanowi choć kilka godzin snu.

Rzucał się, mamrotał coś przez sen. Ktoś z zewnątrz mógłby pomyśleć, że jest tu za jasno, ale ona знаła prawdę. Dwie zapalone lampy dawały za mało światła. Jak tak dalej pójdzie, wkrótce na całym świecie nie znajdzie się dość żarówek, by pozwolić im choćby na chwilę wytchnienia.

Nie wiedziała, co robić.

Oczywiście, przyszedł teść.

Wmaszerował do holu w drogim kaszmirowym płaszczu i nienagannie wypucowanych butach. Trzecia w nocy, na litość boską, trzecia w nocy, a ten wygląda, jakby przyszedł prosto z sali sądowej.

Na jego widok stojący w holu młody policjant wyprężył się jak przed przybyłym na inspekcję generałem.

Nie daj się, powiedziała sobie Catherine. Nie daj się. O Boże, ale była zmęczona.

– Catherine – huknął James – przyszedłem, jak tylko usłyszałem, co się stało.

Przywitała go w przedpokoju, pragnąc trzymać go jak najdalej od Nathana. Położył dłonie na jej ramionach niczym troskliwy ojciec. Ucałował ją w oba policzki, ale robiąc to, już zaglądał za jej plecy, wypatrując dziecka.

– Oczywiście zabieram was ze sobą. Bez dwóch zdań. Maryanne się ze mną zgadza.

– Poradzimy sobie, dziękuję.

– Nonsens! Chyba nie chcesz spędzić kolejnej nocy w domu, w którym doszło do samobójstwa?

Catherine zachowała spokój. Widziała, że policjant stoi pięć metrów od nich i przysłuchuje się ich rozmowie.

– Dziwne. Nie przypominam sobie, żebym ci o tym mówiła.

– Nie było takiej potrzeby. Znajomy dał mi znać. Paskudna sprawa. Zawsze mówiłem, że nie ma sensu zatrudniać nian z zagranicy. Biedne dziewczyny. Nie radzą sobie ze stresem. To musiał być wstrząs dla Nathana. Pozwól, że z nim porozmawiam...

Zrobił krok do przodu, ale stanęła mu na drodze.

– Nathan śpi.

– W takim zamieszaniu?

– Jest bardzo zmęczony.

– Tym bardziej powinienem go zabrać. Mamy ogromny apartament w LeRoux. Nathan dostanie własne łóżko, będzie mógł odpoczywać do woli. Maryanne bardzo się ucieszy.

– Doceniam twoją propozycję, skoro jednak Nathan już śpi, szkoda byłoby go budzić.

– Catherine... – James starał się być uprzejmy, cierpliwy. Mówił takim tonem, jakby zwracał się do małego dziecka: – Chyba nie chcesz, by twój syn spędził noc na miejscu zbrodni.

– Nie. Chcę, by mój syn spędził noc w swoim pokoju.

– Na litość boską, wszędzie jest pełno proszku do zbierania odcisków palców! Jak wytłumaczysz to czteroletniemu dziecku?

– Nie wiem.

– I ten zapach!

– Już go prawie nie czuć.

– Co pomyślą sąsiedzi?

– Wiem, co dobre dla mojego dziecka!

– Na pewno? – James się uśmiechnął. – Tak jak wiedziałaś, co jest dobre dla Prudence?

Catherine odwróciła się. Nie mogła na to w żaden sposób odpowiedzieć i oboje o tym wiedzieli.

– Nie chcę mówić o sprawach oczywistych – powiedział – ale być może nie wiesz wszystkiego o tym, co dzieje się w twoim własnym domu. Prudence była bardzo poruszona tym, co spotkało Jimmy'ego. Bóg raczy wiedzieć, co czuje Nathan.

– Wynoś się.

– Ależ Catherine...

– Wynoś się!

Wciąż miał na twarzy ten okropny ojcowski uśmiech. Kiedy spróbował chwycić ją za ramię, odwróciła się do wciąż obserwującego ich policjanta.

– Proszę wyprowadzić tego człowieka.

– Catherine...

– Słyszał mnie pan. – Wymierzyła palec w policjanta, który mrugał zaskoczony, że nagle znalazł się w centrum uwagi. – Ten człowiek nie jest mile widziany w tym domu. Proszę go wyprowadzić.

James nie dawał za wygraną.

Jesteś w szoku, nie wiesz, co mówisz...

– Mam wezwać pańskiego przełożonego? Proszę wyprowadzić tego człowieka!

Policjant odepchnął się od ściany, poniewczasie przystępując do działania. James złowrogo zniżył głos, tak by usłyszała go tylko ona.

– Zaczynam tracić cierpliwość, Catherine.

– Wynocha!

– Jeszcze tego pożałujesz. Zobaczysz, od tej pory życie będzie dla ciebie koszmarem. Mam wielką władzę, Catherine. Nawet sobie nie wyobrażasz...

– Wynocha, mówię! – Krzyczała w swoim własnym domu jak przekupka. Nathan się obudził i zaczął płakać. To jeszcze bardziej wytrąciło ją z równowagi.

Policjant wreszcie podszedł do nich, wziął Jamesa za łokieć i sędzia nie miał innego wyjścia, jak tylko dać za wygraną.

– Ogromnie mi przykro, że cię zdenerwowałem, Catherine – powiedział na tyle głośno, by usłyszał go policjant. – Oczywiście, z Maryanne mamy na względzie tylko dobro naszego wnuka. Może rano, kiedy trochę ochłoniesz...

Catherine wskazała mu otwarte drzwi. James skinął głową. Po chwili została sama, słuchając szlochania przerażonego syna.

Jedna bitwa naraz, jedna bitwa naraz...

Weszła do salonu i wzięła Nathana na ręce. Zarzucił chude ramionka na jej szyję i mocno ścisnął.

– Światło, światło, światło! – szlochał. – Światło, światło, światło!

– Ciii... ciii...

Hol się nie nadaje. Za ciemno, za dziwnie. Jej syn potrzebuje snu. Głębokiego, niezmaconego snu w zalonym świetle pokoju, gdzie lampy odpędzą demony. Gdzie wreszcie będzie mógł się odprężyć. I ona też.

Policjant wrócił. James na pewno powiedział mu, że nie ma potrzeby go wyprowadzać. Sam pójdzie, nie będzie sprawiał kłopotów. Chciał tylko pomóc rodzinie. Synowa jest wytrącona z równowagi, rozumie pan...

Catherine odetchnęła głęboko. Mocno tuląc Nathana, spojrzała policjantowi w oczy i oświadczyła:

– Zabieram go do jego pokoju. Zamykam drzwi. Idziemy spać. Czegokolwiek wam potrzeba, będzie musiało poczekać do rana.

– Tak jest, proszę pani – powiedział policjant, z lekkim tylko sarkazmem.

Catherine odwróciła się i weszła na schody.

Zapach był już ledwo wyczuwalny, pewnie ulotnił się wraz z ciałem Prudence. Widziała, jak wywozili ją na metalowym wózku. Jeszcze się z tym nie pogodziła, nie potrafiła pojąć tego, że ta sama Prudence, która jeszcze niedawno siedziała na podłodze i czytała Nathanowi, teraz leży w czarnym worku na zwłoki. Myśl o martwej Prudence wydała jej się abstrakcyjna. Miała wrażenie, że dziewczyna wyszła, korzystając z tego, że ma wolne, i po prostu postanowiła nie wracać.

Tak jest łatwiej. Nie żeby była do niej przywiązana – prawdę mówiąc, nie lubiła jej bardziej od jej poprzedniczek. Ale sposób, w jaki zginęła – skrecony kark, ciało powieszona w sypialni – budził niewyobrażalny strach. W jej domu był intruz. Człowiek, który obserwował ją i ludzi z jej

otoczenia. To oznacza, że jeśli nie odda Nathana teściowi, ona będzie następna.

Pomyślała o jego szeptem wypowiedzianej groźbie. Że zmieni jej życie w koszmar. Że ma władzę. Ona nie ma nic.

Jakbym sama tego nie wiedziała, pomyślała z goryczą.

Zanim poznała Jimmy'ego, była prawie na dnie. Matka umarła, jej życie było puste. Dzień po dniu stała w domu handlowym, reklamowała perfumy i próbowała nie okazywać obrzydzenia, gdy podrywali ją kolejni faceci. Wpatrywała się w ich twarze i zastanawiała się, którzy obmacują swoje dzieci, a którzy biją żony. Potem wracała do pełnego karaluchów mieszkania i śniła o niekończącej się ciemności.

Któregoś ranka stwierdziła, że dłużej nie wytrzyma. Nie znieś widoku kolejnej obcej męskiej twarzy. Nie mogła żyć w ciągłym strachu.

Weszła do wanny. Wzięła brzytwę. Zaczęła przecinać cienką jak papier skórę. I nagle zadzwonił telefon. Bez zastanowienia wyszła z wanny i odebrała. Jak na ironię, to był telemarketer. Zaproponował jej ubezpieczenie na życie. Wybuchnęła śmiechem, potem się rozplakała, i gdy tak stała, histerycznie szlochając speszonemu facetowi w ucho, zobaczyła reklamę przesuwającą się przez ekran telewizora.

„Czujesz się samotny? Myślisz, że jesteś w sytuacji bez wyjścia? Że nikomu na tobie nie zależy?”

Na ekranie pojawił się numer telefonu zaufania. Do głosu doszedł instynkt samozachowawczy. Odłożyła słuchawkę i wykreśliła numer z reklamy.

Pół minuty później mówił już do niej najspokojniejszy męski głos, jaki w życiu słyszała. Głęboki, kojący, wesoły. Naga, skuliła się na podłodze i słuchała go przez całą godzinę.”

Tak właśnie poznała Jimmy'ego, choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziała. W telefonie zaufania obowiązywały pewne reguły. Telefoniści nie mogli ujawniać zbyt wielu informacji o sobie. Mogli za to zadawać pytania, skłaniać udreżonych rozmówców do mówienia. Dlatego też delikatnie ciągnął ją za język, a ona opowiedziała mu o swojej pozbawionej perspektyw pracy, swoim mieszkaniu, swojej matce...

Nie zrobił tego następnego dnia, to byłoby zbyt grubymi nićmi szyte. Ani dwa dni później.

Ale w końcu przyszedł do domu handlowego, w którym pracowała. Znalazł ją, zaczął z nią flirtować, podrywać ją. A ona poczuła dziwną sympatię do tego czarującego młodego mężczyzny o niesamowicie spokojnym głosie. Zaprosił ją na randkę. Ku swojemu zdumieniu, zgodziła się.

Dopiero po kilku miesiącach wyznał całą prawdę. Że był tak poruszony, kiedy rozmawiał z nią przez telefon, że poczuł, iż musi spotkać się z nią osobiście. Proszę, nie mów o tym nikomu, błagał uroczo. Och, dopiero miałyby przechłapanie.

Wtedy pomyślała, że to takie romantyczne. Poruszył niebo i ziemię, by ją znaleźć. To musi być jakiś znak. Na pewno ją kocha. Wreszcie zaczęło jej się w życiu układać.

Dopiero później, już po ślubie, może w tamten poniedziałek, kiedy powiedziała mu, że za dużo pije, a on, ku jej zaskoczeniu, uderzył ją w twarz, zaczęła się zastanawiać. Jaki człowiek

podrywa dziewczyny przez telefon zaufania? Co to mówi o cechach, jakich szuka u swojej przyszłej partnerki?

Jimmy lubił napawać się władzą. Często jej przypominał, że bez niego byłaby niczym. Powtarzał, że wyciągnął ją z rynsztoka i jeśli tylko zechce, wrzuci ją tam z powrotem.

Czasem, kiedy go słuchała, widziała Richarda Umbria stojącego nad nią, z głową odcinającą się na tle jasnego nieba, trzymającego jedną ręką drewnianą klapę, która wkrótce miała opaść i zamknąć ją w jamie. „Następnym razem bardziej się postaraj”, mówił wesoło. „Bo inaczej więcej do ciebie nie przyjdę. Tyle już ci dałem, skarbie. Nigdy nie wiadomo, czy nie zechcę tego odebrać”.

I na następny raz starała się bardziej. Podobnie przez kilka pierwszych lat małżeństwa robiła wszystko, by być dobrą żoną. Już w dzieciństwie przeszła odpowiednie szkolenie. Minęło kilka lat, zanim zorientowała się, że właśnie to Jimmy’emu najbardziej się w niej podobało.

Nigdy nie chciał jej ocalić. Chodziło mu o to, by przerobić ją na własne kopyto.

Cóż, pomyślała chłodno, teraz pokazała mu, na co ją stać.

Po wejściu do pokoju Nathana zapaliła górne światło. Rozbłyły dwie sześćdziesięciowatowe żarówki. To jednak nie wystarczyło. Ani jej, ani Nathanowi.

– Kowboj – mruknął Nathan sennie, z twarzą wtuloną w jej ramię. Posłusznie podeszła do lampki. Pstryk.

I nic.

Zmarszczyła brwi, spróbowała jeszcze raz. Wesoła twarz kowboja pozostawała ciemna. Pewnie żarówka się przepaliła. Catherine włączyła stojącą niżej lampkę w kształcie muszli.

Znowu nic.

Może korki wysiadły? Te wszystkie reflektory i urządzenia policyjne mogły przeciążyć sieć. Podeszła do komody, Nathan zaczynał jej ciążyć. Dwie lampy. Jedna w kształcie kaktusa, druga – narowistego konia. Sprawdziła je lekko drżącymi palcami, oddychając szybko.

Nic. Nic.

No dobra, jest dużo innych możliwości. Bardzo dużo. Jak mieć obsesję, to na całego. W pokoju Nathana było sześć lampek nocnych, trzy lampy stołowe i dwie stojące na podłodze. Górne światło się paliło, więc prąd musi być przynajmniej w części pokoju. Trzeba znaleźć działające gniazdko i powłączyć te wszystkie lampy.

Zaczynało jej się spieszyć. Nathan podniósł głowę, jakby wyczuwał jej nerwowość.

– Mamo, światła!

– Wiem, skarbie, wiem.

Cholerna lampa z misiem nie działała. Kupiła ją za dwieście dolców w Denver i wysłała do domu jako prezent. Antyczna mosiężna lampa na biurko, którą znalazła w małym sklepie na Charles Street, też nie działała. Podeszła do lamp stojących, z żarówkami halogenowymi, takimi, które rozświetlają cały sufit.

Nic.

Kolejne lampki nocne. Te małe, zwieńczone kolorowym szkłem, czerwony plastikowy Elmo, szeroko uśmiechnięty Kubuś Puchatek. Muszą działać. Przynajmniej jedna, dwie, trzy. Dobry Boże, w tym przeklętym pokoju musi być coś, co rozproszy mrok.

Jej oddech przeszedł w ciężkie sapanie. Nathan oderwał się od niej i zeszywniał, coraz bardziej przerażony.

– Światło, światło, światło!

– Wiem, wiem, wiem.

Pieprzyć pokój. Jest za duży. Po co dwóm osobom tyle przestrzeni? Przytuliła syna i rzuciła się biegiem do łazienki. Pstryknęła włącznikiem i zaczekała, aż białe kafelki rozbłyśną w świetle.

Nic.

Pstryknęła znowu. I jeszcze raz. Popadała w histerię. Czuła, że w jej gardle narasta strach.

Nathan zaczął wierzgać nogami.

– Mamo, mamó, mamó, gdzie światło? Ja chcę światła!

– Wiem. Ciii, kochanie, ciii.

Przyszedł jej do głowy jeszcze jeden pomysł. Garderoba. Ma metr na dwa metry, oświetlają ją dwie sześćdziesięciowatowe żarówki. Będą mogli położyć się na podłodze i schronić w ich blasku. Przynajmniej do rana.

– Nathan, skarbie, zaraz przeżyjemy przygodę.

Pogłaskała go po plecach, próbując dodać mu otuchy, po czym wyskoczyła z łazienki i rzuciła się do garderoby. Odsunęła lustrzane drzwi, włożyła rękę do środka i znalazła włącznik. Pstryk.

Światło. Jasne, cudowne światło. Zalało wnętrze, sięgając mackami do wszystkich ciemnych kątów, rozpraszając cień. Piękne, piękne światło.

Catherine zajrzała do garderoby i włożyła rękę do ust, by stłumić krzyk.

Leżały na samym środku, tak by zobaczyła je od razu: żarówki wykręcone ze wszystkich lamp. Ułożone w dwa krótkie, proste słowa.

A KUKU.

Przycisnęła twarz syna do swojej szyi. Cofnęła się chwiejnie. Zataczając się, pobiegła w głąb korytarza, z trudem zeszła schodami na dół. W holu złapała płaszcz, torebkę, kluczyki. Nie spojrzała na policjanta. Nie odezwała się ani słowem.

Wybiegła z kamienicy.

– Światło, światło, światło – szlochał Nathan.

Ale światła nie było. Rozumiała to jak nikt inny. Zostali z Nathanem sami w ciemnościach.

## Rozdział 30

Mówiłeś, że zawarliście z ojcem układ dotyczący picia – powiedziała Elizabeth. – Wspominałeś, że miał po pijanemu wypadek i tak się wystraszył, że przestał pić.

– Skłamałem.

– Często kłamiesz?

Bobby wzruszył ramionami.

– Na pewne pytania trzeba mieć gotowe odpowiedzi. Nie mam ochoty opowiadać o tym, jak ojciec rzucił się z nożem na mojego brata. Poza tym wypadek naprawdę się zdarzył. Tuż przedtem ojciec znów zaczął pić, bo nie udało mu się tego rzucić za pierwszym podejściem. Robił to na zasadzie: krok do przodu, dwa kroki do tyłu. A ja wtedy miałem własne problemy. Dlatego owszem, zawarliśmy umowę.

– Rozumiem. A więc okłamałeś mnie, ale w twoim przekonaniu, w kłamstwie tym tkwiło ziarnko prawdy.

– Coś w tym stylu.

– Uhm. Domyślam się, że w dzieciństwie, ilekroć miałeś siniaki, potrafiłeś to jakoś „wyjaśnić”. To samo kiedy twój ojciec nie zjawiał się na imprezach szkolnych albo robił z siebie durnia przed twoimi kolegami. I także tamte „wyjaśnienia” zawierały ziarnko prawdy albo i nie, zgadza się?

– No dobra, wiem, do czego zmierzasz.

– Mówisz, że z twoim ojcem jest już lepiej, ale mnie się wydaje, że choć minęło trzydzieści lat, ty wciąż zachowujesz się według tych samych schematów i kłamiesz.

Milczał. Myślała, że szuka argumentów na swoją obronę, ale ku jej zaskoczeniu po chwili powiedział cicho:

– Mój ojciec zgodziłby się z tobą.

– Tak?

– Osiem lat temu wstąpił do Anonimowych Alkoholików i to było dla niego jak nawrócenie. Odkupienie, tylko to się teraz dla niego liczy. Chce przyznać się do tego, co zrobił. Chce rozmawiać o starych czasach, prosić o wybaczenie. Mój brat... George nie odbiera telefonów od niego. A ja... chcę tylko zapomnieć. Mój ojciec był taki, jaki był, a teraz jest, jaki jest. Nie widzę powodu, by się nad tym rozwodzić.

– Bobby, czy czasem nie bywasz bardzo, bardzo zły? Bardziej niż powinieneś?

– Możliwe.

– Czy nie zdarza się, że na myśl o przyszłości ogarnia cię czarna rozpacz?

– Może i tak.

– A czy czasem nie czujesz się, jakbyś nad niczym nie panował?

Spojrzał na nią, wyraźnie zaintrygowany.

– Owszem.

– Dlatego musisz porozmawiać z ojcem, a ojciec z tobą. Twoja rodzina zmieniła się, ale nie wyleczyła ran. By wybaczyć ojcu, musisz pozwolić sobie nienawidzić go za to, co zrobił. Dopóki tego nie zrobisz, nie posuniesz się naprzód i nie pokochasz go za to, kim się stał.

Bobby uśmiechnął się słabo.

– Nienawidzę mamy, to nie wystarczy?

– Myślę, że tak naprawdę wcale jej nie nienawidzisz.

– No proszę. A wydawało mi się, że wiem, co czuję.

– Jest dla ciebie łatwym celem, Bobby. Kiedy odeszła, musiałeś kochać ojca; był twoim jedynym opiekunem. Ale jednocześnie bałeś się i nienawidziłeś go za to, jak cię traktował. Nienawiść do matki pomogła ci rozwiązać ten konflikt. Skoro to ona była wszystkim winna, mogłeś z czystym sumieniem kochać ojca. To się nazywa gniew przeniesiony. Choć minęło trzydzieści lat, on nadal w tobie tkwi.

W jego głosie wciąż brzmiała ironiczna nuta.

– To dlatego strzelam do nieznajomych?

– Nie wiem, Bobby. Tylko ty możesz odpowiedzieć na to pytanie.

Pokiwał głową w zamyśleniu. Złożył palce w daszek.

– Susan powiedziała, że jestem pełen gniewu.

– Susan?

– Moja dziewczyna. To znaczy była dziewczyna. Kiedy dziś rozmawialiśmy... powiedziała, że celowo rozmieniam się na drobne. Że kurczowo trzymam się swojego gniewu. Że go potrzebuję.

– A jest tak?

– Jestem zdeterminowany. – Podniósł głos, mówił jak w gorączce. – Co w tym złego? Świat potrzebuje policjantów, ludzi takich jak ja, przycajonych na dachach z karabinami o dużym zasięgu. Gdyby nie ja, Catherine Gagnon i jej syn mogli zginąć. Czy to nic nie znaczy?

Elizabeth nie odpowiedziała.

– To nie fair. Reszta świata oczekuje od nas, żebyśmy byli wszechwiedzący. Ale ja jestem tylko człowiekiem. Staram się, jak umiem. Nie, nie pamiętałem Gagnonów, a nawet gdyby, to co ja mogłem wiedzieć o nich i o ich małżeństwie? Mogłem tylko zareagować na to, co zobaczyłem, a zobaczyłem człowieka mierzącego z pistoletu do żony i dziecka. Nie jestem mordercą, do cholery. Musiałem go zabić!

Elizabeth nadal milczała.

– Co by było, gdybym zwlekał? Gdybym patrzył i nic nie robił? Mógł zabić żonę. I syna. To też byłaby moja wina. Jeśli strzelisz, masz przesrane, jeśli nie strzelisz, też masz przesrane. Które rozwiązanie jest lepsze? Skąd, do cholery, mam wiedzieć, co robić? Miał pistolet w ręku. Mierzył do żony. I nagle zrobił taką minę... widziałem ją już wiele razy. O mój Boże, widziałem ją zbyt

wiele razy, a dość mam widoku cudzego cierpienia. Tyle krwi... tyle krwi...

Głos mu się załamał. Jego ramionami wstrząsnął gwałtowny szloch. Odwrócił się, zawstydzony swoim wybuchem. Wymacał oparcie krzesła i przytrzymał się, by nie upaść.

Elizabeth nie wstała. Nie podeszła do niego. Siedziała tylko i czekała, aż da upust uczuciom, które dusił w sobie przez trzydzieści sześć lat. Potrzebował tego.

Otarł policzki grzbietem dłoni.

– Jestem zmęczony – powiedział chrapliwie, jakby przepraszał, czy próbował się usprawiedliwić.

– Wiem.

– Muszę się przespać.

– To prawda.

– Jutro mam ciężki dzień.

– To niewłaściwy moment na podejmowanie ważnych decyzji – powiedziała szczerze.

Parsknął śmiechem,

– Myślisz, że sędziego Gagnona to obchodzi?

– Nie mógłbyś oderwać się od tego wszystkiego, Bobby? Zrobić sobie krótką przerwę?

– Nie, dopóki prokuratura prowadzi dochodzenie. Poza tym za dużo się dzieje.

– No dobrze, Bobby. W takim razie usiądź. Bo jest jeszcze jeden temat, który musimy omówić. Musimy porozmawiać o Catherine Gagnon.

Catherine i Nathan stali w holu hotelu Ritz. Wiedziała, że muszą dziwnie wyglądać. Kobieta z małym dzieckiem, bez bagażu, meldująca się w hotelu w środku nocy. Miała to gdzieś. Nathan dosłownie trząsnął się w jej ramionach, z jego szeroko otwartych oczu i pobladłej twarzy wyzierał strach. Zapalenie trzustki, pomyślała. Albo infekcja, bóle klatki piersiowej czy Bóg raczy wiedzieć co. Stres zawsze go osłabia.

Nieporadnie próbowała postawić torebkę na blacie, trzymając Nathana na rękach. Wreszcie przyszedł recepcjonista, zaskoczony widokiem gości o tej porze.

– Słucham?

– Chciałabym dostać pokój. Dla niepalących. Wszystko jedno który.

Mężczyzna uniósł brew, ale nic nie powiedział.

Po wciśnięciu kilku klawiszy stwierdził, że mają wolny pokój. Z podwójnym łóżkiem, dla niepalących. Czy wstawić łóżko dla dziecka?

Nie, nie trzeba, ale przydałaby się szczoteczka, pasta do zębów i trzy dodatkowe lampy. Wszystko jedno jakie, niech przyniosą pierwsze lepsze.

Wyjęła kartę kredytową. Recepcjonista przesunął ją przez czytnik.

– Hm... ma pani jakieś dokumenty?

Catherine gładkała Nathana po plecach, próbując go uspokoić.

– Słucham?

– Dokumenty. Na przykład prawo jazdy. Takie są przepisy. Catherine, zdziwiona, posłusznie wyjęła z torebki prawo jazdy. Recepcjonista długo patrzył na jej zdjęcie, a potem na nią.

– Czy wie pani, że zgłoszono kradzież tej karty kredytowej?

– Co?

– Proszę pani, nie mogę przyjąć tej karty.

Catherine patrzyła na niego, jakby nie rozumiała ani jednego słowa. Była zmęczona i przerażona, miała już tego wszystkiego dość. Chciała dostać pokój. Piękny pokój w drogim hotelu, gdzie nie mogło spotkać jej nic złego. Jeśli będzie otoczona przez marmurowe płytki, jedwabne zasłony i puchowe poduszki, potwory jej nie znajdą. Będą z Nathanem bezpieczni.

– Może pani mąż... – zasugerował recepcjonista uprzejmie.

– Tak, tak, to prawda – mruknęła. – Niedawno zgubił kartę. Nie wiedziałam, że obie zostaną zastrzeżone.

Wiedziała jednak, że Jimmy nie miał z tym nic wspólnego. Taka finezja to nie w jego stylu. To jej teść. James. „Od tej pory życie będzie dla ciebie koszmarem...”

– Ma pani może inną kartę? – spytał recepcjonista.

– Chwileczkę... – Otworzyła portfel i spojrzała pustym wzrokiem na swoją kolekcję kart. American Express i jeszcze dwie platynowe. Mogła mu je dać, ale wiedziała już, jak się to skończy. James nie przeoczyłby żadnego szczegółu. Im więcej kart zostanie odrzuconych, tym bardziej recepcjonista będzie podejrzliwy.

Sprawiła, ile ma gotówki. Sto pięćdziesiąt dolarów. Na pokój w Ritzu nie starczy.

Spróbowała jeszcze raz, z nadzieją, że w jej głosie nie słychać desperacji.

– Mieszkam niedaleko stąd, w prawie jazdy ma pan adres. Niestety, dziś wieczorem w moim domu zdarzył się tragiczny wypadek i mój syn nie może tam zostać. Musimy gdzieś się przechować przez te kilka godzin. Nie mam innych kart kredytowych, ale daję słowo, że jutro przyniosę panu czek.

– Proszę pani, bez karty kredytowej nie możemy wynająć pokoju.

– Proszę – szepnęła. Bądź seksowna, powiedziała sobie. Trzepocz powiekami, w końcu to młody chłopak, na pewno samotny, skoro pracuje o tej porze. Ale była zbyt zmęczona, zbyt świadoma ciężaru syna, którego trzymała na rękach.

„Mam wielką władzę... Nawet sobie nie wyobrażasz...”

– Przykro mi, proszę pani.

– On ma dopiero cztery lata.

– Przykro mi. Może poprosi pani o pomoc kogoś z rodziny? Odwróciła się. Nie chciała, by ten obcy człowiek widział, jak płacze. Idąc przez lobby, zobaczyła bankomat. W rozpaczy wyjęła kartę bankomatową. Włożyła ją do otworu, wprowadziła PIN.

Na ekranie pojawił się napis: „Prosimy skontaktować się z najbliższym oddziałem banku. Dziękujemy”.

Bankomat wypuł kartę. To koniec. Nie ma gotówki, nie ma kart. Choć próbowała

przewidzieć wszystkie jego posunięcia, teść ją przechytrzył. Jak daleko mogła uciec ze stu pięćdziesięcioma dolarami?

Odetchnęła głęboko. Przez chwilę słyszała gdzieś głęboko w duszy cichy głos: Oddaj mu Nathana. Jeśli dobrze to rozegrasz, może James nawet wypisze ci czek. Nie, lepiej niech da gotówkę. Albo zrobi przelew. Ile wart jest jej syn? Sto, dwieście tysięcy, milion dolarów?

Wystarczająco dużo, by przez resztę życia pławić się w luksusie? By odpędzić ten potworny, wyniszczający strach?

Ręce Nathana na jej szyi. Jego głowa na jej ramieniu.

Nie jest dobrą matką. Policja nie myliła się co do niej aż tak bardzo, jakby tego chciała. Nie potrafiła kochać tak jak inni. Nie wiedziała, jak czuć to, co czują inni. Trafiła do tej jamy jako szczęśliwa mała dziewczynka; wyszła z niej pusta, zamknięta w swojej skorupie. Nie jest normalna; po prostu próbuje naśladować normalność, jaką wyczuwa u innych.

Dlatego znalazła sobie męża i urodziła dziecko.

A teraz proszę, ma trzydzieści sześć lat, a nadal boi się ciemności.

Wiedziała, co musi zrobić. Nie miała innego wyboru. Wyjęła komórkę. Wykręciła numer. Długo wsłuchiwała się w sygnał, po czym rozległ się męski głos.

– Proszę – szepnęła. – Nie mamy dokąd pójść.

– Myślisz, że mąż znęcał się nad Catherine Gagnon?

– Tak.

– Myślisz, że na to zasługiwała?

Wzruszył ramionami.

– A skąd ja mogę wiedzieć?

– No, Bobby. Jesteś zły na matkę, jesteś zły na Catherine. Jednym z powodów jest przekonanie, że mogły coś zrobić inaczej. Że nie powinny były dać się bić.

– Obserwowałem ją – powiedział nagle. – Czasem ojciec wracał na bani, a ona od razu do niego z mordą. „Znów piłeś? Jezu, choć raz mógłbyś okazać odrobinę przyzwoitości i pomyśleć o rodzinie...” Wiadomo, jak to się kończyło.

– Bil ją?

– Tak.

– Oddawała mu?

– Nie fizycznie.

– Ale ją bił. I co potem?

Bobby wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Wściekał się i w końcu zasypiał.

– A więc na niej wyładowywał swoją agresję?

– Można tak powiedzieć.

– Ciebie i twojego brata nie bił?

– Nie, jeśli nie wchodziliśmy mu w drogę.

– Myślisz, że matka o tym wiedziała?

Milczał przez chwilę, wyraźnie stropiony.

– Nie wiem.

– Miłość kobiety do męża jest bardzo złożonym uczuciem, Bobby. Podobnie jak jej miłość do dzieci.

– Tak, tak bardzo nas kocha, że aż rwie się do telefonu, by do nas zadzwonić.

– Na ten temat nie mogę się wypowiadać, Bobby, nie znam twojej matki. Niektóre kobiety jednak... mogą się za bardzo wstydzić.

– Zdaje się, że mieliśmy rozmawiać o Catherine – przypomniał Bobby.

– Dobrze. Myślisz, że prowokowała męża?

– Jest do tego zdolna.

– A w czwartek wieczorem?

Znów zaczął chodzić po gabinecie.

– Może... To bez sensu. Chociaż z drugiej strony... – Spojrzał na Elizabeth. – Nie daje mi spokoju to, że się wcześniej spotkaliśmy, rozmawialiśmy... Owszem, nie pamiętałem jej, tego jestem pewien. Ale wypytywała mnie o moją pracę, o to, kiedy wzywa się jednostki antyterrorystyczne. Skąd te pytania? Co jej chodziło po głowie?

– Mówiłeś, że manipuluje ludźmi...

– No właśnie. Ale z drugiej strony... czy mogło jej się to udać? W życiu bym nie pociągnął za spust, gdyby Jimmy nie miał broni. A więc musiałyby sprowokować go tak, by poszedł po pistolet, a potem, ryzykując życie swoje i syna, stanąć z nim twarzą w twarz.

– To niebezpieczne – zauważyła Elizabeth.

– Do tego trzeba odwagi. – Bobby pokręcił głową.

– Gdyby była sama w pokoju, mógłbym to sobie wyobrazić. Ale nie sądzę, żeby chciała narażać dziecko.

– Nie wierzysz, że znęca się nad Nathanem?

– Nie.

Elizabeth uniosła brew.

– Mówisz tak, jakbyś był tego pewien.

– Bo jestem.

– A nie poczujesz się urażony, jeśli powiem, że nie podzielam twojego przekonania? Co więcej, im lepiej poznaję Catherine Gagnon, tym bardziej niepokoi mnie jej stosunek do syna.

– Ciebie i wszystkich wokół.

– Jest egocentryczką, sam to powiedziałeś.

– Uhm.

– Była wykorzystywana seksualnie, a wiemy, że coś takiego nie może nie mieć wpływu na późniejsze zachowanie.

– Nade mną też się znęcano – powiedział Bobby zimno. Spojrzał na nią i dodał niemal wyzywająco: – I dopiero co ustaliliśmy, że lubię kłamać.

– Bobby, spójrz mi w oczy. Gdyby coś groziło Catherine Gagnon, gdyby zagrożony był standard jej życia, myślisz, że znalazłyby się granice, których by nie przekroczyła? Że jest człowiek, którego by nie poświęciłaby ocalić siebie?

Patrzył na nią spode łba.

Ale Elizabeth nie dawała za wygraną. Dla jego dobra.

A widzisz, Bobby. To jeszcze jeden powód, dla którego nie możesz zapomnieć o tym, co stało się w czwartek. Bo w głębi serca wierzysz, że Catherine była zdolna do zaaranżowania śmierci męża. Nie wiesz tylko, jak jej się to udało.

– Bił ją!

– Skąd wiesz?

– Mówiła, że...

– Kłamie.

– Doktor Rocco widział sińce!

– Kim jest doktor Rocco?

Zaczerwienił się.

– Jej byłym kochankiem.

Elizabeth zaczęła, aż sam wyciągnie stosowne wnioski. Nagle zmieniła temat.

– Po co spotkałeś się dziś z Susan?

Bobby był wyraźnie zaskoczony.

– Bo uznałem, że jestem jej to winien. Skoro byliśmy ze sobą dwa lata... powinienem przynajmniej się pożegnać.

– Co powiedziała?

Wzruszył ramionami.

– Niewiele. To znaczy, zerwaliśmy ze sobą. Co można było powiedzieć?

– Byłeś zawiedziony?

– Nie rozumiem.

– Kiedy szedłeś na spotkanie z nią, czy naprawdę chciałeś zakończyć wasz związek, Bobby?

A może skrycie liczyłeś na co innego?

– Nie... nie wiem, do czego zmierzasz.

Elizabeth spytała cicho:

– Czy miałeś nadzieję, że będzie o ciebie walczyła? Że będzie cię błagałabyś z nią zostać?

Czy liczyłeś na to, że kocha cię tak bardzo, że nie pozwoli ci odejść?

– Nigdy... – Głos uwiązł mu w gardle. Zaskoczony, pozbawiony możliwości obrony, nie mógł skłamać. Szepnął: – Skąd wiedziałaś?

– Dawno temu ktoś, kogo kochałeś, zostawił cię i od tamtej pory nie dał znaku życia. Choć minęło wiele lat, ty nadal oczekujesz, że wszyscy w końcu cię opuszczą. Im dłużej kobieta z tobą

jest, tym większy budzi to w tobie niepokój. Dlatego poddajesz ją próbom. Albo będzie o ciebie walczyła, albo odejdzie. Tak czy inaczej, robi ci się lżej na duszy. Przynajmniej na jakiś czas.

– Jezu – jęknął cicho.

– Kiedy dzwoni Catherine, mówisz jej, żeby dała ci spokój, tak?

– Uhm.

– Ale ona nie odpuszcza. Walczy o ciebie. Mówi ci, że cię potrzebuje. Przypomina ci o swoim biednym, chorym synu, a kiedy przychodzisz, zawsze pokazuje ci się razem z Nathanem. Pewnie innych mężczyzn ma swoimi wdziękami. Ale ty nie marzysz o kobiecie w czarnej koronkowej bieliźnie. Ty marzysz o kobiecie, która nigdy nie porzuci swojego dziecka.

Bobby zamknął oczy. Widziała, że prawda zaczyna do niego docierać, bo na jego twarzy powoli odmalowało się przerażenie. Nachyliła się ku niemu.

– Jeszcze raz, Bobby. Myślisz, że Catherine Gagnon mogła zaaranżować śmierć męża?

– Tak – szepnął.

Elizabeth pokiwała głową.

– Musisz dać sobie z nią spokój, Bobby. Zerwać z nią wszelkie kontakty. Bo jeśli Catherine Gagnon jest drapieżnikiem, to teraz już pewnie zdajesz sobie sprawę, że ty jesteś idealną ofiarą.

Bobby wrócił do domu dopiero o trzeciej w nocy. W jego mieszkaniu nie paliły się światła. W ciemnościach widać było tylko migotanie czerwonej lampki automatycznej sekretarki.

Usiadł na twardym drewnianym krześle w kuchni. Był wypompowany, padnięty, nic nie czuł, nie miał siły myśleć. Długo siedział bez ruchu i patrzył na mrugające światelko.

Powoli wyciągnął rękę i wcisnął „play”.

Porucznik. Ktoś z grupy wsparcia. Głuchy telefon. Ojciec. Jeszcze dwa głuche telefony. Cisza.

Nachylił się nad stołem i oparł głowę na rękach.

Trzy głuche telefony. Dziwne, w ogóle nie myślał już o Susan. Liczyła się tylko Catherine.

Pomasował skronie. Zapomnieć o niej, zapomnieć. Nie pozwolić, by mąciła mu w głowie.

Kiedy rozmawiał z doktor Lane, wszystko wydawało się jasne i proste. Teraz, ledwie godzinę później, znów myślał o Catherine.

Czy wszystko u niej w porządku? Jak trzyma się Nathan, dokąd poszli? Na pewno nie do teściów. Może do jej ojca? W ogóle o nim nie wspominała. Czy są ze sobą blisko?

A może ma jakiegoś faceta. Czemu nie? Jego od razu zaczęła podrywać. Kobiety takie jak ona nie przywykły do tego, by radzić sobie same.

Pewnie ma kochanka w każdym porcie. Może już wzięła na cel kolejnego lekarza. Albo raczej prawnika. No tak, potrzebuje adwokata dużego kalibru, jeśli chce postawić się sędziemu Gagnonowi.

Gotów był się założyć, że szybko kogoś znajdzie. Wystarczy, że odpowiednio się ubierze, wyczuje właściwy moment, zatrzepocze rękami.

Szukał w sobie nienawiści, gniewu. W tej chwili wystarczyłaby nawet odraza. Ale nawet jej nie mógł w sobie znaleźć. Catherine robiła, co musiała, by przeżyć.

Nie mógł jej za to nienawidzić. Zbyt dobrze ją rozumiał.

Znów wcisnął „play”. Posłuchał trzech trzasków odkładanej słuchawki. I stwierdził, że wciąż martwi się o kobietę, o której miał zapomnieć. Tak wiele złego może zdarzyć się w nocy.

Oboje doskonale o tym wiedzieli.

Był zmęczony. Zamykały mu się oczy. Powieki były jak z ołowiu.

Gdyby w czwartek wieczorem wezwanie przyjął ktoś inny, jakiś snajper, którego ojciec nie bił swojej żony, snajper, który w dzieciństwie nie musiał na co dzień obcować z rozpaczą, czy Jimmy Gagnon by żył?

A Catherine Gagnon?

Nie dowiedzą się tego nigdy.

Bobby ukrył twarz w dłoniach. Z jego ust wydobyło się ciężkie, zmęczone westchnienie.

Ze wszystkich sił starał się nie śnić.

## Rozdział 31

Pan Bosu usilnie próbował zmienić się na lepsze. No dobra, nie to, że zamierza przestać zabijać, nie przesadzajmy. Ale naprawdę próbował robić to bardziej profesjonalnie. Owszem, na pierwszej robocie trochę go poniosło. Na drugiej z kolei się pospieszył i zapomniał o liście pożegnalnym. Do trzech razy sztuka.

W tej chwili siedział pod tonącym w cieniu domem człowieka wartego pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Właściwie pan Bosu nie dostał jeszcze zielonego światła na wykonanie tego zlecenia, ale człowiek ten figurował na liście, a dobroczyńca X przystał wczoraj na nową stawkę. (Według Robinson, nie był zadowolony z nowych warunków, ale nie chciał też zostać zarznięty we śnie. Bardzo mądrze).

Ponieważ pan Bosu nie mógł usiedzieć na miejscu, uznał, że weźmie się za tę robotę wcześniej, niż zamierzał. To się nazywa wielkoduszność. Nie dostał jeszcze złamanego szeląga, a mimo to sterczy tu, jak na sumiennego pracownika przystało. Godne pochwały.

Tym razem bez planu się nie obejdzie. Po pierwsze, dom stoi na przedmieściach, więc trzeba uważać na sąsiadów. Po drugie, jest ładny, zadbany, co oznacza, że nie będzie łatwo dostać się do środka. Po trzecie, na oknie widnieje naklejka reklamująca system alarmowy ADT. Co prawda może jest tam tylko na postrach, ale sumienny właściciel domu mógł rzeczywiście zainstalować system i co gorsza go włączyć.

Nie, do tej roboty pan Bosu potrzebuje pomocnika. Uznał, że Figlarz się nada.

Spojrzał na szczeniaka śpiącego na przednim siedzeniu skradzionego samochodu. Pan Bosu wciąż czuł się w nim niepewnie. Niepotrzebnie się narażał. Jutro z samego rana weźmie nowo zarobione pieniądze – trzydzieści za dziewczynę, pięćdziesiąt za faceta – i sprawi sobie wóz. Dobry wóz. Ale nie za dobry. W jego fachu lepiej jeździć samochodem, który nie rzuca się w oczy. Coś na pewno znajdzie.

Podrapał Figlarza za długim, aksamitnym uchem. Piesek otworzył oko, ziewnął szeroko i obnażył małe, szczenięce ząbki.

– Potrzebny mi współnik – powiedział pan Bosu.

Kolejne ziewnięcie.

– Mógłbyś udawać martwego? Leż tu, jakbyś spał. O, tak.

Figlarz opuścił łeb na łapy i zamknął oczy. Ładna psina, nie ma co. Pan Bosu w zamyśleniu pogłaskał go grubymi palcami, zaskakująco delikatnie.

Przyszła mu do głowy pewna myśl: udawanie nie zawsze wystarcza. Jeśli naprawdę chce być sumienny, nie powinien podejmować zbędnego ryzyka. Jeden ruch i skreśli Figlarzowi kark. To byłaby szybka, bezbolesna śmierć, piesek nic by nie poczuł. A za pięćdziesiąt tysięcy dolarów można kupić mnóstwo nowych szceniaków.

Jego dłoń znieruchomiała na karku Figlarza. Poczł pod palcami jego sierść. Miękką. Jedwabistą. Delikatną. Każdy kiedyś musi umrzeć.

Cofnął dłoń. Wyjął nóż z pochwy przytroczonej do kostki. Jeszcze raz spojrzął na Figlarza, po czym podwinął rękaw koszuli za łokieć i przeciął żyłę na nadgarstku.

Trysnęła ciemna, czerwona krew. Nie wyglądało to imponująco, więc ciął się jeszcze raz. Tym razem krwi było więcej, spływała po ręce i plamiła podwinięty mankiet. Idealnie.

Wziął krew na palce i pomazał nią biały zad Figlarza. Powtórzył tę czynność trzy razy, aż wreszcie pies usiadł i zaczął skomleć cicho, zaniepokojony zapachem.

– Wszystko gra – uspokoił go pan Bosu. – Wykąpię cię, jak tylko wrócimy do domu. A teraz trzymaj się, mały. Zaraz zrobi się ciekawie.

Wrzucił wsteczny bieg. Cofnął się powoli z wyłączonymi światłami. Przytrzymał Figlarza. Przygotował się.

– Raz, dwa, trzy! – Włączył światła i wcisnął gaz do dechy. Samochód wpadł na krawężnik przed pograżonym w ciemności domem. Pan Bosu wjechał na trawnik, zahamował ostro i na wszelki wypadek krzyknął jeszcze: „O w mordę!”

Złapał Figlarza i wyskoczył z samochodu, który chybotął się na chodniku, a snopy światła z reflektorów przecinały pustkę.

– O nie – jęknął głośno. – O nie, o nie, o nie.

Figlarz próbował na niego spojrzeć. Pan Bosu przytrzymał mu łeb potężną dłonią.

– Ciii – szepnął. – Jesteś ranny.

Figlarz zaskomlał.

– Już lepiej.

Pan Bosu przeszedł po trawniku i załomotał do drzwi. Oddychał ciężko, na jego czole perlił się pot. Opuścił rękaw, krew już przesiąkała przez materiał. Świetnie.

Znów zapukał, mocno, uporczywie. W końcu na ganku zapaliło się światło.

– Pomocy! – wołał pan Bosu, waląc do drzwi jeszcze mocniej. Zerknął na Figlarza. Zakrwawiona, posklejana sierść wyglądała bardzo przekonująco.

Drzwi się uchylily. Zamknięte na łańcuch. Facet jest ostrożny, trzeba mu to przyznać.

– Proszę pana, proszę pana, przepraszam, że przeszkadzam – wyrzucił z siebie pan Bosu. – Jechałem sobie i nagle pies wyskoczył na drogę. Próbowałem go ominąć, jak słowo honoru, ale mi się nie udało. Proszę, chyba z nim źle.

Pan Bosu uniósł zakrwawione truchelko.

Reakcja człowieka wartego pięćdziesiąt tysięcy dolarów była natychmiastowa i godna podziwu. Cóż, że dla niego zgubna.

– Ojej! Szybko, niech pan wejdzie.

Łańcuch został odpięty, drzwi otworzyły się na oścież. Stał w nich mężczyzna, nie w szlafroku, jak spodziewał się pan Bosu, tylko ubrany tak, jakby właśnie szedł do pracy.

– Właśnie mi się wydawało, że usłyszałem jakiś hałas – powiedział ze zmarszczonym czołem

i sięgnął po Figlarza, pragnąc pomóc.

Pan Bosu wszedł do holu. Lekkim kopnięciem zamknął za sobą drzwi. Nie puścił Figlarza, trzymał go przy piersi. Chciał rozeznac się w terenie, zyskać na czasie.

– Jest pan weterynarzem? A może zna pan jakiegoś? – bełkotał, rozglądając się po domu. Drzwi frontowe prowadziły do salonu. Mały, ale czysty dom. Z tego, co mu powiedziano, gość jest kawalerem. Jeśli tak, to niezły z niego pedancik.

Pan Bosu przeszedł za nim na tył domu, gdzie paliło się światło. Weszli do wąskiej kuchni w stylu lat pięćdziesiątych. W małej wnęce stał okrągły stół zavalony papierami i odsunięte krzesło. Salon jest tylko na pokaz, wydedukował pan Bosu. Gospodarz mieszka tutaj.

– Pracowałem do późna – stwierdził mężczyzna mimochodem. – Zdaje się, że zasnąłem.

– Czym się pan zajmuje?

– Jestem zastępcą prokuratora okręgowego. Niech pan pokaże psa, zobaczymy, co z nim.

Pan Bosu puścił wreszcie Figlarza. Teraz łatwiej mu było schylić się i sięgnąć po nóż. Kiedy się wyprostował, mężczyzna uważnie oglądał leżące na stole psa, szukając obrażeń.

– Widzę krew – stwierdził Rick Copley. – Tyle że nie wiem, skąd się bierze.

– To może ja pomogę.

Pan Bosu był potężnie zbudowany i dobrze uzbrojony. Copley za to był szybki i zwinny.

Kiedy pan Bosu rzucił się na niego, uchylił się i puścił Figlarza. Szczeniak zeskokczył na podłogę, przemknął po linoleum i zniknął w salonie.

Nie zwrócili na niego uwagi. Copley przyjął pozycję obronną, nie tracił czasu na gadanie. Pan Bosu był zadowolony. Po takim dniu nie ma to jak dobra, zacięta walka.

Zastępca prokuratora był człowiekiem inteligentnym. A człowiek inteligentny w tej sytuacji szukałby telefonu, by wezwać pomoc. Nic więc dziwnego, że Copley rzucił się do bezprzewodowej słuchawki leżącej na stole. Pan Bosu przypadł do niego i ku swojej satysfakcji przelał pierwszą krew.

Copley odskoczył, trzymając się za rozcięte przedramię. Zaczynał się pocić.

– Czego chcesz? – spytał.

– Pokoju na świecie.

– Pieniędzy? Mam w portfelu trzysta dolarów.

– Martwy wart jesteś sto razy więcej, koleś.

– Co?! – Copley osłupiał. Pan Bosu wykorzystał tę chwilę dekoncentracji i znów się na niego rzucił. Copley obrócił się w ostatniej chwili, ale zrobił to ułamek sekundy za późno; ostrze drasnęło go w zębra.

Zastępca prokuratora pobiegł do salonu. A pan Bosu rzucił się za nim.

Dom był mały. Niewiele w nim miejsc, gdzie można by się ukryć. Copley próbował bronić się lampą, podpórką na książki i poduszką z sofy. Tańczył, obracał się, robił uniki.

Pan Bosu był o dwadzieścia kilo cięższy i miał większy zasięg ramion. Ani przez moment

nie wątpił, jak ta walka się skończy. Copley rzucał w niego różnymi przedmiotami i uciekał. A on nieubłaganie podążał za nim, w głąb domu, byle dalej od frontowych drzwi, tak by uwięzić go w tych samych czterech ścianach, które miały go chronić. Dom człowieka to jego twierdza. Dom Ricka Copleya stał się jego komorą egzekucyjną.

Wreszcie pan Bosu zapędził Copleya do łazienki, pod wannę. Potem poszło już gładko.

Później, kiedy żądza krwi wreszcie przestała huczeć mu w głowie, jego oddech stał się równy i miarowy, a serce zaczęło wolniej bić, zauważył kilka rzeczy naraz. Bolała go goleń, ramię, którym uderzył o framugę drzwi, głowa, w którą Copley trafił lampą.

No i lewe przedramię, w które sam się zranił. Zdał sobie sprawę, że rana wciąż krwawi, pewnie na podłodze zostaną plamy. Zaczął ich wypatrywać, ale w tym bałaganie..

Dom był zdewastowany. Książki, papiery, wybebeszone poduszki i, no cóż, krew, dużo krwi, wszędzie krew. Pana Bosu i jego ofiary. Może ekipa śledcza się w tym wszystkim nie połapie. Nie znał się na tym. Medycyna sądowa nie była jego mocną stroną. Wiedział o niej tyle, co widział w telewizji.

Wrócił do kuchni i dokładnie umył ręce. Jego drogie skórzane buty lepiły się od krwi. Zdjął je, opłukał i skrzywił się, gdy zobaczył, że nic to nie dało. Do zapamiętania na przyszłość: od krwi niszczą się buty.

Zaczął szukać pralki.

Stała na niej butelka wybielacza. Doskonale. Zaniósł ją do kuchni i połowę zawartości wlał do zlewu. Widział w jednym serialu, jak cwanemu technikowi udało się wydobyć krew z rur odpływowych.

Pan Bosu był notowanym przestępcą seksualnym. To znaczyło, że jego odciski palców, krew i DNA są w aktach. Musiał być bardzo ostrożny.

Resztę wybielacza wylał na ścierkę do naczyń, po czym zaczął wycierać biegnącą przez cały dom smugę krwi. Całej nie dało się zetrzeć, więc rozmazał ją tylko, tak by nie było widać śladów butów i, tu i ówdzie, łap. Powinien był zabrać ze szpitala więcej fartuchów. Przydałyby się.

Łazienkę zostawił na koniec. Był tam cholerny burdel. Wrzucił ręczniki do wanny, na ciało Copleya.

Wpół do piątej rano. Był zmęczony. I, nawiasem mówiąc, głodny.

Poszedł poszukać Figlarza, znalazł go skulonego pod łóżkiem.

– Już dobrze – przemówił do drżącego psa. – Już po wszystkim.

Wyciągnął rękę. Szczeniak posłusznie podczołgał się do niego i zaczął wachać koniuszki jego palców. Pan Bosu wziął go na ręce i pogłaskał po łbie. Figlarz nasikał na dywan. No cóż. Nic na to nie poradzi. Poza tym nie widział żadnego serialu, w którym ekipa śledcza zajmowałaby się identyfikowaniem psich szczyn.

– Grzeczny z ciebie chłopiec – mruknął pan Bosu do zakrwawionego psa. – Jutro na kolację dostaniesz stek!

Właśnie szykował się do wyjścia, kiedy zadzwonił telefon. Zatrzymał się, ciekaw, kto

dzwoni o tej porze. Kiedy włączyła się automatyczna sekretarka, słuchał jak zahipnotyzowany.

– Copley, tu D.D. Właśnie skończyliśmy oględziny rezydencji Gagnonów... Dziwne, że cię tam nie było. Sprawy się trochę skomplikowały. – Głębokie westchnienie. – Chciałabym porozmawiać z tobą o Dodge’u. Niepokoją mnie jego kontakty z Catherine Gagnon. Możliwe... możliwe, że miałaś rację. Zadzwoń, jak będziesz mógł. Przez następnych kilka godzin będę się zajmowała papierkami.

Połączenie zostało przerwane. Pan Bosu poszedł do kuchni i wbił wzrok w światelko migoczące na automatycznej sekretarce. Potem jego oczy spoczęły na stercie papierów. Zerknął na skrócony raport, listę nazwisk i dopiero teraz zrozumiał. Co właśnie zrobił i dlaczego.

A zaraz potem przyszła mu do głowy następna myśl...

– Figlarz – szepnął. – Chyba wiem, jak uszczęśliwić dobroczyńcę X. Genialny pan Bosu wziął się do pracy.

## Rozdział 32

W poniedziałek rano Bobby'ego wyrwało ze snu światło, nieustępliwie wdzierające się pod jego powieki. Bolało go ramię. Nad ranem, nie pamiętał nawet kiedy, przeniósł się od stołu w kuchni na sfatygowaną kanapę. Teraz leżał na brzuchu na pachnących stęchlizną poduszkach, z prawą ręką dyndającą nad podłogą i sprężynami wpijającymi się w różne części ciała.

Usiadł powoli, tłumiąc jęk. Jezu, za stary jest na takie wygłupy.

Wstał, wyciągnął ręce nad głową i skrzywił się, czując ciarki na całym ciele. Jasne światło dnia wlewało się przez wysokie okna w kuchni. Chwiejnym krokiem wszedł do salonu i rozejrzył się za zegarem.

Dziesiąta rano. Cholera! Siedem godzin snu. Wyspał się pierwszy raz od wielu dni. I głupio zrobił, zważywszy na to, że ma czas do piątej. Musi coś zjeść, wziąć prysznic, ogolić się. Musi się ruszyć, musi... coś zrobić.

Poszedł do łazienki i poniewczasie przypomniał sobie o wiadomościach nagranych na automatycznej sekretarce. Powinien skontaktować się z porucznikiem. A przynajmniej zadzwonić do ojca.

A te głuche telefony?

Pierwszą część nocy spędził z trupem, drugą z psychologiem. Dziwne, ani jedno, ani drugie doświadczenie nie rozjaśniło mu w głowie. Skoro zginęła Prudence, to Catherine też jest w niebezpieczeństwie, chociaż doktor Lane sugerowała, że właśnie Catherine Gagnon jest najgroźniejsza.

A Bobby? Słowo honoru, wierzył jej, kiedy mówiła, że nie robi Nathanowi krzywdy. Wierzył jej. I to bał się o nią.

Na siedem godzin przed upływem danego mu terminu wszedł pod prysznic. Włożył głowę pod gorący strumień. Musi myśleć trzeźwo. Być czujny. Potrzebuje siły.

I wtedy przyszedł mu do głowy pierwszy dobry pomysł od wielu dni.

Wyskoczył spod prysznica. Nagi, ociekający wodą, podszedł do telefonu, wykręcił numer.

– Cześć, Harris. Spotkajmy się.

Robinson nuciła. Nie miała dobrego słuchu, więc nie wychodziło jej to najlepiej. Robiła to jednak zawsze, kiedy była zdenerwowana.

Miała policyjny skaner. Przez całą noc podsłuchiwała rozmowy o ciele znalezionym w mieszkaniu Gagnonów. Nie brzmiało to dobrze.

Wolała nie ryzykować. W pewnych sytuacjach człowiek musi przede wszystkim ratować własną skórę. To właśnie jest jedna z takich sytuacji.

Spakowała się szybko. Do spłuczki przyczepiona była wodoodporna skrzynka zawierająca

różne karty kredytowe i sfałszowane dokumenty. Schowała ją do torby. Potem ubrania. Paralizator. Pistolet. Mały notes.

To wszystko.

Dom był wynajęty. Nie miała własnych mebli, nie kupowała nawet serwetek. Im mniej człowiek ma rzeczy, tym mniej ma do stracenia. I mniej dowodów, które można przeciwko niemu wykorzystać.

Pora posprzątać. Wyjęła amoniak i zaczęła wycierać wszystkie odkryte powierzchnie; amoniak bez śladu usuwa odciski palców i tłuste plamy. Po namyśle – przypominając sobie krwawą jatkę urządzoną przez pana Bosu – stwierdziła, że amoniak nie będzie już potrzebny.

Wzięła kanister z benzyną i zaczęła polewać nią podłogę.

Po pięciu minutach stała już pod tylnymi drzwiami z zapalną w rękę.

Chwila wahania. Ukłucie żalu. To miała być jej najlepsza robota. Duże ryzyko, ale kurczę, ile kasy. Piękna, kusząca gotówka. Potem mogłaby wreszcie odpocząć. Oczami duszy widziała już piaszczystą plażę, zimne drinki i przejrzystą błękitną wodę sięgającą po horyzont. Wreszcie, po tylu latach, spokój.

Westchnęła. I zapaliła zapalniczkę.

Żadnego żalu, żadnego oglądania się za siebie. Bierzesz robotę, starasz się wykonać ją jak najlepiej. Ale zawsze trzeba mieć na względzie przede wszystkim własny interes. A w tej chwili w jej interesie było jak najszybciej się stąd zmyć.

Wyszła, rozejrzała się. Nigdzie żywej duszy.

Podeszła do zaparkowanego kawałek dalej samochodu. Wrzuciła torbę do bagażnika, siadła za kierownicą. Wtedy zauważyła małego białobrzozowego szczeniaka skulonego na fotelu pasażera. A w lusterku wstecznym pojawiła się potężna sylwetka.

– Cześć, Colleen – powiedział pan Bosu. – Wyjeżdżasz dokądś?

Catherine nie spała. Siedziała na krześle w swojej dawnej sypialni i patrzyła, jak Nathan, wyczerpany, zasypia wreszcie w rogu jej starego podwójnego łóżka. Ojciec przyjął ją bez słowa sprzeciwu. Przyniósł więcej lamp. Stał w drzwiach, gdy Nathan rzucał się po łóżku i krzyczał ze strachu wywołanego czymś, co widział tylko on. Catherine cicho zanuciła piosenkę, którą ledwo pamiętała, a która przypominała jej się zaraz po wejściu do rodzinnego domu. Kiedyś śpiewała ją matka. W starych dobrych czasach, jeszcze przed tym, jak Catherine spotkała mężczyznę szukającego zaginionego psa.

Zaśpiewała Nathanowi, a kiedy znów podniosła głowę, ojca już nie było.

Później, o piątej, może szóstej, Nathan się uspokoił, a Catherine zeszła na dół do ojca. Siedział w starym bujanym fotelu i patrzył niewidzącym wzrokiem przed siebie.

Powiedziała mu o Prudence. Nie odezwał się ani słowem. Powiedziała mu o doktorze Rocco i Prudence. O tym, że policja podejrzewa ją o zaaranżowanie śmierci Jimmy'ego, a jej teść zrobi wszystko, by dostać Nathana w swoje ręce.

Kiedy skończyła, wreszcie przerwał milczenie i powiedział:

– Nie rozumiem.

– To James, tato. James Gagnon. Myśli, że zrobiłam krzywdę Jimmy’emu, i postanowił odebrać mi Nathana.

– Przecież mówiłaś, że to policjant zastrzelił Jimmy’ego.

– Bo tak było. Ale James myśli, że to jakoś zaaranżowałam. Że chciałam, by Jimmy rzucił się na mnie z pistoletem, że zmusiłam go, by groził Nathanowi i mnie na oczach policjantów. James oszalał z rozpaczy. Kto wie, co mu chodzi po głowie.

Ojciec zmarszczył brwi.

– I to tak bardzo zmartwiło nianię, że się powiesiła?

Catherine musiała bardzo się starać, by ukryć zniecierpliwienie.

– Nie powiesiła się, została zamordowana. Miała skręcony kark. Mówiłam ci.

– To bez sensu.

– Co jest bez sensu? Że kobieta może zostać zamordowana? Czy że może się to stać w moim domu?

– Nie bądź złośliwa, Catherine.

– Ktoś chce mnie zabić!

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków...

– W ogóle mnie nie słuchasz! James chce dostać Nathana. To oczywiste, że zapłacił komuś, by zabił wszystkich, którzy zechcą mi pomóc. Jeśli wkrótce nie oddam mu Nathana, być może będę następna.

– Wydaje mi się, że człowiek tak dobrze wychowany jak sędzia nie zniżałby się do morderstwa – stwierdził jej ojciec z uporem.

Catherine otworzyła usta, ale rzuciwszy okiem na zaciętą twarz ojca, od razu je zamknęła. To nic nie da. On żyje w swoim świecie. Chce wierzyć, że jego dzielnica jest oazą bezpieczeństwa, trzyma się cotygodniowych rytuałów, takich jak czwartkowy poker i niedzielne grille. Nie nadaje się do życia w świecie, w którym dziewczynki mogą być uprowadzane z ulicy, a z człowiekiem, którego boi się najbardziej, śpi się w jednym łóżku. Nie potrafił jej pomóc, kiedy była dzieckiem, tym bardziej nie wie, jak pomóc jej teraz.

Wstała cicho, myśląc ze smutkiem o Bobbym Dodge’u. Mogłaby do niego zadzwonić... Przeszedł ją dreszcz. Lekkie, niespodziewane mrowienie pleców. Nie wiedziała, czemu to przypisać, i poczuła się nieswojo.

Przed oczami stanęła jej jego twarz. Dotykała go, przekonywała i brała górę. I nagle... Spojrzał na nią. Spojrzał i zobaczył jej prawdziwe oblicze. I to wszystko popsuło.

Kobieta taka jak Catherine nie może dopuścić, by ktokolwiek zajrzał do jej duszy.

Otrząsnęła się z zamyślenia.

– Dziękuję, że zgodziłeś się nas przyjąć – powiedziała uprzejmie, z uniesionym podbródkiem. – Jutro poszukam jakiegoś lokum.

– Nie musisz wyjeżdżać – powiedział ojciec zimno.

– Muszę.

Wróciła na górę do syna.

Nathan znów zaczynał się miotać, rzucał głową na boki. Gładziła go po policzku, aż się uspokoił. Potem długo siedziała na piętach przy łóżku, głaszcząc synka po delikatnych brązowych włosach.

– Zawsze będę ci wierzyła – szepnęła. – Kiedy będziesz starszy, będziesz mógł mi mówić wszystko, a ja uwierzę.

Wkrótce potem zaczęły się telefony.

Pierwszy na jej komórkę, o dziewiątej rano. Recepcjonistka doktora Iorfina potwierdziła wizytę umówioną na trzecią po południu. A propos, pan doktor chciałby porozmawiać. Może Catherine przyszlaby wcześniej, na przykład o pierwszej? Nie, nie musi zabierać ze sobą Nathana. Byłoby nawet lepiej, gdyby przyszła sama.

Catherine odłożyła słuchawkę, serce waliło jej w piersi. Ze spotkań sam na sam z lekarzami nigdy nie wynika nic dobrego.

Wciąż dygotała, gdy usłyszała, że na dole dzwoni telefon.

Po pięciu minutach w drzwiach pokoju stanął ojciec. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała go w takim stanie. Był zaszokowany, wręcz zdruzgotany.

– Dzwonił Charlie Pidherny – mruknął.

– Ten prawnik? – Charlie Pidherny był prokuratorem, który prowadził sprawę Catherine. Jakies dziesięć lat temu przeszedł na emeryturę. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek się z nimi kontaktował.

– Wypuścili go – powiedział ojciec.

– Kogo?

– Umbria. Richarda Umbria.

Dziwne, słyszała to nazwisko, ale jakoś nie mogła skojarzyć gdzie.

– Nie rozumiem – powiedziała, jak jej ojciec przed kilkoma godzinami.

– W sobotę zwolnili go warunkowo. Tyle że Charlie twierdzi, że recydywistów nie wypuszcza się bez stosownego uprzedzenia i nie robi się tego w soboty. To musi być jakiś błąd. Tak, właśnie tak. Jakies niedopatrzenie.

Catherine wciąż patrzyła na ojca, absolutnie niczego nie rozumiejąc. I wreszcie szok minął, przypomniała sobie to nazwisko i wszystko stało się jasne.

„Hej, skarbie. Zginął mi piesek. Nie pomogłabyś mi go poszukać?”

Wypadła z sypialni. W ostatniej chwili zdążyła dobiec do sedesu. Richard Umbrio, Richard Umbrio. „Przyjaciele mówią mi Rich, a po tym, co dla mnie zrobiłaś, chyba jesteśmy już przyjaciółmi?”

O Boże, wie już, co stało się z Tonym. I co spotkało Prudence.

Nathan, pomyślała, o Boże, Nathan, po czym wymiotowała dopóty, dopóki miała czym.

Długo targały nią torsje, a po jej twarzy łzy płynęły.

## Rozdział 33

Bobby spotkał się z Harrisem w Bogey's. Nawet obracający się w wyższych sferach prywatny detektyw potrafił docenić dobrą knajpę. Harris zamówił podwójnego cheeseburgera z cebulą i dodatkowymi grzybami. Bobby, który jeszcze nie jadł śniadania, wziął omlet z kiełbasą i serem.

Harris był w dobrym humorze, łąpczywie odgryzał wielkie kęsy ociekającego tłuszczem cheeseburgera i żuł energicznie. Pewnie myśli, że Bobby umówił się z nim, by się poddać. Przyjmie warunki sędziego Gagnona i robi, czego się od niego wymaga.

Bobby pozwolił mu zjeść pół cheeseburgera, zanim walnął z grubej rury:

– Wczoraj w Back Bay było niezłe zamieszanie – rzucił od niechcenia.

Harris zaczął żuć wolniej, jego zęby zrobiły sobie krótką przerwę w miażdżeniu wołowiny.

– No.

– Słyszałem, że niania się powiesiła. Co mówią twoi informatorzy?

Harris przelknął.

– Że byłeś na miejscu, więc pewnie wiesz więcej od nich.

– Może i tak. – Bobby zamilkł na chwilę. – Nie jesteś ciekaw, co się stało?

– A powinienem być?

– Tak sądzę.

Harris wzruszył ramionami. Starał się udawać obojętność, ale odłożył cheeseburgera i wytarł dłonie w wielką papierową serwetkę.

– Niania się powiesiła, wielkie rzeczy. Młoda dziewczyna, daleko od domu. Zważywszy na okoliczności, może nie ma w tym nic zaskakującego.

– No coś ty – podpuszczał go Bobby. – To wszystko, na co cię stać?

– O co ci właściwie chodzi?

Bobby nachylił się ku niemu.

– Sędzia Gagnon pytał cię, czy nie znasz kogoś, kto mógłby wykonywać dla niego „drobne zlecenia”, zgadza się? Albo kogoś, kto ma odpowiednie znajomości? A może wygląda to jeszcze gorzej? Może jesteś w to zamieszany osobiście? Wydawało mi się, że jesteś na to za bystry, ale kto cię tam wie.

– Nie wiem, o co ci...

– Nie pieprz, Harris! Wiedziałeś o śmierci doktora Rocco, zanim jego krew trysnęła na bruk. Słuchałeś. Czekałeś. Po co? Bo spodziewałeś się, że coś takiego się zdarzy. Z Tonym Rocco nie poszło jeszcze tak źle – zabójstwo było zbyt brutalne, zbyt niewytłumaczalne, by można było powiązać z nim znanego sędziego. Ale niania... To była fuszerka. Zobaczysz, niedługo policja zacznie zadawać niewygodne pytania.

– Już się najadłem.

Harris chciał wstać. Bobby złapał go za rękę i przygwoździł ją do stolika.

– Nie jestem na podsłuchu – powiedział głosem pełnym napięcia. – Nie chcę cię wrobić. Chodzi mi tylko o wymianę informacji. Ręka rękę myje. Przydałby ci się nowy przyjaciel, Harris. Starzy wpędzają cię w kłopoty.

– Nie obraż się, Dodge, ale tak jak się sprawy mają, znajomość z tobą nie przyniesie mi żadnych korzyści.

– Skręcono jej kark, Harris. Ktoś złamał ją na pół jak wykałaczkę. Możesz spać spokojnie, mając to na swoim sumieniu? Możesz spojrzeć mi w oczy i powiedzieć, że cię to nie obchodzi?

Harris zaczynał się pocić. Jego spojrzenie powędrowało do ręki Bobby'ego, przyciskającej jego nadgarstek do stolika.

– Policja szybko skojarzy fakty – mówił Bobby. – Dlaczego zarżnięto lekarza w przyszpitalnym garażu? Dlaczego niania w wolny dzień wyszła z domu i została zamordowana? Dwa zabójstwa to za wiele; dlatego właśnie śmierć Prudence miała być upozorowana na samobójstwo. Czy ta gra ma jakiś cel? Obaj wiemy, że jak się zacznie zabijać, trudno przestać.

– Sędzia podał mi nazwisko – powiedział Harris nagle.

– Jakie?

– Colleen Robinson. Poprosił, żebym ją sprawdził. Początkowo nie wiedziałem, o co chodzi, ale potem dostałem jej życiorys. Według moich informatorów, jest dyskretna, solidna i potrafi wiele załatwić.

– To zabójczyni?

– Nie, nie, nie. Colleen specjalizuje się w... ułatwianiu kontaktów. Ty potrzebujesz tego, ktoś inny czegoś innego, ona znajduje wykonawców. Była płótką, siedziała w więzieniu za kradzież samochodu. Tam zorganizowała swoją siatkę i od tej pory pnie się w hierarchii. – Harris wzruszył ramionami. – Raport dałem sędziemu. Był zadowolony.

– Daj mi jej nazwisko i adres.

– Mam tylko numer komórki. Proszę cię bardzo.

Bobby puścił rękę Harrisa.

– W samochodzie doktora Rocco była wiadomość. „Pozdrowienia od pana Bosu”. Kim jest pan Bosu?

– Nie wiem. Pewnie powinieneś o to spytać pannę Robinson. Czy to znaczy, że jednak nie pójdziesz z sędzią na ugodę?

– Nie.

– Jest aż tak dobra w łóżku?

– Nie wiem.

Harris prychnął. Wstał, odruchowo potarł obolały nadgarstek, ale przyłapał się na tym i schował rękę do kieszeni.

– Nie muszę dodawać, że gdyby sędzia pytał, tej rozmowy nie było – powiedział zimno.

– W porządku, choć moim zdaniem, powinieneś lepiej sprawdzać klientów.

– Coś ci powiem: ci przy forsie zawsze mają coś do ukrycia. Gdybyśmy mieli ich sprawdzać, po roku poszlibyśmy z torbami.

Teraz to Bobby wzruszył ramionami.

Harris ruszył w stronę drzwi, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. Wrócił do Bobby'ego.

– Między nami mówiąc, zawsze interesuję się przeszłością moich klientów, zwłaszcza tych nadzianych i pojebanych.

Harris wbił wzrok w ścianę i zacisnął usta w wąską kreskę.

– Ta sprawa z Prudence... tak, to mnie wkurzyło. – Spojrzał na Bobby'ego. – Powiedzieć ci coś ciekawego? Sędzia twierdzi, że on i Maryanne pochodzą z Georgii. Tam się poznali, wzięli ślub, potem przenieśli się do Bostonu, by zacząć wszystko od nowa. A teraz ciekawostka: akta Jamesa znalazłem bez trudu, i te ze szkoły, i te ze studiów, i te z kancelarii, w której pracował. Za to Maryanne Gagnon nie istnieje.

– Co?

– Nie ma świadectwa urodzenia, prawa jazdy ani zezwolenia na zawarcie małżeństwa. Przed 1965 nie było nikogo o tym nazwisku.

– Przecież to bez sensu.

Harris tylko się uśmiechnął.

– Jak mówiłem, Dodge, ci przy forsie są najbardziej pojebani.

O wpół do pierwszej Bobby wyszedł z baru. Rozłożył komórkę. Miał milion powodów, by do niej nie dzwonić. Mimo to wystukał jej numer.

– Wiem, za czym pośrednictwem sędzia wynajął zabójcę – powiedział.

– Wiem, kim jest zabójca – odparła. – To Richard Umbrio. Początkowo nie skojarzył tego nazwiska; kiedy wreszcie zorientował się, o kogo chodzi, był naprawdę zaskoczony.

– Jesteś pewna? Jak to możliwe?

– W sobotę rano został zwolniony warunkowo. Tyle że w soboty nie zwalnia się więźniów.

– Więc ten, kto mu to załatwił, musi mieć niezłe chody – dokończył Bobby.

– Tak – powiedziała cicho.

– Gdzie jesteś?

– Jadę do nowego lekarza. Chciał się ze mną jak najszybciej zobaczyć.

– To ten specjalista, którego polecił doktor Rocco? – spytał Bobby ostro.

– Tak.

– Zobaczymy się u niego.

Przygotował się psychicznie na spotkanie z nią. Raz po raz powtarzał sobie w duchu słowa doktor Lane: Catherine jest sprytna, twarda i manipuluje ludźmi; on ma kłopoty z samym sobą. Catherine broni się, walczy o przetrwanie, jest zdolna do wszystkiego; on powinien mieć więcej

rozsądku.

Mimo to, kiedy wszedł do dyskretnego, eleganckiego holu przed gabinetem, odebrało mu mowę.

Stała sama w kącie, w tym samym ubraniu co wczoraj. Czarna spódnica była wymięta. Szary kaszmirowy sweter też nie wyglądał najlepiej. Błada twarz, podkrążone oczy. Mocno obejmowała się w talii, zbyt chuda, zbyt zmęczona i zbyt krucha, by dźwigać taki ciężar.

Podniosła głowę, zobaczyła go i przez długą chwilę patrzyli na siebie przez pusty pokój.

Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie w Gardner Museum, przed kilkoma dniami. Obcisłą czarną suknię. Wysokie szpilki. Strategicznie wybrane miejsce przed niebieskim aktem. Wszystko, co miała na sobie, co robiła, co mówiła, było od początku do końca zaplanowane i misternie zainscenizowane. To była Catherine Gagnon, której mężczyźni powinni się bać.

Co innego kobieta, na którą patrzył teraz.

Podszedł do niej.

– Gdzie Nathan?

– U mojego ojca. – Odkasznęła. – Musieliśmy tam pojechać. W środku nocy. Moje karty kredytowe zostały zastrzeżone. To samo z kartą bankomatową. Dzwoniłam do banku. Nie pozwolą mi nic zrobić bez autoryzacji Jimmy’ego.

– Sędzia – stwierdził Bobby cicho.

– Umbrio był w moim domu – szepnęła. – Zaniósł Nathana do łóżka i nie działała ani jedna lampka nocna. Byliśmy przerażeni... poszłam do garderoby. Wszystkie żarówki były na podłodze, ułożone w napis:

A KUKU.

– Catherine...

– On zabił Tony’ego. I Prudence. Mnie też zabije. Obiecał, że to zrobi. Tego zawsze chciał. Dzień po dniu. Ty tego nie rozumiesz. – Podniosła rękę i zaczęła odruchowo pocierać szyję.

– Catherine...

– Za długo byłam sama w mroku – szepnęła. – Nie mogę znaleźć światła.

Wziął ją w ramiona, a ona osunęła się na niego i złapała go za koszulę, drżąc na całym ciele. Była mała, drobna, prawie nie czuł jej ciężaru na swojej piersi. Widział, że pada z nóg, nieprzespane noce pełne zwątpienia i strachu dają o sobie znać.

Chciał jej powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Że jest przy niej, że wszystkim się zajmie. Że już nigdy nie będzie musiała się bać.

Ale zbyt wielu mężczyzn składało jej te same puste obietnice. Wiedział, że to nie ma sensu. Ona też wiedziała.

Pogładził ją po włosach.

A ona na chwilę przywarła do jego piersi.

Otworzyły się drzwi. Weszła recepcjonistka.

– Pan doktor może już panią przyjąć.

Catherine wyprostowała się i oderwała od niego. Bobby opuścił ręce. Odwróciła się w stronę korytarza, on ruszył za nią. Przed drzwiami zatrzymała się nagle.

– Nigdy nie mówiłam, że nie skrzywdziłam Jimmy’ego – powiedziała. Weszli razem do gabinetu.

## Rozdział 34

Pan Bosu padał z nóg. Przypomniła mu się wspaniała, ożywcza euforia towarzysząca dobrze wykonanej robocie. Jak wtedy, kiedy zwabił dwunastoletnią Catherine do samochodu. Albo gdy podkradał się do tego odpicowanego lekarza w pustym garażu. Jeden ruch noża... strzał adrenaliny. Podniecający dotyk ciepłej krwi ściekającej po dłoniach.

Ale nic nie może trwać wiecznie. Druga strona równania: otepiający, bolesny powrót do rzeczywistości. Chwila, kiedy endorfiny i adrenalina przestają działać i zostaje tylko pustka, poczucie, że to już koniec. Mógłby tu, teraz położyć się na ziemi i przespać kilka dni.

Oczywiście, nie może tego zrobić. Ma zadanie do wykonania.

I dlatego właśnie, według reklamy nadawanej w radiu, produkuje się red bulla. Napój energetyczny ma pobudzić, „dodać skrzydeł”. Oj, skrzydła by się przydały. Dlatego pan Bosu pojechał do sklepu i kupił sobie kilka puszek.

Poklepał bagażnik wozu Robinson.

– Twoje zdrowie – powiedział, wznosząc puszkę w ironicznym toaście. – Dzięki za załatwienie podwyżki i nie gniewaj się, biznes to biznes.

Robinson nie żyła, więc nie mogła odpowiedzieć, ale Figlarz zastrzygł uszami. Pewnie zdążył już zgłodnieć. Pan Bosu wychylił red bulla, wrócił do sklepu i kupił małą torebkę pokarmu dla szczeniaków. Piesek bardzo się ucieszył.

Po dziesięciu minutach ruszyli w dalszą drogę. Syty, zadowolony szczeniak i ambitny psychopata, znów tryskający energią.

– Hej, Figlarz? – rzucił pan Bosu. – Wyruszamy na następną przygodę!

Doktor Iorfin lekko zaskoczył Bobby’ego swym wyglądem. W niczym nie przypominał doktora Rocco. Był wysoki, chudy i łysiejący. Duże okulary i haczykowany nos upodabniały go do Ichaboda Crane’a – nie z filmu, w którym tę rolę grał Johnny Depp, tylko z klasycznych ilustracji w książce *Jeździec bez głowy*.

Doktor wpuścił ich do imponującego gabinetu z dużym biurkiem z wiśni i dwoma wielkimi oknami, za którymi rozciągała się panorama Bostonu. Jak widać, na genetyce można nieźle zarobić. Poza tym doktor Iorfino wyglądał na pedanta. W gabinecie doktora Rocco walały się papiery, tu nie było żadnych. Na biurku stał tylko płaskoekranowy monitor, obok leżała teczka.

Doktor Iorfino usiadł na czarnym skórzanym krześle za biurkiem, po czym wskazał dwa wolne krzesła naprzeciwko. Patrzył na nich z zaciekawieniem.

– Catherine Gagnon. – Catherine podała mu rękę. – Dziś rano rozmawiałam z pańską recepcjonistką.

– Ach, tak. – Lekarz po chwili uścisnął jej dłoń, po czym spojrzał wyczekująco na

Bobby'ego.

– Bobby Dodge – powiedział. – Przyjaciel rodziny.

– Ciekawe – mruknął lekarz.

Bobby wzruszył ramionami. On sam nie widział w tym nic ciekawego, ale lekarz już otwierał teczkę.

– Cieszę się, że mogła się pani ze mną zobaczyć – powiedział. – Uznałem, że powinna pani poznać wyniki moich badań, zanim przyjmę Nathana.

– Wyniki? – Catherine była wyraźnie zaskoczona. – Jakich badań? Przecież pan nawet nie widział Nathana na oczy.

Doktor Iorfino wyglądał na zdumionego.

– Doktor Rocco nic pani nie mówił?

– O czym?

– Kiedy zwrócił się do mnie w sprawie Nathana, przesłał mi historię jego choroby oraz próbki krwi i moczu. Żebym mógł zweryfikować nasze przypuszczenia.

– Przypuszczenia? Jakie przypuszczenia? – Catherine była coraz bardziej zbita z tropu, wpadała w popłoch.

Bobby nachylił się ku niemu.

– Panie doktorze, pani Gagnon wiele przeszła przez ostatnich kilka dni. Może niech pan lepiej zacznie od początku.

– No cóż. Tak, tak będzie najrozsądniej. – Doktor Iorfino przerzucił papiery w teczkę i odkaslnął. – Doktor Rocco skontaktował się ze mną przed kilkoma miesiącami w sprawie Nathana. Nie mówił pani o tym?

– Nie.

– Hm. Rozumiem. Cóż, na podstawie objawów, to znaczy gorączki, wymiotów, spowolnionego wzrostu, opóźnienia w rozwoju funkcji ruchowych, niewątpliwej glukoneogenezy wątrobowej, nietolerancji galaktozy i nieuleczalnej hipofosfatemii, zaczął podejrzewać, że występuje u niego pewna rzadka przypadłość. Dlatego poprosił mnie o przeprowadzenie analizy jego chromosomów.

– Glukoneogeneza? – powtórzyła Catherine niepewnie. – Nietolerancja galaktozy? Nie wiem, co to jest.

– Doktor Rocco leczył Nathana na alergię pokarmowe, zgadza się? Zalecał, by nabiał zastępować produktami sojowymi? Zaordynował dietę dla cukrzyków, opartą na mało treściwych posiłkach o niskiej zawartości cukru i węglowodanów?

– Podejrzewał, że Nathan jest uczulony na mleko. Poza tym ma za wysoki poziom cukru we krwi, więc jest na wysokobiałkowej, niskowęglowodanowej diecie.

– No właśnie, to samo wynika z opisu. Jednak, jak pani zapewne sama zauważyła, po roku stosowania tej diety stan zdrowia Nathana się nie poprawił. Badania wykazują podwyższony poziom glukozy w organizmie, co z kolei prowadzi do odkładania się glikogenu w wątrobie,

trzustce i nerkach...

– Proszę jaśniej – zażądała Catherine.

Siedziała ze splecionymi na kolanach dłońmi, bardzo skupiona.

Doktor Iorfino odetchnął głęboko.

– Pani Gagnon, Nathan nie ma alergii pokarmowej. Ma za to mutację w genie GLUT2. Krótko mówiąc, choruje na rzadką, ale szczegółowo opisaną przypadłość znaną jako zespół Fanconiego-Bickela.

Catherine wypuściła głośno powietrze. Przeszedł ją dreszcz.

– Wie pan, co z nim jest? Wie pan, na co choruje mój syn?

– Tak. Krótko mówiąc, w wyniku wady genetycznej pani syn źle metabolizuje glukozę i galaktozę...

– Galaktozę?

– Cukry w mleku. Odstawienie nabiału pomogło, ale pozostaje faktem, że w jego nerkach wciąż odkłada się za dużo cukru, co może wywołać przykre następstwa, w tym, jeśli nie podejmie się kuracji, chorobę nerek.

– Czy można to wyleczyć? Tego Fanconiego-Bickela?

– Wyleczyć nie, pani Gagnon. Ale teraz, kiedy postawiliśmy diagnozę, możemy podjąć działania, które złagodzą większość powikłań.

– Nathan... będzie zdrowy?

– Przy odpowiedniej kuracji i diecie może prowadzić stosunkowo normalne życie.

– O mój Boże – jęknęła Catherine. – O mój Boże. – Zasłoniła dłonią usta. A po chwili wybuchnęła płaczem.

Bobby wziął ją za rękę. Znow drżała. Ulga i wdzięczność niemal przewyciężyły strach, ogarniający ją jeszcze przed dziesięcioma minutami.

– Będzie zdrowy – szeptała raz po razie. – Wreszcie, wreszcie, po tylu latach...

Spróbowała wziąć się w garść. Wolną ręką otarła oczy. Tusz do rzęs rozmazał jej się po policzku i kciuku. Nie zwróciła na to uwagi.

– Dziękuję – powiedziała do doktora Iorfina. – Po tylu badaniach, tylu chwilach zwątpienia... Nawet nie wyobraża pan sobie, jakie to uczucie wreszcie poznać prawdę.

Doktor Iorfino aż się zaczerwienił.

– Cóż, właściwie nie mnie powinna pani dziękować. To doktor Rocco wysnuł właściwe wnioski. Doskonale się spisał, trzeba mu przyznać. Zespół Fanconiego-Bickela to bardzo rzadka przypadłość, prawie niespotykana w tych okolicach.

– Wada genetyczna – szepnęła Catherine. – Ślepy traf, pech. Kto by pomyślał?

Doktor Iorfino zmarszczył brwi.

– Fanconi-Bickel nie jest dziełem ślepego trafu, pani Gagnon. To wada dziedziczna, występująca głównie u mężczyzn. Pochodzących z rodzin, w których doszło do kazirodztwa – dodał rzeczowo.

Przez chwilę Catherine nie odzywała się ani słowem. Bobby także milczał. Była zbyt oszołomiona, by zareagować. On natomiast powoli zaczynał wszystko rozumieć.

– Ale my nie byliśmy z Jimmym spokrewnieni – zaprotestowała w końcu. – Moja rodzina pochodzi z Massachusetts, jego z Georgii. Znalіśmy naszych rodziców, to niemożliwe, by...

– Nie chodzi o was – przerwał jej Bobby.

Odwróciła się do niego, wciąż zbита z tropu.

– A o kogo?

– O Gagnonów. Jamesa i Maryanne. To dlatego wyjechali z Georgii. To dlatego ona nie istnieje – bo oczywiście musieli dać jej nowe nazwisko. I pewnie dlatego nie ma zezwolenia na zawarcie małżeństwa. Badania krwi wykazałyby, że są krewnymi, i nie dostaliby zgody na ślub.

Zwrócił się do doktora Iorfino.

– Czy wady genetyczne mogą ominąć jedno pokolenie?

– Oczywiście.

– A czy spokrewnione ze sobą osoby mogą mieć zdrowe dziecko?

– Oczywiście. Weźmy europejskie rody królewskie. Dochodziło w nich do ślubów między kuzynami, a mimo to ich potomkowie byli stosunkowo zdrowi. Ale kazirodztwo osłabia pulę genową. Wcześniej czy później..

– James poznaje Maryanne. Powiedzmy, że są kuzynami. – Bobby zmarszczył brwi, spojrzał na Catherine. – Harris mówił, że rodzina Maryanne zginęła przed ich ślubem. Co z rodziną Jamesa? Mówił coś o swoich krewnych? Dziadkach, ciotkach, wujkach i tak dalej?

– Nie, twierdził, że jego rodzice pochodzili z małych rodzin. Że nie ma żadnych żyjących krewnych.

– A więc James spotkał Maryanne. Jej rodzina nie mogła być tym zachwycona, ale zginęła w wypadku i kłopot z głowy. James z Maryanne przenieśli się tutaj, zaczęli od nowa, zatarli za sobą ślady, ona dostała nowe nazwisko. Urodził im się syn.

– Starszy brat Jimmy'ego – szepnęła Catherine. – Ten, który umarł w dzieciństwie.

– Być może Nathan nie jest pierwszym członkiem rodu Gagnonów z zespołem Fanconiego-Bickela.

– Myślisz... myślisz, że go zabili?

– Albo umarł z braku odpowiedniej opieki lekarskiej. Harris mówił, że był chorowitym dzieckiem.

Oboje spojrzeli na lekarza.

– Fanconi-Bickel może mieć różny przebieg – wyjaśnił. – Kiedy jest to ciężki przypadek...

– Ale Jimmy nie miał żadnych... zaburzeń... objawów... – zaprotestowała Catherine.

– Jak już mówiłem, kazirodztwo nie musi powodować wad genetycznych, ale w jego wyniku prawdopodobieństwo ich wystąpienia staje się większe.

– Jak bomba zegarowa – dodał Bobby cicho.

– O mój Boże, biedny Nathan... – I wtedy Bobby zauważył, że doszła do tego samego

wniosku co on, bo nagle otworzyła szeroko oczy. Spojrzała na niego przerażona. – Myślisz, że...  
Skinął głową.

– Tak. To dlatego sędziemu tak bardzo zależy na przejęciu opieki nad Nathanem. Nie chodzi mu o to, by wychować szczęśliwego, zdrowego wnuka. Chce wyeliminować ostatnie ogniwo łączące go z przeszłością. Ten, kto ma Nathana, trzyma w ręku klucz do najgłębszej, najmroczniejszej tajemnicy Gagnona. A dla czegoś takiego warto zabić.

## Rozdział 35

Kiedy wychodzili z gabinetu doktora Iorfina, zadzwoniła komórka Bobby'ego. Skrzywił się, ale Catherine popchnęła go w kąt holu.

– I tak muszę zadzwonić do ojca – powiedziała. – Dam znać, że może przywieźć Nathana. Ja stanę tu, ty tam.

Bobby skinął głową i poszedł w jeden kąt, a Catherine w drugi. Rozłożył komórkę. D.D. Miała dziwny głos.

– Gdzie jesteś?

– W centrum.

– Od rana próbuję się do ciebie dodzwonić.

– Miałem dużo spraw do załatwienia. Co słychać?

– Jesteś z nią? – spytała D.D.

Bobby nie musiał pytać, kogo ma na myśli. Można to było wyczytać z jej tonu.

– D.D., czego chcesz?

– Gdzie jesteś?

– Jeśli odpowiesz na moje pytanie, to ja odpowiem na twoje. Zapadła cisza. Bobby zmarszczył brwi, próbując zinterpretować jej milczenie. Nic nie wymyślił.

– Mam wyniki badań balistycznych pistoletu Jimmy'ego. Magazynek był pełny. Nie brakuje ani jednej kuli. Brak śladów prochu na lufie i rękojeści. Nikt z niego nie strzelał.

– Ale myślałem, że.., – Bobby urwał, zbity z tropu. Wyczuwał zagrożenie, ale nie wiedział jeszcze, jak wielkie.

– Ale co ze strzałami, które słyszeli sąsiedzi? – dokończyła za niego D.D.

– No właśnie.

– Wiesz, to ciekawa sprawa. Wczoraj wieczorem, kiedy poszliśmy do mieszkania Gagnonów po ciało niani, jeden z techników niechący wpadł na komodę. Zgadnij, co było w szufladzie, przyklejone do deski? Zgadnij, co z niej wypadło?

Zrozumiał. Zamknął oczy. Odwrócił się od Catherine, bo nie był w stanie na nią patrzeć.

– Drugi pistolet.

– Dziewięć milimetrów. Niedawno z niego strzelano. W magazynku brakowało dwóch kul.

– Były odciski palców?

– A musisz pytać?

– Tak.

– Jej odciski, Bobby. Jej pistolet, zarejestrowany na jej nazwisko, nabity kulami, które kupiła osobiście, jak zeznał sprzedawca broni. To nie Jimmy Gagnon strzelał w czwartek wieczorem. Zrobiła to ona.

Bobby przełknął ślinę. Starał się zebrać myśli. Próbował wmówić sobie, że to nie ma znaczenia. Jimmy znęcał się nad nią, miała więc powód. Czy raczej Jimmy znęcał się nad nią, a ona chciała zapewnić synowi bezpieczeństwo. Sam nie wiedział. Powtarzał sobie tę myśl na wiele sposobów. A mimo to czuł pustkę.

– Poradziłeś jej, jak to załatwić, Bobby? – spytała D.D. – Tak to się odbyło? Poznałeś ją na przyjęciu. Blondynka ci się znudziła, więc postanowiłeś zamienić ją na nowy, bardziej egzotyczny model. Trzeba przyznać, nieźle trafiłeś. Obiecała ci pieniądze, czy zrobiłeś to z miłości?

– Wcale tak nie było.

– Nie? Chodziło tylko o seks? Ona robiła ci dobrze, a ty gadałeś jak najęty?

– D.D., widziałem się z nią tylko przez kilka minut na przyjęciu. Następnym razem zobaczyłem ją w czwartek wieczorem.

– Wrobiła cię, Bobby. Wszystko przygotowała, jak należy. Gdybyśmy mieli wtedy u nich podsłuch, pewnie usłyszelibyśmy, jak wymyślała Jimmy’emu, by podsycić jego gniew, by nie przestał wymachiwać bronią. A dalej poszło już łatwo.

Nawet nie protestował. Zamknął oczy. Mimo to wciąż widział to, czego widzieć nie chciał. Głowę Jimmy’ego Gagnona w celowniku. Palec zaciskający się na spuście.

– Nie rozumiem tego, Bobby – mówiła D.D. cicho. – Dobrze, namówiła cię, żebyś załatwił Jimmy’ego, trudno. Może nawet myślałeś, że tak trzeba. Ale, na litość boską, jak jej się udało napuścić cię na Copleya? Jezu, Bobby, on był jednym z nas.

– Co takiego?!

– Oboje wiemy, że przejrzał cię na wylot. Było tylko kwestią czasu, kiedy cię dopadnie. Ale przecież mogłeś liczyć na łagodny wyrok, Bobby. Jesteś policjantem, i to dobrym. Popełniłeś błąd, owszem. Ale nie byłeś w sytuacji bez wyjścia. Nie musiałeś... Boże, Bobby, nożem? Nie pomyślałabym, że jesteś do tego zdolny.

– D.D., nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Pytam jeszcze raz, Bobby, gdzie jesteś?

Ale on już wiedział, że nie może jej tego powiedzieć. Coś się stało Copleyowi. Nóż. Pewnie pan Bosu znów zaatakował. Tyle że policja myśli, że zrobił to on, a jeśli podejrzewają go nawet jego kumple...

Po doskonale wyszkolonego snajpera policyjnego nie idzie się tylko z kajdankami. Jezu Chryste, ma przechłapanie.

– D.D. – powiedział szybko – wysłuchaj mnie. W sobotę rano z więzienia zwolniono pewnego człowieka. Nazywa się Richard Umbrio. Sprawdź, przekonasz się, że to ten sam człowiek, który przed dwudziestoma pięcioma laty porwał i zgwałcił Catherine Gagnon. Zobaczysz też, że nie miał prawa do zwolnienia warunkowego. Sędzia Gagnon to załatwił. Wszystko ukartował. Nasłał Richarda Umbria na wszystkie bliskie jej osoby.

– Copley nie był jej bliskim.

– Nie wiem, dlaczego zabił Copleya! Słowo honoru... Mówiłaś coś o nożu. Umbrio zabił doktora Rocco nożem. Umbrio to pan Bosu.

– On jeszcze żył, Bobby.

– Kto?

– Copley. Nie umarł od razu. Na studiach trenował boks. Wiedziałaś? Był twardy. Nie zdziwiło cię, jak silny stawiał opór? Nie spodziewałaś się, że będzie tak ciężko? Cóż, ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Kiedy leżał w wannie i wykrwawiał się na śmierć, zostawił nam wskazówkę. Napisał twoje nazwisko, Bobby, swoją własną krwią.

Boże, jest gorzej, niż myślał. O wiele gorzej.

– Colleen Robinson – powiedział szybko, usiłując przekazać jej jak najwięcej informacji. – Za jej pośrednictwem sędziega Gagnon wynajął Richarda Umbria. Sprawdź finanse sędziego, znajdź Robinson. Zobaczysz, że mówię prawdę. To zrobił sędzia. Próbuje pozbyć się dowodów tego, że żyje w kazirodczym związku z Maryanne. Spytaj doktora Iorfina, on wszystko ci powie.

– Oddaj się w ręce policji, Bobby.

– Nie mogę.

– Mówię po raz ostatni...

– Jeśli będę w więzieniu, kto będzie chronił Catherine?

– Cholera jasna, Bobby...

Rozłączył się. Odwrócił się od ściany. Przeszedł przez pokój szybko, niesiony wściekłością i żalem. Catherine wciąż rozmawiała przez telefon, była blada, miała szeroko otwarte oczy.

Chwycił ją za ramiona i zanim zdążył się opanować, potrząsnął nią z całej siły.

– Coś ty zrobiła, do cholery?!

– Bobby...

– Myślałaś, że się tym nie przejmę? Że nie będę miał nic przeciwko temu, by być narzędziem zbrodni?

– To nieistotne, to nieistotne.

– Gówno prawda! Wykorzystałaś mnie. Kłamałaś, manipulowałaś mną. Wrobiłaś mnie w zabójstwo.

– Nie miałam wyboru! Bobby, posłuchaj...

– Zamknij się! – ryknął.

I wtedy uderzyła go. Mocno. Na odlew. Aż mu w uszach zadzwoniło. Zamrugął. Odruchowo podniósł rękę. Widział oczami duszy, jak bierze zamach i daje jej w twarz. Upadłaby na podłogę. A on... Napawałby się swoim triumfem? Szczycił się tym, że pokazał jej, gdzie jej miejsce? Patrzył, jak kuli się jego matka, sama na podłodze kuchni?

Opuścił rękę. Huk rozsadzający mu głowę uciął. Znów był sobą. Zauważył, że ściska ramię Catherine tak mocno, że łzy ciekną jej po twarzy.

Puścił ją tak nagle, że straciła równowagę i musiała przytrzymać się ściany.

– Chciał odebrać mi Nathana – powiedziała. – Zamierzał zabrać mi wszystko tylko dlatego,

że mógł to zrobić. Nie wiesz, Bobby, jak to jest, nie mieć nic.

– Nie miałaś prawa...

– Nic by z tego nie wyszło, gdyby naprawdę mnie nie nienawdził. Wiesz, na tym polega manipulacja. Nie zmusisz człowieka, by zrobił coś wbrew swojej woli. A jeśli daje się na coś namówić, to znaczy, że tak naprawdę w głębi duszy tego chce.

– Nie możesz tego wiedzieć.

– W czwartek widziałam jego twarz. Spojrzałam mu w oczy i wiedziałam, że już po mnie.

– Kłamiesz.

– Nie podziękowałam ci za to, że go zabiłeś, Bobby – powiedziała spokojnie. – Tylko za to, że ocaliłeś mi życie.

Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Miał mętlik w głowie. Ścisnął grzbiet nosa. Oddałby wszystko, byle uśmierzyć ból rozsadzający mu czaszkę.

– Bobby. – Podniosła rękę. Ostrożnie pogładziła go po ramieniu. Strząsnął jej dłoń.

– Zostaw mnie!

– Potrzebuję cię. Musisz mi pomóc.

Zaśmiał się głucho. O Boże, Harris miał rację. Podobnie jak doktor Lane, a nawet D.D. Catherine to prawdziwa suka, a on skończony głupiec.

– Mój ojciec nie odebrał telefonu, Bobby.

– No to co?

– Odebrał Richard Umbrio.

## Rozdział 36

Pan Bosu czuł się świetnie. Spróbował red bulla i red buli był super. Serce łomotało mu w piersi, nogi same niosły go naprzód. Był ożywiony, pełen energii, stoczył dziesięciorundową walkę i był gotów na następnych dziesięć rund. Czuł się, jakby urosły mu skrzydła.

– Figlarz! – zawołał. – To wielki dzień. Czuję to w kościach. Dziś poznamy szefa!

Figlarz, siedzący na fotelu pasażera, zamerdał ogonem.

– Wiesz co? Szef uważa mnie za głupka. Myśli, że nędzne kilkadziesiąt tysięcy to wystarczająca zapłata za to, że odwalam za niego całą brudną robotę, narażając swoje życie i wolność. Powiedz, Figlarz, czemu miałbym poprzestać na trzydziestu, pięćdziesięciu czy choćby stu tysiącach, skoro wszystko i tak muszę załatwić sam?

Figlarz posłusznie przekrzywił łebek.

– No właśnie! Srać na te drobniaki. Spadamy stąd. Dziś zgarniemy główną wygraną.

Pan Bosu znalazł tę dzielnicę bez trudu. Kiedy skontaktowała się z nim Robinson, to była jego pierwsza prośba. Chciał wiedzieć wszystko o Catherine. O jej domu, rodzinie, mężu, synu. Dostał jej historię zatrudnienia. Zażądał zdjęć, danych z prawa jazdy i innych szczegółów, jak choćby listy zakupów czy nazwy jej ulubionej restauracji. Wiedział, że jej matka umarła młodo, ojciec mieszka sam, ludzie podejrzewają ją o to, że znęca się nad synem i że zaaranżowała śmierć swojego męża. Niektóre z tych informacji były nieistotne. Większość jednak go zaintrygowała.

Fakt, że jej rodzice się nie przeprowadzili – to zaciekało go najbardziej. Nie żeby uważał, że to dziwne, chore czy pospolite. Chodziło o to, że gotów był się założyć o ostatniego centa, że jego rodzice też wciąż siedzą w tym samym starym domu, na tej samej starej sofie i patrzą co dzień na ten sam stary salon. Dobrali się z Catherine jak w korcu maku. Nie spodziewał się tego na początku, kiedy zabrał ją z ulicy tak szybko, że nawet nie zdążyła krzyknąć, a jej książki rozsypały się na chodniku. Docierało to do niego powoli, dzień po dniu, im dłużej pozwalał jej żyć.

Ona jedna na tym świecie może naprawdę zaspokoić jego potrzeby. Ona jedna zna jego prawdziwe oblicze.

Dzień, w którym zniknęła, był najgorszym dniem w jego życiu.

Ale to nic. Wkrótce znów wszystko będzie jak dawniej.

Pan Bosu, pogwizdując, skręcił na podjazd pod domem. Wysiadł, nie przestając gwizdać.

– Zostań – powiedział do Figlarza. – Tym razem działam solo. Wszedł po schodach, zapukał do drzwi.

Z domu dobiegł nieufny głos.

– Kto tam?

Pan Bosu uśmiechnął się. Otworzył legitymację, którą znalazł przy Colleen, i machnął nią

przed judaszem. Tak by ojciec Catherine zobaczył dokument, ale nie zdążył przyjrzeć się zdjęciu.

– Detektyw Bosu – powiedział. – Przykro mi, panie Miller, ale mam złe wiadomości w związku ze sprawą sprzed lat. Musimy porozmawiać.

– Chodzi o Richarda Umbria? – spytał pan Miller.

– Tak.

Ojciec Catherine otworzył drzwi. A pan Bosu wszedł do środka.

Okazało się, że Frank Miller nie jest głupi. Pan Bosu spodziewał się zobaczyć kogoś niższego, bardziej skurczonego, bardziej przygniecionego ciężarem, jaki zły los zrzucił mu na barki. Kogoś takiego jak jego ojciec.

Tymczasem Frank Miller był wysoki, wyprostowany, szczupły. Sprawny jak na człowieka w jego wieku, bez wątplenia dumny z tego, że radzi sobie sam.

Obrzucił wzrokiem potężną sylwetkę pana Bosu, jego postarzałą, nalaną twarz, i znieruchomiał.

– Czy my się znamy...? – zaczął. I wtedy go poznał. Wybałuszył oczy. Po czym nagle podniósł prawą rękę i walnął go pięścią w oko.

– Cholera – sapnął pan Bosu i zatoczył się do tyłu, zbyt późno osłaniając twarz. Staruch nie czekał. Uderzył go mocno w nerki. Po takich ciosach pan Bosu na pewno będzie pluł krwią.

Zauważył, że cofnął się pod same drzwi wejściowe. Dość tego dobrego, pomyślał, gdy Frank Miller bił go w lewy bok. Następnym razem weźmie ze sobą Figlarza. Za dużo roboty jak dla jednej osoby.

Miller znów wyprowadził prawy sierpowy. Wystarczy. Pan Bosu uniósł mięsistą dłoń i zablokował cios. Objął palcami dłoń starca i zaczął ścisnąć. Ściągnęła wystąpiły mu na przedramieniu, kłykcie zbiegały z wysiłku.

Miller zachwiał się. Pot wystąpił mu na czoło. Krew odpłynęła z twarzy. I dopiero teraz w jego oczach pojawił się strach.

– Gdzie chłopiec?

Miller nie odpowiedział.

– Wiem, że go masz. Nie miała dokąd pójść, więc przyprowadziła go do ciebie. – Pan Bosu odgiął dłoń Millera do tyłu tak, że kłykcie prawie sięgnęły przedramienia. Ojciec Catherine charczał z bólu.

– Wcześniej czy później i tak mi to powiesz. Wyciągnę to z ciebie. Pytanie tylko, jak bardzo będziesz przy tym cierpieć.

– Pierdol... się – syknął Miller i ku zaskoczeniu ich obu kopnął go w kolano. Pan Bosu osunął się na podłogę. Puścił rękę starca i Miller uciekł do kuchni.

Pan Bosu westchnął. Zostało tylko jedno wyjście. Wyjął nóż.

Kiedy wszedł do kuchni, Miller właśnie sięgał do schowka na narzędzia. Nie minął ułamek sekundy, a pan Bosu już patrzył w wylot lufy strzelby. Nie czekał. Zaatakował, skoczył naprzód z wyciągniętą lewą ręką, chwycił i podniósł lufę, podczas gdy Miller zmagął się ze spustem.

Strzelba nie wypaliła i trudno się dziwić. Niewielu ludzi trzyma w domu naładowaną broń, tym bardziej w obecności dziecka.

To, że Miller sięgnął po strzelbę, powiedziało panu Bosu coś jeszcze. Schowek był o centymetry od tylnych drzwi. Miller ma dość czasu, by uciec. Tymczasem postanowił dalej walczyć.

Chłopiec jest w domu. Dlatego Miller nie uciekł. Nie mógł opuścić wnuka.

To szlachetne z jego strony, pomyślał pan Bosu. Mimo to bez wahania wbił mu ząbkowane ostrze pod żebra. Z ust Millera dobył się dziwny dźwięk. Nie krzyk. Nie jęk. Raczej westchnienie. Znak, że wiedział, co go czeka.

– Przykro mi, że straciłeś żonę – powiedział pan Bosu. – Inaczej teraz bym się nią zajął.

Wbił nóż głębiej i wyszarpnął go. A jednak nie było to takie trudne. Starzec bezwładnie zwałił się na podłogę. Pan Bosu pamiętał, by tym razem szybciej się cofnąć. Nie chciał zniszczyć drugiej pary butów.

Umył się w zlewie, krzywiąc się na widok plam krwi na rękawie i spodniach. Ależ się upaprał. Oplukał nóż i schował go do pochwy przypiętej do kostki. Zaczął przeszukiwać dom.

Znalazł chłopca na górze, w pokoju ozdobionym wypłowiałymi różowymi i fioletowymi kwiatami. Kiedy otworzył drzwi, mały powiedział z nadzieją:

– Mama?

Pan Bosu uśmiechnął się. Pierwszy raz widział go w szpitalu, tej nocy, kiedy załatwił lekarza. Wtedy chłopiec nazwał go tatusiem. Miło być kochanym.

Wszedł do pokoju, chłopiec usiadł na łóżku. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu: drobny, blady i schorowany chłopiec i wysoki, potężnie zbudowany i ubrudzony krwią mężczyzna.

– Chcesz zobaczyć pieska? – zapytał w końcu.

Chłopiec podał mu rękę.

Kiedy wychodzili, zadzwonił telefon. Pan Bosu nie potrzebował nadprzyrodzonych zdolności, by domyślić się, kto to. Podniósł słuchawkę.

– Tato – powiedziała Catherine.

– Catherine – powiedział pan Bosu.

– O mój Boże.

– Cześć, skarbie. Twój synek cię pozdrawia.

## Rozdział 37

Będzie nam potrzebna broń – stwierdził Bobby. Catherine nie odpowiedziała. Była w szoku, idąc po schodach, patrzyła przed siebie pustym wzrokiem. Postanowił nie korzystać z windy. W szpitalu jest ochrona. Czy już go wypatrują, może czekają na niego przy wejściu?

Przypomniało mu się, co niedawno powiedział doktor Lane: to, że jesteś paranoikiem, nie znaczy, że nie chcą cię dopaść.

– Zabrali pistolety Jimmy’ego – powiedziała Catherine, lekko zdyszana od biegu po schodach. – Trzymał je w sejfie. Policjant wszystkie wziął.

Oprócz tego, który schowałś w komodzie, chciał dodać Bobby, ale uznał, że nie pora na to.

– Mam w domu trzy pistolety i karabin, ale policja pewnie już czeka pod drzwiami. – Zmarszczył brwi, zbiegł piętro niżej. Przyszła mu do głowy pewna myśl. – Mój ojciec. Tatko. Może jeszcze u niego nie byli.

Wyjął komórkę, ale na klatce schodowej nie było zasięgu. Musiał poczekać, aż zejść do holu. Przy drzwiach wejściowych stali jednak dwaj ochroniarze. Nie wyglądało na to, by kogoś wypatrywali, ale Bobby wolał nie ryzykować. Złapał Catherine za rękę i wciągnął ją w boczny korytarz. Wyszli mniejszymi drzwiami na ruchliwą ulicą. Doskonale.

– Złap taksówkę – rzucił.

– Mam samochód...

– A policja zna twój numer rejestracyjny.

Poszła po taksówkę, a on rozłożył komórkę i wcisnął guzik, pod którym zaprogramował numer ojca. Tatko odebrał po drugim sygnale.

– Tatku, możesz coś dla mnie zrobić?

– Bobby? Byłem ciekaw, kiedy się odezwiesz. Było tu dwóch ludzi, pytali o ciebie, rozglądali się, robili jakieś złośliwe aluzje.

– Przykro mi, Tatku. Nie mogę rozmawiać i nie mogę ci niczego wyjaśnić. Potrzebuję pistoletu, a nie mam czasu do ciebie przyjechać.

– Czego ci potrzeba?

– Pistoletu. Może być dziewięć milimetrów. Nic specjalnego, byleby było dużo magazynków. Obserwują cię?

– Mówisz o tych dwóch facetach w marynarkach, siedzących po drugiej stronie ulicy?

Bobby westchnął.

– Cholera.

– Powiedzieli, że wpakowałeś się po uszy.

– Jeszcze pływam.

– Podobno podpadłeś zastępcy prokuratora okręgowego.

- Jestem niewinny.
  - Tak myślałem.
  - Ufasz mi?
  - Zawsze i wszędzie.
  - Kocham cię, Tatku. – Te słowa prawdopodobnie w równym stopniu przeraziły ich obu.
  - Gdzie mam przyjechać? – spytał ojciec cicho.
- Bobby pomyślał o Castle Island.  
Po półgodzinie ojciec spotkał się tam z nimi.

Pan Bosu też miał telefon przy uchu. Przebijał się przez labirynt bocznych ulic w centrum Bostonu i trochę pobłądził, ale na razie się tym nie przejmował. Chłopiec siedział cicho na przednim siedzeniu. Był grzeczny, bierny, posłuszny. Zupełnie jak jego matka.

Figlarz siedział chłopcu na kolanach. Nathan drapał go za uszami. Figlarz trącał nosem jego dłoń. Pan Bosu uśmiechał się do nich pobłażliwie, kiedy wreszcie ktoś odebrał telefon.

– Dzień dobry! – huknął do komórki Robinson.

– Kto mówi? – spytał męski głos.

– Pan Bosu, oczywiście. Sędzia Gagnon, jak sądzę?

Szanowny pan sędzia, vel dobroczyńca X, był wyraźnie zaskoczony.

– Co... Kto...?

– Mam używać nazwiska Richard Umbrio? Domyślam się, że wolałby pan tego uniknąć z obawy przed podsłuchem, ale mnie jest wszystko jedno. Tak czy inaczej, wisi mi pan pieniądze.

– O czym ty mówisz?

Pan Bosu zerknął na chłopca. Nathan patrzył na niego z zainteresowaniem. Pan Bosu uśmiechnął się szeroko. Chciałby uśmiech wyglądał przyjaźnie. Chyba jednak za długo przebywał wśród bandziorów, bo chłopiec odwrócił się i wbił wzrok w psa. Figlarz polizał go po brodzie.

– Wisi mi pan dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów – powiedział pan Bosu spokojnie.

– Co?

– Za pańskiego wnuka. – Pan Bosu wreszcie znalazł boczną ulicę, której szukał, na środku Beacon Hill. Stały tu duże, stare domy.

– To nie jest śmieszne...

– Nathanie, mój drogi, przywitaj się z dziadkiem.

Pan Bosu podstawił mu telefon.

– Cześć! – krzyknął Nathan.

– Ty potworze! – ryknął sędzia. – Gdzie jesteś, do cholery? A pan Bosu odpowiedział wesoło:

– Pod pańskimi drzwiami.

Ojciec Bobby'ego chciał pojechać z nimi. Bobby stracił cenne dziesięć minut na tłumaczenie mu, że to zbyt niebezpieczne, że Tatko jest rusznikarzem, a nie snajperem i tak dalej, i tym podobne.

W końcu zdenerwował się, zabrał pistolet, wepchnął Catherine do samochodu i niecierpliwie usiadł za kierownicą. Odjeżdżając, w lusterku wstecznym widział oddalającą się sylwetkę ojca, samotnego i zagubionego.

Mocno ścisnął kierownicę.

– Dokąd jedziemy najpierw? – spytała Catherine.

– Do twojego ojca.

– Myślisz...

– Jestem pewien, że Nathanowi nic się nie stało.

Uśmiechnęła się słabo, ale w kącikach jej oczu zalśniły łzy.

– Zawsze kłóciłam się z ojcem – powiedziała cicho. Potem odwróciła głowę i wybuchnęła płaczem.

Dom Franka Millera od frontu wyglądał najzupełniej normalnie. Zamknięte drzwi, dokładnie zaciągnięte zasłony. Nigdzie żywej duszy. Bobby przejechał obok, upewnił się, że w okolicy nie ma policji, po czym okrążył kwartał. Zatrzymał wóz na rogu i poprosił Catherine, by przejęła kierownicę.

– Jeśli go zobaczysz – nie musisz wyjaśniać, kogo ma na myśli – wciśnij gaz do dechy i uciekaj.

– A jeśli ma Nathana?

– To wciśnij gaz do dechy i mierz w kolana Umbria.

Ta sugestia wyraźnie jej się spodobała. Jej policzki zaróżowiły się, oczy rozbłyły. Przesiadła się na fotel kierowcy z zaciętym wyrazem twarzy, a Bobby jeszcze raz sprawdził pistolet, który dostał od ojca, po czym ruszył w stronę domu.

Frontowe drzwi były otwarte. To pierwsza wskazówka. Ledwie wszedł do salonu, silny, metaliczny zapach pozbawił go resztek wątpliwości. Na wszelki wypadek przeszukał dom. Pusto. Umbrio zwiął, zostawił po sobie tylko trupa.

Nie mógł zdobyć się na to, by uważnie przyjrzeć się ojcu Catherine. Jego siwe włosy, rozrzucone ręce i nogi, pochylona sylwetka za bardzo przypominały mu Tatkę. Podniósł strzelbę z podłogi. Z otwartego schowka wyjął pudełko naboju. Ten człowiek dzielnie się bronił. Do końca walczył o wnuka.

Powie to Catherine, może choć trochę ją pocieszy.

Wyszedł ze strzelbą, pobiegł do samochodu, boleśnie świadom upływu czasu. Umbrio ma Nathana od prawie godziny. Sześćdziesiąt minut. Aż strach pomyśleć, co człowiek jego pokroju może zrobić przez tyle czasu.

Był jednak przekonany, że nie zabił chłopca. Przynajmniej na razie. Gdyby miał taki zamiar,

Bobby znalazłby Nathana razem z dziadkiem. Nie, Umbrio miał wobec niego inne plany.

I na tę myśl Bobby'ego przeszedł zimny dreszcz.

Podchodząc do samochodu, zadzwonił na policję.

– Znalazłem ciało mężczyzny, został zamordowany – zameldował i podał adres. Poproszony przez operatora, by zaczekał, rozłączył się, po czym otworzył drzwi wozu i usiadł na miejscu pasażera.

Catherine spojrzała na strzelbę, a potem na jego twarz.

Była blada, przez chwilę walczyła ze sobą, w końcu wzięła się w garść.

– Nathan?

– Nie ma go. Jestem pewien, że nic mu nie jest.

– Dobra. – Położyła dłonie na kierownicy. – Dokąd? – spytała chłodno.

– Pora pojechać tam, gdzie wszystko się zaczęło.

– Do Walpole?

– Nie, do twojego teścia.

Pan Bosu był ogromnie z siebie zadowolony. Zaparkował wóz pod imponującą kamienicą Gagnona, której adres znalazł w notesie Colleen, i czekał, aż wystraszony sędzia przystąpi do renegocjacji umowy.

Tymczasem w słuchawce rozległ się dziwny śmiech.

– Chwila, nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem – powiedział sędzia. – Chcesz dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, bo inaczej co zrobisz?

Pan Bosu spojrzał na chłopca. Nie może mówić wprost, kiedy mały siedzi obok.

– Obaj wiemy co – odparł półgębkiem. Wyjrzał przez szybę, marszcząc brwi. W oknach było ciemno. Kamienica wyglądała na pustą. Dopiero teraz zaczął zastanawiać się, co jest grane.

– A proszę cię bardzo.

– Słucham?

– Dobrze słyszałeś. Nic mnie to nie obchodzi. Chłopak był dla mnie problemem, który wcześniej czy później i tak musiałem rozwiązać. A tu proszę, problem rozwiązuje się sam.

– Co takiego?

– Dzwonię na policję – powiedział sędzia Gagnon łagodnie. – Powiem im, że zboczeniec uprowadził mojego wnuka. A potem naślę na ciebie wszystkich agentów FBI, policjantów stanowych i wioskowych szeryfów z okolicy. Na twoim miejscu już zacząłbym uciekać. Zostało ci mało czasu.

Rozległ się trzask odkładanej słuchawki. Pan Bosu był w szoku. Co, do licha? Facet jest gotów zdradzić własnego wnuka?

Wysiadł. Zapomniał o Nathanie siedzącym na przednim siedzeniu, o plamach krwi na koszuli. Podeszedł do drzwi i załomotał w nie. Nic. Wcisnął dzwonek. Nic. W ataku furii zaczął z całej siły walić i kopać solidne dębowe drzwi.

Jedyny skutek był taki, że znów rozboleła go posiniaczona goleń i coraz bardziej łupało go w głowie.

Dom był pusty. Opuszczony. Porzucony. Szczury pierwsze uciekają z tonącego okrętu.

Pan Bosu oddychał ciężko. Bolała go świeżo zabliźniona rana na przedramieniu. Zaczynało go mdlić, adrenalinowy kop przestawał działać.

Odczekał kilka sekund i zaczął się zastanawiać gorączkowo.

Sędzia był najwyraźniej przekonany, że jest w bezpiecznym miejscu, poza zasięgiem potężnego pana Bosu. Dlatego pozwalał sobie na taką bezczelność. Myślał tylko o sobie. Nie zamierzał zapłacić panu Bosu ani ratować wnuka.

Dość tego. Pan Bosu teraz naprawdę się wkurwił.

Wrócił do samochodu. Chłopiec wciąż siedział w fotelu pasażera i drapał Figlarza za uszami.

– Nie wiesz, czy twój dziadek ma drugi dom? – spytał pan Bosu, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej nonszalancko.

Chłopiec wzruszył ramionami, nie przestając bawić się z psem.

– Może ma jakieś miejsce, które bardzo lubi? Taką niby-kryjówkę?

Kolejne wzruszenie ramion.

Pan Bosu stracił cierpliwość.

– Nathanie – powiedział surowo. – Mam cię zabrać do dziadka. Chcesz się z nim zobaczyć czy nie?

– Chcę.

– No to gdzie on jest, do licha?

Chłopiec spojrzał mu w oczy.

– W hotelu LeRoux – powiedział krótko.

Pan Bosu się uśmiechnął. Wrzucił bieg.

– Nathanie – rzekł z powagą – kiedy nadejdzie ta chwila, obiecuję, że nic nie poczujesz.

## Rozdział 38

Nie rozumiem – powiedziała Catherine. – Mój teść wynajął Umbria? – Przez pośrednika. Colleen Robinson. Umbrio został zwolniony w zamian za kilka przysług.

– To dlaczego jeszcze żyję?

– Bo zależy mu na tym, by cię skompromitować, nie zabić.

– Słucham?

– Sędzia cię nienawidzi. Za Jimmy’ego, za to, że wżeniłaś się w jego rodzinę. Ale najbardziej nienawidzi cię za Nathana. Boi się, że poznasz przyczynę jego złego stanu zdrowia, a tym samym odkryjesz tajemnicę Gagnonów.

– Gdybym umarła, przestałabym im zagrażać.

– Zgadza się. Ale byłby jeszcze doktor Rocco. Albo twój ojciec. Zawsze znalazłby się ktoś, kto zainteresowałby się chorobą Nathana. Chyba żeby istniało racjonalne wytłumaczenie jej przyczyn.

– Trułam go – dokończyła za niego. – Byłam złą matką.

– Otóż to.

– Ale gdyby nawet dostał Nathana... – Zmarszczyła brwi. – Czy fakt, że Nathanowi się nie polepsza, nie byłby dla niego kłopotliwy?

– Sędzia nie zamierzał czekać, aż ktoś zwróci na to uwagę – powiedział Bobby cicho.

– Naprawdę myślisz, że zrobiłby krzywdę własnemu wnukowi?

– Myślę – rzekł Bobby poważnie – że ten człowiek prawdopodobnie zabił rodzzonego syna.

Okazało się, że luksusowy hotel doskonale nadaje się na twierdzę. Jasne, chłopak z obsługi odstawił samochód pana Bosu na parking. Owszem, wszedł do hotelu z małym, a nawet z Figlarzem, bo kto mógłby zabronić wstępu ślicznemu chłopczykowi z pieskiem?

To nie rozwiązało jednak problemu. Nie wiedział, w którym pokoju mieszka sędzia, a młoda, ładna recepcjonistka uprzejmie, ale stanowczo odmówiła udzielenia mu informacji. Takie przepisy, tłumaczyła. Może powiadomić sędziego Gagnona przez telefon, że ma gości, ale bez jego zgody nie wolno jej nikogo do niego wpuścić.

Był jeszcze jeden kłopot. Chłopiec mówił, że sędzia mieszka w luksusowym apartamencie, a te znajdowały się na górnych piętrach, na które można było dostać się dopiero po włożeniu karty magnetycznej w otwór w windzie. A więc pan Bosu nie ma szans tam wjechać.

Twardy orzech do zgryzienia. Pan Bosu był już bardzo zmęczony. Tęsknił za swoim czystym łóżkiem w Hampton Inn. Co tam, tęsknił nawet za więzienną pryczą.

Wyszli z hotelu, pan Bosu otworzył następnego red bulla i zamyślił się. Głowa mu ciążyła. Wkurzała go plama krwi na koszuli i podejrzliwe spojrzenie portiera. Wkurzał go cały zasrany

świat.

I nagle wpadł na pomysł.

Dopił red bulla. Zaprowadził Nathana do lobby hotelowego i podszedł do recepcjonistki.

– To jest Nathan Gagnon, wnuk sędziego Gagnona – oznajmił najbardziej serdecznym tonem, na jaki było go stać, i całkiem nieźle mu to wyszło. – Proszę powiedzieć sędziemu, że tu jest. Sędzia go oczekuje. Niestety, skaleczyłem się... – machnął zakrwawioną ręką – ...i potrzebuję pomocy lekarza. Może ktoś mógłby zaprowadzić Nathana do jego dziadków? Na pewno nie chcą, by mały został sam.

Recepcjonistka uśmiechnęła się do niego.

– Oczywiście. Chwileczkę.

Wykręciła numer pokoju. Pan Bosu wstrzymał oddech. Sędzia na pewno wpuści wnuka, zwłaszcza jeśli dowie się, że jest sam.

– Pani Gagnon? – zapytała recepcjonistka z uśmiechem. Pan Bosu odetchnął. Żona. Doskonale. – Tak, mamy tu młodego przystojniaka, nazywa się Nathan Gagnon... Tak, pani wnuka. Śliczny chłopczyk, naprawdę. Boy zawiezie go na górę. Aha, wie pani, że ma ze sobą pieska? Nie, nie, to żaden kłopot, ale będzie trzeba wypełnić specjalny formularz. Dobrze. Od razu wyślę go na górę. Dziękuję.

Recepcjonistka odłożyła słuchawkę. Wciąż szeroko się uśmiechała.

– Pani Gagnon bardzo się cieszy z odwiedzin wnuka. Może pan już iść, wszystkim się zajmujemy.

Pan Bosu podziękował jej wylewnie. Uścisnął nawet chłopcu dłoń.

– Tak się cieszę, że mogłem przywieźć cię do dziadków. Piesek ma na imię Figlarz. Mama prosiła, żebym dał ci go w prezencie.

– Mama? – spytał chłopiec z nadzieją.

– Zaufaj mi, niedługo ją zobaczysz.

Chłopiec uspokoił się i energicznie pokiwał głową, tuląc Figlarza do piersi. Przyszedł boy, zachwycił się chłopcem, zachwycił się psem i wszystko było cacy.

Skierowali się do windy.

– Apartament na poddaszu – powiedział boy do Nathana. – Mówię ci, jest większy niż mój dom. Spodoba ci się.

Drzwi windy otworzyły się. Pan Bosu się odwrócił. Recepcjonistka z kimś rozmawiała, boy zajął się Nathanem.

Pan Bosu rzucił się do schodów. Wbiegł na drugie piętro, łup, łup, łup, przeskakiwał po dwa stopnie. Wpadł na korytarz, na szczęście pusty, i wcisnął guzik zatrzymujący windę.

Drzwi się rozsunęły. Boy był wyraźnie zaskoczony widokiem pana Bosu.

– Dopiero co był pan na dole...

Pan Bosu złapał go za koszulę i wyciągnął na korytarz. Jeden ruch, trzask łamanego karku i chłopak zwałił się bezwładnie na podłogę. Pan Bosu zabrał mu klucz uniwersalny – kartę, którą

nosił na łańcuszku na szyi – i wszedł do windy.

Nathan wpatrywał się w niego poważnymi, szeroko otwartymi oczami.

– Mama ostrzegęła mnie przed takimi ludźmi jak ty – powiedział.

Pan Bosu wykrzywił usta w okrutnym uśmiechu.

– Nie dziwię się.

Po wejściu do hotelu LeRoux Bobby rozejrzał się za ochroną, a Catherine poszła do recepcji.

– My do Jamesa i Maryanne Gagnon – powiedziała.

– Spodziewają się państwa?

– Proszę im powiedzieć, że przyszliśmy w sprawie ich wnuka.

– Nathana? – spytała recepcjonistka z uśmiechem.

Catherine natychmiast zamieniła się w słuch. Bobby również.

– Widziała go pani? – spytała Catherine ostro.

– Ależ tak. Jakies dziesięć minut temu. Boy zawiózł go na górę.

– Czy był z nim mężczyzna? – wtrącił Bobby. – Potężnie zbudowany, mógł wyglądać, jakby brał udział w bójce?

– Tak, mówił, że się skaleczył... Nie czekali, aż usłyszą więcej.

– Ten człowiek to pedofil! – krzyknęła Catherine. – Dziś porwał mojego syna! Niech pani wezwie policję i wpuści nas na górę!

Recepcjonistka była zbита z tropu. Chciała wezwać ochronę. Chciała zadzwonić na górę. Potrzebowała pozwolenia, potrzebowała pomocy. Nie wiedziała, co robić.

Bobby nerwowo chodził w tę i we w tę przed windami.

– Dobrze, niech pani do nich zadzwoni! – błagała Catherine. – Tylko szybko. Niech pani dzwoni, proszę bardzo.

Przerażona recepcjonistka podniosła słuchawkę. Wystukała czterocyfrowy numer. Catherine zapamiętała go. Pół minuty później recepcjonistka była jeszcze bardziej zakłopotana.

– Nikt nie odbiera. Dziwne. Jeszcze kilka minut temu...

Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk. Drzwi windy się otworzyły. Wypadli z niej mężczyzna i kobieta.

– Ciało – jęczała kobieta. – Na drugim piętrze leży ciało.

– To boy – powiedział mężczyzna. – Chyba ma skrecony kark.

Zapanował chaos. Przybiegli ochroniarze, za nimi boje. Obok Bobby'ego przemknął parkingowy. Bobby złapał go za rękę i machnął mu przed oczami odznaką.

– Policja. Dawaj klucz uniwersalny. Już!

Zaskoczony chłopak oddał mu kartę. Bobby przywołał Catherine gestem głowy. Wbiegli do windy, wsunęli kartę do otworu i wjechali na poddasze.

– Ty szukaj Nathana – powiedział Bobby. – Ja zajmę się Umbriem.

– Co z Jamesem i Maryanne?

Bobby wzruszył ramionami.

– Jeśli współpracują z Umbriem, pewnie nic im nie grozi. Jeśli nie, nie musimy już się nimi przejmować.

– O Boże!

– Ruszajmy.

Pan Bosu zapukał do drzwi. Lekko, jak dziecko.

Otworzył jakiś mężczyzna. Pan Bosu od razu uderzył go pięścią w twarz. Rozległ się soczysty trzask. Mężczyzna zatoczył się do tyłu i upadł na marmurową posadzkę.

– Hej, sędzio – powiedział pan Bosu – pamięta mnie pan? Wciąż jeszcze się uśmiechał, kiedy Nathan ugryzł go w rękę.

Wychodząc z windy, Bobby zobaczył otwarte drzwi i trupa. Wyciągnął rękę do tyłu, by zatrzymać Catherine, po czym uznał, że szkoda zachodu. Skoro jest tu Umbrio, jeden trup to najmniejsze z ich zmartwień.

– Cicho – szepnął. – Nie zdradzajmy naszej obecności, dopóki nie będzie to konieczne. Musimy go zaskoczyć.

W apartamencie panowała cisza. Upiorna cisza. Bobby’emu się to nie podobało. Spodziewał się krzyków, tupotu nóg, pisków dziecka. A tu nic. Absolutna cisza. Włosy zjeżyły mu się na karku.

Weszli do wyłożonego marmurem przedpokoju i szpilki Catherine głośno zastukały o posadzkę. Oboje znieruchomieli. Catherine szeroko otworzyła oczy.

– Zdejmij je – powiedział szeptem.

Zrobiła to.

Bobby obejrzał Harrisa. Jego nos był zgruchotany, kawałki kości wbiły się w mózg. Stało się to tak nagle, że detektyw nie zdążył nawet rozpiąć marynarki ani sięgnąć po broń. Otworzył drzwi i umarł.

Bobby pokręcił głową. Na swój sposób polubił Harrisa.

Włożył rękę pod jego marynarkę i wyjął pistolet z kabury pod pachą. Odbezpieczył go i dał Catherine. W apartamencie wciąż było cicho.

– Coś tu nie gra – szepnęła.

– I to jak.

I nagle... melodyjka. Odległe, niesamowite dźwięki. Kołysanka niosąca się z głębi apartamentu. Pozytywka. Może zabawkowa. Trudno powiedzieć. Wysokie, delikatne tony przesywały gęste powietrze.

Spojrzał na Catherine. Była blada jak ściana.

– Co to? – powiedziała głośno, ze strachem.

Uciszył ją gestem ręki.

– Trzymaj się, Catherine. Nathan cię potrzebuje.

Oddechnęła głęboko i skinęła głową. Bobby wskazał ścianę. Catherine nie zrozumiała, o co chodzi, i patrzyła na niego bezmyślnie. Westchnął, wziął ją za nadgarstek i pociągnął pod ścianę, tak by idąc przez apartament, mieli osłonięte plecy. Będę musiał szybciej myśleć, uświadomił sobie.

Czas grał na korzyść Umbria. Ten potwór mógł ich rozłączyć, wciągnąć w pułapkę. Apartament był za duży, by Bobby mógł go zabezpieczyć, a Catherine zbyt niedoświadczona, by mu pomóc. Od niego zależało, czy przeżyją.

Ostrożnie zaprowadził Catherine do pustego salonu. Kiedy Umbrio wdarł się do apartamentu, wszyscy pewnie gdzieś się pochowali.

Po lewej stronie był łukowaty otwór, za którym ciągnął się korytarz. Drugi taki sam znajdował się po prawej. Najwyraźniej salon łączył ze sobą skrzydła apartamentu. Bobby zawahał się. Catherine poklepała go w dłoń i wskazała w lewo.

– Muzyka – powiedziała bezgłośnie.

Skinął głową. Ciche dźwięki zdawały się dochodzić z lewej strony.

Wziął ją za lewą rękę. Ruszyli korytarzem.

I wtedy usłyszeli krzyk. Przerażliwy, przenikliwy, kobiecy.

– Maryanne! – wydyszała Catherine.

Zaczęli biec.

## Rozdział 39

Bobby w mgnieniu oka zorientował się w sytuacji. Troje otwartych drzwi, trzy sypialnie. Minął pierwszą, drugą, wpadł do trzeciej. Maryanne zatoczyła się do tyłu.

– James, James, James – szlochała. – O Boże, James!

Bobby spojrzał na podłogę, zobaczył zakrwawione ciało i po chwili bardziej wyczuł, niż usłyszał za plecami jakiś ruch.

– Uważaj! – dobiegł go krzyk Catherine z głębi korytarza. Próbował się odwrócić i podnieść pistolet.

Umbrio trafił go w ramię. To był potężny cios. Bobby zakręcił się, stracił równowagę. Rozpaczliwie usiłował ustać na nogach. Kątem oka zobaczył coś srebrno-czerwonego.

Nóż, pomyślał.

Wtedy usłyszał strzał. Tuż przy jego głowie od ściany oderwał się kawałek tynku. Bobby upadł. Umbrio zatrzymał się i odwrócił w bok.

– O, Catherine – powiedział. – Co za miła niespodzianka.

Uśmiechnął się szeroko. Na twarzy miał czerwone plamy. Krew, może Jamesa, może Bobby'ego. Wyglądał jak drapieżnik.

Catherine uniosła pistolet. Trzymając go w obu dłoniach, stanęła pewnie na nogach. Ręce jednak trzęsły jej się tak bardzo, że nie mogła wycelować. Pociągnęła za spust i kula trafiła w ścianę tuż obok ramienia Umbria.

Uśmiechnął się i zrobił krok do przodu.

– Och, Catherine, Catherine, Catherine.

Bobby podniósł prawą rękę. Krew spływała mu z ramienia i mieszała się z potem na dłoni. Nie mógł ruszyć ręką, dłoń nie chciała się zacisnąć. Przełożył pistolet do lewej ręki i nacisnął spust.

Broń wypaliła, kula śmignęła obok kolana Umbria. Zaskoczony niespodziewanym atakiem, zatrzymał się w pół kroku. Obrzucił wzrokiem dygoczącą Catherine i obejrzał się na ciężko rannego Bobby'ego, który znów brał go na cel. Trudno strzelać z podłogi, ale jakoś sobie radził. Nie bez kozery od lat ćwiczył strzelanie lewą ręką.

Choć ranny, nie zamierzał się poddać. Wymierzył w pierś Umbria. Ten skoczył do drzwi i uciekł w głąb zwieńczonego łukowatym sklepieniem korytarza. Catherine zaczęła strzelać, ale za późno. Trafiła tylko dwa obrazy, stylowy stolik i odłupała ze ściany duży kawał tynku. Umbrio zniknął w drugim pokoju.

– Cholera! – krzyknęła.

Weszła do sypialni, wciąż dygocząc. Śmierdziała prochem. Była błada i potargana. Wciąż jednak stała z pistoletem w dłoni i Bobby pomyślał, że jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie.

Spojrzała na jego ramię.

– O nie!

– Kim jest ten człowiek? – krzyknęła Maryanne. – I gdzie Nathan?

Catherine pomogła Bobby’emu usiąść. Dobra wiadomość, ostrze ominęło tętnicę. Zła – całkowicie stracił władzę w prawej ręce – staw jest uszkodzony.

– Nic nie rozumiem – powtarzała Maryanne. – Zadzwoiła recepcjonistka. Miał przyjść Nathan. Tak się ucieszyłam. Chciałam go wpuścić, ale James powiedział: „Nie, niech pan Harris otworzy”. Kiedy to zrobił, usłyszałam dziwny dźwięk, takie jakby chrupnięcie. James krzyknął, żebym uciekała, to uciekłam. On biegł za mną. Wepchnął mnie do tej sypialni, kazał mi wejść do garderoby i nie wychodzić, cokolwiek się stanie. No to się schowałam. Potem usłyszałam kroki. Myślałam, że to pan Harris albo James. Tymczasem drzwi garderoby otworzyły się i zobaczyłam tego straszego człowieka. Uśmiechał się. Miał nóż i uśmiechał się. Jaki człowiek mógłby zrobić coś takiego?

Bobby i Catherine nie odpowiedzieli. Catherine zdjęła z łóżka poszewkę na poduszkę i nieporadnie obwiązała ramię Bobby’ego.

– Nagle wszedł James – mówiła dalej Maryanne. – Uderzył go w głowę podpórką na książki. Bardzo mocno. W życiu czegoś takiego nie widziałam. Ten straszny człowiek nawet okiem nie mrugnął. Odwrócił się i spojrzał na Jamesa... o mój Boże, James wiedział. – Złapała się za serce. – Widać było po nim, że wie, co się stanie. „Uciekaj, Maryanne”, powiedział. No to uciekłam. I usłyszałam dźwięki. Okropne dźwięki. Próbowałam je ignorować. Tyle że zaraz zrobiło się cicho i to było jeszcze gorsze. Nie mogłam tego dłużej znieść. Wróciłam. Musiałam zobaczyć Jamesa. Och, mój biedny, biedny, kochany James.

Padła przy nim na kolana. Wzięła go za rękę. I jego palce zacisnęły się na jej dłoni.

– O Boże! – krzyknęła Maryanne. – James!

– Ciii...! – powiedzieli Bobby i Catherine. – On tu wróci.

–Kto?

– Richard Umbrio.

– Czy to nie ten człowiek, który cię uprowadził, Catherine? – spytała Maryanne, marszcząc czoło.

– Tak.

– Ale to było dawno temu. Czego on może od nas chcieć?

– Maryanne – powiedziała Catherine spokojnie – gdzie Nathan?

W garderobie było ciemno, ale nie zupełnie ciemno. Nathan nie mógł znieść ciemności, zwłaszcza teraz, kiedy i tak już się bał. Puścił pieska. Teraz tego żałował. Brakowało mu dotyku ciepłego ciała, szorstkiego języczka liżącego go po dłoni.

Został sam.

Widział, jak ten zły człowiek robił złe rzeczy. Potem usłyszał krzyk dziadka: „Uciekaj!”, więc uciekł. W drugą stronę. Jak najdalej od wszystkich, bo nie lubił dziadka, który ciągle chciał

go zabrać ze sobą do domu, choć mama się nie zgadzała.

Dlatego upuścił piaska i uciekł w przeciwnym kierunku, jak najdalej od wszystkich, ze złym człowiekiem włącznie.

Zobaczył garderobę z żaluzjami w drzwiach. Była mała, pełna koców, poduszek i pościeli. Szkoda, że nie jest większy. I silniejszy. Szkoda, że nie jest normalnym, zdrowym chłopcem, bo normalny, zdrowy chłopiec pewnie umiałby wdrapać się na najwyższą półkę, gdzie mógłby się schować tak, żeby zły człowiek go nie zobaczył.

Ale Nathan nie mógł tego zrobić. Zagrzebał się w głębi garderoby. Zamknął drzwi. Przykrył się puchowymi poduszkami i starał się powstrzymać od kichania.

Czekał. Zupełnie sam. W ciemności.

Zły człowiek nadchodził.

– Mamusiu – szepnął Nathan.

Catherine skończyła obwiązywać poszwą ramię Bobby'ego. Opatrunek wyglądał idiotycznie, ale nic lepszego nie mogli wymyślić. Bobby trzymał pistolet w lewej ręce i obserwował drzwi.

Catherine podeszła do Jamesa, leżącego na podłodze. Krew zbierała się w kałuży wokół jego ramion, a z płuc dobywał się złowrogi świst, niczym odgłos powietrza uchodzącego z balonu.

Maryanne trzymała jego głowę na kolanach, głaskała go po policzku. Płakała bezgłośnie, od czasu do czasu nerwowo przebierała palcami, jakby szukała sposobu, by mu ulżyć, choć wiedziała, że to niemożliwe.

Sędzia spojrział na Catherine. Przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

Catherine czekała, aż obudzi się w niej jakieś uczucie. Chciała poczuć coś, cokolwiek. Triumfować. Cieszyć się ze zwycięstwa. Mieć satysfakcję. A tymczasem czuła tylko bezdenną pustkę.

– Wiem, co zrobiłeś – powiedziała w końcu dziwnie beznamytnie. – Dziś widziałam się z genetykiem. Wreszcie postawił diagnozę. Nathan choruje na rzadką przypadłość będącą skutkiem kazirodztwa.

Maryanne pisnęła cicho i zasłoniła usta dłonią. Catherine spojrziała na nią. I wreszcie coś poczuła – zimną nienawiść.

– Jak mogliście mi tego nie powiedzieć? Kiedy tylko pojawiły się pierwsze objawy, jak mogliście nie pomyśleć...

– Tak mi przykro... – zaczęła Maryanne.

– Jesteście kuzynami? – przerwała jej Catherine ze złością.

– Przyrodnim rodzeństwem. Ale nie wychowywaliśmy się razem, nawet nie wiedzieliśmy o swoim istnieniu. Kiedy umarła matka Jamesa, ojciec wysłał go do szkoły wojskowej. Był surowym człowiekiem. Może źle zniósł śmierć pierwszej żony, może nie mógł sobie poradzić z Jamesem. Ale po wielu latach postanowił się z nim pojednać. Zaprosił Jamesa, by przedstawić mu swoją nową rodzinę. Akurat wypadały moje osiemnaste urodziny. Rodzice wydali wspaniałe

przyjęcie. I nagle wszedł niezwykle przystojny mężczyzna...

Dłoń Jamesa drgnęła. Maryanne natychmiast pogładziła go po policzku, ale ten czuły gest wzbudził w Catherine odrazę. Są rodzeństwem?

– On zabił twoją rodzinę – powiedziała Catherine.

– Nie opowiadaj głupot. Zdarzył się wypadek...

– James go zaaranżował, Maryanne. Spowodował śmierć całej twojej rodziny po to tylko, by cię zdobyć. To samo zrobił z waszym pierworodnym synem. Zabił go, by lekarze nie poznali waszej tajemnicy. A teraz wypuścił z więzienia mordercę i nastął go na mnie i Nathana. Jak myślisz, dlaczego wszyscy wokół ciebie umierają, Maryanne? Naprawdę jesteś aż tak naiwna?

Catherine mówiła coraz głośniejsze. Maryanne kręciła głową, a James jęczał cicho.

– Kochałem... ją – wychrypiał.

– Kochałeś? – prychnęła Catherine. – Zabiłeś niewinnych ludzi. Czy za pierwszym razem poszło ci łatwo? Uszkodziłeś hamulce w wozie ojca, wmówiłeś sobie, że wypadki się zdarzają?

– Nie... rozumiesz.

– Potem przyjechałeś do Bostonu, by zacząć wszystko od nowa tu, gdzie nikt nie mógł poznać twojej wstydlivej tajemnicy. Tyle że urodziło wam się dziecko. I przegraliście z genetyką. Wasz pierwszy syn też miał zespół Franconiego-Bickela, zgadza się? I pewnie był to ciężki przypadek. Ciągłe chorował, cierpiał.

– Nie rozumiem – szepnęła Maryanne. – Junior umarł na zespół nagłej śmierci łóeczkowej...

– Albo od poduszki przyciśniętej do ust.

Maryanne wstrzymała oddech.

– James?

– Kocham... cię – wyszeptał sędzia, ale w jego głosie zabrzmiała błagalna nuta. To było gorsze niż otwarte przyznanie się do winy.

Maryanne zaczęła płakać.

– O nie... o nie, o nie, o nie.

Catherine jednak jeszcze nie skończyła.

– Podjudzałeś Jimmy'ego przeciwko mnie. Nakładłeś mu do głowy bzdur i przez ciebie musiałam robić straszne rzeczy. Jak śmiesz! Mogliśmy razem pomóc Nathanowi. Może bylibyśmy szczęśliwi.

– Mój syn – powiedział James głośno i wyraźnie – był... za dobry... dla ciebie.

– James! – krzyknęła Maryanne.

– Ty idioto wycedziła Catherine zimno. – Wypuściłeś Richarda, a on teraz nas wszystkich zabije.

– Policja... przyjdzie – szepnął James.

W głębi korytarza rozległ się głos Umbria:

– Nathan, Nathan, Nathan. No, chodź. Gdzieś ty się schował?

– Wtedy będzie za późno – dodał Bobby cicho.

Pan Bosu miał już dość tej zabawy. Wizyta w hotelu sędziego wydawała się doskonałym pomysłem. Przyjść, zobaczyć, zwyciężyć. Taki był plan. Postraszyć sędziego i wyciągnąć od niego trochę pieniędzy albo hej, zarznąć sędziego i mieć satysfakcję. Pan Bosu jest elastyczny.

Ale nic nie ułożyło się po jego myśli. No, owszem, zemścił się, to fakt. Ale nie zaspokoilo go to tak, jak się spodziewał. Może nawet zabijanie po jakimś czasie staje się nudne. Tego nie wiedział. Ale żona sędziego nadal latała po mieszkaniu, dzieciak też, a w dodatku zjawiała się Catherine ze swoim nowym facetem.

Tłok jak na dworcu kolejowym, w mordę. Tyle że jest tu za dużo broni, a to go wkurza. Nie zabije ich wszystkich, chrzanić to. Poprzestanie na jednej osobie. Tej, której śmierć zrobi największe wrażenie.

Chce chłopca.

Tylko chłopca.

A potem się zmyje.

Pan Bosu przeszukał już lewe skrzydło apartamentu. W sypialni opróżnił kasetkę z biżuterią i znalazł plik banknotów. Pieniądze już ma. Teraz pozostaje tylko dopaść małego.

Spojrzał w stronę prawego skrzydła apartamentu. Gdzie by się schował, gdyby był czteroletnim chłopcem?

W jakimś przytulnym, ciemnym miejscu. Nie. Moment. W sypialni chłopca było od groma nocnych lampek. Boi się ciemności.

Oczy pana Bosu spoczęły na żaluzjowych drzwiach garderoby w korytarzu. Oczywiście. Na jego twarz wypłynął uśmiech.

## Rozdział 40

– Potrzebny nam jakiś plan – powiedziała Catherine. Spojrzała na Bobby’ego.

Skinął głową, usiłując usiąść prosto.

– Co zrobimy? – jęknęła Maryanne z podłogi. – James jest ranny. Pan jest ranny. Co zrobimy?

– Strzelać mogę – powiedział Bobby beznamiętnie. – Regularnie ćwiczę strzelanie lewą ręką. Catherine skinęła głową.

– Dobra. Jeden pistolet wezmę ja, drugi ty.

– Przecież nie umiesz strzelać.

– No to będę musiała podejść blisko celu. – Wzięła pistolety, jeden dała Bobby’emu, drugi zostawiła sobie. – Mamy go osaczyć? Tak to się robi?

Bobby pokręcił głową.

– Lepiej żebyśmy się nie rozdzielali. Działając wspólnie, mamy większe szanse, a poza tym nie chcę, by jedno z nas niechcący postrzeliło drugie.

– Na element zaskoczenia nie mamy co liczyć. Na pewno usłyszy nasze kroki.

– Dlatego zmusimy go, by przyszedł do nas.

– Niby jak?

Bobby spojrzał jej w oczy.

– Cóż, Catherine, ty znasz go najlepiej.

Powoli skinęła głową.

– Tak – powiedziała po chwili. – To prawda.

Pan Bosu był na łowach. Zauważył cel. Otworzył drzwi garderoby. Dźgnął na oślep i trafił stertę ręczników. Co, u licha?

– Cholera! – ryknął.

Wyrzucił ręczniki. Zobaczył półkę zastawioną rolkami papieru toaletowego, a potem kolekcję szlafroków. Pusto, pusto, pusto. Gdzie ten chłopak?

– Cholera! – powtórzył.

Wtedy zobaczył w głębi korytarza następne żaluzjowe drzwi i zaczął się skradać w ich stronę.

– Richardzie!

Na dźwięk swojego imienia przystanął. Odwrócił się, lekko zbity z tropu. Dawno nikt nie zwrócił się do niego po imieniu. Ani strażnicy, ani współwięźniowie tak do niego nie mówili. Dla nich był Umbriem, a dla siebie panem Bosu. Od przeszło dwudziestu lat nikt nie nazwał go Richardem.

Catherine stała sama na końcu korytarza. Była wyższa, niż to zapamiętał, ale pod wieloma względami wciąż taka sama. Te same ciemne oczy. Splątane czarne włosy. Szkoda tylko, że nie ma czerwonej wstążki.

Szkoda, że dziewczęta muszą dorastać.

– Catherine – powiedział i machnął zakrwawionym nożem. – Stęskniłaś się za mną? Zamierzam zaraz cię zabić.

Uśmiechnął się. Stała prosto, z podniesioną głową. Starła się pokazać, że jest silna. Widział jednak, jak gwałtownie wznosi się i opada jej pierś. Była przerażona.

Natychmiast wróciło to stare uczucie, za którym tak tęsknił. To było dwadzieścia pięć lat temu, szedł przez las, kierując się ku małej polanie, na środku której leżała płyta ze sklejki. Obok niej kij i kawałek łańcucha, który dopiero przy bliższym przyjrzeniu okazywał się drabiną.

Uniósł płytę, podparł ją kijem. Nachylił się nad głęboką jamę, zrzucił łańcuch.

Z mroku wyłoniła się jej twarz. Mała, blada, brudna. Zdesperowana.

– Cieszysz się, że mnie widzisz? – zapytał. – Powiedz, że się cieszysz.

– Proszę – jęknęła.

Zsunął się na dół, wziął ją w ramiona.

– Co dziś będziemy robili? Wiesz, wczoraj czytałem o takich fajnych sztuczkach...

– Proszę – jęknęła znowu i na dźwięk jej głosu serce o mało mu nie pękło.

– Będziesz błagała? – spytał Richard teraz, autentycznie podniecony. – Wiesz, co lubię słyszeć.

– Nie.

– A powinnaś. Zabiję cię i twojego syna.

– Nie.

– No, Catherine. Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, jak wielką mam moc.

– Wsadziłaś mnie do jamy na dwadzieścia osiem dni, Richardzie. Ja wsadziłam cię do więzienia na dwadzieścia pięć lat.

Pan Bosu zmarszczył brwi. Że też akurat musiała mu to przypomnieć. Stracił ochotę na dalszą rozmowę. Zrobił krok do przodu. Ona nie drgnęła. Zrobił jeszcze jeden krok i nagle znieruchomiał. Chwila, moment.

– Pokaż ręce – powiedział. Podniosła je posłusznie.

– Gdzie pistolet? – spytał podejrzliwie.

– Dałam go Maryanne. I tak nie umiem strzelać, sam widziałeś. Zaniepokoił się jeszcze bardziej. Nadal mu się to nie podobało.

– Zaatakujesz mnie gołymi rękami?

– Nie.

– No to o co ci chodzi? Po co wyszłaś z pokoju? Co knujesz?

– Chcę zyskać na czasie. Niedługo przyjedzie policja, Richardzie. Będą tu lada chwila.

Możesz mnie pokroić na kawałki, mam to gdzieś, bylebym wiedziała, że Nathanowi włos z głowy nie spadnie.

– Aha. – Zamyślił się. – Wiesz co? Umowa stoi.

Rzucił się w jej stronę, a ona zaczęła uciekać w głąb korytarza.

Biegła, Nie za szybko. To było najtrudniejsze. Serce jej waliło, ciarki przechodziły po plecach. Adrenalina krążyła jej w żyłach i kazała biec, biec, biec.

Miała do odegrania rolę. Jak oni wszyscy. Największą kreację aktorską w swoim życiu.

Słyszała, jak za nią biegnie. Barczysty, niewyobrażalnie silny. W jej snach rzadko miał twarz. Był wielkim czarnym cieniem, bezosobową siłą, która powalała ją na ziemię. Ona była mała, nieistotna. On górował nad nią jak zasępiony, mściwy Bóg.

Próbowała wmawiać sobie, że tak to wyglądało z perspektywy dziecka, dziewczynki stojącej oko w oko z dorosłym mężczyzną. Kiedy jednak zobaczyła go teraz, zdała sobie sprawę, że się myliła. Richard był prawdziwym olbrzymem.

Odebrał jej tak dużą część życia. Tak wiele zostawiła tam, na dnie jamy.

A teraz przed nim ucieka. Biegnie i krzyczy, ze strachu, smutku, wściekłości. Nienawidzi Richarda Umbria i myśli o kobiecie, którą mogłaby się stać, gdyby nie spotkała go tamtego straszego dnia.

Przypieszyła kroku, przestała nad sobą panować, pozwoliła, by ogarnął ją strach. Był tuż-tuż, wyciągał do niej ręce. Zaraz złapie ją za szyję, rzuci na podłogę, a potem...

Wpadła do salonu. Bobby leżał za stolikiem, z pistoletem opartym o blat i palcem na spuście.

– Teraz – rzucił.

Przypadła do podłogi. Umbrio z trudem wyhamował na śliskiej posadzce. Zaczął wymachiwać rękami, próbując się zatrzymać. Miał rozpiętą koszulę. Widziała jego wielką, szeroką pierś...

Bobby pociągnął za spust. Bum, bum, bum. Raz, dwa, trzy.

Umbrio padł jak ścięte drzewo. Drgnęła mu ręka, potem noga. Znieruchomiał.

Catherine podniosła się chwiejnie. Umbrio patrzył na nią. Z kącików jego ust płynęła krew. Uśmiechnął się.

– Co teraz? – szepnął.

Nie wiedziała, o co mu chodzi.

Nagle złapał ją za rąbek spódnicy.

Krzyknęła. Usłyszała, jak Bobby naciska na spust, ale rozległ się tylko suchy trzask. Pistolety, przypomniała sobie. Zamieniła je, Bobby dostał ten, z którego wystrzeliła kilkanaście kul. Bobby zaklął siarczyście, a Richard rzucił się naprzód i wielką dłonią złapał ją za kolano.

Miała w głowie pustkę.

Richard ją dopadnie. Jego dłonie zacisną się na jej gardle. Zacznie ją dusić, a ona umrze, tak jak miała umrzeć przed dwudziestoma pięcioma laty. Znów jest w jamie. Znów jest pod ziemią. Całkiem sama.

Jak przez mgłę widziała, co się dzieje. Bobby zerwał się na nogi. Krzyczał coś. Nie słyszała go. Nie dochodziły do niej żadne dźwięki. Wszystko się rozmywało.

Richard złapał ją za biodro i zaczął się podnosić, obnażając zakrwawione zęby w obleśnym uśmiechu. Sięgnął do jej gardła.

Zaczęła macać za sobą. I znalazła to, czego szukała.

Dłoń Richarda zaciskała się na jej gardle.

Bobby wyrósł u jego boku, zamachnął się.

Catherine włożyła lufę pistoletu w usta Richarda. Przez ułamek sekundy miał bardzo, bardzo zdziwioną minę. Nacisnęła spust.

Głowa Richarda Umbria dosłownie eksplodowała.

Zwalił się na Catherine. Zaczęła krzyczeć.

Bobby ściągnął go z niej. Objął ją, przytulił.

– Ciii... – mówił. – Ciii... już wszystko w porządku. To koniec. Już po wszystkim. Jesteś bezpieczna. Catherine, jesteś bezpieczna.

Ale to nie był koniec. To nigdy się nie skończy. Jest zbyt wiele rzeczy, o których Bobby nie wie.

Zaczęła płakać. Bobby pogłaskał ją po włosach i wtedy rozplakała się na dobre, bo lepiej od niego wiedziała, że to dopiero początek końca.

Przyszła policja. I ochrona hotelu. Wpadli z krzykiem do apartamentu, wymachując odznakami i pistoletami. Bobby bez słowa oddał broń D.D., która wzięła też pistolet od Catherine. Sanitariusze zabrali sędziego. Lekarz opatrzył ramię Bobby'ego. Asystenci lekarza sądowego wynieśli Harrisa i Umbria.

Wciąż jeszcze trwało sporządzanie listy szkód, kiedy jeden z policjantów wreszcie znalazł Nathana.

Chłopczyk pojawił się na korytarzu, tuląc do piersi rozczochranego pieska.

Zobaczył Catherine, której kazano siedzieć na sofie, choć błagałaby pozwolili jej poszukać dziecka.

– Mamusia? – odezwał się wyraźnie wśród narastającego hałasu.

Catherine wstała. Rozłożyła ramiona. Puścił szczeniaka i rzucił jej się na szyję.

– Mamusia – powiedział i położył głowę na jej ramieniu.

Bobby uśmiechnął się do nich. D.D. skończyła odczytywać mu jego prawa i wyprowadziła go.

## Epilog

Styczeń był brzydki. Termometr pokazywał minus dwanaście stopni. Zimny wiatr przenikał do szpiku kości.

Bobby'emu właściwie to nie przeszkadzało. Szedł Newbury Street, w wełnianej czapce naciągniętej na czoło i uszami schowanymi pod ciasno zawiązanym szalikiem, w puchowej kurtce. Na drzewach rosnących wzdłuż ulicy migotały wesołe małe białe światełka. W witrynach sklepów wciąż dominowały jaskrawe, świąteczne kolory i ogłoszenia o obniżkach cen:

Mimo mrozu na ulicach było dużo spacerowiczów pragnących nacieszyć się świeżym śniegiem. Cóż, mieszkańcy Nowej Anglii to twardzi ludzie.

To był ważny moment w życiu Bobby'ego. Właśnie wracał z ostatniego spotkania z doktor Lane.

– Jak minęły święta? – spytała na początek.

– Dobrze. Spędziłem je z ojcem. Poszliśmy do restauracji. Po co dwaj kawalerzy mieliby sami sobie gotować?

– A co z twoim bratem?

– Nie odezwał się.

– Twojemu ojcu musiało być przykro.

– Zachwycony nie był, ale co miał zrobić? George jest dorosły. Nic na siłę.

– A ty?

Bobby wzruszył ramionami.

– Nie mogę mówić w imieniu George'a, ale między mną a Tatkiem wszystko w porządku.

– A co z twoją matką?

– Ty znowu swoje. Ciągle byś tylko o niej rozmawiała.

– Skrzywienie zawodowe.

Westchnął i pokręcił głową, zirytowany jej uporem. Cóż, wcześniej czy później muszą o niej pomówić. Zawsze tak było.

– No dobra. Zadałem ojcu kilka pytań na jej temat, tak jak się umówiliśmy. Tatko odpowiadał najlepiej, jak potrafił. Nawet... nawet rozmawialiśmy o tamtej nocy.

– Było ciężko?

Rozłożył ręce.

– Raczej... niezręcznie. Wiesz, jaka jest prawda? O tej wstrząsającej nocy? Żaden z nas dobrze jej nie pamięta. Serio. Ja byłem za mały. Ojciec zbyt pijany. I może... tak tylko zgaduję... może dlatego możemy jakoś przejść nad tym do porządku dziennego, a George nie. On do tej pory widzi to, co się wtedy stało. A my, nawet kiedy próbujemy... słowo honoru, nic z tego nie wychodzi.

– Czy twój ojciec szukał kontaktu z matką?

– Mówił, że tak, wiele lat temu, w ramach programu wychodzenia z alkoholizmu. Zadzwoił do jej siostry na Florydzie, powiedziała, że przekaże wiadomość. I na tym koniec.

– A więc masz ciotkę?

– Tak – powiedział Bobby spokojnie. – I żyjących dziadków.

Doktor Lane zamruła zdziwiona.

– A to nowina.

– No.

– Co o tym myślisz?

– O rany – przewrócił oczami i zaśmiał się lekko, ale był to śmiech wymuszony. – Tak – powiedział po chwili, wzdychając ciężko. – To przykra sprawa. Kiedy człowiek wie, że ma rodzinę, która go skreśliła... to boli. Jak może nie boleć? Wmawiam sobie, że to ich strata. Wmawiam sobie wiele rzeczy. Ale prawdę mówiąc, wkurza mnie to.

– Myślałeś o tym, żeby się z nimi skontaktować?

– Tak.

– No i...?

– Sam nie wiem. To znaczy, mam trzydzieści sześć lat. Chyba jestem trochę za stary, żeby szukać kontaktu z babcią i dziadkiem. Skoro się do mnie nie odzywają, to może powinienem zrozumieć aluzję.

– Sam w to nie wierzysz.

Kolejne wzruszenie ramion.

– To o co tak naprawdę chodzi? – Doktor Lane naprawdę dobrze go poznała.

Westchnął, wbił wzrok w podłogę.

– Po prostu takie są układy i tyle. Moja matka jest na Florydzie. George też. On się do nas nie odzywa, ona też. Jak widać, w rodzinie nastąpił rozłam. George zostawił ojca, ale odzyskał matkę. Ja ojca nie zostawiłem, więc...

Uważasz, że dopóki będziesz blisko ojca, matka się do ciebie nie odezwie.

– Tak myślę.

Doktor Lane pokiwała głową w zamyśleniu.

– To całkiem możliwe. Choć moim zdaniem dla ciebie i twojej matki byłoby lepiej, gdybyście byli ze sobą w stałym kontakcie, bez względu na ojca.

Bobby uśmiechnął się kwaśno.

– No cóż, jak chcesz, możesz jej o tym napisać. – Spowaźniał. Wzruszył ramionami. – Jest, jak jest. Próbuję stosować się do twoich rad, koncentrować na rzeczach, które mogę kontrolować, a resztę sobie odpuszczać. Nie mogę kontrolować matki, dziadków ani George'a.

– Bardzo rozsądnie.

– Tak, prawdziwy mędrzec się ze mnie zrobił.

Uśmiechnęła się.

– Przejdźmy do innych spraw. Co z pracą?

– Zaczynam w przyszłym tygodniu.

– Cieszysz się?

Poprawił się na krześle.

– Raczej mam tremę.

– Trudno się dziwić.

Zamyślił się.

– Oczyszcili mnie z zarzutu zabójstwa Jimmy’ego i Copleya, więc pod tym względem wszystko gra. Ale im podpadłem. To, że pomagałem Catherine, sposób, w jaki prowadziłem śledztwo... Spaliłem za sobą wiele mostów. Służba w STOP wymaga umiejętności pracy w zespole. A wielu chłopaków wątpi, czy jestem do tego zdolny.

– A co ty myślisz?

– Brak mi tej roboty – wyznał. – Jestem w tym dobry, a gdybym musiał znów to udowodnić, cóż, udowodnię to. Nie boję się wyzwań.

– Czy uważasz, że jesteś zdolny do pracy w zespole?

– Pewnie. Ale to nie znaczy, że jestem gotów do robienia głupot. Jeśli wszyscy zaczną skakać z mostu, zrobisz to samo, czy dla dobra ogółu powiesz: „Ej, chłopaki, przestańcie, to bez sensu”? Z całym szacunkiem dla D.D. i innych śledczych, nie mieli pojęcia, co działo się u Gagnonów.

A ja owszem. Działalem zgodnie z własnym sumieniem. I jestem z tego dumny. Tak właśnie powinien postępować dobry policjant.

– No proszę, Bobby, poczyniłeś wielkie postępy.

– Robię, co mogę.

Zniżyła głos, więc od razu domyślił się, o co spyta.

– Nadal o nim śnisz?

– Czasem.

– Jak często?

– Nie wiem. – On też zaczął mówić ciszej. Nie patrzył na nią, wbił wzrok w dyplom na ścianie. – Trzy, cztery razy w tygodniu.

– To już lepiej.

– Tak.

– A jak sypiasz?

– Jako tako. Przede mną długa droga.

– Czy kiedykolwiek przestaniesz myśleć o Jimmym Gagnonie?

– Wątpię. Zabiłem go. To wielki ciężar. Zwłaszcza że być może nie zasłużył na śmierć. Zwłaszcza że... no właśnie, w tym cały problem. Minęły dwa miesiące, a ja nadal nie jestem pewien, co stało się tamtej nocy.

– Policja nie postawi zarzutów Catherine?

– Nie mają dowodów.

– Przecież mówiłeś, że znaleźli w jej komodzie pistolet.

Wzruszył ramionami.

– I czego to dowodzi? Że strzelała we własnym domu? To nie jest zabronione. To ja podjąłem decyzję, by zabić Jimmy'ego. To ja widziałem jego twarz. To ja pociągnąłem za spust.

– Nienawidzisz jej?

– Czasami.

– A co czujesz oprócz tego?

Uśmiechnął się kwaśno.

– Wolałbym zachować to dla siebie.

Doktor Lane pokręciła głową.

– To niebezpieczna kobieta, Bobby.

– Co ty powiesz...

– No dobrze, na razie wystarczy. Podpisałam papiery i wysłałam je porucznikowi Bruniemu. Oczywiście, możesz do mnie dzwonić, kiedy tylko zechcesz.

– Dziękuję.

– Powodzenia, Bobby.

A on odparł szczerze:

– Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Szedł Newbury Street w stronę parku. Dzieci biegały w labiryncie drzew i łapały płatki śniegu na języki. Dorośli spacerowali zakutani w grube kurtki. Niektórzy trzymali dzieci za rękę. Inni prowadzili zziębnięte psy.

Bobby nie od razu ich zauważył. Ale ich widok był dla niego miłym zaskoczeniem.

Podszedł do Catherine, jak zawsze pięknej, ubranej w czarny wełniany płaszcz, ciemnofioletowy szalik i rękawiczki. Nathan nie siedział obok niej. Gonił dwójkę innych dzieci, pies biegł tuż za nim.

– Zmienił się nie do poznania – powiedział Bobby i usiadł.

Catherine spojrzała na niego, uśmiechnęła się, po czym podążyła wzrokiem za Nathanem.

– I to w dwa tygodnie. Kto by pomyślał.

– A więc nowa dieta się sprawdziła.

– Nie ma to jak syrop kukurydziany z dużą zawartością fruktozy. Okazuje się, że glukoza i galaktoza przetwarzane są przez gen GLUT2, który u Nathana uległ mutacji. Za to fruktozę przenosi GLUT5 i dzięki temu jego organizm o wiele lepiej ją przyswaja. Teraz nie tylko dostaje więcej kalorii, ale w końcu ma źródło energii, którą może przetwarzać i wykorzystywać.

– To doskonale.

Uśmiechnęła się znowu, ale po chwili spoważniała, co zdarzało jej się ostatnio często.

– Przez całe życie będzie na ścisłej diecie, a i tak czeka go masa kłopotów. Jego ciało nie wchłania substancji odżywczych tak, jak powinno. Zawsze będzie musiał uważać na zdrowie i

Bóg raczy wiedzieć, ile jeszcze wystąpi powikłań.

– Macie już w tym wprawę.

– Szkoda, że wcześniej nie poznałam przyczyny choroby. Może wtedy mogłabym mu lepiej pomóc. Szkoda, że... Tak wielu rzeczy żałuję.

Bobby nie wiedział, co powiedzieć, więc wziął ją tylko za rękę.

– Jakieś wieści o domu? – spytał po chwili.

– Już sprzedany.

– Jezu, szybko poszło.

– Domy w Back Bay mają wzięcie. Nawet za taką cenę.

Bobby pokręcił głową. Catherine wyceniła mieszkanie na cztery miliony. Nie miał pojęcia, skąd ludzie biorą tyle pieniędzy.

– I co teraz?

– Może przeniesiemy się do Arizony? Gdzieś, gdzie jest ciepło, gdzie Nathan będzie mógł całymi dniami siedzieć na dworze. Gdzieś, gdzie nikt nie słyszał o Jamesie Gagnonie i Richardzie Umbriem. Gdzieś, gdzie będziemy mogli zacząć wszystko od nowa.

– A co z Maryanne?

– Przykro jej z powodu tego, co zrobił nam James. Chyba też chciałaby zacząć nowe życie i spędzać więcej czasu z Nathanem. Z drugiej strony... Wiesz, ona naprawdę kocha Jamesa. Nawet po tym wszystkim nie może zdobyć się na to, by go opuścić.

James był w śpiączce. Utrata krwi i uszkodzenia narządów wewnętrznych sprawiły, że jego organizm po prostu się wyłączył. Lekarze nie sądziliby kiedykolwiek miał odzyskać świadomość. Dziwili się, że w ogóle żyje.

– Może kiedyś – mruknął Bobby.

Catherine skinęła głową.

– Maryanne lubi Arizonę. Mówiła, że zawsze chcieli kupić tam dom. Może więc, kiedy już będzie po wszystkim...

Teraz on skinął głową. Spojrzeli na Nathana. Szybko biegał. Był zarumieniony. Figlarz ujadał, dzieci się śmiały.

– Nadal masz koszmary? – spytał Bobby.

– Co noc kilka. – Uśmiechnęła się blade.

– Z tobą czy z nim w roli głównej?

Uśmiechnęła się znowu, ale jej oczy pozostały smutne.

– Takie i takie.

Dotknął jej policzka, otarł łzę z kącika jej oka.

– Wiesz, co jest dziwne? Nie śni mi się Umbrio. Nie boję się już, że podjedzie do mnie obcy człowiek. Śnię o Jimmym. Widzę jego twarz tuż przed śmiercią. Czasem, w środku nocy, słyszę, jak Nathan go woła.

– Au – powiedział Bobby.

– Au – powtórzyła. Spojrzała na ich splecione dłonie. – Zaraz po przyjeździe do Arizony poszukam specjalisty. Kogoś, kto pomoże Nathanowi dojść do siebie. I mnie też.

– Dobra myśl.

– Mógłbyś pojechać z nami.

– Brakowałoby mi mrozu.

Ścisnęła jego dłoń.

– Bobby, boję się.

– Wiem.

– Nie musiałbyś pracować. Mam dość pieniędzy...

– Przestań.

Odwrociła się, speszona, ale on delikatnie pogładził ją po policzku, by złagodzić szorstkość tego, co powiedział.

– Jesteś najbardziej intrygującą kobietą, jaką znam, Catherine – rzekł po chwili. – Kochasz swojego syna, pokonałaś Umbria. Poradzisz sobie. Ty i Nathan. Trzeba wam tylko czasu.

– Skoro jestem taka wyjątkowa, czemu z nami nie pojedziesz?

Bobby znów się uśmiechnął. Puścił jej rękę, splótł dłonie na kolanach.

Spojrzał na Nathana bawiącego się z innymi dziećmi i powiedział to, co musiał powiedzieć:

– Dzwoniła do mnie detektyw Warren.

Catherine zeszywniała.

– Sprawdzala powiązania między sędzią Gagnonem a Colleen Robinson, billingi, przelewy, wszystkie potencjalne dowody ich kontaktów. Sędzia był cwany. D.D. znalazła dowody wypłaty pieniędzy, ale żadnego dokumentu wskazującego, dokąd te pieniądze trafiły. A w billingach nie ma ani jednego telefonu od sędziego. Były za to dwa telefony od ciebie.

Spojrzał na Catherine. W jej chłodnych oczach zobaczył nieufność, która wystarczyła za tysiąc słów.

– Okazuje się, że Colleen Robinson miała w więzieniu ciężkie życie. Po wyjściu na wolność zapisała się do grupy wsparcia dla kobiet z zespołem szoku pourazowego. Być może o niej słyszałaś. Prowadząca ją psycholog twierdzi, że bywałaś na spotkaniach.

– Próbowałam terapii grupowej, fakt – powiedziała Catherine spokojnie. – Ale to było dawno temu. Zanim poznałam Jimmy'ego. Chyba nie myślisz, że pamiętam jakąś kobietę, którą widziałam raz w życiu, tak dawno temu.

– Może ty jej nie pamiętałaś. Ale ona pamiętała ciebie. – Bobby pokręcił głową. – Cały tydzień o tym myślałem. Z jednej strony nie miałaś wystarczająco dobrych koneksji, by wyciągnąć Umbria z więzienia. Ale kiedy już się dowiedziałeś, że wyszedł, że sędzia pociągnął za sznurki... Colleen do ciebie zadzwoniła? Tak to było? Może chciała od ciebie pieniędzy, a może próbowała tylko pomóc, ostrzec cię. Oczywiście, ostrzeżenie nic by nie dało, prawda? Umbrio został zwolniony warunkowo. A policja podejrzewała cię o morderstwo, więc nie miała interesu w tym, by proponować ci ochronę. Nie, zostałaś sama, znalazłaś się w potrzasku. To

wtedy przyszedł ci do głowy ten pomysł? Żeby pokonać sędziego jego własną bronią?

– Richard Umbrio zabił mojego ojca – przypomniała Catherine. – Jak śmiesz sugerować, że miałam z nim jakieś układy? Na litość boską, zabił Tony’ego i Prudence. Po co miałabym go na nich napuszczać?

– Za śmierć Tony’ego i Prudence odpowiadasz nie ty, tylko sędzia Gagnon. Za to Rick Copley... Uwziął się na ciebie, Catherine. Gdyby postawił na swoim, straciłabyś Nathana.

Catherine zacisnęła usta. Odwróciła się.

– No i pozostaje sprawa samego sędziego – ciągnął Bobby cicho. – Był tak ostrożny, tak sprytny, że nie zostawił żadnych dowodów wiążących go z Colleen czy Umbriem. A mimo to Umbrio pojechał do niego. Dlaczego, Catherine? Kto kazał mu to zrobić?

– Spytaj Richarda.

– Nie mogę, Catherine. Zabiłaś go.

Nie powiedziała nic więcej. Nie mogła znaleźć niczego na swoją obronę czy uznała po prostu, że i tak jej nie uwierzy? Pewnie nigdy się tego nie dowie. Catherine na zawsze pozostanie dla niego zagadką.

– Doktor Lane coś mi kiedyś powiedziała – szepnął. – Że kobieta taka jak ty zrobi wszystko, byle ocalić swój świat. To prawda, co? Żeby obronić się przed sędzią Gagnonem, byłaś gotowa wejść w konszachty z człowiekiem takim jak Umbrio. Za pośrednictwem Colleen Robinson płaciłaś samemu diabłu. Rick Copley – dodał – był dobrym człowiekiem. Jak twój ojciec.

Catherine nie odpowiedziała, ale miał wrażenie, że w jej oczach błysnęły łzy.

– Mam nadzieję – powiedziała po chwili – że kiedy już będziesz miał własne dziecko, nie będziesz musiał przekonać się na własnej skórze, jak to jest bać się o jego życie.

– Mogłaś liczyć na pomoc innych, Catherine. Na moją pomoc. Spojrzała na niego.

– Ale na początku tego nie wiedziałam, prawdą?

Wstała z ławki, wciąż pełna godności, wciąż niezmiernie piękna i mimo wszystko, co o niej wiedział, zaparło mu dech w piersi.

– D.D. to dobry detektyw – powiedział cicho.

– Mój syn jest bezpieczny. Za to warto było zapłacić każdą cenę.

– Naprawdę w to wierzysz?

Uśmiechnęła się krzywo.

– Bobby, tylko dzięki temu jeszcze nie zwariowałam.

Skinął głową. Uśmiechnęła się znowu i dotknęła jego policzka.

– Jesteś jedynym mężczyzną, którego... – Urwała i spojrzała gdzieś w dal. – Będzie mi ciebie brakowało – dokończyła po chwili.

– Mnie ciebie też – odparł szczerze.

Poszła po syna. Bobby siedział na ławce w padającym śniegu i patrzył, jak odchodzą.

## Podziękowania

*Jak zawsze, wyrażam głęboką wdzięczność wielu osobom, które przyczyniły się do powstania tej książki. Wszyscy wymienieni poniżej życzliwie i cierpliwie udzielali mi cennych rad. Za wszelkie błędy czy przejawy nadmiernej swobody twórczej odpowiadam rzecz jasna ja i tylko ja.*

*Za informacje dotyczące pracy snajperów i oddziałów antyterrorystycznych pragnę podziękować porucznikowi Cary'emu Maroniemu i Johnowi Bergeronowi z policji stanu Massachusetts, agentowi specjalnemu FBI Jamesowi Fitzgeraldowi i porucznikowi Jamesowi Swanbergowi z policji stanu Rhode Island. Chcę też przekazać najszczerze wyrazy wdzięczności innym policjantom, którzy pragną pozostać anonimowi.*

*Kolej na wydział prawny. Najserdeczniejsze podziękowania dla Sarah Joss z prokuratury generalnej, Billa Loftusa, detektywa z prokuratury okręgowej Suffolk County, Jerry'ego Stewarta, zastępcy prokuratora okręgowego z Suffolk County, sierżanta Richarda Clancy'ego z policji bostońskiej i mecenasa Patricka Loftusa.*

*Co się tyczy kwestii medycznych, nie poradziłabym sobie bez rozkosznie przewrotnych pomysłów Margaret Charpentier, profesor wydziału farmacji na uniwersytecie Rhode Island, i Kelly L. Matson, profesor farmacji stosowanej na uniwersytecie Rhode Island.*

*Jestem też głęboko wdzięczna mojemu przyjacielowi, doktorowi Gregowi Moffattowi, za informacje na temat poradnictwa pourazowego, a także morderczych skłonności w ogóle. No i oczywiście, cóż ja bym poczęła bez mojej znakomitej przyjaciółki i pisarki, Betsy Eliot, która oprowadziła mnie po południowym Bostonie i napuściła na swoich krewnych. Bets, jesteś najlepsza!*

*Jeśli chodzi o informacje lżejszego kalibru, to z radością ogłaszam zwycięzcę pierwszego konkursu „Prawdziwych przyjaciół poznaje się po śmierci”. Uczestników było wielu, ale tylko jeden zwycięzca mógł wyznaczyć osobę, która zginie w mojej powieści. A zatem wypijmy zdrowie Jillian Zizzy, triumfatorce konkursu, i jej drogiej przyjaciółki, Colleen Robinson, której przydzieliła rolę truposza. Na pamiątkę obie dostaną darmowe egzemplarze powieści z autografem!*

*Na koniec pragnę podziękować Kate Miciak, najwspanialszej redaktorce, jaką można sobie wymarzyć, i Anthony'emu, mojej największej miłości. Najgłębsze wyrazy wdzięczności dla Brandi, bo wszyscy wiemy, że nie poradziłabym sobie bez ciebie. I dla mojego wtorkowego dziecka za piękno, jakie wniosło w mój świat.*